

Fiodor Dostojewski

**Wspomnienia z domu
umarłych**

(Przełożył: Czesław Jastrzębiec-Kozłowski)

Wstęp

W odległych okolicach Syberii, pośród stepów, gór albo nieprzebytych lasów, z rzadka trafiają się małe miasta, liczące jeden, najwyżej dwa tysiące mieszkańców, drewniane, niepozorne, o dwóch cerkwiach — jednej w mieście, drugiej na cmentarzu — miasta podobniejsze do porządnej wsi podmoskiewskiej niżli do miast. Zazwyczaj bywają obficie zaopatrzone w sprawników, ławników oraz we wszelki inny podrzędny personel urzędniczy. W ogóle, choć to kraj zimny, służyć na Syberii jest bardzo ciepło. Ludziska są prości, nieliberalni; porządki stare, mocne, wiekami uświęcone. Urzędnicy — słusznie grający rolę szlachty syberyjskiej — to bądź tubylcy, rdzenni Sybiracy, bądź przyjezdni z Rosji, przeważnie ze stolic, skuszeni wypłacaną z góry pensją, podwójnymi dietami i ponętnymi perspektywami na przyszłość. Ci spośród nich, którzy umieją rozwiązywać zagadkę życia, niemal zawsze pozostają na Syberii i z rozkoszą się tu zadowiają. Później zbierają bogaty i słodki plon. Inni natomiast, ludzie lekkomyślni i nie umiejący rozwiązywać zagadki życia, niebawem mają dosyć Syberii i markotnie pytają siebie, po co tu zawędrowali. Niecierpliwie odbywają swój ustawowy termin służby państwowej, trzy lata, a po jego upływie niezwłocznie zaczynają się starać o przeniesienie i wracają do siebie, pomstując na Syberię i dworując z niej. Nie mają racji: nie tylko pod względem służbowym, lecz i pod wielu innymi można na Syberii świetnie żyć. Klimat wspaniały, mnóstwo niepospolicie bogatych i gościnnych kupców, mnóstwo niezmiernie zamożnych tubylców. Panienki kwitną jak róże i są w najwyższym stopniu cnotliwe. Zwierzyna lata po ulicach i sama się nawija myśliwemu. Szampana piją tu niezwykle dużo. Kawior wspaniały. Urodzaj w niektórych okolicach bywa piętnastokrotny... Słowem, ziemia błogosławiona. Trzeba tylko umieć z niej korzystać. Na Syberii umieją z niej korzystać.

W jednej z takich wesołych i zadowolonych z siebie mięscin o najmilszej w świecie ludności, która zostawiła w mym sercu niezatarte wspomnienie, poznałem Aleksandra Pietrowicza Gorianczykowa, osiedleńca, co się urodził w Rosji jako szlachcic i ziemianin, potem za zabójstwo żony stał się zesłańcem-katorżnikiem drugiej kategorii, po upływie zaś wyznaczonego mu przez prawo dziesięcioletniego okresu katorgi, skromnie i nieostentacyjnie dokonywał żywota w miasteczku K., w charakterze osiedleńca. Właściwie był przypisany do jednej z gmin podmiejskich, mieszkał wszakże w mieście, mógł tu bowiem jako tako się przeżywić zarobkując nauczaniem dzieci. W miastach syberyjskich nauczycielami częstokroć bywają osiedleni zesłańcy; nikt nimi nie pogardza. Przeważnie uczą francuskiego, który jest przecież nieodzowny na arenie życia, a o którym, gdyby nie oni, nie miano by pojęcia w odległych okolicach Syberii. Po raz pierwszy spotkałem Aleksandra Pietrowicza w domu pewnego starego, zasłużonego i gościnnego urzędnika, Iwana Iwanycza Gwozdikowa, ojca pięciu córek w różnym wieku, roku-

jących najpiękniejsze nadzieje. Aleksander Pietrowicz udzielał im lekcji cztery razy w tygodniu, po trzydzieści kopiejek srebrem od lekcji. Jego wygląd zainteresował mnie. Był to ogromnie blady i chudy człowiek, niestary jeszcze, może trzydziestopięcioletni, drobny i wąty. Nosił się zawsze nader schludnie, po europejsku. Jeśli go kto zagadnął, patrzył nadzwyczaj pilnie i uważnie, z skrupulatną grzecznością wysłuchiwał każdego słowa, jak gdyby mu zadawano jakąś zagadkę albo chciano wyciągnąć zeń jakąś tajemnicę, i w końcu odpowiadał jasno i zwięźle, ale tak ważąc każde słowo swej odpowiedzi, że rozmówcy nagle robiło się jakoś głupio i wreszcie sam był rad z ukończenia rozmowy. Natychmiast wypytałem o niego Iwana Iwanycza i dowiedziałem się, że Gorianczykowi pędzi życie nienagannie moralne, w przeciwnym bowiem razie Iwan Iwanycz nie byłby go zgodził do swych córek, lecz straszny zeń odludek, stroni od wszystkich, jest niesłuchanie uczony, wiele czyta, ale mówi bardzo mało, i w ogóle dosyć trudno się z nim dogadać. Niektórzy twierdzili, że to zdecydowany wariat, choć zresztą byli zdania, że to właściwie nie taka znów wielka wada; że niejedyn szanowny obywatel miasta gotów przyhołubić Aleksandra Pietrowicza, że mógłby nawet być użyteczny, pisać podania itd. Przypuszczali, że prawdopodobnie ma w Rosji przyzwoitych krewnych, może nawet należących do dobrego towarzystwa, wiedzieli jednak, że od chwili zesłania stanowczo zerwał z nimi wszelkie stosunki — słowem, sam sobie szkodzi. Przy tym zaś wszyscy u nas znali jego dzieje, wiedzieli, że zabił żonę od razu w pierwszym roku pożycia, zabił ją z zazdrości i sam oddał się w ręce sądu (co wielce złagodziło wymiar kary). Na takie zbrodnie ludzie zawsze patrzą jak na nieszczęście i współczują. Mimo to jednak nasz oryginał uporczywie się boczył i przychodził tylko wtedy, gdy musiał dawać lekcje.

Zrazu nie zwróciłem nań szczególnej uwagi, lecz, sam nie wiem czemu, stopniowo zaczął mnie interesować. Miał w sobie coś zagadkowego. Rozmówić się z nim było zupełnym niepodobieństwem. Oczywiście, na moje pytanie zawsze odpowiadał, i to nawet z taką miną, jakby to poczytywał za święty obowiązek; jednakże po tych jego odpowiedziach krępowałem się dłużej go wypytywać; przy tym na jego twarzy po takich rozmowach zawsze widniał wyraz cierpienia i zmęczenia. Pamiętam, że pewnego razu, w śliczny wieczór letni, szedłem z nim do Iwana Iwanycza. Wtem strzeliło mi do głowy zaprosić go na chwilkę do siebie na papierosika. Nie potrafię opisać, jakie przerażenie odmalowało się na jego twarzy; całkiem się stropił, jął mamrotać jakieś słowa bez związku i raptem, łypnąwszy na mnie złym okiem, puścił się pędem w przeciwną stronę. Ażem się zdziwił. Od tego czasu, ilekroć mnie spotykał, spozierał na mnie jakby z przestachem. Nie dałem jednak za wygraną; coś mnie do niego ciągnęło, i w miesiąc później, ni stąd, ni zowąd, sam wstąpiłem do Gorianczykowa. Naturalnie było to z mej strony głupio i niedelikatnie. Mieszkał na skraju miasta, u starej mieszczanki, która miała chorą na suchoty córkę, a ta znów — nieślubną córeczkę, dziesięcioletnią ładną i wesolutką dziewczynkę. W chwili gdym wszedł, Aleksander Pietrowicz siedział z nią i uczył ją czytać. Na mój widok zmieształ się tak, jak gdybym go przyłapał na czymś zdrożnym. Kompletnie stracił rezon, zerwał się z

krzesła i patrzył na mnie jak na upiora. Usiedliśmy wreszcie; badawczo śledził każde moje spojrzenie, jakby w każdym z nich podejrzewał ukryty a tajemniczy sens. Domyśliłem się, że jest obłudnie nieufny. Przyglądał mi się z nienawiścią, omal nie pytając: „Czy rychło się stąd wyniesiesz?” Zagadałem z nim o naszej mieścinie, o nowinach dnia; pomijał to milczeniem i jadowitym uśmiechem; okazało się, że nie tylko nie zna najzwyczajniejszych, wszystkim wiadomych nowin miejskich, ale w ogóle nie chce ich znać. Następnie zagadałem o naszej prowincji i jej potrzebach; słuchał milcząc i tak dziwnie patrzył mi w oczy, że mi się w końcu zrobiło wstyd naszej rozmowy. Co prawda, omal go nie wyprowadziłem z równowagi nowymi książkami i czasopismami; miałem je przy sobie świeżo z poczty i zaproponowałem, że mu je pożyczę jeszcze nie rozcięte. Zerknął na nie łapczywie, natychmiast jednak zmienił zamiar i odrzucił propozycję wymawiając się brakiem czasu. W końcu pożegnałem go i wyszedłszy od niego uczułem, że mi spadł z serca nieznośny ciężar. Było mi wstyd, uznałem za rzecz arcygłupią czepiać się człowieka, którego głównym celem było właśnie jak najdalej ukryć się przed światem. Trudno; stało się. Pamiętam, że u niego nie widział prawie żadnych książek, niesłusznie więc mówiono o nim, że wiele czyta. Jednak, przejeżdżając parokrotnie późną nocą mimo jego okien, spostrzegłem w nich światło. Cóż tedy robił przesiadując do świtu? Może pisał? A jeśli tak, to co mianowicie?

Okoliczności wyrwały mię z naszego miasteczka na jakie trzy miesiące. Kiedym już w zimie wrócił do domu, dowiedziałem się, że Aleksander Pietrowicz umarł na jesieni, umarł w osamotnieniu i nawet ani razu nie wezwał do siebie lekarza. W miasteczku już prawie zapomniano o nim. Mieszkanie jego stało pustką. Niezwłocznie nawiązałem znajomość z gospodynią nieboszczyka, gdyż miałem zamiar dowiedzieć się od niej, czym się głównie zajmował jej lokator i czy nie pisał czego? Za dwudziestkę przyniosła mi pełen koszyk papierów, które zostały po nieboszczyku. Przyznała mi się, że dwa zeszyty już zużyła. Była to staruszka posepna i małomówna, z którą trudno było dojść do ładu. O swym lokatorze nie mogła mi powiedzieć nic ciekawszego. Z jej słów wynikało, że prawie nigdy nic nie robił, miesiącami nie otwierał książki i nie brał pióra do ręki, za to po całych nocach przemierzał pokój wzdłuż i wszerz i wciąż o czymś myślał, a niekiedy rozmawiał sam ze sobą; że bardzo polubił i bardzo pieścił jej wnuczkę, Katię, zwłaszcza odkąd się dowiedział, że na imię jej Katia, wreszcie, że w dniu św. Katarzyny rokrocznie chodził na żałobne nabożeństwo po kimś. Gości nie cierpiał; z domu wychodził tylko na lekcje; nawet na nią, starą, patrzył krzywym okiem, gdy raz na tydzień przychodziła, by choć trochę sprzątnąć w jego pokoju, i bodaj że się do niej nie odezwał ani słówkiem przez całe trzy lata. Zapytałem Kati, czy pamięta swego nauczyciela. Patrzyła na mnie w milczeniu, odwróciła się do ściany i zapłakała. Czyli że i ten człowiek potrafił wzbudzić w kimś żywsze uczucie.

Zabrałem i cały dzień segregowałem jego papiery. W trzech czwartych były to błahe, nic nie znaczące szpargałki lub uczniowskie ćwiczenia kaligraficzne. Ale był tu pewien zeszytek, wcale pękaty, drobno zapisany i nie dokończony; może sam autor zarzucił go i zapomniał o nim. Był to

opis, co prawda bezładny, dziesięcioletniej katorgi, którą wycierpiał Aleksander Pietrowicz. Miejscami opis ten przerywała jakaś inna opowieść, jakieś dziwne, okropne wspomnienia, kreślone nierównym, spazmatycznym pismem, jak gdyby pod przymusem. Kilka razy przeczytałem te urywki i prawie się przekonałem, że były pisane w napadzie szaleństwa. Lecz katorżne notatki — *Wspomnienia z domu umarłych*, jak je sam nazywa gdzieś w swym rękopisie — wydały mi się dość zajmujące. Zupełnie nowy świat, dotychczas nie znany, niezwykłość pewnych faktów, niektóre osobliwe uwagi o straceńcach — porwały mnie tak, że to i owo przeczytałem z ciekawością. Naturalnie, mogę się mylić. Na próbę wybieram z początku dwa, trzy rozdziały; niech publiczność osądzi...

I. Dom umarłych

Nasze więzienie stało na skraju twierdzy, tuż przy wale fortecznym. Czasem wyglądałem przez szpary parkanu na świat boży: a nuż coś zobaczę? — ale widziałem tylko skrawek nieba i wysoki wał ziemny porośły burzanem, a po tym wale dniem i nocą tam i z powrotem chodzą wartownicy; więc zaraz przychodziło mi na myśl, że upłyną całe lata, a ja zupełnie tak samo będę wyglądał przez szpary parkanu i zobaczę ten sam wał, takich samych wartowników i ten sam mały skrawek nieba, nie tego nieba nad więzieniem, lecz innego, dalekiego, wolnego nieba. Wyobraźcie sobie duży dziedziniec, jakie dwieście kroków długi a półtora szeroki, w kształcie nieregularnego sześciokąta, opasany wysoką palisadą, czyli parkanem z wysokich słupów (pali), na sztorc głęboko wkopanych w ziemię, szczelnie przystających do siebie bokami, wzmocnionych poprzeczkami i u góry zaostrzonych — oto zewnętrzne ogrodzenie więzienia. W jednym z boków ogrodzenia są mocne wrota, zawsze zamknięte, zawsze — dniem i nocą — strzeżone przez wartowników; otwierano je, by wypuścić idących do roboty więźniów. Za tymi wrotami był jasny, wolny świat, ludzie żyli tam jak wszyscy. Natomiast po tej stronie ogrodzenia myślało się o tamtym świecie jak o nieziszczonej bajce. Tu był własny, osobliwy świat, niepodobny do niczego innego; tu były własne, osobliwe prawa, osobliwa odzież, osobliwe zwyczaje i obyczaje, i martwy za życia dom, i życie jak nigdzie indziej, i szczególniejsi ludzie. Ten właśnie osobliwy zakątek zamierzam opisywać.

Gdy wchodziło się za ogrodzenie, widać było wewnątrz kilka gmachów. Po obu stronach szerokiego dziedzińca wewnętrznego ciągną się dwa długie, parterowe budynki. To koszary. Mieszkają tu więźniowie rozlokowani wedle kategorii. Następnie, w głębi ogrodzenia, jeszcze jeden taki budynek: to kuchnia podzielona na dwie części. Dalej — znowu budynek, gdzie pod jednym dachem mieszczą się piwnice, spichrze, szopy. Środek dziedzińca jest pusty i stanowi równy, dosyć długi plac. Tu więźniowie zbierają się na kontrolę i apel z rana, w południe i wieczorem, a czasem jeszcze po kilka razy na dzień — zależnie od tego, czy strażnicy są mniej lub więcej nieufni i czy umieją rachować. Dookoła, między budynkami, pozostaje dosyć spora przestrzeń. Tutaj, za budynkami, niektórzy więźniowie o bardziej odludnym usposobieniu i ponurym charakterze lubią chodzić w czasie wolnym od pracy, zakryci przed oczami innych, i snują swoje rozmyślenia. Gdym ich spotykał podczas tych przechadzek, lubiłem się wpatrywać w ich posępne, piętnowane twarze i odgadywać, o czym myślą. Pewien zesłaniec w chwilach wolnych najchętniej oddawał się rachowaniu pali. Było ich z półtora tysiąca, on zaś zrobił już cały obrachunek i miał je w ewidencji. Każdy pal oznaczał dla niego dzień; każdy dzień odliczał na jednym palu i w ten sposób, wedle ilości nie odliczonych pali, mógł stwierdzić naocznie, ile jeszcze dni ma spędzić w więzieniu przed upływem terminu katorgi. Szczerze był rad, kiedy

dokańczył któryś bok sześciokąta. Wiele lat musiał jeszcze czekać, ale w więzieniu ludzie mają dosyć czasu, by się nauczyć cierpliwości. Widziałem raz, jak żegnał się z kolegami pewien więzień, który spędził na katordze dwadzieścia lat i wreszcie wychodził na wolność. Byli tacy, co pamiętali, jak wszedł do więzienia młody, beztroski, nie myśląc ani o swej zbrodni, ani o swej karze. Wychodził jako siwy starzec, z twarzą ponurą i smutną. W milczeniu obszedł wszystkie sześć naszych koszar. Wstępując do każdego koszar żegnał się przed świętymi obrazami, po czym nisko, w pas kłaniał się towarzyszom, prosząc, by go źle nie wspominali. Pamiętam również, jak kiedyś nad wieczorem zawołano do wrót jednego z więźniów, dawniej zamożnego syberyjskiego chłopca. Pół roku przedtem otrzymał wiadomość, że była jego żona wyszła za mąż, i mocno zmarkotniał. Teraz ona właśnie przyjechała do więzienia, wywołała go i wręczyła mu datek. Pogawędzili parę minut, zapłakali oboje i pożegnali się na zawsze. Widziałem jego twarz, kiedy wracał do koszar... Tak, w tym miejscu można się było nauczyć cierpliwości.

Gdy zapadał zmierzch, wszystkich nas wprowadzano do koszar i tu zamykano na całą noc. Zawsze było mi ciężko wrócić z dworu do naszych koszar. Była to długa, niska i duszna izba, mdło oświetlona lojówkami, o ciężkim, duszącym odorze. Nie pojmuję teraz, jak mogłem wyżyć w niej dziesięć lat. Na pryzkach trzy deski: tyle miejsca należało do mnie. Na tychże pryzkach mieściło się w naszej tylko izbie ze trzydzieści osób. W zimie zamykano wcześniej; trzeba było czekać dobre cztery godziny, aż wszyscy usną. A zanim się to stało — hałas, rejwach, rechot, klątwy, brzęk kajdan, swąd i kopeć, ogolone głowy, piętnowane twarze, poszarpana odzież, wszystko to — sponiewierane, splugawione... Tak, człowiek jest wytrzymały! Człowiek — to istota, która się do wszystkiego przyzwyczaja, i sądzę, że to najtrafniejsze określenie człowieka.

Było nas ze dwustu pięćdziesięciu — liczba prawie stała. Jedni przychodzili, inni kończyli swój termin i odchodzili, jeszcze inni umierali. I jakich ludzi tutaj nie było? Przypuszczam, że każda gubernia, każda strefa Rosji miała tu swych przedstawicieli. Byli też obcoplemieńcy, było nawet kilku zesłanych górali kaukaskich. Segregowało się to wszystko wedle stopnia zbrodni, a zatem wedle liczby lat wyznaczonych za dane przestępstwo. Nie istniała chyba taka zbrodnia, która by tu nie miała swego przedstawiciela. Główny trzon stanowili zesłańcy-katorżnicy kategorii cywilnej (twardzi katorżnicy, jak naiwnie nazywali ich sami aresztanci). Byli to przestępcy całkowicie pozbawieni wszelkich praw, odcięci raz na zawsze od społeczeństwa, z twarzą napiętnowaną gwoli wiecznemu świadectwu, że są odepchnięci. Przysyłano ich na roboty z terminem od ośmiu do dwunastu lat, potem zaś wyprawiano do różnych gmin syberyjskich na osiedlenie. Byli też przestępcy kategorii wojskowej, nie pozbawieni praw, jak w ogóle w wojskowych rotach aresztanckich. Przysyłano ich na krótkie terminy, po których upływie wracali tam, skąd przybyli, do wojska, do syberyjskich batalionów liniowych. Wielu z nich prawie natychmiast wracało za ponowne ciężkie wykroczenia, jednak już nie na krótkie terminy, lecz na dwadzieścia lat. Ta kategoria nosiła nazwę „ustawicznych”. Ale i ci „ustawiczni” nie byli jeszcze bezwzględnie pozbawieni wszystkich praw. Wreszcie istniała jeszcze jedna osobna kategoria

najstraszniejszych zbrodniarzy, przeważnie wojskowych, dosyć liczna. Zwała się „oddziałem specjalnym”. Przysyłano tu przestępców z całej Rosji. Sami uważali się za dożywotnich i nie znali terminu swoich robót. Według prawa powinni byli wykonywać podwójne i potrójne normy pracy. Trzymano ich w twierdzy aż do otwarcia na Syberii najcięższych robót katorżniczych. „Wy – na termin, a my – na całe życie” – mówili do innych więźniów. Słyszałem później, że tę kategorię skasowano. Ponadto skasowano w naszej twierdzy również reżim cywilny, a wprowadzono jedną wspólną rotę wojskowo-aresztancką. Oczywiście, wraz z tym zmieniła się także zwierzchność. Opisuję tedy przeszłość, sprawy dawno minione...

Było to już dawno, wszystko to śni mi się teraz niby we śnie. Pamiętam, jakem wszedł do twierdzy. Działo się to wieczorem, w styczniu. Zapadał już zmierzch, ludzie wracali z robót, gotowali się do kontroli. Wąsaty podoficer otworzył mi nareszcie drzwi do tego dziwnego domu, w którym miałem spędzić tyle lat, przeżyć tyle, że gdybym nie doświadczył tego wszystkiego na własnej skórze, nie mógłbym mieć o tym przybliżonego nawet pojęcia. Na przykład, żadną miarą nie mógłbym sobie wyobrazić, co straszego i dręczącego jest w tym, że przez całe dziesięć lat katorgi ani razu, ani jednej chwili nie będę sam? Na robocie – zawsze pod konwojem, w domu – z dwustu towarzyszami, i ani razu, ani razu – sam! Zresztą i nie do takich jeszcze rzeczy musiałem się przyzwyczajać!

Byli tutaj zabójcy przypadkowi i mordercy z zawodu, bandyci i hersztowie bandytów. Byli zwyczajni złodziejaskowie i włóczęgi – specjaliści od kradzieży kieszonkowych i tacy, co odcinali woreczki z pieniędzmi. Byli i tacy, co do których trudno się było domyślić, za co właściwie mogli tu trafić. A jednak każdy z nich miał swoją historię, mętną i ciężką jak zamroczenie po przepiciu. Na ogół mało mówili o swej przeszłości, nie lubili o niej opowiadać i widocznie starali się o niej nie myśleć. Znałem wśród nich nawet zabójców tak wesołych, tak nigdy się nie frasujących, że śmiało byłbym szedł o zakład, iż sumienie nigdy się w nich nie odzywało. Lecz byli też osobnicy ponurzy, niemal zawsze milczący. W ogóle, rzadko kto opowiadał o swym życiu, a i ciekawość była nie w modzie, jakoś nie w zwyczaju. Ot, chyba że ktoś z rzadka rozgada się z nudów, a inny obojętnie i pośępnie słucha. Nikt tutaj nie mógł nikogo zadziwić. „Ludzie z nas kształceni!” – mówili często, z dziwną przechwałką. Pamiętam, kiedyś pewien bandyta, podchmielony (na katordze można się było czasem upić), jał opowiadać, jak zarznął pięcioletniego chłopczyka, jak go najpierw przynęcił zabawką, zaprowadził gdzieś do pustej szopy, no i tam zarznął. Całe koszary, które dotąd śmiały się z jego żartów, krzyknęły jak jeden mąż i bandyta musiał umilknąć; ale nie z oburzenia krzyknęły koszary, tylko dlatego, że nie powinien był o tym mówić, gdyż mówić o tym nie wypada. Nawiasem dodam, że ci ludzie byli istotnie „kształceni”, i to nawet nie w przenośnym, ale w dosłownym znaczeniu. Z pewnością przeszło połowa umiała czytać i pisać. W jakim innym miejscu, gdzie się lud rosyjski zbiera w wielkich skupiskach, potraficie wydzielić gromadę liczącą dwustu pięćdziesięciu ludzi, których połowę stanowiliby piśmienni? Słyszałem później, że na podstawie danych tego rodzaju ktoś

wziął asumpt do wniosku, że piśmienność gubi nasz lud. Jest to błąd: powody są zupełnie inne, choć trudno zaprzeczyć, że piśmienność rozwija w ludzkiej pewności siebie. Ale to wszakże nie przywara. Wszystkie kategorie można było rozróżnić po odzieży: jedni mieli połowę kurtki brunatną, połowę szarą, jak również jedną nogawicę szarą, drugą zaś brunatną. Kiedyś na robocie sprzedająca kołaczki dziewczynka podeszła do więźniów, długo im się przyglądała, po czym raptem wybuchnęła śmiechem. „Pfe, jak to brzydko! — zawołała — i szarego sukna zabrakło, i czarnego sukna zabrakło!” Byli też tacy, którzy całą kurtkę mieli z szarego sukna, tylko rękawy brunatne. Głową również golono rozmaicie: jedni mieli połowę głowy ogoloną wzdłuż czaszki, inni w poprzek.

Od pierwszego wejrzenia można było zauważyć w tej całej dziwnej rodzinie pewien uderzający rys wspólny; nawet najwybitniejsze, najbardziej oryginalne jednostki, które jak gdyby mimo woli królowały nad innymi — nawet one starały się utrafić w ton wspólny. W ogóle zaś powiem, że cały ten zespół, z nielicznymi wyjątkami kilku niewyczerpanej wesołych ludzi pogardzanych za to przez resztę, był posępny, zawistny, okropnie próżny, chępliwy, obraźliwy i w najwyższym stopniu formalistyczny. Za największą cnotę uchodziła umiejętność nie dziwienia się niczemu. Wszyscy byli zwariowani na jednym punkcie: jak zachować pozory. Ale częstokroć najbardziej buńczuczna mina z szybkością błyskawicy ustępowała miejsca najbardziej tchórzliwej. Mieliśmy kilku naprawdę silnych ludzi; ci byli prości i nie zgrywali się. Jednak, rzecz dziwna! wśród tych naprawdę silnych ludzi było kilku niezmiernie, wręcz chorobliwie próżnych. I w ogóle próżność, pozory — stały na pierwszym planie. Większość była zepsuta i strasznie upodlona. Plotki i obmowy nie ustawały: było to piekło, mroczna otchłań. Ale wewnętrznym normom i utartym zwyczajom katorgi nikt się nie śmiał sprzeciwić; wszyscy im ulegali. Bywały charaktery nader nietuzinkowe, ulegające z trudem, z wysiłkiem, a jednak i one ulegały. Przychodzili do nas tacy, co się już zanadto zapędzili, zanadto przebrali miarę na wolności, toteż w końcu już nawet swe zbrodnie popełniali, jak gdyby to robili nie oni, jak gdyby sami nie wiedzieli po co, jak gdyby w malignie, nieprzytomnie, często wskutek rozjątrzonej w najwyższym stopniu próżności. Lecz u nas osadzano ich natychmiast, mimo że niektórzy z nich przed przybyciem na katorgę byli postrachem całych osiedli i miast. Rozglądając się dookoła nowicjusz spostrzegł niebawem, że nie będzie miał tu pola do popisu, że nikogo już tu nie zdziwi, toteż związał niezwłocznie chorągiewkę i dostosowywał się do ogólnego tonu. Ten ogólny ton polegał zewnętrznie na jakimś osobliwym poczuciu godności, którą przesiąknięty był nieledwie każdy mieszkaniec katorgi. Jakby istotnie nazwa katorżnika, więźnia stanowiła jakąś rangę, i to honorową. Ani śladu wstydu i skruchy! Skądinąd była też jakaś zewnętrzna, że tak powiem, oficjalna pokora, jakieś spokojne rezonerstwo: „Jesteśmy ludzie straceni” — mówili. „Skoroś nie umiał żyć na wolności, stawaj teraz w szeregu, wyrębij zielony dukt.” „Kto nie słucha ojca, matka, słucha psiej kołatki.” „Nie chciałeś wyszywać złotem, teraz tłucz kamienie młotem.” Wszystko to mówiło się często, i jako naukę moralną, i jako zwykłe gadki czy przysłowia, ale

nigdy poważnie. Były to tylko słowa. Wątpię, czy choć jeden z nich uznawał w duchu bezprawie swych czynów. Niechby kto spoza grona katorżników spróbował zarzucać więźniowi jego zbrodnię, łażąc go (zresztą wypominanie przestępstwa zbrodniarzowi sprzeczne jest z rosyjskim usposobieniem) — klątwom nie będzie końca. A jak mistrzowsko klęli oni wszyscy! Klęli wyrafinowanie, artystycznie. Podnieśli umiejętność przeklinania do rzędu nauki; usiłowali dociąć nie tyle obraźliwym słowem, ile obraźliwym sensem, duchem, ideą — a to jest bardziej wyrafinowane, jadowitsze. Ciągłe kłótnie jeszcze bardziej rozwijały wśród nich tę umiejętność. Wszyscy ci ludzie pracowali pod batem, a więc byli gnuśni, a więc deprawowali się; jeśli nawet przedtem nie byli zdeprawowani, deprawowali się na katordze. Zebrali się tu nie z własnej woli, byli obcy jedni drugim.

„Diabeł zużył troje łapci, zanim zebrał nas do kupy!” — mówili sami o sobie; toteż plotki, intrygi, babskie podszepty, zawiść, swary, złość były zawsze na pierwszym planie w tym mrocznym życiu. Żadna baba nie zdołałaby być taką babą, jak niektórzy z tych oczajduszów. Powtarzam, byli i wśród nich ludzie silni, charaktery, co przywykli iść całe życie przebojem i rozkazywać, hartowne, nieulekłe. Tych jakoś mimo woli poważano, oni zaś ze swej strony, choć często niezmiernie dbali o swoją sławę, na ogół starali się nie być dla innych ciężarem, nie wdawali się w czcze połajanki, zachowywali się z nadzwyczajną godnością, byli rozsądni i prawie zawsze posłuszni przełożonym — nie z zasady posłuszeństwa, nie z poczucia obowiązku, tylko ot, jakby na mocy jakiegoś kontraktu, rachuby na wzajemne korzyści. Ale też i z nimi postępowano ostrożnie. Pamiętam, że jednemu z takich więźniów, człowiekowi nieustraszonemu i stanowczemu, znanemu przełożonym ze swych bestialskich skłonności, za jakieś wykroczenie miano wymierzyć karę. Dzień był letni, pora nierobocza. Sztabsoficer, najbliższy i bezpośredni naczelnik więzienia, przyjechał osobiście do kordegardy, mieszczącej się tuż koło naszych wrót, by asystować przy karze. Major ten był dla więźniów jakąś istotą fatalną, doprowadził ich do tego, że truchleli przed nim. Był niezwykle srogi, „ciskał się na ludzi”, jak mówili katorżnicy. Najbardziej ich przerażał jego przenikliwy, rysi wzrok, przed którym nie można było nic zataić. Potrafił widzieć nie patrząc. Gdy wchodził do więzienia, wiedział już, co się dzieje na drugim jego końcu. Więźniowie nazywali go ośmiookim. System jego był opaczny. Swymi wściekłymi, złośliwymi postępkami rozjątrzał tylko i tak już rozdrażnionych ludzi i gdyby nie było nad nim komendanta, człowieka szlachetnego i rozważnego, miarkującego niekiedy dzikość jego wybryków, napytałby wielkich nieszczęść swoimi rządami. Nie rozumiem, jak mu się udało skończyć pomyślnie; otrzymał dymisję żyw i zdrów, chociaż, co prawda, oddano go pod sąd.

Więzień zbladł, gdy go zawołano. Zwykle milcząc i z determinacją kładł się pod różgi, milcząc znosił karę, a potem wstawał jakby nigdy nic, z zimną krwią i filozoficznie traktując niefortunną przygodę. Zresztą postępowano z nim zawsze oględnie. Tym razem uważał jednak, że ma słuszność. Zbladł i niezauważony przez konwojentów zdążył wsunąć do rękawa ostry, angielski nóż szewski. Noże i wszelkie ostre narzędzia były jak najkategoryczniej zakazane.

Rewizje były częste, nagle i skrupulatne, kary okrutne, lecz ponieważ trudno znaleźć u złodzieja rzecz, którą ten postanowił szczególnie starannie ukryć, ponieważ noże i narzędzia były zawsze nieodzownie potrzebne, więc mimo rewizji nie znikwały. A jeśli je nawet odebrano, to wnet zjawiały się nowe. Wszyscy katorżnicy podbiegli do parkanu i z zamierającym sercem patrzyli przez szpary. Wiedzieli, że tym razem Pietrow nie zechce się położyć pod różgi i że na majora przyszła kreska. Ale w najbardziej decydującej chwili nasz major wsiadł do wolantu i odjechał, poruczając wykonanie egzekucji innemu oficerowi. „Sam Bóg go uratował!” — mówili później więźniowie. Co się zaś tyczy Pietrowa, to najspokojniej w świecie zniósł karę. Z odjazdem majora gniew jego minął. Więzień jest posłuszny i potulny do pewnej granicy, której wszakże nie należy przekraczać. Nawiasowa uwaga: nic ciekawszego niż te dziwne wybuchy zniecierpliwienia i krnąbrności. Często człowiek cierpi kilka lat pokornie, znosi okrutne kary, aż raptem wyprowadzi go z równowagi jakaś drobnostka, jakieś głupstwo, nic prawie. Ten i ów gotów nawet nazwać go wariatem; czasem też tak robią.

Wspomniałem już, że w ciągu kilku lat nie widziałem u tych ludzi ani najlżejszego śladu skruchy, ani cienia gorzkiej zadumy nad popełnionym przestępstwem i że przeważnie uważają się w duchu za całkowicie usprawiedliwionych. Tak jest. Zapewne próżność, złe przykłady, brawura, fałszywy wstyd — znacznie się do tego przyczyniają. Z drugiej strony, któż może twierdzić, że zbadał głąb serca tych straceńców i wyczytał to, co jest ukryte przed całym światem? Ale przecież można było, przez tyle lat, bodaj cokolwiek dostrzec, uchwycić, zauważyć w tych sercach, choćby jakiś jeden rys, który by świadczył o wewnętrznej rozterce, o cierpieniu. Tego zaś nie było, stanowczo nie było. Tak jest, zdaje mi się, że zbrodni nie można zrozumieć z danych, gotowych punktów widzenia, że jej filozofia jest nieco trudniejsza, niż ludzie sądzą. Naturalnie, więzienia i system robót przymusowych nie poprawiają zbrodniarza, one go tylko karzą i zabezpieczają społeczeństwo od dalszych zamachów złoczyńcy na jego spokój. W zbrodniarzu więzienie i najcięższa katorga roznieca tylko nienawiść, pożądanie zabronionych rozkoszy i straszliwą lekkomyślność. Ale jestem mocno przeświadczony, że również i sławetny system celkowy osiąga jedynie fałszywy, zwodniczy, pozorny skutek. Ten system wysysa z człowieka soki żywotne, wyjaławia mu duszę, osłabia, zastrasza, a potem podaje tę wyschniętą moralnie mumię, tego półwariata za wzór poprawy i skruchy. Oczywiście, przestępca, który się targnął na społeczeństwo, nienawidzi go i co gorsza, jest zdania, że ma rację, a winę ponosi społeczeństwo. W dodatku wycierpiał już karę, toteż niemal zawsze uważa, że jest bez mała oczyszczony, skwitowany. Wreszcie istnieją i takie punkty widzenia, w których wypadaloby nieledwie uniewinnić zbrodniarza. Ale, mimo rozmaitość punktów widzenia, każdy przyzna, że są zbrodnie, które zawsze i wszędzie, wedle wszystkich możliwych kodeksów, od początku świata uchodzą za zbrodnie bezsporne i będą za takie uchodziły, dopóki człowiek pozostanie człowiekiem.

W ostrogu słyszałem historie o najprzeraźliwszych, najbardziej nienaturalnych czynach, o

najpotworniejszych morderstwach, opowiedziane z najbardziej nieposkromionym, najdziecinniej wesołym śmiechem. Zwłaszcza utkwił mi w pamięci pewien ojcobójca. Pochodził ze szlachty, pracował w urzędzie, a w stosunku do swego sześćdziesięcioletniego ojca był czymś w rodzaju syna marnotrawnego. Prowadził się rozpaczliwie, narobił długów. Ojciec strofował go, przemawiał mu do rozumu, a że ojciec miał dom, miał futór, prawdopodobnie też pieniądze — syn go zabił chcąc otrzymać spadek. Zbrodnię wykryto dopiero po miesiącu. Sam zabójca zgłosił na policji, że ojciec zniknął gdzieś bez wieści. Cały ten miesiąc spędził na najwyuzdańszej rozpuście. Wreszcie pod jego nieobecność policja znalazła ciało. Przez całą szerokość podwórka biegł przykryty deskami rowek do odpływu nieczystości. Ciało leżało w tym rowku. Było ubrane, siwa głowa odcięta, przystawiona do tułowia, a pod głową morderca położył poduszkę. Do winy się nie przyznał; pozbawiono go szlachectwa, stopnia służbowego i zesłano na katorgę na dwadzieścia lat.

Cały czas, przez który z nim obcowałem, był w wyśmienitym, arcywesołym nastroju. Był to płocho, lekkomyślny, w najwyższym stopniu nierozsądny człowiek, choć bynajmniej nie głupiec. Nigdy nie dostrzegłem w nim jakiegoś szczególnego okrucieństwa. Aresztanci gardzili nim nie za zbrodnię, o której nie było nigdy ani wzmianki, lecz za trzpiotowatość, za to, że się nie umiał zachować. W rozmowach wspominał czasem ojca. Gawędząc kiedyś ze mną o tężyznie cielesnej, dziedzicznej w ich rodzinie, dodał: „Ot, na przykład mój rodzic aż do końca nigdy się nie skarżył na żadną chorobę.” Taka bestialska nieczułość jest, oczywiście, niemożliwa. To fenomen; tkwi w tym jakiś defekt organiczny, jakieś cielesne i moralne kalectwo nie znane jeszcze nauce, a nie po prostu zbrodnicość. Oczywiście, w zbrodnię tę nie uwierzyłem. Jednak ludzie z jego miasta, którzy musieli znać wszystkie szczegóły jego dziejów, opowiedzieli mi całą tę sprawę. Fakty były tak oczywiste, że nie sposób było nie uwierzyć.

Więźniowie słyszeli, jak krzyczał w nocy przez sen: „Trzymaj go, trzymaj! Głowę, głowę mu rąb!...”

Prawie wszyscy więźniowie mówili w nocy i bredzili. Najczęściej we śnie przychodziły im na język przekleństwa, złodziejskie słowa, noże, topory. „Bili nas — mawiali — mamy przetrącone wątpia i dlatego krzyczymy po nocach.”

Przymusowa praca w twierdzy na katordze nie była zajęciem, lecz powinnością: więzień odrabiał swoją normę albo odbywał ustalone godziny pracy i szedł do więzienia. Pracę traktował z nienawiścią. Bez własnego, osobistego zatrudnienia, któremu by się oddawał całym umysłem, z całym wyrachowaniem, człowiek nie mógłby żyć w więzieniu. Bo i w jakież sposób wszyscy ci ludzie, rozbawieni, mający za sobą bujne życie i żądni życia, przemocą spędzeni tu w jedną gromadę, przemocą oderwani od społeczeństwa i normalnego istnienia, mogliby egzystować normalnie i prawidłowo, z własnej woli i ochoty? Już sama bezczynność rozwinęłaby w nich takie zbrodnicze rysy, o których przedtem nie mieli nawet pojęcia. Bez pracy i bez prawowitej, normalnej własności człowiek żyć nie może, bakieruje się, rozbestwia. I dlatego każdy w

więzieniu, wskutek wrodzonej potrzeby oraz instynktu samozachowawczego, miał jakieś zajęcie. Długi dzień letni w całości niemal wypełniała przymusowa praca; krótka noc ledwie starczyła na sen. W zimie natomiast, skoro tylko zapadnie zmrok, więzień wedle regulaminu powinien już być zamknięty w koszarach. Cóż więc robić w długie, nudne godziny zimowego wieczoru? Toteż prawie każde koszary, mimo zakazu, zamieniały się w olbrzymi warsztat. Właściwie praca, zatrudnienie nie były wzbronione, ale pod żadnym pozorem nie wolno było mieć przy sobie narzędzi, a bez nich niemożliwa była praca. Jednakże pracowano po cichutku, zwierzchność, jak się zdaje, w niektórych wypadkach nie zwracała na to zbytnej uwagi. Wielu więźniów przychodziło nic nie umiejąc, lecz uczyli się od innych i potem, wychodząc na wolność, byli dobrymi majstrami. Mieliśmy i szewców, i kamaszników, i krawców, i stolarzy, i ślusarzy, i snycerzy, i pozłotników. Był jeden Żyd, Izajasz Bumsztejn, jubiler a zarazem lichwiarz. Wszyscy pracowali i zarabiali jaki taki grosz. Obstalunki przychodziły z miasta. Pieniądze — to namacalna wolność, dla człowieka więc całkowicie pozbawionego wolności są one dziesięciokrotnie cenniejsze. Jeśli tylko pobrzękną mu w kieszeni, na poły jest już pocieszony, chociaż nie mógłby ich wydawać. Ale wydawać pieniądze można zawsze i wszędzie, tym bardziej że owoc zakazany jest w dwójnasób słodszy. A na katordze można było mieć nawet wódkę. Fajki były jak najsurowiej zabronione, jednak wszyscy je palili. Pieniądze i tytoń ratowały od skorbutu i innych chorób. Praca zaś ratowała od przestępstw; bez pracy więźniowie pożarliby się nawzajem niby pająki we flaszcze. Mimo to i praca, i pieniądze były zakazane. W nocy częstokroć dokonywano nagłych rewizji, zabierano wszystkie objęte zakazem przedmioty, a pieniądze, mimo że jak najstaranniej ukryte, wpadały czasem w ręce rewidujących. Po części z tego właśnie powodu nie ciulano ich, ale co rychlej przepijano; oto dlaczego zjawiała się w więzieniu wódka. Po każdej rewizji winowajca nie tylko tracił całe mienie, lecz ponosił zazwyczaj dotkliwą karę. Jednak po każdej rewizji uzupełniano natychmiast braki, niezwłocznie zjawiały się nowe rzeczy, i wszystko szło po dawnemu. Zwierzchność wiedziała o tym, a więźniowie nie szemrali na kary, choć życie takie było podobne do życia ludzi, co się osiedlili na Wezuwiuszu.

Kto nie miał fachu, ten zarabiał w inny sposób. Istniały sposoby dość oryginalne. Niektórzy na przykład zarabkowali wyłącznie handlem, a sprzedawano czasem takie rzeczy, że poza murami więzienia nikomu by na myśl nie przyszło nie tylko kupować i sprzedawać, lecz nawet uważać je za rzeczy. Ale katorżnicy byli nader ubodzy i niezmiernie łąsi na handel. Najpodlejszy łąch miał swoją cenę i mógł się na coś przydać. Wskutek zaś ubóstwa pieniądze miały tu zgoła inną wartość niż na wolności. Za żmudną i skomplikowaną pracę płacono się grosze. Ci i owi z powodzeniem uprawiali lichwę. Więzień, który się zadłużył lub zrujnował, niósł ostatecznie rzeczy do lichwiarza i dostawał od niego kilka miedziaków na straszliwy procent. Jeżeli nie wykupił tych rzeczy w terminie, sprzedawało się je bezzwłocznie i bezlitośnie; lichwa kwitła tak dalece, że przyjmowano pod zastaw nawet skarbowe rzeczy więzienne, jak: skarbową bieliznę, buty itd. — rzeczy nieodzowne każdemu więźniowi każdej chwili. Ale przy takich transakcjach sprawa mogła

też wziąć inny obrót, nie całkiem zresztą nieprzewidziany: ten, który zastawił rzecz i otrzymał pieniądze, natychmiast, bez długiego gadania szedł do starszego podoficera, bezpośredniego naczelnika więzienia, donosił o zastawieniu rzeczy więziennych, które też od razu zabierano lichwiarzowi, nawet nie meldując wyższym władzom. Ciekawe, że nigdy nie dochodziło przy tym do kłótni; lichwiarz w milczeniu i posępnie zwracał co trzeba, jak gdyby sam nawet z góry przewidywał, że tak będzie. Może musiał uznać w duchu, że na miejscu tego, który zastawił rzeczy, sam by tak zrobił. I dlatego, jeżeli później wymyślał czasem, to bez cienia złości, ot tak tylko, żeby sobie ulżyć.

W ogóle wszyscy okropnie kradli jedni drugim. Prawie każdy miał swój kuferek, z zamkiem, do przechowywania rzeczy skarbowych. Było to dozwolone; lecz kufereki nie stanowiły ratunku. Chyba łatwo sobie wyobrażacie, jacy tam byli wprawni złodzieje. Mnie pewien więzień, szczerze oddany mi człowiek (mówię to bez najmniejszego przekąsu), skradł Biblię, jedyną książkę, jaką wolno było mieć na katordze; tegoż dnia sam mi to wyznał, nie ze skruchy, ale z litości nade mną, ponieważ długo jej szukałem. Byli szynkarze handlujący trunkiem i szybko się wzbogacający. O tym handlu opowiem kiedyś szczegółowiej; jest wcale godny uwagi. Wielu siedziało za przemyt, nic więc dziwnego, że mimo wszelkich rewizji i konwojentów wódka przybywała do więzienia. Nawiasem mówiąc przemyt w swojej istocie jest jakimś osobliwym przestępstwem. Czy dacie na przykład wiarę, że dla niektórych przemytników zysk, pieniądze grają rolę drugorzędą, są na dalszym planie? A właśnie tak było niekiedy. Przemytnik pracuje z namiętności, z powołania. Jest poniekąd poetą. Ryzykuje wszystko, wystawia się na straszne niebezpieczeństwo, wymyśla przeróżne fortele, robi wynalazki, wymiguje się; czasem nawet działa mocą jakiegoś natchnienia. Jest to namiętność równie przemożna jak karcjarstwo. Znałem w ostrogu pewnego więźnia, olbrzyma z postawy, lecz tak łagodnego, cichego, potulnego, że człowiek zachodził w głowę, za co też znalazł się on w ostrogu. Był tak dalece pozbawiony złośliwości i tak zgodny, że przez cały czas ani razu z nikim się nie posprzeczał. Ale pochodził znanad granicy zachodniej, przyszedł do nas za przemyt i, oczywiście, nie mógł wytrzymać i jął przynosić wódkę. Ile razy karano go za to i jak lękał się różeg! A przy tym kontrabanda wódki dawała mu mizerne dochody. Wódka wzbogacała jedynie przedsiębiorcę. Ten zaś dziwak miłował sztukę dla sztuki. Płaczliwy był jak baba i po karze nieraz przysięgał na wszystkie świętości, że zaniecha przemytu. Czasem mężnie przemagał się cały miesiąc, jednak w końcu nie wytrzymał... Dzięki takim jak on nie brakło wódki w więzieniu...

Wreszcie był jeszcze jeden dochód, wprawdzie nie wzbogacający więźniów, lecz stały i dobroczynny. Mianowicie jałmużna. Wyższe sfery naszego społeczeństwa nie mają pojęcia, jak się o „nieszczęsnych” troszczą kupcy, mieszcianie i cały nasz lud. Datki napływają prawie bez przerwy i prawie zawsze w postaci chleba, bułek i kołaczy, daleko rzadziej w pieniądzach. Bez tej jałmużny w wielu miejscach zbyt ciężko byłoby aresztantom, zwłaszcza podsądnym, których się traktuje znacznie ostrzej niż więźniów po wyroku. Jałmużnę zbożnie dzieli się po równu. Jeżeli

nie wystarcza dla wszystkich, kołacze tnie się po równu, czasem aż na sześć części, i każdy aresztant bezwzględnie dostaje swój kęs. Pamiętam, jak po raz pierwszy otrzymałem datek pieniężny. Działo się to wkrótce po moim przybyciu do katorgi. Wraciałem z porannej roboty sam, z konwojentem. Naprzeciw mnie szły matka i córka, dziewczynka lat dziesięciu, śliczna jak aniołeczek. Jużem je raz widział. Matka była wdową po żołnierzu. Jej mąż, młody żołnierz, był pod sądem i umarł w lecznicy, w izbie aresztanckiej, podczas kiedy i ja leżałem tam chory. Żona i córka przychodziły go pożegnać; obie rozpaczliwie płakały. Na mój widok dziewczynka poczerwieniała, szepnęła coś matce; ta zatrzymała się natychmiast, dobytek z węzełka ćwierć kopiejki i dała dziewczynce. Mała pobiegła za mną... „Naści «nieszczęsny», weź grosik w imię Chrystusa!” — wołała podbiegając do mnie i wtykając mi w garść pieniążek. Wziąłem jej grosik, i dziewczynka wróciła do matki zupełnie zadowolona. Grosik ten długo przechowywałem.

II. Pierwsze wrażenia

Pierwszy miesiąc i w ogóle początek mojego życia na katordze żywo stają mi teraz w wyobraźni. Następne lata więzienne przesuwają się w moich wspomnieniach znacznie bliżej. Niektóre jak gdyby całkiem się stuszczały, zlały ze sobą, zostawiając jedno ogólne wrażenie: ciężkie, monotonne, przygnębiające.

Wszystko natomiast, com przeżył w pierwszych dniach katorgi, ukazuje mi się obecnie, jakby to było wczoraj. Tak zresztą być powinno.

Pamiętam wyraźnie, że od pierwszego kroku w tym życiu uderzyło mnie to, że jak gdyby nie znalazł w nim nic szczególnie zaskakującego, niezwykłego lub, ściślej mówiąc, niespodzianego. Wszystko to jak gdyby już i wprzód migotało mi w wyobraźni, kiedy idąc na Syberię usiłowałem przewidzieć swoją dolę. Ale niebawem zatrząsienie najdziwniejszych niespodzianek, najpotworniejszych faktów jęło mię zatrzymywać bez mała co krok. I dopiero później, dopiero po dosyć już długim pobycie w więzieniu, zrozumiałem w pełni całą wyjątkowość, całą nieoczekiwaną treść takiej egzystencji i coraz bardziej się jej dziwiłem. Wyznam, że to zdziwienie towarzyszyło mi przez cały długi czas mojej katorgi; nigdy nie mogłem się z nią pogodzić.

Pierwsze moje wrażenie było na ogół jak najohydniejsze; lecz mimo to — rzecz dziwna — wydało mi się, że na katordze daleko łatwiej żyć, niż to sobie wyobrażałem po drodze. Więźniowie, choć co prawda w kajdanach, chodzili swobodnie, wymyślali sobie, śpiewali, pracowali dla siebie, ćmili fajki, nawet pili wódkę (bardzo zresztą nieliczni), a w nocy niektórzy rżnęli w karty. Sama robota na przykład wydawała mi się nie taką znów ciężką, katorżniczą, i dopiero po dosyć długim czasie zdałem sobie sprawę, iż uciążliwość i katorżniczość tej roboty polega nie tyle na jej trudności i bezustanności, ile na tym, że jest ona przymusowa, nakazana, pod batem. Chłop w polu pracuje bodaj nierównie więcej, czasem nawet po nocach, szczególnie latem, ale pracuje dla siebie, pracuje w rozsądnym celu i jest mu bez porównania lżej niż katorżnikowi na przymusowych i całkiem dla niego bezużytecznych robotach. Przyszło mi raz na myśl, że gdyby kto chciał kompletnie zmiążdżyć, zniweczyć człowieka, ukarać go karą najokropniejszą, taką, że najgorszy morderca wzdrygnąłby się przed tą karą i z góry by się jej przeraził, to wystarczyłoby tylko nadać tej robocie cechę zupełnej, całkowitej bezużyteczności i bezsensowności. Jeżeli obecna robota katorżnicza jest dla więźnia nieciekawa i nudna, to sama w sobie, jako praca, jest sensowna: więzień robi cegły, kopie ziemię, tynkuje, buduje; praca ta ma sens i cel. Czasem katorżnik nawet się do niej zapala, chce ją wykonać zręczniejsz, sprawniej, lepiej. Ale gdyby mu kazać, na przykład, przelewać wodę z jednego kubła do drugiego, a z drugiego do pierwszego, tłuc piasek, przenosić kupę ziemi z jednego miejsca na drugie i z

powrotem — sędzę, że więzień by się powiesił po kilku dniach albo by popełnił tysiące zbrodni, żeby się bodaj przez śmierć wyzwolić z takiego poniżenia, wstydu i męki. Oczywiście, kara taka zmieniałaby się w torturę, w zemstę i nie miałaby sensu, nie osiągnęłaby bowiem żadnego rozumnego celu. Ponieważ jednak część takiej tortury, bezsensowności, poniżenia i wstydu tkwi nieuchronnie w każdej pracy przymusowej, więc roboty katorżnicze są bez porównania cięższe niż wszelkie wolne, dlatego właśnie, że są przymusowe.

Zresztą trafiłem na katorgę w zimie, w grudniu, i nie miałem jeszcze pojęcia o pracy letniej, pięciokrotnie żmudniejszej. W zimie zaś w naszej twierdzy na ogół mało było robót skarbowych. Więźniowie chodzili nad Irtysz łamać stare skarbowe barki, pracowali po warsztatach, odgarniali sprzed gmachów skarbowych śnieg nawiany wichurą, wypalali i tłukli alabaster i tak dalej, i tak dalej. Dzień zimowy był krótki; robota kończyła się prędko i wszyscy wcześniej wracali do ostrogu, gdzie nie mieli prawie co robić, jeśli się nie nadarzyła jakaś własna praca. Ale własną pracą trudniła się najwyżej trzecia część więźniów, inni zaś zbijali bąki, bez celu snuli się po wszystkich koszarach, kłęli, knuli intrygi, wszczynali bójki, upijali się, jeśli mieli choć jaki taki grosz przy duszy, nocami przegrywali w karty ostatnią koszulę, a to wszystko z nudów, z beczynności, z braku zajęcia. Później zrozumiałem, że oprócz pozbawienia wolności, oprócz przymusowej pracy jest w życiu katorżniczym jeszcze jedna męczarnia, kto wie, czy nie gorsza niż wszystkie inne. Jest nią przymusowe współżycie. Zapewne, współżycie istnieje też w innych miejscach, ale wszak na katorgę przychodzą tacy ludzie, że nie każdy miałby ochotę z nimi współżyć, i jestem pewien, iż każdy katorżnik odczuwał tę męczarnię, chociaż, rzecz prosta, najczęściej nieświadomie.

Również i wikt wydał mi się wcale dostateczny. Więźniowie twierdzili, że rotty aresztanckie w Rosji europejskiej nie mają takiego. O tym nie podejmuję się sądzić, nie byłem tam. Zresztą wielu mogło mieć własną żywność. Wołowina kosztowała u nas grosz za funt, w lecie trzy kopiejki. Ale korzystali z tego ci tylko, co mieli stały dochód; przeważnie zaś katorżnicy jedli strawę więzienną. Zresztą więźniowie, chwając swój wikt, mówili wyłącznie o chlebie i dziękowali Bogu za to właśnie, że chleb jest u nas ogólny, a nie wydawany na wagę. Tego ostatniego bali się wielce: w razie wydawania na wagę, trzecia część ludzi byłaby głodna; przy wydawaniu zaś ogólnym wystarczało dla wszystkich. Nasz chleb był wyjątkowo smaczny i słynął z tego w całym mieście. Przypisywano to dobremu urządzeniu pieców w więzieniu. Natomiast kapuśniak był bardzo nieświetny. Gotowany we wspólnym kotle, z lekka zaprawiany kaszą, był, zwłaszcza w dni powszednie, chudy i lurowaty. Przeraziła mnie w nim ogromna ilość karaluchów. Więźniowie zaś nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Przez pierwsze trzy dni nie chodziłem na robotę; stosowano tę ulgę do każdego nowo przybyłego: dawano mu odpocząć z drogi. Ale już na drugi dzień musiałem wyjść, żeby zmienić kajdany. Moje kajdany były nieprzepisowe, ogniwkowe, „drobnobręczne”, jak je nazywali więźniowie. Nosilo się je na odzieży. Przepisowe zaś kajdany więzienne, przystosowane do pracy,

składały się nie z ogniw, lecz z czterech żelaznych prętów, grubych prawie na palec, połączonych ze sobą trzema ogniwami. Wkładało się je pod spodnie. Do środkowego ogniwa uwiązany był rzemień, z kolei przymocowany do skórzanego pasa, który się wkładało bezpośrednio na koszulę.

Pamiętam pierwszy poranek w koszarach. W kordegardzie przy więziennych wrotach bęben zagrał pobudkę i po jakich dziesięciu minutach dyżurny podoficer jął otwierać koszary. Więźniowie się budzili. W mdłym świetle łójówki (funt takich łójówek składał się z sześciu sztuk) wstawali z prycz drząc z zimna. Większa część była milcząca i posepna z niewyspania. Ziewali, przeciągali się i marszczyli piętnowane czoła. Jedni czynili znak krzyża, drudzy wszczynali już sprzeczki. Zaduch był straszny. Świeże powietrze zimowe wtargnęło przez drzwi, skoro je tylko otwarto, i kłębamii pary rozeszło się po całej izbie. Przy wiadrach z wodą stłoczyli się więźniowie; kolejno brali dzban, nabierali wody w usta i z ust myli sobie ręce i twarz. Wodę przygotowywał z wieczora parasznik. W każdym koszarach, wedle regulaminu, był jeden wybierany przez ogół więźniów, mający usługiwać w koszarach. Zwał się parasznikiem i nie chodził do pracy. Obowiązany był dbać o czystość w koszarach, myć i szorować prycze i podłogi, przynosić i wynosić kubek nocny oraz dostarczać świeżą wodę w dwóch wiadrach — z rana do mycia się, a w dzień do picia. O dzban, który był jeden tylko, niezwłocznie wybuchały kłótnie.

— Gdzie leziesz, fujaro! — mrucał ponury, wysoki więzień, chuderlawy i sniady, z jakimiś dziwnymi wypukłościami na golonej czaszce, odpychając drugiego, grubego i przysadzistego, o wesołej rumianej twarzy. — Postój chwilę cierpliwie!

— Czego wrzeszczysz! Za postój płaci się u nas pieniądze; wynocha! Patrzcie no tę gidę. Nie ma w nim, bracia, ani krzty frymuśności.

„Frymuśność” wywarła pewien efekt: wielu się roześmiało. O to tylko chodziło wesołemu tłuściochowi, który snadź był w koszarach czymś w rodzaju dobrowolnego trefnisia. Wysoki więzień popatrzył nań z najgłębszą pogardą.

— Nierogaczna! — rzekł jakby do siebie. — Wypasł się na więziennym czyściaku¹. Rad, że po poście sypnie dwanaścioro prosiąt.

Tłuścioch rozgniewał się w końcu.

— A tyś co za ptaszek? — wykrzyknął czerwieniejąc nagle.

— Właśnie żem ptak!

— Jaki?

— Taki.

— Jaki taki?

— Przecież mówię, że taki.

— Ale jaki?

¹ Czyściakiem nazywano chleb z czystej mąki, bez domieszek. (Przyp. aut.)

Wpili się w siebie oczyma. Grubas czekał odpowiedzi i zacisnął pięści, jak gdyby chciał wszcząć bójkę. Myślałem, że istotnie będzie bójka. Wszystko to było dla mnie nowe i patrzyłem z ciekawością. Ale się później dowiedział, że sceny tego rodzaju są najzupełniej niewinne i że się je odgrywa, jak w komedii, dla powszechnej uciechy; do bójki zaś nigdy prawie nie dochodziło. Wszystko to było dosyć charakterystyczne i malowało obyczaje katorgi.

Wysoki więzień stał spokojnie i majestatycznie. Czuł, że patrzą na niego i czekają, czy się zblamuje odpowiedzią, czy nie; że przeto musi dotrzymać placu, dowieść, iż jest ptakiem rzeczywiście, i pokazać, jakim mianowicie.

Z niewymowną pogardą spojrział zezem na przeciwnika, usiłując dla tym większego despektu popatrzeć nań przez ramię, z góry w dół, jakby oglądał nędznego robaczka, po czym rzekł wolno i dobitnie:

— Kagan!...

Czyli że jest ptakiem kaganem. Głośny wybuch śmiechu powitał tę pomysłowość więźnia.

— Łajdak jesteś, a nie kagan! — ryknął grubas czując, że poniósł na całej linii porażkę, i wpadając we wściekłość.

Z chwilą wszakże gdy się kłótnia stała poważna, osadzono zuchów.

— Czego wrzeszczycie! — huknęły na nich całe koszary.

— Co macie drzeć gardło, lepiej się potłuczcie! — zawołał ktoś z kąta.

— A jakże, wnet się potłuką! — padło w odpowiedzi. — Ludzie z nas bitni, honorni; w siedmiu jednego się nie boim...

— Obaj dobrzy!... Jeden trafił do mamra za funt chleba, a drugi, ladaco, poszedł w łyka, bo zeżarł babie dzban kwaśnego mlika.

— No, no, dajcie spokój! — krzyknął inwalida, który mieszkał w koszarach dla pilnowania porządku i dlatego sypiał w kącie na osobnym wyrku.

— Wody, chłopaki! Niewalida Pietrowicz się zbudził! Niewalido Pietrowiczu, bracie rodzony, szacunek!

— Brat... Jakim ja tobie brat? Rublaśmy razem nie przepili, a brat! — sarknął inwalida wkładając szynel.

Szykowali się do kontroli, zaczęło świtać; w kuchni było aż ciasno od ludzi. Więźniowie w kożuszkach i dwubarwnych czapkach tłoczyli się przy chlebie, który krajał dla nich jeden z kucharzy. Kucharzy wybierał ogół po dwóch do każdej kuchni. U nich też przechowywano nóż kuchenny do krajania chleba i mięsa, jeden na całą kuchnię.

Po wszystkich kątach i przy stołach stanęli więźniowie w czapkach, w kożuszkach i przepasani, gotowi zaraz wyjść do pracy. Niektórzy mieli przed sobą drewniane miseczki z kwasem. Drobili do kwasu chleb i siorbali. Zgiełk i hałas był nieznośny — niektórzy wszakże rozmawiali po kątach rozważnie i cicho.

— Jak się masz, stary Antonycz, witaj! — ozwał się młody więzień siadając koło

naburmuszonego i bezzębnego więźnia.

— Ha, witaj, jeżeli nie kpisz — rzekł tamten nie podnosząc oczu i starając się rozżuć chleb bezzębnymi dziąsłami.

— A ja myślałem, Antonycz, żeś wyzionął ducha, dalibóg.

— Nie, najpierw ty, a ja po tobie...

Usiadłem przy nich. Po mojej prawej ręce gwarzyli dwaj stateczni więźniowie, widocznie usiłując zaimponować sobie wzajemnie.

— Nie bój się, mnie nie okradną — prawil jeden — ja, bracie, sam się lękam, żeby czego nie skraść.

— No, i mnie także lepiej nie dotykać gołą ręką, bo można się sparzyć.

— Ja się nie boję. Taki sam ze mnie zbój jak i ty... Co zrobić, bracie, kiedy grosz sam ci włazi w ręce? Gdzie się z tym podziać? Spróbowałem iść do Fiedki-psubrata: miał dom na przedmieściu, kupił go od parszywego Żyda Salomonka, tego, co to się później obwiesił.

— Wiem. Dwa lata temu karczmę u nas trzymał, przezywaliśmy go Griszka-Ciemny Szynek. Wiem.

— A właśnie, że nie wiesz; to inny Ciemny Szynek.

— Inny, a jakże! Strasznieś mądry! Ależ ja ci przyprowadzę ile chcąc pośredników...

— Akurat! Skądęś się wyrwał? Nie wiesz chyba, kto jestem?

— Kto jesteś? Hm, bijalem cię, a nie chwale się tym!

— Tyś mnie bijał? Jeszcze się taki nie urodził, co by mnie bijał; a kto bijał, ten ziemię gryzie.

— Dżumo benderska!

— Niech cię wrzody sybirskie!

— Niech cię szabla turecka!...

I dalejże wymyślać sobie.

— Hola, hola! Ciszej tam! — zawołano wokół. — Nie umieli żyć na wolności; radzi są, że się tu dorwali do czyściaka...

Zaraz ich poskromią. Wymyślać sobie, „mleć ozorem” — wolno. To poniekąd rozrywka dla wszystkich. Lecz do bójki nie zawsze dopuszczają, i tylko wyjątkowo wrogowie mogą się pobić. O bójce donoszą majorowi; zaczną się badania, przyjedzie sam major — słowem, kiepsko będzie wszystkim, i dlatego nie dopuszcza się do bójki. Zresztą sami wrogowie wymyślają sobie raczej dla rozrywki, dla wprawek stylistycznych. Niekiedy sami się oszukują, zaczynają z okropnym rozjuszeniem, zaciekłością... zdawałoby się, że lada moment runą na siebie; bynajmniej: dojdą do pewnego punktu i natychmiast się rozchodzą. Z początku wszystko to ogromnie mię dziwiło. Umyślnie dałem tu przykład najzwyczajszych rozmów katorżniczych. W głowie mi się zrazu nie mieściło, że można wymyślać sobie dla przyjemności, znajdować w tym zabawę, miłe ćwiczenie, satysfakcję. Zresztą nie należy zapominać i o próżności. Dialektyk-wymyślnicz zażywał szacunku. Omal że go nie oklaskiwano jak aktora.

Od poprzedniego jeszcze wieczoru zauważyłem, że patrzą na mnie krzywo.

Przłapałem już kilka posepnych spojrzeń. Inni więźniowie, przeciwnie, nadskakiwali mi podejrzewając, że przyniosłem z sobą pieniądze. Od razu jęli mi się zasługiwać: uczyli mnie, jak nosić nowe kajdany; zdobyli dla mnie — za pieniądze, rzecz prosta — kuferek z zamkiem, abym w nim chował wydane mi już rzeczy więzienne oraz kilka sztuk własnej bielizny, które ze sobą przyniosłem. Już nazajutrz skradli mi go i przepili. Jeden z nich stał się później najbardziej oddanym mi człowiekiem, choć skądinąd nie przestawał okradać mnie przy każdej sposobności. Robił to bez żadnego skrupowania, bez mała nieświadomie, jak gdyby z obowiązku, i niepodobna się było na niego gniewać.

Między innymi pouczyli mnie, że powinienem mieć własną herbatę, że nieźle zrobię, jeśli się też postaram o imbryk, na razie zaś pozwolili mi korzystać z cudzego i polecili mi kucharza mówiąc, że za jakie trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi gotował, co zechcę, jeżeli życzę sobie jadać osobno i kupować własny prowiant... Naturalnie pożyczili ode mnie pieniądze i każdy z nich w pierwszym już dniu przychodził ze trzy razy po pożyczkę.

Na katordze w ogóle patrzy się posepnie i nieprzychylnie na byłych szlachciców.

Mimo że ci są już pozbawieni wszystkich swych uprawnień i całkowicie zrównani z resztą więźniów — więźniowie nigdy ich nie uznają za towarzyszy. Nie wynika to nawet ze świadomego uprzedzenia, jest zupełnie szczerze bezwiedne. Szczerze uznawali nas za szlachtę, choć sami lubili nam dokuczać naszym upadkiem.

— Nie, teraz basta, teraz kwita! Dawniej „jedzie jaśnie pan na koniku sam, sam”, a teraz „kazał pan, zrobił sam”... — i inne uprzejmości w tym rodzaju.

Z upodobaniem patrzyli na nasze cierpienia, których staraliśmy się im nie okazywać. Szczególnie obrywaliśmy z początku na robotach za to, żeśmy nie mieli tyle sił, co oni, i żeśmy nie mogli dostatecznie im pomagać. Nie ma rzeczy trudniejszej niż zaskarbić sobie ufność ludu (zwłaszcza takiego ludu) i zasłużyć na jego miłość.

Na katordze było kilku szlachty. Przede wszystkim jakich pięciu Polaków. O nich opowiem kiedyś osobno. Katorżnicy strasznie nie lubili Polaków, więcej nawet niż zesłańców spośród szlachty rosyjskiej. Polacy (mówię wyłącznie o przestępcach politycznych) traktowali ich z wyrefinowaną, obraźliwą grzecznością, byli nader powściągliwi i w żaden sposób nie mogli ukryć wstrętu, jaki żywili dla więźniów, ci zaś rozumieli to doskonale i płacili pięknym za nadobne.

Musiałem spędzić tu prawie dwa lata, aby pozyskać życzliwość niektórych katorżników. Lecz większość z nich polubiła mnie i uznała za „dobrego” człowieka.

Rosyjskiej szlachty poza mną było czterech. Jeden — marna i nikczemna kreatura, okropnie spodlony, szpieg i donosiciel z zawodu. Słyszałem o nim jeszcze przed przybyciem na katorgę i od pierwszych zaraz dni zerwałem z nim wszelkie stosunki. Drugi — to ten ojcobójca, o którym już wspominałem w tych zapiskach. Trzecim był Akim Akimycz; rzadko widziałem takich oryginałów jak ten Akim Akimycz. Dobitnie wraził mi się w pamięć. Był to człowiek słusznego

wzrostu, chuderlawy, wątego umysłu, wierutny nieuk, zajadły rezoner, systematyczny jak Niemiec. Katorżnicy zeń drwili, lecz niektórzy nawet się bali z nim zaczynać, był bowiem czepialski, wymagający i drażliwy. Od pierwszego kroku jął ich traktować za pan brat, wymyślał im, nawet bił się. Był fenomenalnie uczciwy. Spostrzegłszy jakąś niesprawiedliwość wnet się wtrącał, choćby go rzecz nie dotyczyła. Naiwny był nie do wiary: w sprzeczkach, na przykład, wyrzucał niekiedy więźniom, że są złodziejami, i poważnie odradzał im kradzież. Służył na Kaukazie w stopniu chorążego. Zbliżyliśmy się już pierwszego dnia i od razu mi opowiedział swoją sprawę. Służbę rozpoczął na Kaukazie jako junkier w pułku piechoty, długo służył, wreszcie awansował na oficera i został wysłany do jakiejś fortecy jako komendant. Jeden z sąsiednich, pojednanych z Rosją książątek podpalił jego twierdzę i dokonał na nią nocnego napadu, który się nie powiódł. Akim Akimycz użył fortelu i nie puścił farby, że wie, kto jest winowajcą. Zwalono winę na niepojednanych, a w miesiąc później Akim Akimycz po przyjacielsku zaprosił do siebie owego księcia w gościnę. Ten przyjechał, nic nie podejrzewając. Akim Akimycz, uszykowawszy swój oddział, publicznie zdemaskował i skarcił księcia; wykazał mu, że brzydko jest podpalać twierdze. Następnie wypalił mu wielce szczegółowe pouczenie, jak się pojednany książę winien zachowywać, a w końcu rozstrzelał go, o czym też nie omieszkał jak najdetaliczniej powiadomić zwierzchników. Sądzone go za to wszystko, skazano na karę śmierci, ale potem złagodniono wyrok na dwanaście lat katorgi syberyjskiej drugiej kategorii, w twierdzach. W pełni zdawał sobie sprawę, że postąpił niesłusznie, mówił mi, że wiedział o tym i przed rozstrzelaniem, wiedział, że pojednanego księcia należało sądzić zgodnie z prawami; ale chociaż to wiedział, żadną miarą nie mógł na dobre zrozumieć swej winy.

— Bójże się pan Boga! Przecież podpalił naszą twierdzę! Może miałem mu za to podziękować, co? — mówił do mnie odpowiadając na moje protesty.

Ale mimo że więźniowie dworowali z głupkowatości Akima Akimycza, szanowali go za dokładność i rozliczne talenty.

Nie było rzemiosła, na którym by się Akim Akimycz nie znał. Był stolarzem, szewcem, kamasznikiem, malarzem, poźlotnikiem, ślusarzem, a wszystkiego tego nauczył się już w katordze. Był we wszystkim samoukiem: zerknie raz i robi. Wyrabiał również różne skrzynie, koszyczki, latarki, dziecięce zabawki i sprzedawał je w mieście. Dzięki temu miewał pieniążki, które natychmiast wydawał na nową bieliznę, na miększą poduszkę, sprokurował sobie składany materacyk. Mieszkał w tej samej izbie co ja i oddał mi liczne usługi w pierwszych dniach mojej katorgi.

Wychodząc do pracy więźniowie ustawiali się przed kordegardą w dwa szeregi; przed nimi i za nimi stawali konwojujący żołnierze z nabitymi karabinami. Przychodzili: oficer inżynieryjny, kierownik robót, oraz kilku szeregowców z inżynieryjnego oddziału, dozorców robót. Kierownik rachował więźniów i wysyłał ich partiami do odpowiednich robót.

Wraz z innymi udałem się do warsztatów inżynieryjnych. Był to niski murowany budynek

stojący w rozległym podwórzu zawalonym różnymi materiałami. Była tu kuźnia, ślusarnia, stolarnia, malarnia itd. Akim Akimycz chodził tutaj i pracował w malarni, warzył pokost, sporządzał farby i bejcował pod orzech stoły i meble.

W oczekiwaniu na zmianę kajdan rozmówiłem się z Akimem Akimyczem o swych pierwszych wrażeniach.

— No tak, szlachciców nie lubią — rzekł — szczególnie politycznych, chętnie by ich pożarli, nic dziwnego. Po pierwsze jesteście ludźmi innymi, niepodobnymi do nich, a po wtóre wszyscy oni byli przedtem poddanymi albo zwykłymi żołnierzami. Sam pan powiedz, czy mogą was polubić? Tutaj, proszę pana, żyć trudno. A w rotach aresztanckich jeszcze trudniej. Ci, co przyszedli tutaj stamtąd, nie mogą się dosyć nachwalić naszej katorgi, jakby z piekła trafili do raję. Nie w robocie sęk. Ponoć tam, w pierwszej kategorii, zwierzchność jest nie całkiem wojskowa, w każdym razie postępuje inaczej niż u nas. Tam ponoć zesłaniec może żyć we własnym domku. Ja tam nie byłem, ale tak mówią. Nie goli się ich, nie chodzą w mundurach, choć to zresztą i lepiej, że u nas są umundurowani i ogoleni, zawszeć to i większy porządek, a dla oka miłszy widok. Tylko że im się to nie podoba. Spójrz pan zresztą, jaka to zbieranina! Jeden — z kantonistów, drugi — z Czerkiesów, trzeci — z raskolników, czwarty — prawosławny chłopek, zostawił w domu rodzinę i lube dziatki, piąty Żyd, szósty Cygan, siódmy nie wiedzieć co zacz, a wszyscy muszą żyć razem, za wszelką cenę godzić się jedni z drugimi, jeść z jednej miski, spać na jednych pryczach. No i gdzie tu swoboda: zjeść o kęsek więcej można tylko ukradkiem, każdy grosz trzeba chować w butach, wciąż tylko więzienie i więzienie, nic poza tym... Mimo woli strzelają do głowy głupie pomysły.

Lecz o tym już wiedziałem. Najbardziej miałem go ochotę wypytać o naszego majora. Akim Akimycz z niczego nie robił sekretu, i pamiętam, że wrażenie moje było nie całkiem przyjemne.

Sądzone mi było przeżyć jeszcze dwa lata pod jego zwierzchnictwem. Wszystko, co mi o nim opowiedział Akim Akimycz, okazało się zupełnie słuszne, z tą tylko różnicą, iż rzeczywistość zawsze wywiera silniejsze wrażenie niż prosta opowieść. Straszny to był człowiek, dlatego właśnie, że był nieograniczonym prawie zwierzchnikiem dwustu dusz. Sam przez się był jedynie nieustatkowanym i złym człowiekiem, nic ponadto. Na więźniów patrzył jako na swych naturalnych wrogów, i to stanowiło pierwszy i główny jego błąd. Istotnie, miał pewne uzdolnienia, lecz wszystko, nawet zalety, jakoś się w nim paczyło. Niepohamowany, zły, wpadał do więzienia czasem nawet w nocy, a jeśli zauważył, że więzień śpi na lewym boku lub na wznak, to go z rana karał, gdyż: „śpij na prawym boku, jak rozkazałem”. Na katordze nienawidzono go i lękano się jak morowego powietrza. Twarz miał pąsową, pełną złości. Wszyscy wiedzieli, że jest całkowicie pod pantoflem swego ordynansa, Fiedki. Najbardziej zaś kochał swego pudła Trezorka i omal nie oszalał ze zmartwienia, gdy Trezorek zachorował. Podobno szlochał nad nim jak nad rodzonym synem; przepędził jednego weterynarza i swoim zwyczajem omal się z nim nie pobił, słysząc zaś od Fiedki, że na katordze jest pewien więzień, weterynarz-samouk, który leczy

z nadzwyczajnym powodzeniem, sprowadził go natychmiast.

— Ratuj! Ozłocę cię, jeżeli ulecysz Trezorka! — zawołał do więźnia.

Był to włościanin, Sybirak, sprytny, mądry, rzeczywiście bardzo wprawny weterynarz, ale chłop do szpiku kości.

— Spozieram ci na Trezorka — opowiadał później więźniom, zresztą w długi czas po swej wizycie u majora, kiedy cała sprawa została już zapomniana — widzę: leży pies na kanapie, na białej poduszce; i miarkuję od razu, że to zapalenie, że trzeba by puścić krew, a pies wyzdrowieje jak amen w pacierzu! Ale myślę sobie: a co będzie, jak nie wyleczę, jak zdechnie? Nie, wasza wielmożność, powiadam, za późnoś mnie wezwał, gdyby to było wczora albo zawczora o tej samej porze, to bym psa uleczył, ale teraz nie mogę, nie ulecę...

I Trezorek zdechł.

Opowiedziano mi szczegółowo, jak chciano zabić naszego majora. Był w katordze pewien więzień. Przebywał u nas kilka już lat i odznaczał się łagodnym usposobieniem. Rzucano się też w oczy, że prawie nigdy z nikim nie rozmawiał. Uważano go za coś w rodzaju pomyleńca. Był piśmienny i przez cały ostatni rok czytał stale Biblię, czytał ją dniem i nocą. Kiedy wszyscy zasypiali, wstawał o północy, zapalał woskową świecę cerkiewną, włożył na piec, otwierał księgę i czytał do rana. Któregoś dnia poszedł i oświadczył podoficerowi, że nie chce iść do roboty. Zameldowano majorowi; ten się wściekł i niezwłocznie przyleciał sam. Więzień rzucił się na niego z przygotowaną zawczasu cegłą, ale chybił. Schwytano go, sądzono i ukarano. Odkonano to wszystko bardzo szybko. Po trzech dniach umarł w szpitalu. Umierając mówił, że nie miał żalu do nikogo, pragnął tylko ponieść cierpienie. Nie należał zresztą do żadnej sekty. Na katordze wspominano go z szacunkiem.

Wreszcie zakuto mnie w nowe kajdany. Tymczasem do pracowni przyszło, jedna po drugiej, kilka kołacznic. Niektóre z nich były to zupełnie małe dziewczynki. Zazwyczaj nosiły kołacze przez całe dzieciństwo; matki piekły, one zaś sprzedawały. Doszedłszy do lat, przychodziły w dalszym ciągu, ale już bez kołaczy; działo się tak prawie zawsze. Były wśród nich nie same tylko dziewczynki. Kołacz kosztował grosz i niemal wszyscy więźniowie je kupowali.

Zwróciłem uwagę na pewnego więźnia, stolarza, siwiutkiego już, lecz rumianego, który z uśmiechem smalił cholewki do kołacznic. Tuż przed ich przybyciem owinął sobie szyję czerwonym bawełnianym szalikiem. Któraś tęga i bardzo dziobata kobiecinka postawiła swój koszyk na jego warsztacie. Potoczyła się między nimi rozmowa.

— Czemużście wczoraj nie przychodziły tam? — zagaił więzień z zuchowatym uśmiechem.

— Masz ci los! Przyszłam, ale ciebie ani tam poświeć — odparła rezolutna niewiasta.

— Wezwali mnie gdzie indziej, bobym na pewno był na miejscu... A pozawczoraj przychodziły do mnie wszystkie wasze.

— Niby kto?

— Przychodziła Mariaszka, przychodziła Chawroszka, przychodziła Czekunda, przychodziła

Dwugroszowa...

— Cóż to jest? — zapytałem Akima Akimycza. — Czyżby?...

— To się zdarza — odrzekł, skromnie spuszczać oczy, był to bowiem niepospolicie cnotliwy człowiek.

Naturalnie zdarzało się to, lecz bardzo rzadko i z największymi trudnościami. Na ogół więcej było, na przykład, amatorów wypitki niżli tej zabawy, mimo całą niewątpliwą uciążliwość życia w niewoli. Do kobiet trudno się było dostać. Trzeba było wybrać czas, miejsce, umówić się, wyznaczyć schadzkę, szukać samotności, co było szczególnie trudne, zjednać konwojentów, co było jeszcze trudniejsze, i w ogóle wydać względnie dużo pieniędzy. Jednakże później udawało mi się niekiedy być świadkiem również i scen miłosnych. Pamiętam, pewnego razu latem pracowaliśmy we trzech w jakiejś szopie na brzegu Irtyszu, gdzieśmy palili w piecu cegielnianym; konwojenci byli poczciwi. W końcu zjawily się dwie „suflery”, jak nazywali je więźniowie.

— No, gdzieście się tak zasiedzieli? Pewnie u Zwierkowów? — powitał je więzień, do którego przyszły i który dawno już na nie czekał.

— Ja się zasiedziałam? Ależ wczora sroka dłużej siedziała na sęku niż ja u nich — wesoło odrzekła dziewczyna.

Była to najbrudniejsza dziewczyna w świecie. To ją nazywali Czekaunda. Razem z nią przyszła Dwugroszowa. Tej się już w ogóle opisać nie da.

— I panny takż długom nie oglądał — podjął zalotnik zwracając się do Dwugroszowej. — Coś mi się widzi, jakbyś panna schudła?

— Możliwe. Wprzódy byłam podufalsza w sobie, a teraz to jakbym igłę przełkła.

— I cięgiem z żołnierzykami, co?

— Nie, to już złe języki nabajdurzyły wam o nas; a zresztą co tam! Lepiej chodzić bez gnacika, byle kochać żołnierzyka!

— Rzuć ich panna, kochaj nas; my mamy grosiwo...

Dla pełni obrazu proszę sobie wystawić tego donzuana — ogolonego, w kajdanach, w pasiaku i pod konwojem.

Pożegnałem Akima Akimycza i dowiedziawszy się, że mi wolno wrócić do ostrogu, wziąłem konwojenta i ruszyłem do domu.

Ludzie już się schodzili. Pierwsi wracają z robót ci, co pracują na wyznaczoną normę. Jedyny sposób, by zmusić więźnia do gorliwej pracy, to wyznaczyć mu normę. Czasem normy bywają olbrzymie, a jednak wykonywa się je dwa razy prędzej, niż gdyby więźniom kazano pracować aż do bębna obiadowego. Po wykonaniu normy więzień mógł swobodnie iść do domu i nikt go już nie zatrzymywał.

Obiad jedzą nie razem, lecz w miarę powrotu z robót; zresztą kuchnia nie zmieściłaby wszystkich jednocześnie. Skosztowałem kapuśniaku, ale wskutek nieprzyzwyczajenia nie mogłem go jeść i zagotowałem sobie herbaty. Usiedliśmy przy końcu stołu. Obok mnie siedział

kolega, podobnie jak ja pochodzący ze szlachty.

Więźniowie przychodzili i wychodzili. Było zresztą luźno; nie wszyscy się jeszcze zebrali. Pięciosobowa gromadka zasiadła osobno przy dużym stole. Kucharz nalał nam kapuśniaku do dwóch misek i postawił na stole całą miskę smażonej ryby. Świecili jakąś okazję i jedli własną strawę. Na nas spojrzeli z ukosa. Wszedł jeden Polak i usiadł obok nas.

— W domu nie byłem, a wszystko wiem! — głośno zawołał wysoki więzień wchodząc do kuchni i spoglądając po wszystkich obecnych.

Był to człowiek pięćdziesięcioletni może, muskularny i szczupły. W wyrazie twarzy miał coś sardonicznego i wesołego zarazem. Szczególnie rzucała się w oczy jego gruba, obwisła dolna warga, nadająca twarzy wyraz nadzwyczaj komiczny.

— Jak się macie! Czemuż się nie witacie? Szacuneczek naszym kurskim! — dodał siadając przy tych, którzy jedli własną strawę. — Smacznego! Jestem waszym gościem.

— Ależ myśmy wcale nie kurscy, bracie.

— Więc tambowscy?

— Ani tambowscy. U nas, bracie, nic nie wskórasz Idź do bogatego chłopca, tam się wproś.

— W brzuchu, bracia, mam dzisiaj Mikołajka-Kiszkograjca i Ninę-Łykoślińską; a gdzie to mieszka ów bogaty chłop?

— Ano, Gazin jest bogaty, do niego idź.

— Iii, braciszku, Gazin hula dzisiaj, żłapie: przepija całą kaletę.

— Ma ze dwadzieścia rubelków — wtrącił inny. — Nie masz to, bracia, jak być szynkarzem.

— Cóż, nie przyjmiecie gościa? Ha, trudno i darmo, zjem skarbowej polewki.

— Idź, poproś herbaty. Widzisz, jaśnie panowie piją.

— Jacy tam jaśnie panowie, tu nie ma jaśnie panów; są teraz tacy sami jak i my — ponuro bąknął siedzący w kącie więzień. Dotychczas pary z ust nie puścił.

— Herbaty bym się napił, ale wstyd mi prosić: mam ambicję! — powiedział więzień o grubej wardze, patrząc na nas dobrodusznie.

— Jeżeli chcesz, mogę ci dać — rzekłem zapraszając więźnia. — Chcesz?

— Czy chcę? Ho, ho, jeszcze jak! Podeszedł do stołu.

— Patrzajcie go! W domu — żur i kapucha, tu kroi na łasucha; zachciało mu się pańskiego napoju — burknął posępny więzień.

— A czy tutaj nikt nie pije herbaty? — zagadnąłem go. Nie raczył mi jednak odpowiedzieć.

— Oto niosą kołacz. Może by już i kołaczka, jeśli łaska?

Wniesiono kołacze. Młody więzień niósł całą wiązkę i rozprzedawał po więzieniu. Kołaczniczka odstępowała mu co dziesiąty kołacz; na ten właśnie kołacz liczył więzień.

— Kołacze, kołacze! — wołał wchodząc do kuchni. — Moskiewskie, gorące! Sam bym jadł, ale potrzeba mi pieniędzy. No, chłopaki, został ostatni kołacz: kto z was miał matkę?

Ta inwokacja do miłości macierzyńskiej rozśmieszyła wszystkich i wzięto od niego kilka

kołaczy.

— Wiecie, bracia? — rzekł. — Gazin napyta sobie dzisiaj biedy! Dalibóg! Też znalazł odpowiednią porę na hulankę! Na psa urok, gotów przyjechać ośmiooki.

— Schowaj go. Albo co? mocno pijany?

— Ho, ho! Zły, czepia się.

— No to się dohula pałek...

— O kim mowa? — zapytałem siedzącego obok mnie Polaka.

— O Gazinie, więźniu. Handluje tutaj wódką. Gdy zarobi trochę pieniędzy, niezwłocznie je przepija. Jest okrutny i zły; zresztą po trzeźwemu zachowuje się spokojnie; ale kiedy się upije, ogarnia go szał; z nożem się ciska na ludzi. Wówczas go mitygują.

— W jaki sposób?

— Rzuca się na niego dziesięciu więźniów i zaczynają strasznie go bić, dopóki całkiem nie straci zmysłów, czyli że biją go prawie na śmierć. Wtedy kładą go na pryczy i przykrywają kożuszkim.

— Przecież mogą go zabić!

— Innego by zabili, ale jego nie. Jest nieprawdopodobnie silny, silniejszy od wszystkich tutaj i niesłychanie mocnej budowy ciała. Nazajutrz rano jest zupełnie zdrów.

— Proszę mi powiedzieć — w dalszym ciągu wypytywałem Polaka — przecie oni także jedzą własną strawę, a ja piję. herbatę. Tymczasem patrzą tak, jakby zazdrościli tej herbaty. Co to znaczy?

— Nie o herbatę chodzi — odpowiedział Polak. — Złości ich to, żeś pan szlachcic i do nich niepodobny. Wielu z nich szuka zaczepki. Mieliby wielką ochotę obrazić pana, poniżyć. Dozna pan tu wielu jeszcze przykrości. Okropnie tu ciężko nam wszystkim. Nam pod każdym względem jest najciężej. Trzeba mieć dużo obojętności, żeby się z tym otrzaskać. Nieraz jeszcze spotkają pana przykrości i połajanki za herbatę i własny wikt, mimo że tutaj bardzo wielu i bardzo często je własną strawę, a niektórzy stale piją herbatę. Im wolno, panu zaś nie wolno.

Powiedziawszy to wstał od stołu i wyszedł. Po paru minutach jego przepowiednia się sprawdziła.

III. Pierwsze wrażenia

Skoro tylko wyszedł M-cki (Polak, który ze mną rozmawiał), do kuchni wwałił się Gazin, kompletnie pijany.

Pijany więzień w biały dzień, i to w dzień powszedni, kiedy wszyscy byli obowiązani iść do pracy, przy srogim naczelniku, który lada chwila mógł przyjechać do ostrogu, przy podoficerze zawiadującym katorżnikami i ustawicznie znajdującym się w więzieniu, przy wartownikach, przy inwalidach, słowem, przy wszystkich surowych środkach ostrożności — sprawił całkowity zamęt w moich początkowych pojęciach o życiu więziennym. I dosyć długo musiałem przesiadzieć w katordze, zanim wytłumaczyłem sobie wszystkie fakty tego rodzaju, tak zagadkowe dla mnie w pierwszych dniach pobytu.

Mówiłem już, że więźniowie zawsze mieli własną pracę i że ta praca stanowi naturalną konieczność katorżniczego życia, że oprócz tej konieczności więzień namiętnie lubi pieniądze i ceni je nade wszystko, nieledwie na równi z wolnością, i że się już czuje pocieszony, jeśli mu one brzęczą w kieszeni. Natomiast jest posępny, smutny, niespokojny i upada na duchu, jeżeli ich nie ma, a wówczas gotów się porwać i na kradzież, i na wszystko, byleby je zdobyć. Ale choć w więzieniu pieniądze były takie drogocenne, nigdy długo nie leżały u szczęśliwego posiadacza. Po pierwsze, trudno je było przechować tak, żeby ich nie skradziono lub nie odebrano. Jeśli major znajdował je podczas nagłych rewizji, to je natychmiast odbierał. Może używał ich na polepszenie więziennego wikt; w każdym razie odnoszono mu je. Ale najczęściej kradziono: nikomu nie można było zaufać. Później znaleźliśmy całkowicie bezpieczny sposób ich przechowywania. Dawało się je na przechowanie staremu raskolnikowi, który do nas przybył ze słobód starodubowskich, zwanych ongiś Wietkowce... Ale nie mogę się powstrzymać od powiedzenia o nim kilku słów, chociaż odbiegam od tematu.

Był to staruszek lat sześćdziesięciu, mały, siwiutki. Od pierwszego wejrzenia zwróciłem na niego uwagę. Był taki niepodobny do innych więźniów, wzrok miał tak spokojny i łagodny, że, pamiętam, z jakąś szczególną przyjemnością patrzyłem na jego pogodne, świetliste oczy, otoczone siatką drobnych zmarszczek. Często z nim rozmawiałem i niewiele razy w życiu zdarzyło mi się spotkać równie zacną, dobrotliwą istotę. Przysłano go do nas za nader ciężkie przewinienie. Wśród staroobrzędowców starodubowskich zaczęły się pojawiać nawrócenia. Rząd mocno to popierał i jął dokładać wszelkich starań celem nawrócenia reszty nieprzejednanych. Staruszek pospołu z innymi fanatykami postanowił „bronić wiary”, jak się wyrażał. Zaczęto budować cerkiew dla nawróconych, a oni ją spalili. Jako jeden z podżegaczy staruszek został zesłany na katorgę. Był to zamożny, handlujący mieszczanin; w domu zostawił żonę, dzieci; ale z determinacją ruszył na zesłanie, ponieważ w swoim zaślepieniu poczytywał to za „męczeństwo za

wiarę". Gdybyście z nim przeżyli jakiś czas, mimo woli zadalibyście sobie pytanie, jak mógł ten człowiek potulny, łagodny jak dziecko być buntownikiem. Parokrotnie zagadywałem go o „wiarę". Nie ustępował nic ze swych przekonań, lecz nigdy nie było w jego argumentach żadnej złości, żadnej nienawiści. A przecie zburzył cerkiew i nie wypierał się tego. Zdawałoby się, że wskutek swych przekonań winien uważać postępek i wynikłe stąd „męczeństwo" za czyn chlubny. Jednak, choć mu się pilnie przyglądałem i studiowałem go, nigdy nie dostrzegłem w nim ani cienia próżności czy dumy.

Mieliśmy też innych staroobrzędowców, przeważnie Sybiraków. Byli to ludzie bardzo rozgarnięci, przebiegli chłopci, zagorzali pozeracze świętych ksiąg i na swój sposób tędry dialektycy; ludzie pyszni, zarozumiali, sprytni i w najwyższym stopniu nietolerancyjni.

Zgoła innym człowiekiem był ów staruszek. Bardziej może odczytany niż tamci, uchylał się od sporów. Miał wielce towarzyskie usposobienie. Był wesół, często się śmiał — nie tym ordynarnym, cynicznym śmiechem, jakim się śmiali katorżnicy, lecz pogodnym, cichym śmiechem, mającym w sobie dużo dziecięcej prostoduszności i mile harmonizującym z siwizną. Mogę się mylić, ale zdaje mi się, że po śmiechu można poznać ludzi, i jeśli przy pierwszym spotkaniu śmiech kogoś zupełnie nieznanego spodoba się wam, śmiało twierdźcie, że to człowiek dobry. W całym więzieniu staruszek zażywał miru, czym się wcale nie chełpił. Więźniowie nazywali go dziadkiem i nigdy nie krzywdzili. Zrozumiałem po części, jaki wpływ mógł wywierać na swych współwyznawców. Mimo jednak widoczną siłę charakteru, z jaką znosił swój pobyt na katordze, tkwił w nim głęboki, nieuleczalny smutek, który starał się ukryć przed wszystkimi. Obaj mieszkaliśmy w jednych koszarach. Kiedyś, około trzeciej w nocy, zbudziłem się i usłyszałem cichy, tłumiony płacz. Stary siedział na piecu (tym samym, na którym przedtem modlił się po nocach czytelnik Biblii, chcący zabić majora) i modlił się ze swej rękopiśmiennej książki. Płakał i słyszałem, jak od czasu do czasu mówi: „Panie, nie opuszczaj mnie, Panie, umocnij mnie! Dzieteczki moje małe, dzieteczki moje miłe, nigdy się już nie zobaczymy!" Nie potrafię wyrazić, jak smutno mi się zrobiło. Otóż temu to staruszkowi wszyscy prawie więźniowie zaczęli stopniowo dawać pieniądze do przechowania. Na katordze niemal wszyscy byli złodziejami, lecz raptem wszyscy się czemuś upewnili, że staruszek żadną miarą nie może ich okraść. Wiedzieli, że chowa gdzieś wręczone sobie pieniądze, ale w miejscu tak ukrytym, że nikt nie mógł ich znaleźć. Później wyjawił swą tajemnicę mnie i niektórym Polakom. W jednym z pali był sęczek, na pozór mocno zrosnięty z drzewem. Dawał się jednak wyjąć i w drzewie powstawało duże zagłębienie. Tam właśnie dziadek chował pieniądze, po czym znowu wkładał sęczek, tak że nikt nigdy nie mógł nic znaleźć.

Lecz odbiegłem od wątku. Przerwałem na tym, dlaczego pieniądze nie leżały długo w kieszeni więźnia. Otóż — pominąwszy już trudności ich ustrzeżenia — w więzieniu było tyle niedoli, więzień zaś ze swej natury jest tak bardzo spragniony wolności, a ze względu na swą sytuację społeczną tak bardzo lekkomyślny i nieustatkowany, że czuje nieprzepartą chęć, by

nagle „pohulać na całego”, z hukiem i muzyką przeszastać cały kapitał i na chwilę bodaj zapomnieć o swej niedoli. Aż dziwnie było patrzeć, jak ten czy ów spośród nich pracuje nie prostując karku, czasem po kilka miesięcy, wyłącznie po to, by w jeden dzień roztrwonić cały zarobek co do grosza, a potem aż do następnej hulanki znów przez kilka miesięcy ślęczeć nad robotą. Wielu z nich lubiło sprawiać sobie nowe rzeczy, i to koniecznie osobliwszego autoramentu: jakieś nieprzepisowe, czarne spodnie, spencerki, sybirki. Wielkim wzięciem cieszyły się także perkalowe koszule oraz pasy z miedzianymi klamerkami. Stroili się w święta i wystrojony więzień nigdy nie omieszkał przejść się po wszystkich koszarach, aby wszyscy go podziwiali. Zadowolenie takiego strojnisia graniczyło z dziecinadą, a i pod wieloma innymi względami więźniowie byli jak dzieci. Co prawda, wszystkie te piękne rzeczy jakoś zniemacka opuszczały swego właściciela, który niekiedy tegoż wieczoru zastawiał je lub sprzedawał za bezcen. Zresztą hulanka rozwijała się stopniowo. Zazwyczaj odbywała się bądź w dnie świąteczne, bądź w dniu imienin hulającego. Więzień solenizant, wstając z rana, zapalał świeczkę przed świętym obrazem i modlił się, następnie stroił się i zamawiał sobie obiad. Kupowano wołowinę, ryby, przyrządzano syberyjskie kołduny; najadał się jak wół, prawie zawsze sam, rzadko kiedy częstując towarzyszy. Potem zjawiała się wódka, solenizant spijał się jak bela i chodził po koszarach chwiejąc się i potykając, usiłując pokazać wszystkim, że jest pijany, że „hula”, i przez to zaskarbić sobie powszechny szacunek. Lud rosyjski żywi dla pijaka sympatię, w więzieniu zaś okazywano mu nawet poważanie. Hulanka więzienna odznaczała się swego rodzaju arystokratyzmem. Rozbawiony więzień zawsze wynajmował muzykę. Był w ostrogu jeden Polak, zbiegły żołnierz, człek paskudny, ale grający na skrzypcach i mający przy sobie instrument, który stanowił cały jego majątek. Nie umiał żadnego rzemiosła i jedynym źródłem jego dochodów było granie wesołych tańców dla tych, co hulali. Obowiązek jego polegał na tym, by krok w krok iść za pijanym najemcą z jednych koszar do drugich i co sił rzępolić na skrzypcach. Twarz jego często wyrażała nudę, markotność, lecz okrzyk: „wziąłeś pieniądze, więc graj!” — kazał mu znów rzępolić a rzępolić. Zaczynając hulać więzień mógł być zupełnie pewny, że jeśli przebierze miarękę w picciu, to inni na pewno go dopilnują, w czas położą spać i zawsze gdzieś ukryją przed nadejściem zwierzchników, a to wszystko całkiem bezinteresownie. Ze swej strony podoficer oraz inwalidzi, dla strzeżenia porządku mieszkający w więzieniu, również mogli być zupełnie spokojni: pijany nie mógł wywołać żadnej awantury. Pilnowali go wszyscy więźniowie i gdyby wszczął hece, gdyby się zaczął buntować, wnet by go zmitygowali, nawet związali po prostu. Toteż niższe władze więzienne patrzyły na pijaństwo przez palce, nie chciały go dostrzegać. Wiedziały bardzo dobrze, że w razie zakazu picia wódki będzie jeszcze gorzej. Ale skąd się brała wódka?

Kupowało się ją w samym więzieniu od tak zwanych szynkarzy. Było ich kilku; uprawiali swój proceder nieprzerwanie i z powodzeniem, mimo że pijących i „hulających” było na ogół niewielu, ponieważ na hulankę trzeba pieniędzy, a o to więźniowi trudno. Handel rozpoczynał

się, trwał i uchodził bezkarnie w dość oryginalny sposób. Przypuśćmy, że któryś więzień nie ma żadnego fachu i nie chce pracować (byli tacy), lecz chce mieć pieniądze, będąc zaś człowiekiem niecierpliwym, pragnie dorobić się szybko. Ma trochę grosza na początek i postanawia handlować wódką: przedsięwzięcie śmiałe, wymagające wielkiego ryzyka. Można je było przyplacić chłostą, postradać jednocześnie i towar, i kapitał. Ale szynkarz idzie na to. Z początku mało ma pieniędzy, toteż pierwszy raz sam przynosi wódkę i, rzecz jasna, sprzedaje ją z zyskiem. Powtarza próbę drugi i trzeci raz i jeśli władze nie przyłapią go na tym, szybko zarabia, i dopiero wtedy zakłada prawdziwy handel na mocnych podstawach; staje się przedsiębiorcą, kapitalistą, ma agentów i pomocników, coraz mniej się naraża, a zarabia coraz więcej. Ryzyko ponoszą za niego pomocnicy.

W ostrogu zawsze jest dużo takich, co się zgrali, przeputali, przehulali wszystko co do grosza, ludzi bez fachu, nędznych i obszarpanych, lecz w pewnej mierze obdarzonych śmiałością i stanowczością. W charakterze kapitału pozostaje takim ludziom jedynie grzbiet; ten może jeszcze do czegoś posłużyć i ten to ostatni kapitał postanawia puścić w obrót zrujnowany hulaka. Idzie do przedsiębiorcy i zaczyna przynosić dlań wódkę; bogaty szynkarz miewa kilku takich pracowników. Gdzie poza murami więzienia istnieje człowiek — żołnierz, mieszczanin, czasem dziewczucha — który za pieniądze przedsiębiorcy tudzież za pewną premię, stosunkowo wcale sporą, kupuje w szynku wódkę i ukrywa ją gdzieś w zacisznym miejscu, do którego więźniowie przychodzą na robotę. Prawie zawsze dostawca nasamprzód wypróbować dobroć wódki, a to, co upił, niemiłosiernie uzupełnia wodą: „chcesz — to bierz, nie chcesz — nie bierz”, przecie więzień nie może zanadto przebierać, niech i tak będzie rad, że pieniądze jego nie całkiem przepadły, że dostał wódkę, lichą wprawdzie, ale zawsze wódkę. Do tego właśnie dostawcy przychodzą, z góry wskazani mu przez więziennego szynkarza, nosiciele z wołowymi kiszkami. Kiszki te, najpierw splukano, potem napełnione wodą, zachowują pierwotną wilgotność i elastyczność, aby z czasem nadawać się do przechowania wódki. Napełniwszy je wódką, więzień opasuje się nimi o ile możliwości w najskrytszych miejscach ciała. Naturalnie, wychodzi przy tym na jaw cała zreczność, cały złodziejski spryt przemytnika. Poniekąd gra tu rolę jego honor: musi oszukać i konwojentów, i wartowników. Jakoż oszukuje ich: wprawny złodziej zawsze zdoła zwieść konwojenta, którym niekiedy bywa jakiś tam sobie rekrucik. Oczywiście, konwojenta obserwuje się uprzednio, bierze się też pod uwagę czas, miejsce roboty. Więzień — zdun na przykład — lezie na piec: któż zobaczy, co on tam robi? Przecie konwojent nie polezie za nim. Podchodząc do bramy więzień bierze w ręce pieniądze, piętnaście czy dwadzieścia kopiejek srebrem, na wszelki wypadek, i czeka na gefrajtra. Każdego wracającego z roty więźnia dyżurny gefrajter rewiduje i obmacuje, po czym otwiera mu drzwi. Zazwyczaj nosiciel wódki liczy na to, że będą się krępowali zbyt szczegółowo macać go w niektórych miejscach. Aliści niekiedy wyga-gefrajter dociera i do tych miejsc i wymacuje wódkę. Wówczas pozostaje jeden, ostatni środek: przemytnik, milcząc i w tajemnicy przed konwojentem, wsuwa gefrajtrowi w ręce ukryty w dłoni pieniądze. Zdarza się,

że dzięki temu manewrowi pomyślnie wchodzi z przeschmuglowaną wódką. Ale czasem manewr się nie udaje i wtedy trzeba płacić ostatnim swym kapitałem, to znaczy grzbietem. Meldują majorowi, kapitał zaś chłoszczą, i to chłoszczą dotkliwie, wódkę konfiskują, i przemytnik bierze wszystko na siebie nie zdradzając przedsiębiorcy, ale zanotujmy to sobie, nie dlatego, by się brzydził donosem, tylko wyłącznie dlatego, że donos jest dlań niekorzystny: jego i tak by wychłostali, całą pociechę stanowiłoby to, że w skórę wzięliby obaj. Atoli przedsiębiorca jest mu jeszcze potrzebny, chociaż wedle zwyczaju i w myśl przedwstępnej umowy przemytnik nie dostaje od przedsiębiorcy ani grosza za wychłostany grzbiet. Co się zaś tyczy donosów w ogóle, to te zazwyczaj kwitną. W więzieniu donosiciel nie ściąga na siebie najmniejszego despektu: nawet nie do pomyslenia jest, by się kto na niego oburzał. Koledzy go nie unikają, przyjaźnią się z nim, toteż gdybyście w więzieniu chcieli wykazywać całą szkaradę donosu, zgoła by was nie rozumiano, ów więzień, były szlachcic, rozpustny i podły, z którym zerwałem wszelką komitywę, kumał się z ordynansem majora, Fiedką, i służył mu za szpiega, ten zaś powtarzał majorowi wszystko, co usłyszał o więźniach. U nas wszyscy wiedzieli o tym, a nikomu nawet nie przyszło nigdy do głowy ukarać szubrawca albo choć mu to wypomnieć.

Lecz znów odbiegłem od tematu. Naturalnie bywa i tak, że wódka dochodzi szczęśliwie; wtedy przedsiębiorca przyjmuje przyniesione kiszki, płaci za nie pieniądze i zaczyna obliczać. Z obliczenia wynika, że towar kosztuje go już bardzo drogo: dla większego tedy zysku przelewa go jeszcze raz, ponownie rozcieńczając wodą, omal nie pół na pół, i w ten sposób, całkiem już przygotowany, oczekuje na klienta. W pierwsze zaraz święto, a czasem i w dzień powszedni, klient się zjawia: jest nim więzień, który przez kilka miesięcy harował jak wół i uciulał trochę grosza, by go przepić w zawczasu upatrzonym dniu. Ten dzień już na długo przed swym nastaniem roił się biedakowi i we śnie, i w słodkich marzeniach przy pracy i swym czarem podnosił go na duchu wśród szarzyzny życia więziennego. Wreszcie brzask świetlanego dnia świta na wschodzie; pieniądze są uciulane, nie odebrane, nie ukradzione, i więzień niesie je do szynkarza. Ten podaje mu nasamprzód trunek możliwie czysty, czyli tylko dwa razy rozcieńczony; ale w miarę upijania z butelki, wszystko upite natychmiast zostaje uzupełnione wodą. Za miarkę wódki płaci się pięciokrotnie, sześciokrotnie więcej niż w szynku. Możecie sobie wyobrazić, ile trzeba wypić takich miarek i ile pieniędzy zapłacić za nie, by się upić. Lecz skutek odzwyczajenia od picia i wskutek uprzedniej wstrzemięźliwości więzień dosyć prędko zaczyna mieć w czubie i zwykle pije dopóty, dopóki nie przepije całej gotówki. Wtedy przychodzi kolej na wszystkie nowe sprawunki: szynkarz jest jednocześnie i lichwiarzem. Naprzód bierze od klienta nowo nabyte rzeczy osobiste, potem — stare łachy, w końcu zaś i rzeczy skarbowe. Z chwilą przepicia wszystkiego, aż do ostatniej szmaty pijak kładzie się spać, a nazajutrz, obudziwszy się z nieuchronnym młynkiem w głowie, nadaremnie prosi szynkarza o jeden bodaj łyk wódki na poprawiny. Smętnie znosi swój przykry stan i tegoż dnia zabiera się znów do pracy, i znów przez kilka miesięcy pracuje nie prostując karku, marząc o szczęśliwym dniu hulanki, co bezpowrotnie

utonął w wieczności, po czym z wolna zaczyna nabierać otuchy i oczekiwać drugiego podobnego dnia, który jest jeszcze daleko, ale kiedyś musi przecież nadejść.

Co się zaś tyczy szynkarza, to zarobiwszy w końcu olbrzymią kwotę, kilkadziesiąt rubli, po raz ostatni sprowadza wódkę i już jej nie rozcieńcza, ponieważ przeznaczą ją dla siebie; dosyć handlu, trzeba samemu się zabawić! Rozpoczyna się hulanka, picie, jedzenie, muzyka. Środki są duże, można nawet ugłaskać niższe władze więzienne, które są najbliższe. Hulanka trwa czasem kilka dni. Oczywiście, zapas przygotowanej wódki rychło się wyczerpuje; wtedy hulaka idzie do innych szynkarzy, którzy już na niego czekają, i pije póty, aż przepije wszystko co do grosza. Mimo że więźniowie robią wszystko, co w ich mocy, aby ustrzec hulającego, niekiedy nawija się on na oczy wyższym władzom, majorowi lub oficerowi dyżurnemu. Prowadzą go do kordegardy, zabierają mu kapitały, jeżeli je znajdą przy nim, a na zakończenie wymierzają chłostę. Otrząsnąwszy się, wraca do ostrogu, a po kilku dniach znów zaczyna uprawiać szynkarstwo. Niektórzy z hulaków — bogatsi, naturalnie — marzą i o płci pięknej. Za grube pieniądze przedostaje się taki czasem z twierdzy potajemnie, zamiast na robotę, kędyś na przedmieście w towarzystwie przekupionego konwojenta. Tam, w jakimś zacisznym domku, gdzieś na samym krańcu miasta, wydaje ucztę co się zowie i trwoni rzeczywiście duże kwoty. Za pieniądze nawet więzień jest mile widziany; konwojenta zaś dobiera się już z góry, ze znawstwem. Zwykle tacy konwojenci sami są przyszlými kandydatami do więzienia. Zresztą za pieniądze można wszystko zrobić i takie wycieczki prawie zawsze pozostają w tajemnicy. Należy dodać, że się zdarzają nader rzadko; trzeba na to wiele pieniędzy i miłośnicy płci nadobnej uciekają się do innych sposobów, zupełnie bezpiecznych.

W pierwszych już dniach mojego pobytu w katordze pewien młody więzień, nadzwyczaj ładny chłopak, wzbudził we mnie szczególną ciekawość. Nazywał się Sirotkin. Pod wielu względami był dosyć zagadkową istotą. Przede wszystkim zafrapowała mię jego śliczna twarz; miał najwyżej ze dwadzieścia trzy lata. Przebywał w oddziale specjalnym, to znaczy bezterminowym, zaliczał się więc do najważniejszych przestępców wojskowych. Cichy i łagodny, mało mówił, śmiał się rzadko. Oczy miał błękitne, rysy regularne, twarzyczkę czyściutką, delikatną, włosy jasnoblonde. Nawet do połowy ogolona głowa niezbyt go szpeciła. Taki to był ładny chłopak. Nie znał żadnego fachu, pieniądze jednak zdobywał, drobnymi wprawdzie kwotami, ale często. Był wybitnie leniwy, nosił się nieschludnie. Chyba że ktoś ubierze go porządnie, czasem nawet w czerwoną koszulę; wtedy Sirotkin jest wyraźnie rad: chodzi po koszarach, pokazuje się ludziom. Nie pił, w karty nie grał, z nikim się prawie nie kłócił. Chodzi czasem za koszarami, z rękoma w kieszeniach, potulny, zamyślony. O czym mógł rozmyślać, trudno sobie wyobrazić. Niekiedy któryś z nas, zaciekawiony, zawoła go po imieniu, o coś zapyta, Sirotkin niezwłocznie odpowiada, i to nawet z uszanowaniem, nie po aresztancku, ale zawsze krótko, zwięźle, patrzy zaś na człowieka jak dziesięcioletnie dziecko. Gdy ma pieniądze, nie kupi sobie czegoś potrzebnego, nie da kurtki do naprawy, nie spokuruje sobie nowych butów, jeno

kupi kołaczek, pierniczek i schrupie, jakby był siedmioletnim brzdącem. „Ej, ty, Sirotkin! — mówią doń niekiedy współwięźniowie — sieroto bez ojca, bez matki!” W czasie wolnym od pracy przymusowej snuje się zwykle po cudzych koszarach; niemal wszyscy są czymś zajęci, on jeden nie ma co robić. Jeżeli mu coś powiedzą, prawie zawsze na kpiny (bo i koledzy często-gęsto się zeń śmiali), bez słowa zawraca na pięcie i idzie do innych koszar, czasem zaś, jeśli go bardzo wydrwili, poczerwienieje. Nieraz myślałem: za co ta cicha, prostoduszna istota trafiła na katorgę? Pewnego razu leżałem w szpitalu, w izbie aresztanckiej. Sirotkin był także chory i leżał przy mnie; pod wieczór ucieliśmy pogawędkę; chłopak się z wolna ożywił i — od słowa do słowa — opowiedział mi, jak oddawali go do wojska, jak odprowadzająca go matka płakała nad nim i jak ciężko mu było „w rekrutach”. Dodał, że w żaden sposób nie mógł znieść rekruckiego życia, bo wszyscy tam byli tacy źli, surowi, a dowódcy prawie zawsze byli z niego nieradzi.

— I jak się to skończyło? — spytałem. — Za cóżeś się dostał tutaj? I to jeszcze do specjalnego oddziału... Ej, ty, Sirotkin, Sirotkin!

— Ależ ja, Aleksandrze Pietrowiczu, byłem w batalionie wszystkiego jeden rok, a tutaj przyszedłem za to, że zabiłem Grigoria Pielrowicza, dowódcę mojej roty.

— Słyszałem o tym, Sirotkin, ale nie wierzę. Gdzieżbyś ty mógł zabić człowieka?

— Tak się złożyło, Aleksandrze Pietrowiczu. Okrutecznie było mi tam ciężko.

— Ale inni rekruci przecież jakoś żyją? Zapewne, z początku jest ciężko, ale potem się przyzwyczajają i w końcu wychodzą na dzielnych wojaków. Widać zanadto pieściła cię matka; do osiemnastego roku życia karmiła cię pierniczkami i mleczkiem.

— A tak, matka to bardzo mnie kochała. Jakżem poszedł do wojska, to położyła się i ponoć już nie wstała... Pod koniec strasznie gorzko było mi w onym wojsku. Dowódca na mnie krzyw, za wszystko mnie karze — a cóżem ja winien? Każdemu zejdę z drogi, żyję, jak Pan Bóg przykazał, do kieliszka nie zaglądam, żadnych pożyczek nie biorę, bo to już najgorsza rzecz, Aleksandrze Pietrowiczu, jak człowiek wlezie w długi. Wokół wszyscy takiego twardego serca, że nie ma się przed kim wyplakać. Pójdę sobie czasem gdzieś za węgiel i tam popłaczę. Kiedyś stoję na warcie. Już noc; kazali mi straż trzymać koło hauptwachty przy kozłach. Wiatr, jesień, a ciemność taka, że choć oko wykol. I okrutnie cno mi się zrobiło! Wziąłem karabin do nogi, zdjąłem bagnet, położyłem obok; zzułem prawy but, lufę przytknąłem sobie do piersi, napałem na nią, a wielkim palcem u nogi spuściłem kurek. Patrząc — zacięło się! Obejrzałem karabin, przeczyściłem zapal, dosypałem na panewkę świeżego prochu, poklepałem skałkę i znów przytykam lufę do piersi. I co? Proch się zapalił, a nie strzela! Cóż to! — myślę sobie. Wzulem but, nadziałem bagnet, milczę i chodzę. I wtedy umyśliłem zrobić tę rzecz; choćby nie wiedzieć dokąd, byleby precz z wojska. W pół godziny później jedzie dowódca; kierował głównym rontem. I wsiada na mnie: „Alboż to tak się stoi na warcie?” Wziąłem karabin, no i wpakowałem w niego bagnet aż po lufę. Przeszedłem przez cztery tysiące, a potem tutaj, do specjalnego oddziału...

Nie kłamał. Bo i za cóż by go przysłali do specjalnego oddziału? Zwykle przestępstwa karano

daleko łagodniej. Zresztą wśród wszystkich swych towarzyszy jedynie Sirotkin był takim gładyszem. Co do innych, podobnych mu — a ogółem mieliśmy ich z piętnastu — to aż dziwnie było na nich patrzeć; zaledwie jakie dwie trzy możliwe twarze; cała zaś reszta — same kłapouche, szpetne brudasy, czasem nawet siwi. Jeżeli okoliczności pozwolą, szczegółowiej kiedyś opowiem o tej całej gromadce. Sirotkin często się zadawał z Gazinem, tym, od którego zacząłem niniejszy rozdział nadmieniając, że się wwalił do kuchni pijany i że to wywołało zamęt w moich pierwotnych pojęciach o życiu więziennym.

Ten Gazin był okropną istotą. Sprawiał na wszystkich straszne, przygnębiające wrażenie. Zawsze mi się zdawało, że nic nie mogło być dzikszego, potworniejszego niż on. Widziałem w Tobolsku słynnego ze swych zbrodni bandytę Kamieniewa; potem widziałem Sokołowa, podsądnego aresztanta, dezentera, okrutnego mordercę. Ale żaden z nich nie wywarł na mnie tak wstrętnego wrażenia jak Gazin. Często zdawało mi się, jakbym widział przed sobą ogromnego, gigantycznego pająka, wielkości człowieka. Gazin, Tatar rodem, był straszliwie silny, silniejszy od wszystkich na katordze; wzrostu wyżej niż średniego, herkulesowej budowy, o niekształtnej, nieproporcjonalnie olbrzymiej głowie; chodził garbiąc się, patrzył spode łba. Na katordze dziwne krążyły o nim słuchy; wiedziano, że służył w wojsku, lecz więźniowie szeptali między sobą, nie wiem, czy słusznie, że jest dezenterem z Nerczyńska; na Syberię zsyłano go już nieraz, nieraz uciekał, nieraz zmieniał nazwisko, aż w końcu trafił do naszego więzienia, do specjalnego oddziału. Opowiadano również o nim, że dawniej lubił zabijać małe dzieci, wyłącznie dla przyjemności: zaprowadzi dzieciaka w dogodne miejsce, najpierw go nastraszy, znęka, a gdy się już w pełni nacieszy przerażeniem i dygotem biednej małej ofiary, zarżnie ją powoli, z delectacją. Może wszystko to zmyślano wskutek ogólnego przykrego wrażenia, jakie wywierał na ludziach Gazin, jednakże wszystkie te bajki jakoś dobrze z nim licowały, pasowały do niego. A tymczasem na katordze na co dzień, gdy nie był pijany, zachowywał się nader rozsądnie. Zawsze był spokojny, nie zadzierał z nikim i unikał waśni, ale jakby z pogardy dla innych, jakby uważając, że przewyższa całą resztę; mówił bardzo mało, był świadomie, celowo niewylewny. Wszystkie jego ruchy były powolne, spokojne, świadczące o pewności siebie. Z oczu mu patrzyło, że jest bardzo niegłupi i niesłychanie chytry; jednak coś wyniośle szyderczego i okrutnego tkwiło zawsze w jego twarzy i uśmiechu. Handlował wódką i należał w więzieniu do najzamożniejszych szynkarzy. Atoli ze dwa razy do roku sam się upijał, a wtedy dochodziło do głosu całe bestialstwo jego natury. Stopniowo się upijając, zaczynał dopiekać ludziom drwinami, pełnymi jadu, jak gdyby obliczonymi i z góry przygotowanymi. W końcu, zupełnie już pijany, wpadał w okropną pasję, chwycił nóż i rzucał się na ludzi. Więźniowie, znając jego straszliwą siłę, rozbiegali się przed nim i chowali; rzucał się na każdego spotkanego. Niebawem wszakże znaleźli nań sposób. Dziesięciu ludzi z jego koszar raptem rzuciło się na niego jednocześnie i zaczynało go bić. Niepodobna wyobrazić sobie nic okrutniejszego nad to bicie: bili go w pierś, pod serce, w dołek, w brzuch; bili srogo i długo, a przestawali dopiero wtedy, gdy kompletnie tracił przytomność i leżał jak trup.

Kogo innego nie mieliby odwagi tak okładać: bo tak bić — znaczyło zabić, ale nie Gazina. Po obiciu owijali go, całkiem bezwładnego, w kożuszek i zanosili na pryczę. „Niech się wyczmucha!” Jakoż istotnie, nazajutrz rano wstawał prawie zdrów i w posępnym milczeniu szedł do pracy. I ilekroć się Gazin upijał, wszyscy w ostrogu wiedzieli już, że dzień się dla niego skończy nieuchronnym basarunkiem. On sam wiedział to, a jednak się upijał. Trwało to kilka lat; wreszcie zauważono, że Gazin zaczyna kiepscieć. Skarżył się na różne bóle, jął wyraźnie wątleć, coraz częściej chodzić do szpitala... „Zmogło go przecież!” — mówili więźniowie.

Wszedł do kuchni w towarzystwie owego Polaka ze skrzypcami, co go hulacy zwykle wynajmowali dla pełni swej uciechy, i zatrzymał się pośrodku kuchni, milcząc i pilnie się przyglądając wszystkim obecnym. Wszyscy umilkli. Wreszcie, dostrzegłszy mnie i mego towarzysza, jadownicie i szyderczo spojrzeli na nas, uśmiechnął się dufnie, coś widocznie zmiarkował i mocno się zataczając podszedł do naszego stołu.

— Pozwoli pan, że zapytam — zaczął (mówił po rosyjsku) — z jakich dochodów racycie się tu herbatą?

Milcząc zamieniłem spojrzenie z moim towarzyszem, rozumiejąc, że najlepiej milczeć i nie odpowiadać mu. Lada sprzeciw sprawiłby go w szal.

— Macie więc pieniądze? — podjął indagację. — Macie więc kupę pieniędzy, co? A czy po to przyszlście na katorgę, żeby popijać herbatę? Przyszlście popijać herbatę? Gadajcież, u licha!...

Widząc jednak, żeśmy postanowili milczeć i ignorować go, spłoszował i zadrzał ze wściekłości. Obok niego stała w kącie duża niecka, w którą wkładano wszystek nakrajany chleb, przygotowywany do obiadu czy wieczery więźniów. Była tak wielka, że się w niej mieścił chleb dla połowy więzienia; obecnie zaś stała pusta. Chwycił ją oburącz i zamierzył się na nas. Jeszcze chwila, a roztrzaskałby nam głowy. Mimo że morderstwo lub usiłowanie morderstwa groziło nadzwyczajnymi przykrościami całemu więzieniu: zaczęłyby się dochodzenia, rewizje, zarządzone by ostrzejsze środki ostrożności, i dlatego więźniowie ze wszystkich sił starali się nie doprowadzić siebie do takiej ostateczności — mimo to wszyscy teraz przycichli i oczekiwali. Ani słówka w naszej obronie! Ani jednego okrzyku! — tak silna była w nich nienawiść do nas! Sprawiała im snadź przyjemność nasza niebezpieczna sytuacja... Ale rzecz skończyła się pomyślnie: właśnie w chwili, gdy chciał gruchnąć niecką, ktoś zawołał z sieni:

— Gazin! Ukradli wódkę!

Prasnął niecką o podłogę i wyleciał z kuchni jak wariat.

— No, Bóg ich ocalił! — mówili do siebie więźniowie I mówili to długo potem.

Nie mogłem się później dowiedzieć, czy wiadomość o kradzieży wódki była prawdziwa, czy też zmyślona, by nas uratować.

Wieczorem, już po ciemku, przed zamknięciem koszar chodziłem wzdłuż parkanu; ciężki smutek padł mi na duszę, i nigdy później, przez całe swe życie więzienne, nie doświadczyłem takiego smutku. Ciężko jest znieść pierwszy dzień niewoli, gdziekolwiekby to było: czy w więzie-

niu, czy w kazamacie, czy na katordze... Pamiętam jednak, że najbardziej zaprzętała mię pewna myśl, która później prześladowała mnie natarczywie przez cały mój pobyt na katordze — myśl poniekąd nie do rozstrzygnięcia, nie do rozstrzygnięcia dla mnie i teraz również — mianowicie myśl o nierówności kar za jednakowe przestępstwa. Co prawda, jedno przestępstwo nie daje się porównać z drugim, nawet w przybliżeniu. Na przykład i jeden, i drugi zabił człowieka; zważono wszystkie okoliczności obu spraw; i za jedną, i za drugą wymierzono tę samą prawie karę. A tymczasem spójrzcie, jaka różnica w zbrodniach. Jeden, na przykład, zarznął człowieka ot tak sobie, za nic, za cebulę: wyszedł na gościniec, zarznął przejeżdżającego chłopca, a chłop miał przy sobie tylko główkę cebuli. „Jakże to, tato! Wysłaliście mnie po zdobycz: zarznąłem chłopca, a znalazłem całej parady jedną cebulę.” — Głupiś! Cebula — to kopiejka! Sto dusz — sto cebul, i już masz rubla!” — (Legenda więzienna). — Drugi zaś zabił broniąc przed lubieżnym tyranem czi swej narzeczonej, siostry, córki. Jeden, włóczęga osaczony przez cały czambuł szpiclów, zabił broniąc swej wolności, życia, nieraz ratując się od głodowej śmierci; a drugi zarzyna małe dzieci, bo mu przyjemnie je zarzynać, czuć na rękach ich ciepłą krew, napawać się ich strachem, ich ostatnim gołęmbim trzepotem pod ostrzem noża. I cóż? Obydwaj idą na tę samą katorgę. Wprawdzie są różnice w terminach wyznaczonych kar. Ale różnic tych jest stosunkowo niewiele, różnic zaś w jednym i tym samym rodzaju zbrodni — nieprzebrane mnóstwo. Ile charakterów, tyle różnic. Przypuśćmy jednak, że wyrównać, zatrzeć tej różnicy nie sposób, że jest to poniekąd zadanie nierozwiązalne — kwadratura koła; owszem, przypuśćmy. Ale gdyby nawet nierówność ta nie istniała — spójrzcie na inną różnicę, na różnicę w samych następstwach kary... Oto człowiek, który na katordze wędnie, topnieje jak świeca; a oto drugi, który przed przybyciem na katorgę ani się domyślał, że jest na świecie takie wesołe życie, taki miły klub dziarskich kolegów. Tak jest, i tacy przychodzą do ostrogu. Oto na przykład człowiek wykształcony, uświadomiony, o wrażliwym sumieniu, sercu. Już samo cierpienie własnego serca, pomijając wszelkie kary, zabije go swą udręką. Sam osądził siebie za swoją zbrodnię bezlitośniej, niemilosierniej niż najsurowszy kodeks. A tuż obok — drugi, który przez cały czas katorgi ani razu nawet nie pomyśli o popełnionym morderstwie. Owszem, uważa, że jest niewinien. Bywają zaś i tacy, co umyślnie popełniają zbrodnie, żeby się tylko dostać na katorgę i w ten sposób uniknąć nierównie bardziej katorżniczego życia na wolności. Tam żył w ostatecznym poniżeniu, nigdy nie jadał do syta i harował dla swego przedsiębiorcy od rana do nocy, na katordze zaś robota jest lżejsza niż w domu, chleba dostatek, i to takiego, jakiego na oczy nie widział; święta — mięso, jest też jałmużna, jest okazja zarobienia paru groszy. A towarzystwo? Zuchy szczwane, zręczne, wszystko umiejące; toteż patrzy na swych kolegów z pełnym szacunku zdumieniem: nigdy jeszcze nie widział takich; poczytuje ich za najwyższą sferę towarzyską, jaka tylko może istnieć na świecie. Czyż naprawdę ci dwaj jednakowo czują jednakową karę? Ale zresztą po co się zajmować nierozstrzygniętymi zagadnieniami! Bije bęben, czas do koszar.

IV. Pierwsze wrażenia

Rozpoczęła się ostatnia kontrola. Po tej kontroli zamykano koszary, każde na osobną kłódkę, i aż do świtu więźniowie pozostawali zamknięci.

Kontroli dokonywał podoficer z dwoma żołnierzami. W tym celu więźniów czasem ustawiano na dziedzińcu i przychodził oficer dyżurny. Ale częściej cała ta ceremonia odbywała się po domowemu: kontrolowano w koszarach. Tak też było i teraz. Kontrolujący mylili się często w rachubie, wychodzili i znowu wracali. Nareszcie nieboracy-wartownicy dorachowali się pożądanej liczby i zamknęli koszary. Nasza izba mieściła do trzydziestu więźniów, stłoczonych dosyć ciasno na pryczach. Na sen było jeszcze za wcześnie. Każdy, rzecz prosta, musiał się czymś zatrudnić.

Z przełożonych pozostawał w koszarach jeden tylko inwalida, o którym wspominałem już przedtem. W każdych koszarach był ponadto jeden „starszy”, którego sam plac-major wyznaczał spośród więźniów, oczywiście, za dobre sprawowanie. Zdarzało się bardzo często, że się i taki starszy dopuszczał z kolei poważnych wybryków, wówczas chłostano go, degradowano natychmiast i zastępowano kim innym. Okazało się, że w naszych koszarach starszym jest Akim Akimycz, który ku mojemu zdziwieniu nierzadko pokrzykiwał na więźniów. Więźniowie zazwyczaj odpowiadali mu drwinami. Inwalida był odeń mądrzejszy i do niczego się nie wtrącał, a jeśli kiedy i poruszył językiem, to przeważnie dla fasonu, dla ulgi sumienia. Milcząc siedział na swym wyrku i szył but. Więźniowie prawie nie zwracali na niego uwagi.

W tym pierwszym dniu zrobiłem pewne spostrzeżenie, o którego słuszności przekonałem się później. Mianowicie: że wszyscy niewięźniowie, kimkolwiek by byli, począwszy od mających bezpośrednią styczność z więźniami, jak konwojenci, żołnierze, wartownicy, kończąc na wszystkich w ogóle, którzy choć trochę mają do czynienia z życiem katorgi — patrzą na więźniów w jakiś przesadny sposób. Oczekują jak gdyby z niepokojem, że się więzień ni stąd, ni zowąd rzuci z nożem na którego z nich. Ale, co najdziwniejsze, sami więźniowie zdawali sobie sprawę, że budzą lęk, i to widocznie poniekąd podbijało im bębenka. Tymczasem, najlepszym dla więźniów naczelnikiem bywa taki właśnie, który się ich nie boi. A przy tym, samym więźniom, choć nadrabiają miną, daleko jest przyjemniej, kiedy się do nich ma zaufanie. Można tym nawet ich zjednać. Za mojego pobytu w więzieniu zdarzało się, wprawdzie nadzwyczaj rzadko, że któryś z przełożonych wchodził bez konwoju. Trzeba było widzieć, jak to zdumiewa więźniów, a zdumiewa przychylnie. Taki nieulekły gość zawsze budził szacunek, i gdyby nawet rzeczywiście mogło się stać coś karygodnego, przy nim by się to nie stało. Wszędzie, gdziekolwiek są, więźniowie budzą strach, a nie wiem, dalibóg, jakie jest właściwie źródło tego strachu. Nie przeczę, do pewnego stopnia uzasadnia go już sam wygląd zewnętrzny więźnia, uznanego zbója;

ponadto każdy, kto zbliża się do więzienia, czuje, że cała ta gromada ludzi zebrała się tu nie z własnej woli i że, wbrew wszelkim środkom ostrożności, z żywego człowieka niepodobna zrobić trupa; ma on uczucia, pożąda zemsty i życia, ma namiętności, ma potrzebę ich zaspokojenia. Lecz mimo to jestem święcie przekonany, że nie ma powodu obawiać się więźniów. Nie tak to łatwo i nie tak prędko rzuca się człowiek z nożem na drugiego człowieka. Słowem, jeżeli nawet niebezpieczeństwo jest do pomyślenia, jeżeli nawet niekiedy zachodzi ono istotnie, to skutek rzadkości podobnych nieszczęśliwych wypadków można twierdzić wręcz, że jest znikome. Oczywiście, mówię obecnie tylko o więźniach po ostatecznym wyroku, z których niejeden cieszy się nawet, że się nareszcie dostał do katorgi (tak dalece miły bywa niekiedy nowy żywot!), a przeto skłonny jest żyć spokojnie i zgodnie; przy tym zaś, sami koledzy nie pozwolą prawdziwym mąciwodom zanadto zadzierać nosa. Każdy katorżnik, choćby najśmielszy zuchwalec, boi się wszystkiego na katordze. Co innego — aresztant podsądny. Ten rzeczywiście gotów się rzucić na postronnego człowieka ot tak sobie, z łaski na pociechę, dlatego, na przykład, że jutro czeka go kara cielesna, w razie zaś nowej sprawy kara się odwlecze. Tu jest przyczyna, jest cel napaści — mianowicie: „zmienić swój los” za wszelką cenę i możliwie najprędzej. Znam nawet jeden dziwny wypadek psychologiczny tego rodzaju.

W naszym więzieniu, w grupie wojskowej, siedział pewien aresztant, były żołnierz, nie pozbawiony praw, z wyroku sądu przysłany na jakie dwa lata, straszny fanfaron i niepospolity tchórz. Na ogół fanfaronada i tchórzostwo rzadko cechuje rosyjskiego żołnierza. Nasz żołnierz bywa zwykle tak zajęty, że choćby i chciał, nie miałby czasu bawić się w fanfaron. Ale skoro już nim jest, to prawie zawsze jest także nicponiem i tchórzem. Dutow (nazwisko aresztanta) odbył wreszcie swój krótki termin i wrócił do batalionu liniowego. Ponieważ jednak wszyscy ludzie tego typu, przysłani do więzienia w celu poprawy, ostatecznie się w nim bakierują, więc zazwyczaj bywa tak, że spędziwszy na wolności dwa, trzy tygodnie najwyżej znowu idą pod sąd i wracają do więzienia, tylko już nie na dwa lub trzy lata, ale do kategorii „ustawicznej”, na lat piętnaście lub dwadzieścia. Tak było i w tym wypadku. W parę tygodni po wyjściu z więzienia Dutow dokonał kradzieży z włamaniem, a na dobitkę zachował się bezczelnie i grubiańsko. Oddano go pod sąd i skazano na surową karę. Bojąc się nieprawdopodobnie, nieopisanie, jak najędzniejszy tchórz czekającej go kary, Dutow, w wilię dnia, gdy miano go pędzić przez kije, rzucił się z nożem na oficera dyżurnego, który wszedł do izby aresztanckiej. Naturalnie, rozumiał doskonale, że taki postępek spowoduje o wiele cięższy wyrok i dłuższy termin robót w katordze. Jednakże chodziło mu o to właśnie, żeby na kilka bodaj dni, bodaj na kilka godzin oddalić straszną chwilę kary! Był tak dalece tchórzliwy, że rzuciwszy się z nożem, nawet nie zranił oficera, zrobił wszystko tylko dla oka, tylko po to, żeby się skutek nowego przestępstwa odbyła ponowna rozprawa.

Zapewne, chwila przed karą jest przeraźliwa dla skazanego i w ciągu kilku lat zdarzyło mi się widzieć sporo podsądnych w wilię fatalnego dla nich dnia. Zazwyczaj spotykałem się z

pod sądnymi aresztantami w szpitalu, w izbach aresztanckich, kiedy leżałem chory, co się przytrafiało dość często. W całej Rosji wiadomo wszystkim więźniom, że ludźmi okazującymi im najwięcej współczucia są lekarze. Nigdy nie robią oni różnicy między więźniami, jak to mimo woli robią wszyscy bez mała postronni, może tylko z wyjątkiem prostego ludu. Lud nigdy nie wypomina więźniowi jego zbrodni, chociażby najstraszniejszej, i przebacza mu wszystko ze względu na poniesioną karę i w ogóle ze względu na jego nieszczęście. Nie darmo lud w całej Rosji nazywa zbrodnię nieszczęściem, a zbrodniarzy nieszczęśliwymi. Jest to głęboko symptomatyczne określenie. Tym donioślejsze, że nieświadome, instynktowe. Lekarze zaś to w wielu wypadkach istna ucieczka dla więźniów, a zwłaszcza dla podsądnych, których się traktuje ostrzej niż skazańców po wyroku... Otóż podsądny, obliczywszy sobie prawdopodobny termin przeraźliwego dlań dnia, często idzie do szpitala, pragnąc choć trochę odwlec ciężką chwilę. Gdy się zaś wypisuje ze szpitala, prawie zawsze wiedząc na pewno, że fatalny termin przypada jutro, zwykle bywa mocno zdenerwowany. Niektórzy, z ambicji, starają się ukryć swe uczucia, ale niezręczna, wymuszona odwaga nie zwiedzie ich kolegów. Wszyscy pojmują, o co chodzi, i z litości milczą. Znałem pewnego aresztanta, młodego człowieka, zabójcę, byłego żołnierza, skazanego na pełną liczbę kijów. Struchlał do tego stopnia, że w przeddzień kary postanowił wypić pół kwarty wódki, w której moczył tytoń. Nawiasem dodam, że wódka zawsze się zjawia u podsądnego aresztanta przed karą. Przynosi się ją na długo przed terminem, zdobywa za grube pieniądze, i podsądny gotów przez pół roku odmawiać sobie najnieodzowniejszych rzeczy, byleby uciuchać kwotę potrzebną na ćwiartkę wódki, żeby ją wypić na kwadrans przed karą. W ogóle utrzymuje się wśród więźniów przekonanie, że pijany mniej dotkliwie czuje kańczug czy kiję. Odbiegłem jednak od tematu. Nieborak, po wypiciu swej półkwarty wódki, istotnie natychmiast się rozchorował; zaczął wymiotować krwią i prawie nieprzytomny został odwieziony do szpitala. Te wymioty tak bardzo nadwerżyły mu piersi, że po kilku dniach stwierdzono oznaki prawdziwych suchot, na które też zmarł po upływie pół roku. Lekarze, kurujący go na suchoty, nie wiedzieli, czemu się one wywiązały.

Lecz opowiadając o częstych wypadkach strachu zbrodniarzy w obliczu kary, powinienem nadmienić, że niektórzy z nich, przeciwnie, zdumiewają obserwatora niesłychanym hartem. Pamiętam kilka przykładów odwagi graniczącej wręcz z nieczułością na ból, i przykłady te wcale nie były rzadkie. Pamiętam zwłaszcza spotkanie z jednym straszliwym zbrodniarzem. Pewnego letniego dnia gruchnęła w szpitalnych izbach aresztanckich pogłoska, że wieczorem zostanie ukarany słynny rozbójnik Orłow, dezerterski, i że po karze przyprowadzą go do szpitala. Chorzy aresztanci czekając na przybycie Orłowa twierdzili, że kara będzie okrutna. Wszyscy byli mniej lub więcej zdenerwowani, a wyznam, że i ja czekałem ukazania się sławetnego bandyty z niezwykłą ciekawością. Dawno już słyszałem o nim cuda. Był to złoczyńca jakich mało, z zimną krwią zarzynający starych i dzieci, człowiek o straszliwej sile woli i dumnej świadomości swej siły. Przyznał się do wielu morderstw i został skazany na kiję. Przyprowadzono go do nas

wieczorem. W izbie było już ciemno i zapalono świece. Orłow był prawie nieprzytomny, okropnie blady, o gęstych zmierzwionych, czarnych jak smoła włosach. Plecy miał spuchnięte, barwy krwawo-sinej. Przez całą noc więźniowie pielęgowali go, zmieniali mu wodę, obracali go z boku na bok, dawali mu lekarstwo, zupełnie jakby to był bliski ich krewny albo wspaniałomyślny dobroczyńca. Zaraz na drugi dzień całkiem się ocknął i parę razy przeszedł się po izbie! Wprawiło mnie to w zdumienie: przybył do szpitala taki słaby i wymęczony. Za jednym zamachem dostał aż połowę całej wyznaczonej mu liczby kijów. Doktor przerwał egzekucję dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że dalsze jej trwanie groziłoby zbrodniarzowi niechybną śmiercią. Przy tym Orłow był małego wzrostu i wątłej budowy ciała, a na dobitkę wycieńczony długim pobytem w więzieniu przed rozprawą. Kto miał sposobność spotkać kiedy podsądnych aresztantów, ten prawdopodobnie na długo zapamiętał sobie ich wycieńczone, chude i blade twarze, ich gorączkowe spojrzenia. Mimo to Orłow szybko się poprawił. Widocznie wewnętrzna, duchowa jego energia wielce pomagała naturze. Istotnie, był to człowiek niezupełnie przeciętny. Z ciekawości zawarłem z nim bliższą znajomość i obserwowałem go przez cały tydzień. Stanowczo mogłem powiedzieć, że nigdy w życiu nie spotkał człowieka silniejszego, o bardziej nieugiętym charakterze. Raz, w Tobolsku, widziałem już pewną znakomitość w takim samym rodzaju, byłego herszta bandytów. Tamten był w całej pełni dziką bestią, i jeżeli kto stanął przy nim nie znając jeszcze jego nazwiska, już czuł instynktownie, że ma przed sobą straszną istotę. Najbardziej przerażało mnie w nim stopień duchowe. Cieleśność do takiego stopnia brała górę nad wszystkimi jego cechami duchowymi, żeś od pierwszego rzutu oka na jego twarz widział, iż pozostała tu jedynie dzika żądza fizycznych rozkoszy, lubieżności, zmysłowości. Jestem pewien, że Koreniew — tak się nazywał ów zbój — upadłby zapewne na duchu i dygotałby ze strachu przed karą, choć potrafił zarzynać ludzi bez zmruczenia powiek. Biegunowe jego przeciwieństwo stanowił Orłow. Zaiste, było to całkowite zwycięstwo nad ciałem. Znać było, że ten człowiek zdoła władać sobą bezgranicznie, że pomiata wszelkimi mękami i karami i niczego na świecie się nie lęka. Widzieliśmy w nim tylko nieskończoną energię, żądzę czynu, żądzę odwetu, pragnienie dopięcia wytyczonego sobie celu. Między innymi zdumiała mnie dziwna jego wyniosłość. Spozierał na wszystko aż niewiarygodnie z góry, wcale jednak nie starając się chodzić na szczydłach, owszem, w sposób całkiem naturalny. Sądzę, że nie ma na świecie istoty, która by mogła oddziaływać nań samym tylko autorytetem. Patrzył na wszystko jakoś niespodziewanie spokojnie, jak gdyby nie było na świecie nic, co by go mogło zdziwić. I chociaż w pełni zdawał sobie sprawę, że inni więźniowie spoglądają na niego z szacunkiem, bynajmniej się przed nimi nie popisywał. A przecież próżność i zarozumiałość właściwe są prawie wszystkim więźniom bez wyjątku. Był bardzonięgłupi i dziwnie szczery, chociaż ani trochę nie gadatliwy. Na moje pytania odpowiadał mi wprost, że oczekuje wyzdrowienia, aby co rychlej odbyć resztę kary, i że z początku, przed karą, miał wątpliwości, czy ją wytrzyma. „Ale teraz — dodał mrugając do mnie - już po wszystkim. Odbędę resztę kijów, i wnet wyślą nas do Nerczyńska, a ja z drogi dam nura! Żeby

tam nie wiem co! Byleby tylko plecy prędzej się wygoiły! I przez całe te pięć dni czekał skwapliwie, kiedy nareszcie będzie się mógł wypisać ze szpitala. Oczekując na to był czasami bardzo wesół i skłonny do śmiechu. Próbowałem nagabywać go o jego dzieje i przygody. Nieco się chmurzył przy tych pytaniach, lecz odpowiadał zawsze otwarcie. Gdy zaś zmiarkował, że się dobieram do jego sumienia i pragnę w nim wytropić bodaj cień skruchy, popatrzył na mnie z taką pogardą i lekceważeniem, jak gdybym się nagle przedzierzgnął w jego oczach w małego, głupiutkiego brzdąca, z którym niepodobna rozmawiać jak z dorosłym. Ba, coś w rodzaju politowania odmalowało się na jego twarzy. Po chwili wybuchnął jak najbardziej prostodusznym śmiechem, zgoła bez ironii, i jestem przekonany, że zostawszy sam i wspominając moje słowa, niejednokrotnie śmiał się ze mnie w duchu. Wreszcie wypisał się z niezupełnie jeszcze zagojonymi plecami; ja także wypisałem się tym razem, i tak się złożyło, żeśmy wyszli ze szpitala jednocześnie: ja do więzienia, on zaś do położonej obok kordegardy, w której i przedtem siedział. Na pożegnanie uściśnął mi rękę, i z jego strony było to dowodem nie byle jakiego zaufania. Myślę, że zrobił to dlatego, iż był wielce zadowolony z siebie i z owej chwili. W gruncie rzeczy nie mógł nie gardzić mną i z pewnością musiał patrzeć na mnie jako na istotę uległą, słabą, żalospną i pod każdym względem niższą niż on. Już nazajutrz poprowadzono go na powtórny chłostę...

Gdy zamknięto nasze koszary, od razu przybrały one jakiś szczególny wygląd — wygląd prawdziwego mieszkania, ogniska domowego. Dopiero teraz mogłem widzieć więźniów, moich towarzyszy, zupełnie jak w domu. W dzień podoficerowie, wartownicy i w ogóle przełożeni mogli w każdej chwili przybyć do więzienia, toteż wszyscy jego mieszkańcy zachowują się jakoś inaczej, jak gdyby nie całkiem się uspokoili, jak gdyby lada moment z trwogą czegoś oczekiwali. Lecz skoro tylko zamknięto koszary, wszyscy się niezwłocznie rozlokowali ze spokojem, każdy na swym miejscu, i prawie każdy zabrał się do tej czy innej roboty. W koszarach zrobiło się nagle widno. Każdy miał własną świecę i własny lichtarz, przeważnie drewniany. Jedni zasiedli do szycia butów, drudzy do łatania odzieży. Zaduch wzmagał się w koszarach z godziny na godzinę. Gromadka karciarzy kucnęła w kątku przed rozesłanym dywanem. Prawie w każdych koszarach był taki więzień, który trzymał u siebie lichutki dywanik, świecę i nieprawdopodobnie zaszargane, zatłuszczone karty. Wszystko to razem nazywało się: majdan. Właściciel pobierał od grających opłatę, jakieś piętnaście kopiejek za noc: był to jego handel. Karciarze grali zwykle w „trzy liście”, w „górkę” i tak dalej. Wszystkie gry były hazardowe. Każdy gracz wysypywał przed sobą kupkę miedzianych pieniędzy — wszystko, co miał w kieszeni, a wstawał z kucek dopiero wtedy, gdy albo sam się zgrał do nitki, albo ograł kolegów. Gra kończyła się późną nocą, niekiedy zaś trwała do świtu, do chwili otwarcia koszar. W naszej izbie, podobnie jak i we wszystkich innych koszarach, zawsze bywali nędzarze, hołysze, co przegrali i przepili wszystko, albo po prostu byli nędzarzami z urodzenia. Mówię: „z urodzenia”, i kładę na tych słowach szczególny nacisk. W rzeczy samej, wszędzie w naszym ludzie, w każdych bez wyjątku okolicznościach, w każdych bez wyjątku warunkach, zawsze istniały i będą istnieć pewne jednostki, potulne i

częstokroć wcale nieleniwe, lecz którym sam już los zapijał dozgonną nędzę. Są to zawsze samotnicy, niechluj, zawsze wyglądają stropieni i zafrasowani, wiecznie chodzą u kogoś w dyszlu, są u kogoś na posyłkach, najczęściej u hulaków albo u nagle wzbogaconych karciarzy. Wszelkie wyróżnienie, wszelka inicjatywa — to dla nich zgryzota i ciężar. Jak gdyby się urodzili pod warunkiem, by nigdy nic samym nie rozpoczynać i tylko usługiwać, żyć wedle cudzej chęci, tańczyć, jak im kto zagra; ich przeznaczeniem — pełnić cudzą wolę. Na domiar wszystkiego, żadne okoliczności, żadne przewroty nie zdołają ich wzbogacić. Zawsze klepią nędzę. Zauważyłem, że się takie osobniki trafiają nie tylko wśród ludu, ale też we wszystkich sferach, warstwach, stronnictwach, w redakcjach i stowarzyszeniach. Tak również było i w każdym koszarach, w każdym więzieniu, i skoro tylko powstawał majdan, jeden z takich niezwłocznie zjawiał się na usługi. Bo też ani jeden majdan nie mógł się obejść bez posługacza. Zazwyczaj wynajmowali go gracze gremialnie, na całą noc, za jakieś pięć kopiejek srebrem, i główny jego obowiązek polegał na tym, że całą noc musiał stać na warcie. Przeważnie marzył sześć czy siedem godzin po ciemku, w sieni, na trzydziestostopniowym mrozie i nasłuchiwał lada szmeru: lada dźwięku, lada kroku na dziedzińcu. Placmajor lub wartownicy przybywali czasem późną nocą, wchodzili cicho, wyłapywali i grających, i pracujących, i nadliczbowe świece, które można było dojrzeć jeszcze z dworu. Bądź co bądź, kiedy raptem zaczynał zgrzytać zamek w drzwiach z sieni na dziedziniec, za późno już było się chować, gasić świece i kłaść się na pryczach. Ponieważ jednak dyżurujący dotkliwie obrywał potem od majdanu, więc wypadki takiego gapiostwa zdarzały się niesłychanie rzadko. Zapewne, pięć kopiejek — to śmiesznie marna płaca, nawet w więzieniu; ale i w tym, i w wielu innych wypadkach zawsze zdumiewała mnie surowość i bezlitosność najemców. „Wzięłeś pieniądze, więc służ!” Był to argument nie znoszący żadnych sprzeciwów. Za wypłacony grosz najemca brał wszystko, co się dało wziąć, brał nawet i więcej, jeśli tylko mógł, a na dobitkę uważał, że wyświadcza najemnikowi łaskę. Hulaka, pijany, bez rachuby szastający pieniędzmi na prawo i na lewo, nigdy nie omieszkał zarwać najemnika przy obrachunku, a zauważyłem to nie tylko w więzieniu, nie tylko w majdanie.

Jużem powiedział, że w koszarach prawie wszyscy zasiedli do jakiegoś zatrudnienia: poza graczami, najwyżej pięciu ludzi nie miało zgoła nic do roboty: ci od razu poszli spać. Moje miejsce na pryczach znajdowało się tuż przy drzwiach. Po drugiej stronie pryczy, głowa w głowę ze mną, sypiał Akim Akimycz. Do godziny dziesiątej czy jedenastej pracował, lepił jakiś wielobarwny chiński lampion, obstalowany przez kogoś z miasta za dosyć przyzwoitą zapłatę. Sporządzał lampiony po mistrzowsku, pracował metodycznie, bez przerwy; po skończonej zaś pracy składał wszystko skrętnie, słał swój materacyk, modlił się i, jak Bóg przykazał, kładł się na swoim posłaniu. Jego umiłowanie ładu i porządku dochodziło snadź do najdrobiazgowszego pedantyzmu; widocznie, jak zresztą wszyscy tępi i ograniczeni ludzie, uważał się za niezmiernie rozumnego człowieka. Nie spodobał mi się zaraz od pierwszego dnia, chociaż, pamiętam, w tym pierwszym dniu wiele o nim rozmyślałem i najbardziej się dziwiłem, że taki osobnik, zamiast

zrobić karierę w życiu, znalazł się w więzieniu. Nieraz jeszcze będę miał sposobność mówienia o Akimie Akimyczu.

Lecz opiszę pokrótce skład całych naszych koszar. Miałem w nich spędzić długie lata i wszystko to byli moi przyszli współmieszkańcy i towarzysze. Łatwo pojąć, że im przyglądałem z zachłanną ciekawością. Na lewo ode mnie mieściła się gromadka górali kaukaskich, przeważnie zesłanych za grabież i na różne terminy. Byli to: dwaj Lezgini, jeden Czeczeniec oraz trzech dagestańscy Tatarzy. Czeczeniec był istotą posępną i ponurą; prawie z nikim nie rozmawiał i stale się rozglądał z nienawiścią, spode łba, z jadowitym, złośliwie szyderyczym uśmiechem. Jeden z Lezginów był już stary, miał długi, cienki, garbaty nos, wyglądał na zbója bez czci i wiary. Za to drugi, Nurra, od pierwszego dnia wywarł na mnie jak najlepsze, jak najmiłsze wrażenie. Był to człowiek niestary jeszcze, niewysokiego wzrostu, zbudowany jak Herkules, jasny blondyn o bładoniebieskich oczach, o nosie zadartym, z twarzą Czuchonki i z nogami kabłąkowatymi, ponieważ dawniej wciąż jeździł konno. Całe jego ciało było posiekane, pokłute bagnetami i kulami. Na Kaukazie należał do pojednanych, lecz ustawicznie jeździł ukradkiem do niepojednanych górali i stamtąd po społu z nimi dokonywał napadów na Rosjan. Na katordze wszyscy go lubili. Zawsze był wesół, dla wszystkich życzliwy, pracował bez szemrania, spokojnie i pogodnie, mimo że często patrzył z oburzeniem na brud i plugastwo więziennego życia i wściekle się obruszał na wszelkie złodziejstwo, szwindlerkę, pijaństwo i w ogóle wszystko, co było nieuczciwe; kłótni jednak nie wszczynał i tylko odwracał się z pasją. Sam w ciągu całej swej katorgi nie ukradł, nie popełnił ani jednego zdrożnego czynu. Był niesłychanie pobożny. Modlitwy odmawiał skrupulatnie; w poście przed świętami mahometańskimi pościł jak fanatyk i całe noce trawił na modłach. Wszyscy go lubili i wierzyli w jego rzetelność. „Nurra — to lew” — mawiali więźniowie, i ta nazwa lwa przyłgnęła doń na stałe. Był święcie przekonany, że po skończonym terminie katorgi wróci do domu, na Kaukaz, i żył tylko tą nadzieją. Umarłby, sądzę, gdyby ją stracił. Zaraz pierwszego dnia pobytu w więzieniu zwróciłem na niego uwagę. Nie można było nie zauważyć jego dobrej, współczującej twarzy pośród złych, ponurych i szyderyczych twarzy innych katorżników. W ciągu pierwszych trzydziestu minut mego pobytu na katordze Nurra przechodząc koło mnie poklepał mię po ramieniu, dobrodusznie śmiejąc mi się w oczy. Nie zrozumiałem z początku, co to ma znaczyć. Bardzo kiepsko mówił po rosyjsku. Wkrótce potem znowu zbliżył się do mnie i znowu z uśmiechem po przyjacielsku uderzył mnie po ramieniu. Potem znowu i znowu, i tak trwało trzy dni. Jakem się później domyślił i dowiedział, znaczyło to z jego strony, że mu mnie żal, że czuje, jak mi jest ciężko znajomić się z więzieniem, że chce okazać mi przyjaźń, pokrzepić i upewnić mnie o swej opiece. Pocziwy, naiwny Nurra!

Dagestańskich Tatarów mieliśmy trzech, a byli to rodzeni bracia. Dwaj z nich byli już w pewnym wieku, trzeci natomiast, Alej, miał co najwyżej dwadzieścia dwa lata, wyglądał zaś jeszcze młodziej. Na pryczach sąsiadowaliśmy ze sobą. Jego piękna, szczerza, rozumna a zarazem

dobrodusznie naiwna twarz od pierwszego wejrzenia podbiła moje serce, i bardzo byłem rad, że mi los dał za sąsiada jego właśnie, a nie kogo innego. Całą duszę tego młodzieńca wyrażały jego ładne, rzec nawet można piękne rysy. Uśmiech jego był taki ufny, tak dziecięco prostoduszny, wielkie czarne oczy były tak łagodne, tak serdeczne, że patrząc na niego czułem zawsze szczególniejszą przyjemność, nawet ulgę w troskach i smutku. Mówię to bez przesady. W ojczyźnie starszy jego brat (miał pięciu starszych braci; dwaj inni dostali się do jakiejś fabryki) kazał mu kiedyś wziąć szablę i dosiąść konia, żeby się wspólnie udać na jakąś wyprawę. Szacunek dla starszych jest w rodzinach góralskich tak wielki, że chłopak nie tylko nie śmiał, lecz nawet nie przyszło mu na myśl zapytać, dokąd wyruszają. Oni zaś nie uważali za potrzebne powiadamiać go o tym. Jechali wszyscy na rozbój, mieli zdybać na gościńcu i ograbić pewnego bogatego ormiańskiego kupca. Tak się też stało: wyrznęli konwój, zabili Ormianina i zrabowali jego towar. Aliści sprawka wyszła na jaw: ujęto wszystkich sześciu, sądzono, dowiedziono im zbrodni, ukarano i zesłano na Syberię, na roboty. Jedyną łaską, jaką sąd zrobił Alejowi, był krótszy termin kary: zesłano go na cztery lata. Bracia kochali go bardzo, i to raczej ojcowską niż braterską miłością. Stanowił ich pociechę na zesłaniu, i ludzie ci, zazwyczaj pochmurni i posępni, zawsze się uśmiechali patrząc na niego, gdy zaś z nim rozmawiali (a rozmawiali z nim nader rzadko, jakby wciąż jeszcze uważając go za chłopaka, z którym nie warto gadać o rzeczach poważnych), surowe ich twarze rozpogadzały się, i odgadywałem, że mówią z nim o czymś żartobliwym, niemal dziecinnym; w każdym razie zawsze popatrywali na siebie i uśmiechali się dobrodusznie, wysłuchawszy jego odpowiedzi. On zaś żywił do nich taki szacunek, że prawie nigdy nie śmiał się do nich zwrócić. Trudno sobie wyobrazić, jak ten chłopak potrafił przez cały czas pobytu na katordze zachować taką miękkość serca, wyrobić w sobie nieskazitelną uczciwość, taką łagodność, współczucie dla innych, nie zdemoralizować się, nie zordynarnieć. Była to zresztą, mimo całą pozorną miękkość, natura silna i wytrzymała. Dobrzem go później poznał. Był cnotliwy jak dziewica, i czyjś niecny, cyniczny, plugawy czy niesprawiedliwy, krzywdzący uczynek rozpalał płomień oburzenia w jego pięknych oczach, które się wskutek tego stawały jeszcze piękniejsze. Unikał jednak swarów i połajanek, choć nie należał bynajmniej do tych, co dają bezkarnie dmuchać sobie w kaszę, i umiał się bronić. Ale z nikim kotów nie darł; wszyscy go lubili i odnosili się do niego serdecznie. Dla mnie był z początku tylko grzeczny. Stopniowo zacząłem z nim rozmawiać: w kilka miesięcy wybornie nauczył się mówić po rosyjsku, czego bracia jego nie dokazali przez cały czas katorgi. Wydał mi się rozumnym chłopakiem, nadzwyczaj skromnym i delikatnym, a nawet bardzo myślącym. W ogóle, powiem z góry: uważam Aleja za człowieka całkiem nieprzeciętnego, a spotkanie z nim wspominam jako jedno z najmiłszych spotkań w moim życiu. Są natury tak piękne z urodzenia, tak szczodrobliwie wyposażone przez Boga, że sama już myśl o tym, iż mogą się kiedyś zmienić na gorsze, wydaje się nam niepodobieństwem. O takich ludzi jesteśmy zawsze spokojni. Również i obecnie spokojny jestem o Aleja. Gdzie jest on teraz?...

Kiedyś, już po dość długim pobycie w więzieniu, leżałem na pryczy pogrążony w smutnych myślach. Alej, zwykle pilny i pracowity, tym razem nic nie robił, na sen zaś było jeszcze za wcześnie. Działo się to w jakieś święto muzułmańskie, toteż Tatarzy nie pracowali. Leżał na wznak, założywszy ręce pod głowę, i także o czymś rozmyślał. Wtem zagadnął do mnie:

— Słuchaj, bardzo ci teraz ciężko?

Spojrzałem nań z ciekawością, i to szybkie obcesowe pytanie wydało mi się dziwnym w ustach Aleja, zawsze delikatnego, zawsze dyskretnego, zawsze pełnego dobroci; ale kiedy popatrzyłem uważniej, zobaczyłem na jego twarzy tyle tęsknoty, tyle płynącej ze wspomnień udręki, żeżem uznał od razu, iż jemu samemu jest bardzo ciężko, i to właśnie w tej chwili. Podzieliłem się z nim moim domysłem. Westchnął i smutno się uśmiechnął. Lubiłem jego uśmiech, zawsze tkliwy i serdeczny. A przy tym ukazywał w uśmiechu dwa rzędy perłowych zębów, których piękności mogłaby pozazdrościć najurodziwsza w świecie kobieta.

— Aleju, pewnie myślałeś teraz o tym, jak u was w Dagestanie obchodzą dzisiejsze święto? Musi tam być ładnie.

— Tak — odparł z zachwytem i oczy mu się rozpromieniły. — Ale skąd wiesz, że myślę o tym?

— Jakżebym mógł nie wiedzieć! Cóż, lepiej tam niż tutaj?

— O, po co to mówisz?...

— Pewnie mnóstwo tam u was kwiatów, istny raj?

— O-och, lepiej nie mów.

Był bardzo wzruszony.

— Słuchaj no, Aleju, miałaś siostrę?

— Miałem, a bo co?

— Musi być piękna, jeżeli podobna do ciebie.

— Iii, gdzie tam do mnie! Taka jest piękna, że piękniejszej nie ma w całym Dagestanie. Ach, jakaż ta moja siostra piękna! Nie widziałeś takiej! Matka moja także była piękna.

— A czy matka cię kochała?

— Ach! Co też ty mówisz! Z tęsknoty po mnie pewnie teraz umarła. Byłem jej ukochanym synem. Kochała mnie więcej niż siostrę, więcej niż wszystkich... Dzisiaj przychodziła do mnie we śnie i płakała nade mną.

Umilkł i tego wieczoru nie powiedział już ani słowa. Lecz odtąd zawsze szukał rozmów ze mną, mimo że sam — wskutek szacunku, jaki nie wiedzieć czemu żywił do mnie — nigdy się pierwszy nie odzywał. Za to bardzo był kontent, gdy się zwracałem do niego. Wypytywałem go o Kaukaz, o dawniejsze jego życie. Bracia nie bronili mu rozmawiać ze mną, i owszem, sprawiało im to przyjemność. Oni również, widząc, że coraz bardziej lubię Aleja, stali się dla mnie znacznie serdeczniejsi.

Alej pomagał mi w pracy, jak mógł, usługiwał mi w koszarach, i znać było, że mu bardzo przyjemnie ulżyć mi choć trochę i dogodzić, a w tej chęci dogodzenia nie było cienia uniżoności

czy interesowności, tylko rzewne, przyjacielskie do mnie uczucie, którego już nawet nie tał. Między innymi, miał spore zdolności do robót ręcznych; nauczył się wcale przyzwoicie szyć bieliznę i buty, później zaś, gdy trafiła się okazja, nauczył się stolarki. Bracia go chwalili i byli zeń dumni.

— Słuchaj no, mój Aleju — powiedziałem pewnego razu — czemu się nie nauczysz czytać i pisać po rosyjsku? Czy wiesz, że ci się to później może przydać tutaj, na Syberii?

— Bardzo chcę. Ale od kogo mam się uczyć?

— Alboż tu mało piśmiennych! Ot, chcesz, to cię nauczę?

— Ach, naucz, proszę! — Tu Alej aż się uniósł na pryczy i błagalnie złożył ręce patrząc na mnie.

Już nazajutrz wieczorem zabraliśmy się do dzieła. Miałem rosyjski przekład Nowego Testamentu — książkę nie zakazaną w więzieniu. Bez elementarza, na tej jednej książce, Alej w kilka tygodni nauczył się świetnie czytać. Po upływie jakich trzech miesięcy doskonale już rozumiał język książkowy. Uczył się z zapalem, z pasją.

Kiedyś przeczytaliśmy z nim całe Kazanie na górze. Spostrzegłem, że niektóre wersety wymawia jak gdyby ze szczególnym uczuciem.

Spytałem, czy mu się podoba to, co przeczytał.

Popatrzył na mnie bystro i rumieniec wystąpił na jego twarzy.

— Ach tak! — odrzekł — tak. Isa - święty prorok, Isa mówił Boże słowa. Jak pięknie!

— Cóż ci się najbardziej podoba?

— Ano tam gdzie On mówi: „przebaczaj, kochaj, nie krzywdź i miłuj nieprzyjaciół”. Ach, jak pięknie On mówi!

Obrócił się do braci, którzy słuchali naszej rozmowy, i z ogniem jął im coś przekładać. Tamci długo i poważnie gawędzili ze sobą i potakująco kiwali głowami. Następnie, z dostojnie przychylnym, to znaczy iście muzułmańskim uśmiechem (który tak lubię, a lubię właśnie dostojność tego uśmiechu) zwrócili się do mnie i potwierdzili, że Isa był Bożym prorokiem i czynił wielkie cuda; że zrobił z gliny ptaka, dmuchnął na niego i ptak poleciał... i że jest to napisane w ich księgach. Mówiąc to byli święcie przekonani, że sprawiają mi wielką przyjemność wychwalaniem Isy, Alej zaś był bez zastrzeżeń szczęśliwy, że bracia jego postanowili i zechcieli sprawić mi tę przyjemność.

Pisanie także poszło nam bardzo gładko. Alej wystarał się o papier (nie pozwolił mi kupić go za moje pieniądze), pióra, atrament, i w ciągu jakich dwóch miesięcy znakomicie nauczył się pisać. To nawet zdumiało jego braci. Ich dumy i zadowolenie nie miały granic. Nie wiedzieli, jak mi się odwdzięczyć. Na robotach, ilekroć zdarzyło nam się pracować razem, na wypródki pomagali mi i poczytywali to sobie za szczęście. O Aleju nawet już nie mówię. Kochał mnie chyba nie mniej niż braci. Nigdy nie zapomnę, jak wychodził z więzienia. Poprowadził mnie za koszary, tam rzucił mi się na szyję i zapłakał. Nigdy przedtem nie całował mnie i nie płakał. „Zrobiłeś dla

mnie tyle, zrobiłeś tyle — mówił — że ojciec mój, matka moja tyle by dla mnie nie zrobili: uczyniłeś mnie człowiekiem, Bóg ci zapłaci, a ja nigdy o tobie nie zapomnę..."

Gdzie jest teraz mój dobry, miły, drogi Alej!...

Oprócz Czerkiesów mieliśmy w koszarach całą gromadkę Polaków, stanowiących zupełnie osobną rodzinę, która się prawie nie komunikowała z resztą więźniów. Jużem wspomniał, że za swą ekskluzywność, za swą nienawiść do katorżników-Rosjan, byli z kolei znienawidzeni przez wszystkich. Były to natury udręczone, chore; było ich ze sześciu. Niektórzy z nich byli ludźmi wykształconymi; o nich będę później mówił osobno i szczegółowo. Niekiedy, w ostatnich latach swego życia w więzieniu, dostawałem od Polaków różne książki. Pierwsza książka, którą przeczytałem, wywarła na mnie silne, dziwne, szczególne wrażenie. O tych wrażeniach opowiem kiedyś oddzielnie. Są one dla mnie bardzo ciekawe, a jestem pewien, że dla wielu będą zupełnie niezrozumiałe. O niektórych rzeczach niepodobna sądzić, jeśli się ich nie doświadczyło. Jedno powiem: że wyrzeczenia moralne o wiele są cięższe od wszelkich mąk fizycznych. Idący na katorgę człowiek z gminu przychodzi do znanego sobie, może nawet bardziej rozwiniętego środowiska. Zapewne, stracił wiele: ojczyste strony, rodzinę, wszystko, ale środowisko jego pozostaje bez zmiany. Człowiek wykształcony, gdy go prawo skarże na tę samą karę co człowieka z gminu, częstokroć traci nierównie więcej. Musi stłamsić w sobie wszystkie swe potrzeby, wszystkie nawyki; musi przejść do innego środowiska, musi nauczyć się oddychać innym powietrzem... Jest rybą wyrzuconą z wody na piasek... I często kara, prawnie dla wszystkich jednakowa, staje się dla niego dziesięciokrotnie uciążliwszą. Jest to prawda... gdyby nawet chodziło wyłącznie o przyzwyczajenia materialne, z których trzeba zrezygnować.

Lecz Polacy stanowili osobną zwartą gromadkę. Było ich sześciu i trzymali się razem. Ze wszystkich katorżników w naszych koszarach lubili tylko pewnego Żyda, i to może dlatego jedynie, że ich bawił. Zresztą naszego Żydkę lubili też inni więźniowie, jakkolwiek wszyscy bez wyjątku śmiali się z niego. Był u nas unikatem, i do dziś dnia nie potrafię wspomnieć go bez śmiechu. Ilekroć patrzyłem na niego, zawsze mi się przypominał Gogolowski Żydek Jankiel (z *Tarasa Bulby*), który, skoro zdjął odzież, by wspólnie ze swą Żydówką wleźć na noc do jakiejś szafy, od razu stał się niesłychanie podobny do kurczęcia. Izajasz Fomicz, nasz Żydek, był jak dwie krople wody podobny do oskubanego kurczaka. Był to człowiek już niemłody, gdzieś koło pięćdziesiątki, małego wzrostu i chuchrowaty, przebiegły, a zarazem zdecydowanie głupi. Czelny był i arogancki, a zarazem okropnie tchórzliwy. Całą twarz miał w drobnych zmarszczkach, a na czole i policzkach widniały piętna wypalone przez oprawcę. W głowie mi się nie mieściło, jak mógł wytrzymać sześćdziesiąt kańczugów. Przyszedł do nas pod zarzutem morderstwa. Przechowywał w ukryciu wystawioną przez swego lekarza receptę, którą Żydkowie dostarczyli mu natychmiast po kaźni. Na tę receptę można było dostać pewną maść, która w parę tygodni usunęłaby owe piętna. W więzieniu nie śmiał zrobić z niej użytku i oczekiwał końca swej dwunastoletniej katorgi, po której, wyszedłszy na osiedlenie, zamierzał skorzystać z recepty.

„Inaczej nie będę się mógł ożenić — powiedział mi kiedyś — a ja koniecznie chcę się ożenić.” Bardzośmy się zaprzyjaźnili. Zawsze był w świetnym humorze. Na katordze żyło mu się lekko; jubiler z zawodu, miał mnóstwo zamówień z miasta, w którym nie było jubilera, i to mu oszczędziło ciężkich robót. Naturalnie był równocześnie lichwiarzem i zaopatrywał całą katorgę w pieniądze na procent i pod zastaw. Przyszedł przede mną, i jeden z Polaków opisywał mi szczegółowo jego przybycie. Jest to arcyzabawna historia, którą opowiem później; o Izajaszu Fomiczu nieraz jeszcze będę mówił.

Na resztę mieszkańców naszych koszar składali się: czterej staroobrzędowcy, ludzie wiekowi i biegli w Piśmie, wśród których był również i ów staruszek ze słobód starodubowskich, dwaj czy trzej pochumni Małorusini, młodziutki katorżnik o szczupłej twarzyczce i cienkim nosku, chłopiec w wieku jakich dwudziestu trzech lat, który już zgładził osiem osób; gromadka fałszerzy pieniędzy, w tej liczbie pewien jegomość rozweselający całe nasze koszary, i wreszcie kilku ponurych i posepnych osobników, ogolonych i oszpeconych, zawistnych i milkliwych, z nienawiścią patrzących spode łba i zamierzających patrzeć tak, zasępiąc się, milczeć i nienawidzić przez długie jeszcze lata — przez cały czas swej katorgi. Wszystko to mignęło tylko przede mną w ten pierwszy, markotny wieczór mojego nowego życia — mignęło wśród dymu i kopci, wśród wymyślań i niewypowiedzianego cynizmu, w ciężkim zaduchu, przy brzęku kajdan, wśród przekleństw i bezwstydnego rehotu. Ległem na gołej pryczy, z odzieżą pod głową (poduszki jeszcze nie miałem), nakryłem się kożuchem, ale długo nie móg! usnąć, choć byłem znękany i jak połamany wskutek wszystkich okropnych i zaskakujących wrażeń tego pierwszego dnia. Ale moje nowe życie rozpoczynało się dopiero. Przyszłość miała jeszcze dla mnie w zanadrzu wiele rzeczy, o których nigdy jeszcze nie myślałem, których nie przeczuwałem...

V. Pierwszy miesiąc

W trzy dni po moim przybyciu do więzienia kazano mi się stawić do pracy. Wielce dla mnie pamiętny jest ten pierwszy dzień pracy, chociaż nic mi się w nim nie przydarzyło bardzo niezwykłego, przynajmniej jeżeli się uwzględni zasadniczą niezwykłość mojej sytuacji. Lecz było to również jedno z pierwszych wrażeń, a ja jeszcze wciąż zachłannie się wszystkiemu przyglądałem. Te trzy pierwsze dni zeszły mi na jak najcięższych doznaniach. „Oto koniec mojej wędrówki: jestem na katordze! — powtarzałem sobie co chwila. — Oto moja przystań na długie, długie lata, mój kąt, do którego wstępuję z takim nieufnym, z takim bolesnym uczuciem... A kto wie? Może kiedyś, gdy po wielu latach wypadnie mi się z nim rozstać, będę go żałował!...” — dodawałem nie bez domieszki tej złośliwej radości, która czasami dochodzi aż do potrzeby rozmyślnego jątrzenia rany, jak gdybyśmy pragnęli napawać się swym bólem, jak gdyby w świadomości całego ogromu nieszczęścia naprawdę tkwiła rozkosz. Myśl, że z czasem pożałuję tego kąta, przejmowała mię zgrozą: jużem i wtedy przeczuwał, do jakiego stopnia człowiek potrafi ze wszystkim się żyć. Ale to należało do przyszłości, na razie zaś wszystko wokół mnie było wrogiem i — straszne... a właściwie nie wszystko, lecz, naturalnie, tak mi się zdawało. Niezwykła ciekawość, z jaką oglądali mnie moi nowi koledzy-katorżnicy, ich wzmożona surowość względem nowicjusza ze szlachty, który nagie pojawił się wśród nich, surowość graniczącą niekiedy z nienawiścią — wszystko to tak mnie znękało, że już sam z upragnieniem czekałem, pracy, żeby tylko co rychlej poznać i zgłębić całą swą niedolę, żeby zacząć żyć tak jak inni, żeby czym prędzej wejść w tę samą koleinę co wszyscy. Zapewne, wówczas jeszcze nie dostrzegałem i nie podejrzewałem wielu rzeczy, które miałem pod samym nosem: wśród otaczającej mnie wrogości jeszcze nie dojrzałem nic pocieszającego. Co prawda, kilka życzliwych, przyjaznych twarzy, które spotkałem nawet w ciągu tych trzech dni, na razie dodało mi otuchy. Najżyczliwszy i najprzyjaźniejszy był dla mnie Akim Akimycz. Między posepnymi i nienawistnymi twarzami reszty katorżników nie mogłem też nie zauważyć kilku poczciwych i wesołych. „Wszędzie są ludzie źli, a wśród złych i dobrzy — myślałem chcąc się pocieszyć. — Kto wie? Może ci ludzie wcale nie są aż o tyle gorsi od tamtych, innych, którzy pozostali tam, za ogrodzeniem.” Myślałem to i sam kiwałem głową na tę swoją myśl, a tymczasem — Boże drogi! — gdybym był wiedział wtedy, jak dalece myśl ta zgodna jest z prawdą!

Oto na przykład był tu pewien człowiek, którego w pełni poznałem dopiero po wielu, wielu latach, a przecież prawie stale przebywał ze mną i koło mnie przez cały czas mojej katorgi. Był to więzień Suszyłow. Skorom tylko zaczął teraz mówić o katorżnikach, którzy byli nie gorsi od innych, mimo woli przypomniał mi się natychmiast. Usługiwał mi. Miałem też i drugiego posługacza. Akim Akimycz od samego początku, od pierwszych zaraz dni, polecił mi jednego z

więźniów, Osipa, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi codziennie gotował osobne jadlo, jeżeli nie mogę przełknąć więziennego i jeżeli stać mnie na wikt prywatny. Osip był jednym z czterech kucharzy, których więźniowie, w drodze wyborów, wyznaczali do naszych dwóch kuchni, choć zresztą ci ludzie mogli całkiem dowolnie przyjąć ten wybór lub nie przyjmując, przyjmawszy zaś mogli go się zrzec chociażby już nazajutrz. Kucharze nie chodzili na roboty, i cały ich obowiązek polegał na pieczeniu chleba i gotowaniu kapuśniaku. Nazywało się ich u nas nie kucharzami, lecz kuchtami (w rodzaju żeńskim), nie z pogardy bynajmniej, tym bardziej że do kuchni wybieraliśmy ludzi rozgarniętych i możliwie uczciwych, tylko tak sobie, dla miłego żartu, który wcale kucharzy nie obrażał. Osipa wybierano prawie zawsze, i prawie stale przez kilka lat z rządu był kuchtą, niekiedy zaś wycofywał się na pewien tylko czas, gdy ogarniała go zbyt silna tęsknota, a wraz z nią — chęć szmuglowania wódki. Był to człowiek na podziw uczciwy i łagodny, mimo że przyszedł tu za przemyt. To ten sam przemytnik, wysoki, krzepki chłop, o którym już wspominałem, panicznie bojący się wszystkiego, zwłaszcza różeg; potulny, cichy, wszystkim przyjazny, człowiek, który się z nikim nigdy nie pokłócił, ale który mimo całej swe tchórzostwo nie mógł, wskutek namiętności do kontrabandy, nie szmuglować wódki. Handlował też wódką wraz z innymi kucharzami, choć oczywiście nie w takich rozmiarach, jak na przykład Gazin, ponieważ nie miał odwagi podjąć większego ryzyka. Z tym Osipem żyłem zawsze nader zgodnie. Co się zaś tyczy środków na własne jadlo, to potrzeba ich było bardzo niewiele. Nie popełnię błędu, jeśli powiem, że miesięcznie wydawałem na wikt zaledwie rubla srebrem, oczywiście nie licząc chleba, który był skarbowy, a czasem także kapuśniaku, o ile głód przemagał we mnie odrazę, która zresztą minęła później prawie bez śladu. Zazwyczaj kupowałem kawałek mięsa, funt dziennie. W zimie zaś mięso kosztowało u nas grosz. Po mięso chodził na targ ten czy ów spośród inwalidów, których było u nas po jednym w każdych koszarach, dla pilnowania porządku, i którzy sami, dobrowolnie, ofiarowali się chodzić co dzień na targ po zakupy dla więźniów i nic prawie za to nie pobierali, ot, chyba tylko jakąś bagatelę. Robili to dla własnego spokoju, bo inaczej ich życie w więzieniu byłoby niemożliwe. Przynosili więc tytoń, cegiełkową herbatę, kołaczki i tak dalej, i tak dalej, z wyjątkiem wódki. O wódkę ich nie proszono, choć czasem ich nią traktowano. Przez kilka lat Osip przyrządzał mi codziennie to samo: kawałek pieczonej wołowiny. Jak ta wołowina była upieczona — to już inna sprawa, a zresztą nie o to chodzi. Ciekawsze, że w ciągu kilku lat nie zamieniłem z Osipem bodaj dwóch słów. Wiele razy próbowałem do niego zagadać, lecz był niezdolny do podtrzymania rozmowy: uśmiechnie się czasem albo powie tak lub nie, i na tym koniec. Aż dziwnie było patrzeć na tego Herkulesa, przypominającego siedmioletnie dziecko.

Lecz oprócz Osipa dopomagał mi również Suszyłow. Nie przywoływałem go i nie szukałem. Jakoś sam mnie znalazł i przystał do mnie; nie pamiętam nawet, kiedy i jak się to stało. Zaczął pracować moją bielizną. Za koszarami specjalnie w tym celu wykopany był duży dół. Nad tym dołem więźniowie prali bieliznę w skarbowych nieckach. Oprócz tego Suszyłow sam wynajdywał tysiące

rozmaitych obowiązków, aby mi dogodzić: nastawiał mój imbryk, biegał z różnymi poleceniami, wyszukiwał coś dla mnie, zanosił moją kurtkę do naprawy, jakieś cztery razy miesięcznie smarował mi buty; wszystko to robił gorliwie, z przejęciem, jak gdyby ciążyły na nim Bóg wie jakie obowiązki, słowem, całkowicie skojarzył swój los z moim i wziął na siebie wszystkie moje interesy. Nigdy na przykład nie mówił: „ma pan tyle a tyle koszul, ma pan rozdartą kurtkę,” i tak dalej, tylko zawsze: „mamy teraz tyle a tyle koszul, kurtka się nam rozdarła”. Czekał na lada moje skinienie i uznał to, zdaje się za główny cel całego swego życia. Nie znał żadnego rzemiosła — czyli rękodziela, jak mówią więźniowie — i bodaj tylko ode mnie zarabiał parę kopiejek. Płaciłem mu, ile mogłem, to znaczy grosze, on zaś zawsze poprzestawał na tym i był zadowolony. Nie mógł nie służyć komuś, a na mnie wybór jego padł z tej racji, że był uprzejmiejszy od innych i uczciwszy w rachunkach. Należał do tych, którzy nigdy nie mogli dorobić się i wzbogacić, i którzy się u nas podejmowali ochrony majdanów, po całych nocach stojąc w sieni na mrozie, nasłuchując każdego szmeru na wypadek przybycia placmajora, a pobierali za to po pięć kopiejek srebrem omal nie za całą noc, w razie zaś przegapienia tracili wszystko i odpowiadali grzbietem. Jużem o nich mówił. Znamionuje takich ludzi to, że zacierają swą osobowość zawsze, wszędzie i bez mała wobec wszystkich, w sprawach zaś ogólnych grają nie drugorzędną nawet, lecz trzeciorzędną rolę. Wszystko to jest już u nich wrodzone. Suszyłow był to bardzo żaloszny człowieczek, potulny i całkiem zahukany, ba, jak gdyby zbity, mimo że nikt go u nas nie bił: uczyniła go takim sama natura. Zawsze mi go było jakoś żal. Nawet nie mogłem nań spojrzeć bez tego uczucia, ale czemu było mi go żal — nie potrafiłbym odpowiedzieć. Nie potrafiłem z nim także rozmawiać, on również nie umiał rozmawiać i widać było, że wielce mu to ciąży; dopiero wtedy się ożywiał, gdy — chcąc skończyć rozmowę — dawało mu się jakieś zlecenie, gdy się go poprosiło, żeby gdzieś pobiegł, coś załatwił. W końcu doszedłem nawet do przekonania, że sprawiam mu tym przyjemność. Nie był wysoki ani niski, przystojny ani szpetny, głupi ani mądry, młody ani stary; troszeczkę dziobaty, raczej blondyn. Nigdy niepodobna było o nim powiedzieć czegoś bardziej określonego. Jedno tylko: jak mi się zdaje i o ile mogłem się domyślić, należał do tego samego towarzystwa co Sirotkin, a należał doń wyłącznie wskutek swej pokory i zahukania. Niekiedy więźniowie śmiali się z niego, przeważnie za to, że się zamienił w drodze, idąc z partią na Syberię, i to zamienił się za czerwoną koszulę i za rubla srebrem. Właśnie z powodu tej znikomej kwoty, za którą się sprzedał, śmiali się z niego więźniowie. Zamienić się znaczy to zamienić z kimś nazwisko, a więc i dołę. Mimo całą swą dziwaczność, jest to fakt autentyczny i za moich czasów istniał jeszcze wśród wysyłanych na Syberię więźniów w całej mocy, uświęcony tradycją i ujęty w pewne formy. Z początku w żaden sposób nie mogłem temu uwierzyć, ale wreszcie oczywistość zmusiła mię do uwierzenia.

Oto jak się to odbywa. Przypuśćmy na przykład, że na Syberię idzie partia aresztantów. Idą w różne strony: i na katorgę, i do fabryki, i na osiedlenie; idą razem. Gdzieś po drodze, ot chociażby w permskiej guberni, któryś z zesłańców pragnie zamienić się z innym. Na przykład ja-

kiś Michajłow, który popełnił morderstwo lub inną zbrodnię gardłową, uznaje, że mu się nie opłaci iść na wieloletnią katorgę. Przypuśćmy, że jest to spryciarz, szczwany, obrotny; otóż upatruje sobie w tej samej partii kogoś możliwie najbardziej naiwnego, zahukanego, pokornego, komu wymierzono karę stosunkowo niewielką: albo kilkuletnią pracę w fabryce, albo osiedlenie, albo nawet katorgę, tylko że z krótkim terminem. W końcu znajduje Suszyłowa. Suszyłow pochodzi ze służby folwarcznej i został zesłany tylko na osiedlenie. Idzie już półtora tysiąca wiorst, naturalnie bez grosza przy duszy, ponieważ taki Suszyłow nigdy nie może mieć ani grosza, idzie zbiedzony, zmęczony, na samym tylko wikcie skarbowym, bez tłustszego bodaj czasami kaska, w samej tylko skarbowej odzieży, wszystkim usługując za nędzne miedziaki. Michajłow nawiązuje z Suszyłowem rozmowę, zbliża się z nim, nawet zaprzyjaźnia, i wreszcie na którymś etapie częstuje go wódką. W końcu proponuje: czyby się nie chciał zamienić? Że niby tak a tak, ja, Michajłow, idę na katorgę, nie na katorgę, tylko do jakiegoś „specjalnego oddziału”. Wprawdzie to katorga, ale szczególnego rodzaju, więc lepsza. — O istnieniu gdzieś „specjalnego oddziału” nawet nie wszyscy zwierzchnicy, chociażby w Petersburgu na przykład, wiedzieli. Był to taki szczególny i odrębny zakątek, w jednym z zakątków Syberii, i o tak małym zaludnieniu (za moich czasów liczył do siedemdziesięciu osób), że trudno było wpaść na jego ślad. Spotykałem później ludzi na stanowiskach rządowych, którzy wiedzieli dużo o Syberii, ale dopiero ode mnie usłyszeli po raz pierwszy o istnieniu „specjalnego oddziału”. Kodeks karny zawiera na ten temat zaledwie sześć wierszy: „Przy takiej a takiej twierdzy tworzy się specjalny oddział dla najważniejszych przestępców, aż do czasu rozpoczęcia na Syberii najcięższych robót katorżniczych.” Nawet sami więźniowie tego „oddziału” nie wiedzieli, czy są w nim dożywotnio, czy na jakiś termin. Żadnego terminu nie wyznaczano, powiedziano tylko krótko-węzłowato: aż do rozpoczęcia najcięższych robót katorżniczych. Nic więc dziwnego, że ani Suszyłow, ani nikt inny w jego grupie nie wiedział tego, nie wyłączając samego zesłańca Michajłowa, który co najwyżej mógł sobie urobić pewne pojęcie o specjalnym oddziale na podstawie swej zbrodni, bardzo snadź ciężkiej, skoro dostał już za nią trzy czy cztery tysiące kijów. Na pewno więc nie wysyłają go w jakieś przyjemne miejsce. Suszyłow zaś idzie na osiedlenie; w to mu graj. „Czy nie chcesz się zamienić?” Suszyłow podochocił sobie, duszę ma prostą, pełną wdzięczności dla przyjaznego Michajłowa, toteż nie śmie odmówić. A zwłaszcza, słyszał już w swojej grupie, że zamieniać się można, że inni się przecież zamieniają, a zatem nie ma w tym nic niebywałego i niesłychanego. Dobijają targu. Pozbawiony sumienia Michajłow, korzystając z niezwyklej naiwności Suszyłowa, kupuje od niego nazwisko za czerwoną koszulę i za rubla srebrem, które też od razu daje mu przy świadkach. Nazajutrz Suszyłow nie jest już pijany; ale znów go poją, a przy tym nieładnie byłoby się cofnąć: pobrany rubel srebrem został już przepity, czerwona koszula wkrótce potem — również. Jeżeli nie chcesz to zwróć pieniądze. A skądże Suszyłow ma wziąć całego rubla srebrem? Jeżeli zaś nie zwróci, to ogół zmusi go do zwrotu: takich rzeczy ogół dopilnowuje ściśle, a na dobitkę, skoroś dał obietnicę, powinienes jej dotrzymać — i to również

ogół wydebi. Inaczej zagryzą cię. Pobiją albo i wręcz zabiją, a w każdym razie zastraszą.

Istotnie, gdyby ogół choć raz okazał w takiej sprawie pobłażliwość, skończyłyby się zwyczaj zamiany nazwisk. Jeżeli już po wzięciu pieniędzy można by zlekceważyć targ, którego się dobiło, i wycofać się z przyrzeczenia — to któż go później będzie dotrzymywał? Słowem, jest to sprawa zbiorowa, ogólna, i dlatego ogół jest w tym wypadku nader surowy. W końcu Suszyłow widzi, że się już nie wykaraska, i decyduje się na kompletną zgodę. Ogłasza się to całej grupie, ba, w razie potrzeby smaruje się temu lub owemu łapę, częstuje się go wódką. Tamtym jest oczywiście wszystko jedno, czy Michajłow, czy Suszyłow pójdzie do wszystkich diabłów, no a gorzałkę już wypili, zostali potraktowani — będą więc milczeli. Zaraz na pierwszym etapie robią, dajmy na to, apel; dochodzi do Michajłowa: „Michajłow!” Suszyłow odzywa się: „Jestem!” — „Suszyłow!” Michajłow woła: „Jestem!” — i ruszają dalej. Nikt już o tym nie wspomina. W Tobolsku segregują zesłańców. „Michajłowa” — na osiedlenie, „Suszyłowa” zaś pod wzmocnionym konwojem, wyprawiają do specjalnego oddziału. Później żaden już protest nie jest możliwy: zresztą skąd wziąć dowody? Na ile lat przeciągnie się taka sprawa? Co z niej wyniknie? Wreszcie, gdzieś świadkowie? Choćby i byli, to się wyprą. No i ostateczny rezultat jest taki, że Suszyłow za rubla srebrem i za czerwoną koszulę poszedł do „specjalnego oddziału”.

Więźniowie śmiali się z Suszyłowa — nie za to, że się zamienił (choć dla tych, co zamienili lżejsze roboty na cięższe, żywią na ogół pogardę, jak zresztą dla wszystkich, którzy się dali nabrać), ale za to, że wziął tylko czerwoną koszulę i rubla srebrem: była to zaledwie marna płaca. Zazwyczaj zamieniają się za grubsze, a raczej względnie grubsze kwoty. Biorą nawet po kilkadziesiąt rubli. Lecz Suszyłow był taki pokorny, bezbarwny i pozbawiony wszelkiego znaczenia, że nawet nie opłacało się śmiać z niego.

Długośmy przeżyli z Suszyłowem, kilka lat. Z biegiem czasu ogromnie się do mnie przywiązał; nie mogłem tego nie zauważyć, więc i ja bardzo się doń przyzwyczailem. Ale kiedyś — nigdy sobie tego nie daruję — nie spełnił jakiejś mojej prośby, a świeżo przedtem wziął był ode mnie pieniądze, i ja byłem tak okrutny, że mu powiedziałem: „Hm, mój kochany, pieniądze bierzesz, tego zaś, o co proszę, nie robisz.” Suszyłow nic nie odrzekł, pobiegł, załatwił moją sprawę, lecz zniecka zmarkotniał. Upłynęło parę dni. Myślałem: niemożliwe, żeby to moje słowa tak go zasmuciły. Wiedziałem, iż pewien więzień, Antoni Wasiliew, natarczywie domaga się od niego zwrotu jakiegoś groszowego długu. Prawdopodobnie Suszyłow nie ma pieniędzy, a do mnie boi się zwrócić. Na trzeci dzień powiadam mu: „Suszyłow, podobno chciałeś zwrócić się do mnie o pieniądze dla Antoniego Wasiliewa? Masz.” Siedziałem wówczas na pryczy; Suszyłow stał przede mną. Zdaje się, że był mocno zdumiony, że mu sam proponuję pieniądze, że sam pomyślałem o jego kłopotliwej sytuacji, zwłaszcza że ostatnio, jego zdaniem, za dużo już wziął ode mnie, toteż nie mógł się wcale spodziewać, że mu dam znowu. Popatrzył na pieniądze, potem na mnie, odwrócił się raptem i wyszedł. Wszystko to wielce mnie uderzyło. Poszedłem za nim i znalazłem go za koszarami. Stał przy więziennym częstokole, twarzą do parkanu, na

którym wsparł łokieć i do którego przycisnął głowę. „Suszyłow, co ci jest?” — zapytałem. Nie patrzył na mnie, i ku największemu swemu zdziwieniu spostrzegłem, że gotów się rozplakać. „Pan myśli... Aleksandrze Pietrowiczu... pan myśli... — zaczął urywanym głosem i starając się patrzeć gdzieś w bok — że ja panu... za pieniądze... a ja... ja... e-e-ech!” Tu obrócił się znowu do częstokołu, aż uderzył weń czołem — i jak nie zasłocha!... Pierwszy raz widziałem na katordze człowieka płaczącego. Z wielkim trudem pocieszyłem go, i chociaż odtąd, jeżeli to możliwe, jał mi jeszcze gorliwiej służyć i „mieć o mnie staranie”, jednak z niektórych prawie nieuchwytnych oznak zauważyłem, że serce jego nigdy nie mogło mi przebaczyć owego zarzutu. Tymczasem inni przecież wyśmiewali się, szydzili z niego przy każdej sposobności, niekiedy wymyślali mu siarczyście — on zaś żył z nimi w zgodzie i przyjaźni i nigdy się nie obrażał. Tak, tak, bardzo trudno czasem poznać człowieka gruntownie, nawet po długich latach znajomości!

Oto dlaczego na pierwszy rzut oka katorga nie mogła mi się ukazać w tej prawdziwej postaci, w jakiej ukazała mi się później. Oto dlaczego też powiedziałem, że jeśli nawet patrzyłem na wszystko z taką zachłanną, wytężoną uwagą, nie mogłem przecież dostrzec wielu rzeczy, które miałem pod samym nosem. Naturalnie, uderzały mnie z początku zjawiska jaskrawe, rzucające się w oczy, lecz i one były może wadliwie przeze mnie interpretowane i pozostawiały w mej duszy tylko ciężkie, beznadziejnie smutne wrażenie. Wielce się do tego przyczyniło spotkanie z A-wem, również więźniem, który przybył na katorgę na krótko przede mną i który w pierwszych dniach mego pobytu wywarł na mnie szczególnie przygnębiające wrażenie. Zresztą dowiedziałem się jeszcze przed przybyciem na katorgę, że spotkam tam A-wa. Zatruł mi pierwszy ciężki okres i wzmógł moje udręki psychiczne. Nie mogę pominąć go milczeniem.

Był to najhanebniejszy przykład, jak dalece może się człowiek poniżyć i spodlić, do jakiego stopnia może — bez trudu i bez skruchy — zabić w sobie wszelki zmysł moralny. A-w był młodym, ze szlachty pochodzącym człowiekiem, o którym po części już wspomniałem nadmienając, że donosił naszemu placmajorowi o wszystkim, co się na katordze dzieje, i że się przyjaźnił z jego ordynansem Fiedką. Oto pokrótce jego historia. Nigdzie nie kończąc nauk i poróżniwszy się w Moskwie z krewnymi, których zraził jego rozpustny tryb życia, przyjechał do Petersburga i dla zdobycia pieniędzy zdecydował się na pewien nikczemny donos, to znaczy zdecydował się sprzedać krew dziesięciu osób, aby natychmiast zaspokoić swą nienasyconą żądzą najordynarniejszych i najrozwiąźlejszych uciech, na które, skuszony przez Petersburg, jego cukiernie i kluby, stał się tak łasy, że, choć był człowiekiem niegłupim, porwał się na rzecz szaloną i bezsensowną. Wkrótce został zdemaskowany; wyplątał w swój donos Bogu ducha winnych ludzi, innych oszukał, za co zesłano go na Syberię, na naszą katorgę, na dziesięć lat. Bardzo był jeszcze młody, życie dopiero się rozpoczynało dla niego. Zdawałoby się, że taka straszna odmiana losu musiała być dla niego gromem z jasnego nieba, wywołać w jego naturze jakiś sprzeciw, sprawić jakiś przełom. Tymczasem przyjął nową swą dolę bez najmniejszego zafasowania, bez najmniejszej nawet odrazy, nie wzdrygnął się moralnie, niczego się nie przeląkł,

chyba tego tylko, że musi pracować i pożegnać cukiernie oraz trzy kluby. Uznał nawet, że, jako katorżnik, ma ręce rozwiązane i może sobie pozwolić na jeszcze większe podłości i szubrawstwa. „Katorżnik to katorżnik, i basta; skoroś katorżnik, możesz robić wszelkie świństwa; to żaden wstyd.” Taki był dosłownie jego pogląd. Wspominam o tej plugawej kreaturze jako o wyjątku. Spędziłem kilka lat pośród morderców, rozpustników i wierutnych opryszków, ale stanowczo twierdę, że nigdy w życiu nie spotkałem takiego kompletnego upadku moralnego, takiego ostatecznego zepsucia i takiej czelnej nieszczemności. Mieliśmy ojcobójcę, ze szlachty, wspominałem już o nim; z wielu wszakże rysów i faktów doszedłem do wniosku, że nawet on był bez porównania szlachetniejszy i bardziej ludzki niż A-w. W moich oczach, przez cały czas mego życia w więzieniu, A-w stał się i był jakimś kawałkiem mięsa, z zębami i żołądkiem i nienasyconą żądzą najbrutalniejszych, najbardziej zwierzęcych rozkoszy cielesnych, a za możliwość zaspokojenia najdrobniejszej i najwymyślniejszej z tych rozkoszy zdolny był z zimną krwią zabić, zarżnąć, słowem zrobić wszystko, jedynie pod warunkiem, by ślady zostały ukryte. Wcale nie przesadzam; dobrze poznałem A-wa. Był to przykład, do czego może dojść sama tylko cielesna strona człowieka, nie hamowana wewnątrz żadną normą, żadnym prawem. I jakież wstępną przejmował mnie na widok jego wiecznie drwiącego uśmiechu! Był to potwór, moralny Quasimodo. Proszę do tego dodać, że był przebiegły i rozumny, przystojny, dość nawet wykształcony, zdolny. Nie! Lepszy pożar, lepszy głód i pomór niż taki człowiek w społeczeństwie. Powiedziałem już, że na katordze wszystko się tak upodliło, że szpiegostwo i donosy kwitły, a więźniowie bynajmniej się o to nie gniewali. Przeciwnie, wszyscy bardzo się z A-wem przyjaźnili, traktowali go daleko życzliwiej niż nas. Fawory zaś, jakie mu okazywał nasz pijany major, dodawały mu w ich oczach wagi i znaczenia. Między innymi wmówił w majora, że potrafi robić portrety (więźniów upewniał, że był porucznikiem gwardii), i ten zażądał, by wysyłano A-wa na robotę do niego do domu, gdzie rzecz prosta, miał malować pana majora. Tu pokumał się z ordynansem Fiedką, który miał nadzwyczajny wpływ na swego pana, a przeto na wszystkich i na wszystko na katordze. A-w szpiegował nas na żądanie majora, ów zaś, gdy go po pijanemu prał po głębie, wymyślał mu od szpiegów i donosicieli. Zdarzało się, i to bardzo często, że niezwłocznie po pobiciu major siadał na krześle i kazał A-wowi dalej malować. Zdaje się, iż nasz major naprawdę wierzył, że A-w jest znakomitym artystą, omal nie Brüllozem, o którym i on słyszał; mimo to uważał, że ma prawo kuć go w zęby, bowiem „choć nadal jesteś artystą, aleś katorżnik, więc choćbyś był po trzykroć Brüllozem, jestem twoim naczelnikiem i dlatego zrobię z tobą, co mi się żywnie podoba”. Między innymi kazał A-wowi sięgać sobie buty i wnosić z sypialni różne naczynia, a jednak długo nie mógł się wyrzec myśli, iż A-w jest wielkim malarzem. Portretowanie wlokło się bez końca, prawie rok. Wreszcie majorowi zaświtał domysł, że go wystrychnięto na dudka, kiedy się zaś przekonał ostatecznie, że praca nad portretem nie dobiega końca, przeciwnie, portret z każdym dniem jest coraz mniej podobny, wpadł w gniew, stłukł artystę i za karę kazał mu wykonywać najpośledniejsze prace. A-w żałował tego widocznie, ciężko mu było

zrezygnować z próżniaczych dni, z resztek ze stołu majora, z druha-Fiedki i z wszystkich rozkoszy, które we dwójkę obmyślali sobie w majorowej kuchni. Bądź co bądź, po wydaleniu A-wa major przestał prześladować M., więźnia, którego A-w bezustannie obmawiał, a to z następującego powodu: gdy A-w przybył na katorgę, M. był osamotniony. Ogromnie się trapił, nie miał nic wspólnego z resztą więźniów, spoglądał na nich ze zgrozą i wstrętem, nie dostrzegał i prześlepił w nich wszystko, co by mogło podziałać na niego kojąco, i nie zbliżał się z nimi. Oni również płacili mu nienawiścią. W ogóle położenie ludzi podobnych do M. jest na katordze okropne. M. nie wiedział, dlaczego A-w dostał się na katorgę. Natomiast A-w, domyśliwszy się, z kim ma do czynienia, pośpieszył go upewnić, że został zesłany za coś wręcz przeciwnego niż donos, prawie za to samo, za co został zesłany M. Ten ostatni niezmiernie się ucieszył z towarzysza, przyjaciela. Snuł się za nim, pocieszał go w pierwszych dniach przypuszczając, że A-w musi bardzo cierpieć, oddał mu swe ostatnie pieniądze, żywił go, podzielił się z nim najniezbędniejszymi rzeczami. Lecz A-w od razu go znienawidził, właśnie za to, że tamten był szlachetny, za to, że z takim przerażeniem patrzył na wszelką podłość, za to właśnie, że był zgoła niepodobny do niego, i wszystko, cokolwiek M. w poprzednich rozmowach mówił mu o katordze i majorze, wszystko to A-w pokwapił się przy pierwszej okazji donieść majorowi. Major gwałtownie znienawidził za to i gnębił M., i gdyby nie wpływ komendanta, doprowadziłby go do ostateczności. A-w zaś nie tylko się nie zmieszał, gdy M. dowiedział się później o jego nikczemności, lecz nawet lubił go spotykać i patrzeć na niego z ironią. Widocznie sprawiało mu to rozkosz. Sam M. parokrotnie mi o tym mówił. Później ta podła figura zbiegła z jednym więźniem i z konwojentem, lecz o tej ucieczce opowiem kiedy indziej. Zrazu i do mnie się łąsił, sądząc, że nie słyszał o jego dziejach. Powtarzam: zatrul mi pierwsze dni mojej katorgi jeszcze większym smutkiem. Przeraziła mnie straszna nikczemność i podłość, w którą mnie wtrącono, w której się znalazłem. Pomyślałem, że tutaj wszystko jest takie nikczemne i podłe. Ale się mylił: sądziłem o wszystkich według A-wa.

Przez te trzy dni obijałem się po ostrogu, leżałem na swej pryczy, dałem godnemu zaufania więźniowi, którego mi polecił Akim Akimycz, swój przydział płótna, by mi zeń uszył koszule, oczywiście za pieniądze (po kilka groszy od koszuli), za usilną radą Akima Akimycza sprawiłem sobie składany materacyk (z wojłoku obszytego płótnem), niesłychanie cienutki, jak naleśnik, oraz wypchaną wełną poduszkę, która, ponieważ byłem nie przyzwyczajony, wydała mi się strasznie twarda. Akim Akimycz wielce się troszczył o załatwienie mi tych wszystkich spraw i sam brał w tym udział, własnoręcznie uszył mi koc ze skrawków starego skarbowego sukna — do czego posłużyły znoszone spodnie i kurtki, które kupiłem od innych więźniów. Rzeczy skarbowe po pewnym określonym czasie stawały się własnością więźniów; ci natychmiast sprzedawali je na miejscu na katordze, i choćby rzecz była najbardziej zniszczona, zawsze można było mieć nadzieję, że się za nią uzyska jakąś cenę. Zrazu wszystko to dziwiło mię wielce. W ogóle był to okres moich pierwszych zetknięć z prostymi ludźmi. Sam się nagle przedzierzgnąłem w czło-

wieka z gminu, takiego samego katorżnika jak oni. Ich nawyki, pojęcia, zapatrywania, zwyczaje — stały się jak gdyby również moimi, przynajmniej formalnie, prawnie, jakkolwiek w istocie rzeczy nie podzielałem ich. Byłem zdziwiony i stropiony, zupełnie jakbym dawniej nie słyszał o niczym podobnym i nic takiego nie podejrzewał, chociaż i wiedziałem, i słyszałem. Ale rzeczywistość wywiera zgoła inne wrażenie niż to, o czym się wie lub słyszy. Czyż na przykład mogło mi wprzód postać kiedy w głowie, że i takie łachy, takie zużyte szmaty będą jeszcze uchodziły za rzeczy? - a teraz sprawilem sobie koc z tych łachów! Trudno nawet sobie wyobrazić, jakiego gatunku było sukno przeznaczone na odzież więźniów. Z wyglądu może istotnie przypominało ono grube, żołnierskie sukno; ale już po najkrótszym używaniu zmieniało się w jakieś sito i darło się niemilosiernie. Przy tym odzież sukienka miała służyć przez rok, lecz trudno było dociągnąć do tego terminu. Więzień pracuje, dźwiga ciężary, odzież prędko się ściera i drze. Kozuchy zaś wydawane raz na trzy lata, zazwyczaj służyły przez cały ten czas i za odzież, i za koldrę, i za podściółkę. Ale kozuchy są mocne, choć zresztą nierzadko można było zobaczyć na kimś, pod koniec trzeciego, czyli ostatniego roku, kozuch załatany po prostu kawałkiem płótna. Mimo to, nawet kozuchy bardzo znoszone, po upływie wyznaczonego terminu, sprzedawało się za jakie czterdzieści kopiejek srebrem. Niektóre zaś, lepiej zachowane, osiągały nawet cenę sześciu czy siedmiu grzywien srebrem, a na katordze były to duże pieniądze.

Pieniądze zaś — już o tym mówiłem — miały tu straszliwe znaczenie, potęgę. Można powiedzieć wprost, że więzień mający na katordze choć trochę pieniędzy cierpiał dziesięciokrotnie mniej niż taki, co nie miał ich wcale, choć również dostawał wszystko od skarbu, zdawałoby się więc, że — jak mówiła nasza zwierzchność — po co mu pieniądze? Otóż powtarzam znowu, że gdyby więźniowie byli całkowicie pozbawieni możliwości posiadania własnych pieniędzy, to albo dostaliby obłędu, albo marliby jak muchy (mimo że byli we wszystko zaopatrzeni), albo wreszcie dopuszczaliby się niesłychanych wykroczeń — jedni z nudów, inni, żeby co rychlej zostać jakoś straconymi i unicestwionymi lub uzyskać jakąkolwiek „odmianę losu” (nazwa techniczna). Jeżeli zaś więzień, który zdobył parę groszy w krwawym niemal pocie czoła albo zdecydował się dla ich zdobycia na nadzwyczajne fortele, często związane z kradzieżą i szalbierstwem, trwoni je później tak nierozważnie, z taką dziecinną bezmyślnością, nie znaczy to bynajmniej, że ich nie ceni, choć na pierwszy rzut oka tak to wygląda. Więzień szaleńczo chciwy jest pieniędzy, aż do zamroczenia umysłu, i jeśli podczas hulanki ciska je rzeczywiście jak śmieci, to ciska je w zamian za coś, co jego zdaniem jest o jeszcze jeden stopień cenniejsze niż pieniądze. Cóż jest cenniejsze od pieniędzy dla więźnia? Wolność lub bodaj jakieś marzenie o wolności. Więźniowie są wielkimi marzycielami. O tym opowiem kiedy indziej, teraz zaś, skoro się zgadało: czy dacie wiarę, że widywałem ludzi zesłanych na dwadzieścia lat, którzy nader spokojnie mówili mi takie na przykład zdanie: „Czekaj no, kiedy, da Bóg, skończy się mój termin; wówczas...” Cała treść wyrazu „więzień” oznacza człowieka pozbawionego woli, a trwoniąc pieniądze postępuje on już wedle własnej woli. Mimo wszelkie piętna, kajdany, mimo

nienawistne pale częstokołu, zasłaniające mu świat Boży i więzące go jak zwierzę w klatce, może dostać wódki, czyli najgroźniej zabronionej rozkoszy, może się pogzić, a niekiedy (choć nie zawsze) przekupić swych bezpośrednich przełożonych, inwalidów i nawet podoficera, którzy będą patrzyli przez palce na to, jak on gwałci prawo i dyscyplinę; ba, może ponadto trochę pozadzierać nosa, a więzień ogromnie lubi zadzierać nosa, czyli popisać się wobec kolegów i nawet siebie upewnić bodaj na chwilę, że posiada nierównie więcej woli i władzy, niż się zdaje; słowem, może porządnie się nahulać, naawanturować, „zjeździć” kogoś i dowieść mu, że wszystko to może, że wszystko to jest „w naszym ręku”, czyli upewnić sobie o czymś, o czym hołysz nie śmie nawet pomyśleć. Nawiasem mówiąc, może właśnie dlatego zaznacza się w więźniach, nawet gdy są trzeźwi, powszechna skłonność do zadzierania nosa, do samochwalstwa, do śmiesznego i arcynaiwnego, chociażby złudnego, wywyższania swej osobowości. Wreszcie cała ta hulanka ma w sobie pewne ryzyko — a więc ma w sobie bodaj jakiś pozór życia, bodaj odległy pozór wolności. A czegoż człowiek nie odda za wolność? Któryż milioner, gdyby mu zaciśnięto gardło pętlą, nie oddałby wszystkich swych milionów za jeden łyk powietrza?

Czasami zwierzchnicy się dziwią, że ten czy ów więzień żył sobie kilka lat tak potulnie, przykładnie, ba, został dziesiętnikiem za wzorowe sprawowanie, aż tu raptem, ni stąd, ni zowąd, jakby mu diabeł wlaźł za skórę: zaczyna szaleć, hulać, wyprawiać brewerie, czasami nawet dopuszcza się czynu kryminalnego — jawnie naubliżał wyższym władzom, albo zabił kogoś, albo zgwałcił i tym podobne. Patrzą na niego i dziwią się. A tymczasem może przyczyną wybuchu w tym człowieku, po którym najmniej można się było tego spodziewać, jest smutny, spazmatyczny przejaw osobowości, instynktowa litość nad samym sobą, chęć obnażania siebie, swej poniżonej osobowości, chęć, która się pojawiła znienacka, i dochodzi aż do zawziętości, do furii, do zamroczenia rozsądku, do ataku, do konwulsji. Może tak właśnie człowiek żywcem pogrzebany i budzący się w grobie wali pięściami w wieko trumny i usiłuje je zrzucić, choć oczywiście rozsądek mógłby go przekonać, że wszystkie jego wysiłki pozostaną płonne. Ale w tym sęk, że tu do głosu dochodzi już nie rozsądek, lecz konwulsje. Uwzględnijmy jeszcze i to, że prawie każdy samowolny przejaw osobowości w więźniu uchodzi za przestępstwo, a zatem już mu wszystko jedno, czy to przejaw wielki, czy mały. Jak hulać, to hulać, jak ryzykować, to ryzykować wszystko, choćby nawet zabójstwo. Przecież wystarczy tylko zacząć: później ogarnie już człowieka taki szal, że nic go nie powstrzyma! Toteż ze wszech miar byłoby lepiej do tego nie dopuszczać. Byłoby lepiej dla wszystkich. Owszem, ale jak to zrobić?

VI. Pierwszy miesiąc

Kiedym przybył na katorgę, miałem trochę pieniędzy; przy sobie — niewiele, z obawy, by mi ich nie odebrano; natomiast kilka rubli ukrytych było, to znaczy zalepionych w oprawie Ewangelii, którą wolno było wziąć ze sobą. Tę książkę, z zalepionymi w niej pieniędzmi, ofiarowali mi jeszcze w Tobolsku, ci, którzy również cierpieli na zesłaniu i liczyli je już na dziesięciolecia i którzy w każdym nieszczęśliwcu od dawna już przywykli widzieć brata. Prawie zawsze jest na Syberii parę osób, które za cel swego życia uznały braterską troskę o „nieszczęśliwych”, współczucie i współcierpienie z nimi jakby z rodzonymi dziećmi, całkowicie bezinteresowne, święte. Nie mogę nie wspomnieć tu pokrótce o jednym spotkaniu. W mieście, w którym się znajdował nasz ostróg, mieszkała pewna pani, Anastazja Iwanowna, wdowa. Naturalnie, żaden z nas podczas pobytu na katordze nie mógł się z nią poznać osobiście. Zdawało się, że za cel życia obrała sobie opiekę nad zesłanymi, najbardziej jednak troszczyła się o nas. Może i w jej rodzinie wydarzyło się jakieś podobne nieszczęście albo może któraś ze szczególnie drogich i bliskich jej sercu osób ucierpiała wskutek popełniania takiego właśnie przestępstwa, dość, że za osobliwe szczęście poczytywała sobie zrobić dla nas wszystko, co tylko było w jej mocy. Wiele zrobić nie mogła, to jasne: była bardzo uboga. Lecz my, siedząc na katordze, czuliśmy, że tam, za ogrodzeniem, mamy oddanego przyjaciela. Między innymi często przekazywała nam wiadomości, których ogromnie było nam potrzeba. Gdy wyszedłem z więzienia i udawałem się do innego miasta, zdążyłem odwiedzić ją i poznać osobiście. Mieszkała gdzieś na przedmieściu, u jednego ze swych bliskich krewnych. Nie była stara ani młoda, ładna ani brzydka; trudno nawet było stwierdzić, czy jest mądra, czy jest wykształcona. Ale każdy jej krok świadczył o bezmiarze dobroci, o niepokonanej chęci dogodzenia, ulżenia, sprawienia jakiejś przyjemności. Wszystko to wyraźnie widniało w jej łagodnym, dobrotliwym spojrzeniu. Wraz z jednym towarzyszem więziennym spędziłem u niej prawie cały wieczór. Patrzyła nam w oczy, śmiała się, kiedy myśmy się śmiali, skwapliwie potakiwała wszystkiemu, cokolwiek myśmy powiedzieli; chciała ugościć nas, czym tylko mogła. Podano herbatę, przekąski, jakieś słodczyce, a gdyby miała tysiące, cieszyłaby się z nich tylko dlatego, że mogłaby lepiej nas ugościć i ulżyć naszym kolegom, którzy zostali na katordze. Przy pożegnaniu ofiarowała nam po jednej papierošnicy. Papierošnice te (pozał się, Boże) skleiła dla nas z tektury, oblepiła je kolorowym papierem, dokładnie takim, w jakie się oprawia podręczniki arytymetyki dla szkół (może też istotnie posłużyła się do tego jakimś podręcznikiem). Wokół zaś, dla ozdoby, okleiła je wążutkiem szlaczkiem ze złotej bibułki, po którą może specjalnie chodziła do sklepu. „Panowie palicie, więc może to się wam przyda” — rzekła, jak gdyby nieśmiało przepraszając za swój podarunek... Niektórzy twierdzą (słyszałem i czytałem takie zdanie), że największa miłość bliźniego jest zarazem największym egoizmem. Ale

gdzie tu był egoizm — nie mam pojęcia. Chociaż w chwili przybycia do ostrogu nie miałem większych pieniędzy, ani rusz jednak nie mogłem wówczas poważnie się gniewać na tych katorżników, którzy w pierwszych nieomal godzinach mego więziennego życia, raz już mnie oszukawszy, najnaiwniej w świecie przychodzili do mnie po pożyczkę, drugi, trzeci, nawet piąty raz. Jedno tylko wyznam otwarcie: mocno mię gniewało, że wszyscy ci ludzie, ze swymi naiwnymi chytrściami, na pewno musieli, jak mi się zdawało, uważać mnie za naiwnego głupca i kpić ze mnie właśnie dlatego, że po raz piąty dawałem im pieniądze. Na pewno musiało im się zdawać, że idę na lep ich oszustw i forteli, i gdybym, przeciwnie, odmawiał im i odprawiał ich z kwitkiem, powzieliby dla mnie bez porównania większy szacunek. Jednak, mimo cały swój gniew, nie mogłem odmówić. Gniewałem się zaś dlatego, że w tym pierwszych dniach poważnie i z troską myślałem o tym, jak mam się zachować w więzieniu lub raczej jak powinienem zachować się wobec współwięźniów. Czułem i rozumiałem, że całe to środowisko jest dla mnie zupełnie nowe, że jestem w zupełnej ciemności i że w ciemności nie można przeżyć tylu lat. Należało się przygotować. Oczywiście, postanowiłem, że przede wszystkim trzeba zachowywać się rzetelnie, jak nakazuje poczucie wewnętrzne i sumienie. Ale wiedziałem również, że to przecie tylko aforyzm, a tu bądź co bądź spotykam się z najbardziej nieoczekiwaną praktyką.

I dlatego, pomimo wszystkie drobiazgowe zabiegi o urządzenie się w koszarach, o których to zabiegach już wspomniałem i do których skłaniał mnie przeważnie Akim Akimycz, i chociaż odrywały one poniekąd moją uwagę — straszna, żrąca tęsknota męczyła mnie coraz bardziej. „Dom umarłych!” — mówiłem sobie, przyglądając się niekiedy o zmroku, z ganku naszych koszar, więźniom, co powrócili już z robót i leniwie snuli się po placyku więziennego dziedzińca, z koszar do kuchni i z powrotem. Przyglądałem się im i usiłowałem wywnioskować z ich twarzy i ruchów, co to za ludzie i jakie mają charaktery. Oni zaś wałęsali się przede mną z zasepionym czołem albo znów aż zanadto weseli (te dwie odmiany są najczęstsze i są niemal charakterystyczne dla katorgi), kłócili się lub po prostu rozmawiali, albo wreszcie spacerowali w pojedynkę, jak gdyby w zadumie, spokojnie, posuwając się, niektórzy z miną zmęczoną i apatyczną, inni (nawet tutaj!) z miną butnej wyższości, z czapkami na bakier, z zarzuconymi na ramiona kożuchami, z zuchwałym, sarkastycznym spojrzeniem i bezczelnym uśmiechem. Wszystko to — pomyślałem — jest moim środowiskiem, moim teraźniejszym światem, z którym rad nierad muszę współżyć... Chcąc się czegoś o nich dowiedzieć, zrazu próbowałem wypytywać Akima Akimycza, z którym, aby uniknąć samotności, bardzo lubiłem pić herbatę. Mimochodem dodam, że w tym pierwszym okresie herbata była prawie jedynym moim pożywieniem. Akim Akimycz od herbaty się nie wymawiał i sam nastawiał nasz śmieszny, własnoręcznie z blachy zrobiony samowarek, którego pożyczył mi M. Zazwyczaj Akim Akimycz wypijał jedną szklankę (miał bowiem i szklanki), wypijał milcząco i statecznie, po wypiciu dziękował i niezwłocznie brał się do szycia mojej koldry. Tego jednak, o co mi chodziło, nie mógł mi powiedzieć, a nawet nie rozumiał, czemu się tak interesuję charakterami otaczających nas i najbliższych nam

katorżników; owszem, słuchał mnie z przebiegłym uśmieszkiem, który dobrze zapamiętałem. Nie — pomyślałem — widocznie muszę sam doświadczać, a nie wypytywać.

Na czwarty dzień, podobnie jak wtedy, gdym poszedł, by mi zmieniono kajdany, więźniowie wczesnym rankiem ustawili się w dwa szeregi na placu przed kordegardą, u wrót więziennych. Na przedzie, twarzą do nas, i z tyłu stanęli żołnierze, z nabitą bronią i z bagnietami na karabinach. Żołnierz ma prawo strzelać do więźnia, jeśli ten spróbuje ucieczki; lecz zarazem odpowiada za to, jeżeli się okaże, że nie zachodziła najbardziej nieodzowna konieczność użycia broni; to samo w razie otwartego buntu katorżników. Ale któż by próbował jawnej ucieczki? Przyszedł oficer inżynieryjny, kierownik robót, a także inżynieryjni podoficerowie i żołnierze, dozorczy będący w toku robót. Nastąpił apel; część więźniów, która chodziła do szwalni, wyruszyła pierwsza; zwierzchność inżynieryjna nie miała z nimi do czynienia; pracowali właściwie dla więzienia i obszywali więźniów. Następna grupa udała się do warsztatów, reszta zaś do zwyczajnych grubych robót. W liczbie jakich dwudziestu innych więźniów wyruszyłem i ja. Za twierdzą, na zamrzniętej rzece, były dwie barki skarbowe, które, jako już nieprzydatne, należało rozebrać, ażeby się przynajmniej stare drewno nie marnowało. Zresztą, jak się zdaje, cały ten stary materiał wart był nader mało, prawie nic. W mieście sprzedawano drwa po cenie znikomej, gdyż w okolicznych lasach było drzewa w bród. Zatrudniano nas rozbiórką owych barek niemal wyłącznie po to, byśmy nie siedzieli z założonymi rękoma, co też więźniowie dobrze rozumieli. Do takiej roboty zawsze przystępowali niemrawo i apatycznie — zgola inaczej bywało, gdy praca sama w sobie była celowa, wartościowa — a zwłaszcza gdy można było doprosić się pracy na określone normy. Wówczas pracowali z ochotą i chociaż nie mieli z tego żadnej osobistej korzyści, sam przecież widziałem, jak dokładają wszelkich sił, żeby wykonać pracę możliwie najprędzej i najlepiej; nawet ich ambicja była tu do pewnego stopnia zaangażowana. Otóż w obecnej robocie, wykonywanej raczej dla formy niż z istotnej potrzeby, trudno się było wystarać o normę, trzeba było pracować aż do bębna, który o jedenastej wzywał nas z powrotem do więzienia. Dzień był ciepły i mglisty; śnieg omal nie topniał. Cała nasza gromadka udała się poza fortecę, na brzeg, z lekka pobrzękując łańcuchami, które, choć ukryte pod odzieżą, przy każdym naszym kroku wydawały jednak cienki i ostry dźwięk. Dwaj czy trzech ludzie wstąpili do cekhauzu po niezbędne narzędzia. Szedłem razem ze wszystkimi i nawet jakbym się trochę ożywił: pragnąłem co rychlej zobaczyć i poznać, jaka to praca. Jaka jest ta katorżnicza praca? i jak ja sam będę pracował po raz pierwszy w życiu?

Pamiętam wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Na drodze spotkaliśmy jakiegoś mieszczanina z bródką, który się zatrzymał i wsunął rękę do kieszeni. Od naszej gromadki niezwłocznie oddzielił się więzień, zdjął czapkę, przyjął datek — pięć kopiejek — i żwawo wrócił do swoich. Mieszczanin przeżegnał się i ruszył dalej. Za owe pięć kopiejek tegoż rana kupiono kołaczki, które zostały równo podzielone między całą naszą grupę.

Wśród całej tej gromadki więźniów jedni, jak zwykle, byli posepni i niemrawi, inni obojętni i niemrawi, jeszcze inni leniwie gwarzyli ze sobą. Jeden ogromnie był z czegoś rad i wesół, śpiewał i omal nie tańczył po drodze, pobrzękując kajdanami przy każdym podskoku. Był to ten sam niewysoki i krępy więzień, który, pierwszego ranka mojego pobytu na katordze, pokłócił się z drugim przy wodzie, podczas mycia się, o to, iż tamten lekkomyślnie powążył się twierdzić o sobie, że jest ptakiem. Nazwisko tego rozochoczonego zucha brzmiało Skuratow. W końcu zaśpiewał jakąś zawadiacką pieśń, której refren pamiętam:

*Ożenili mię beze mnie,
Kiedym był we młynie.*

Brakowało tylko bałałajki.

Jego niepowszednio wesoły nastrój, rzecz prosta, wnet wzbudził oburzenie niektórych ludzi z naszej grupy, a nawet został przyjęty nieledwie jako obelga.

— Wyje! — sarknął z wyrzutem pewien więzień, którego zresztą ta sprawa bynajmniej nie dotyczyła.

— Wilk jedną piosenkę wyje, a i tę tulak mu zabrał! — zauważył drugi, ponury człowiek o małoskim akcencie.

— Dajmy na to, żem tulak — natychmiast odparował Skuratow — ale wyście się w swojej Połtawie udławili kluchami.

— Gadaj zdrów! Sam co jadałeś?! Łapciem żur czerpałeś.

— A teraz kręci jeszcze nosem, jak nie wiem kto — dorzucił trzeci.

— Rzeczywiście, ludzie, jestem człek delikatny — z lekkim westchnieniem odrzekł Skuratow, jakby się usprawiedliwiał, zwracając się do wszystkich w czambuł, a do nikogo poszczególnie. — Od maleńkości na suszonych śliwkach się chowałem i na pampruchach (tj. pampuchach, Skuratow umyślnie przekręcał słowa), rodzeni zaś moi bracia do dziś dnia jeszcze mają w Moskwie stragan, handlują w halach wiatrem, okrutecznie bogate z nich kupcy.

— A ty czymś handlował?

— Ano, różnymi różnościami i frymuśnościami. Wtedy też, braciszku, dostałem pierwsze dwieście...

— Czyżby rubli? — podchwycił jeden z ciekawych słuchaczy, który aż drgnął słysząc o takich pieniądzech.

— Nie, kochasiu, nie rubli, tylko kijów. Łuka, hej, Łuka!

— Możem dla kogo i Łuka, ale tom dla ciebie Łuka Kuźmicz — niechętnie odezwał się malutki, szczupły więzień o cienkim nosku.

— No, to Łuka Kuźmicz, niech ci tam będzie, jechał cię sęk!

— Możem dla kogo i Łuka Kuźmicz, alem dla ciebie wujek.

— Et, pal diabli i ciebie, i wujka, szkoda gadać. A ładniem chciał powiedzieć. Posłuchajcież więc, braciszku, jak się to stało, zem niedługo popasał w Moskwie; na ostatek dali mi tam piętnaście knucików i wylali na zbity łeb. Wtedy ja...

— Ale za co cię wylali? — przerwał któryś więzień, uważnie śledzący opowiadanie.

— Ano niby, żebym do kwarantanny nie chodził, szpuntów nie pił, głupstw nie gadał, wobec czego, braciszku, nie zdążyłem wzbogacić się w Moskwie jak się patrzy. A okrutecznie, okrutecznie, okrutecznie chciałem być bogaty. Ale to tak mi się tego chciało, że sam nie wiem, jak wam to powiedzieć.

Wielu się roześmiało. Skuratow był widocznie jednym z tych dobrowolnych wesołków czy raczej błaznów, którzy jak gdyby mieli sobie za obowiązek rozweselanie swych posępnych towarzyszy i, naturalnie, nie dostawali za to nic prócz wymyślań. Należał do szczególniejszego i godnego uwagi typu, o którym może jeszcze będę miał sposobność pomówić.

— Ależ ciebie i teraz warto by upolować zamiast sobola — wtrącił Łuka Kuźmicz. — Samego przydziewku masz na sobie za ładne sto rubli.

Skuratow był ubrany w jak najlichszy, najbardziej zniszczony kożuszek, na którym aż się pstrzyło od łat. Dosyć obojętnie, lecz uważnie obejrzał go od góry do dołu.

— Za to głowa, braciszku, głowa wiele warta! — odparł. — Jakem żegnał Moskwę, tom się właśnie tym pocieszał, że i głowa pójdzie ze mną razem. Żegnaj, Moskwo, Bóg ci zapłać za łaźnię, za wolne powietrze, za chłostę co się zowie! A na mój kożuch nie masz co patrzeć, kochasiu...

— Może mam patrzeć na twoją głowę?

— Ależ i głowa nie jego własna, tylko darowana — znów się wtrącił Łuka. — Kiedy szedł etapem przez Tiumień, dali mu ją w imię Chrystusa Pana.

— Pewnieś fach jaki znał, Skuratow?

— Bogać tam! Przelewał z pustego w próżne — wtrącił jeden z pochmurnych. — Oto i cały jego fach!

— Owszem, próbowałem szyć buty — odpowiedział Skuratow, zgoła nie zważając na uszczypliwy docinek. — Uszyłem tylko jedną parę.

— I cóż, kupili?

— Ano, znalazł się taki, co widać Boga się nie bał, ojca, matki nie czcił, więc go Pan Bóg ukarał: kupił moje buty.

Wszyscy wokół Skuratowa aż się zataczali ze śmiechu.

— Potem jeszcze raz pracowałem, już tutaj — z niezmaconą zimną krwią ciągnął dalej Skuratow. — Zmieniałem przyszwę Stiepanowi Fiodoryczowi Pomorcewowi, porucznikowi.

— Cóż, był zadowolony?

— Nie, bracia, niezadowolony. Zwymyślał mnie za wszystkie czasy, a na dobitkę — kolanem mnie w tyłek. Strasznie bo się rozgniewał! Ech, zwiodło mnie życie, zwiodło życie katorżne!

*A tu raptem, jak spod ziemi,
Akuliny mąż się zjawia...!*

znów zaśpiewał znieńacka i puścił się w prysiudy.

— Iiii, człowiek nie do rzeczy! — mruknął idący obok mnie Małorusin, z pogardliwą niechęcią strzygąc nań okiem.

— Bezżyteczny człowiek! — zaznaczył drugi tonem poważnym i rozstrzygającym.

Zupełnie nie pojmowałem, za co się gniewają na Skuratowa ani dlaczego wszystkich w ogóle wesołych ludzi, jakem już zdążył spostrzec w tych pierwszych dniach, otacza jak gdyby pewna pogarda. Gniew Małorusina i innych przypisywałem powodom osobistym. Tymczasem nie były to powody osobiste, był to gniew za to, że Skuratow zachowuje się zbyt swobodnie, że nie sady się na sztuczną godność, którą cała katorga zarażona była aż do pedantyzmu, słowem za to, że jest wedle ich powiedzenia człowiekiem „beżżytecznym”. Jednakże nie na wszystkich wesołych gniewano się i nie wszystkich traktowano tak, jak Skuratowa i innych, jemu podobnych. Różni ludzie różnie pozwalali obchodzić się ze sobą: człowiek dobroduszny i bez pretensji natychmiast zostawał poniżony. Aż mnie to zdumiało. Lecz i wśród wesołych byli tacy, którzy umieli i lubili się odciąć i nikomu nie dawali pomiatać sobą: tych musiano szanować. Tuż, w tej samej grupie, był jeden taki „jeżowaty”, w gruncie rzeczy najweselszy i najmiłszy w świecie człowiek, ale którego z tej strony poznałem dopiero później, rosły i postawny zuch, z dużą brodawką na policzku i z przekomicznym wyrazem twarzy, skądinąd dosyć ładnej i sprytnej. Nazywano go pionierem, ponieważ kiedyś służył w pionierach; obecnie zaś znajdował się w specjalnym oddziale. O nim wiele jeszcze będę miał do powiedzenia.

Zresztą nie wszyscy ludzie „serio” byli tak ekspansywni, jak pomstujący na wesołość Małorusin. Było na katordze kilku roszczących sobie pretensje do pierwszeństwa, do wiedzy wszelkiego rodzaju, do pomysłowości, do charakteru, do rozumu. W ich liczbie było rzeczywiście sporo ludzi rozumnych, z charakterem, i ci rzeczywiście osiągnęli to, do czego zmierzali, a mianowicie pierwszeństwo i znaczny wpływ moralny na swych towarzyszy. Do siebie nawzajem ci mądrale często odnosili się wrogo — i każdy z nich miał dużo zaciekłych nieprzyjaciół. Na resztę więźniów patrzyli z godnością, a nawet z wyrozumiałością, niepotrzebnych kłótni nie wszczynali, u przełożonych mieli dobrą markę, na robotach byli jak gdyby kierownikami, i żaden z nich nie robiłby hałasu o to na przykład, że ktoś zaśpiewał; nie zniżali się do takich błażostek. W stosunku do mnie wszyscy oni byli przez cały czas katorgi wybitnie uprzejmi, lecz niewiele ze mną rozmawiali, jakby również z poczucia godności. O nich także wypadnie mi opowiedzieć szczegółowiej.

Przyszliśmy na brzeg. W dole, na rzece, stała wmarznięta w lód stara barka, którą należało rozebrać. Po tamtej stronie rzeki niebieszczył się step; widok był posępny i pustylny. Sądziłem, że się wszyscy od razu rzucą do pracy, ale nikt o tym ani myślał. Niektórzy usiedli na belkach, co

się poniewierały na wybrzeżu; prawie wszyscy wyciągnęli z cholew kapciuchy z miejscowym tytoniem, który na targu sprzedawano w liściach po trzy kopiejki za funt, oraz krótkie wierzbowe cybuszki z małymi drewnianymi fajeczkami własnej roboty Zakurzono fajki, żołnierze-konwojenci otoczyli nas kordonem i z niezmiernie znudzonymi minami zaczęli nas pilnować.

— Komu też przyszło do łba rozbierać tę barkę? — powiedział jeden jakby do siebie, do nikogo się zresztą nie zwracając. — Czego mu potrzeba? chyba szczap?

— Przyszło to do łba takiemu, co się nas nie boi — odparł drugi.

— Dokąd wali to chłopstwo? — po krótkim milczeniu zapytał pierwszy, nie zauważywszy snadź odpowiedzi na poprzednie pytanie i wskazując w dal na tłum chłopów, którzy zdążali gdzieś gęsiego po śnieżnej caliznie. Wszyscy leniwie obrócili się w tamtą stronę i z nudów jęli się z nich natrzasać. Jeden z chłopków, ostatni, szedł jakoś nadzwyczaj pociesznie, rozłożywszy ręce i zwiesiwszy na bok głowę, na której miał wysoką chłopską czapkę podobną do gryczanego pieroga. Cała jego postać plastycznie i wyraźnie odznaczała się na białym tle śniegu.

— Patrzajta, jak się kmoter Pietrowicz przyoblókł! — rzucił jeden, przedrzeźniając mowę chłopów. Ciekawe, że aresztanci w ogóle patrzyli na chłopów trochę z góry, choć połowa więźniów była chłopskiego pochodzenia.

— Ten co w tyle, bracia, chodzi, jakby rzepę sadził.

— Zamyślony jest, ma dużo pieniędzy — wtrącił trzeci.

Wszyscy się zaśmiali, lecz także jakoś leniwie, jak gdyby od niechcenia. Tymczasem podeszła do nas kołacznica, rezolutna i fertyczna kobieta.

Więźniowie kupili od niej kołacze za owego piątaką i niezwłocznie rozdzielili je po równo.

Młody chłopiec, który na katordze handlował kołaczami, nabył za dwa dziesiątki i zawzięcie począł się kłócić, żeby wytargować trzy, a nie dwa kołacze, jak wynikało z ustalonego porządku rzeczy. Ale kołacznica nie chciała się zgodzić.

— No, a tamtego nie dasz?

— Czego znów?

— Ano tego, czego myszy nie jedzą.

— A niechże cię kule biją! — pisnęła i zaniósła się śmiechem.

Wreszcie przyszedł nadzorca robót, podoficer z laseczką.

— Hej tam, czegoście się rozsiedli? Zaczynać!

— To niech nam pan wyznaczy zadanie, Iwanie Matwieiczu — rzekł jeden z „kierowników”, wolno podnosząc się z miejsca.

— Czemuście nie zapytali pierwej, kiedy was wyznaczono? Macie rozebrać barkę, oto wasze zadanie.

W końcu więźniowie wstali i zeszli nad rzekę, ledwie powłócząc nogami. Wśród tłumu natychmiast zjawili się „kierownicy”, jeżeli nie faktyczni, to przynajmniej nominalni. Okazało się, że barki nie należy rąbać byle jak, że trzeba w miarę możliwości zachować belki, a zwłaszcza

poprzeczne wręgi, na całej swej długości przybite do dna barki drewnianymi kołkami — praca długa i żmudna.

— Najsampierw trzeba by odciągnąć tę beleczkę. No, chłopaki! — powiedział jeden, nie kierownik bynajmniej ani zarządca, tylko po prostu wyrobnik, człeczyna cichy i małomówny, który dotychczas milczał; schylił się, oburącz objął grubą belkę i czekał na pomocników. Ale nikt mu nie pomógł.

— Podniesiesz ją, akurat! Ani ty nie podniesiesz, ani twój dziadek, niedźwiedź, jeżeli przyjdzie — także nie podniesie! — burknął ktoś przez zęby.

— Więc jakże będzie, bracie? jak zaczniemy? Nie mam pojęcia... — rzekł zbity z tropu człeczyna, który się był wysforował. Puścił belkę i nieco się wyprostował.

— Wszystkiej roboty i tak nie odwalisz... Czegoś się wyrwał?

— Do trzech nie potrafi toto zliczyć, a chce być pierwszy... Fujara!

— Ależ ja nic, bracia — sumitował się ów, zbity z tropu — ależ ja tylko tak sobie...

— Czy mam włożyć na was wszystkich pokrowce, co? A może chcecie, żebym was posolił na zimę? — znowu huknął nadzorca, patrząc z rozterką na dwudziestogłową ciżbę nie wiedzącą, jak się zabrać do rzeczy. — Zaczynać! Raz-dwa!

— Co nagle, to po diable, Iwanie Matwieiczu.

— Ale ty w ogóle nic nie robisz! Hej, Sawieliew! Mości Gaduło Pietrowiczu! Do ciebie gadam! czego stoisz z wybałuszonymi oczami!... Zaczynać!

— Cóż mogę zrobić sam jeden?...

— Niech pan nam zada normę, Iwanie Matwieiczu.

— Jużem powiedział, że normy nie będzie. Rozbierzcie barkę i idźcie do domu. Zaczynać!

Przystąpili wreszcie do pracy, lecz opieszale, niechętnie, niewprawnie. Aż przykro było patrzeć na ten tłum krzepkich pracowników, którzy jak gdyby zachodzili w głowę, jak się wziąć do rzeczy. Ledwie jęli wyjmować pierwszą, najmniejszą wręgę — okazało się, że się ona łamie, „sama się łamie”, jak zameldowano nadzorcy w charakterze usprawiedliwienia; stąd wniosek, że ten sposób jest nieodpowiedni i że należy się chwycić innego. Między więźniami potoczyła się długa dyskusja nad tym, jaki mianowicie ma to być sposób. Naturalnie, doszło w końcu do wymyślań, a groziło i coś gorszego... Nadzorca znowu huknął i pomachał laseczką; lecz wręga znowu się złamała. Wyszło wreszcie na jaw, że siekier jest za mało i że trzeba jeszcze przynieść jakieś narzędzia. Niezwłocznie wydelegowano do twierdzy po narzędzia dwóch chłopaków pod konwojem, a tymczasem wszyscy inni najspokojniej rozsiedli się na barce, dobyli swych fajeczek i znów zakurzyli. Zirytowany nadzorca splunął.

— Uważacie widać, że robota nie zajac, nie ucieknie! Oj, ludzie, ludzie! — sarknął z gniewem, machnął ręką i ruszył do twierdzy wywijając laseczką.

Po godzinie przyszedł kierownik robót. Spokojnie wysłuchawszy więźniów oświadczył, że naszym dzisiejszym zadaniem będzie: wyjąć jeszcze cztery wręgi, ale w całości, tak, żeby się już

nie łamały, ponadto zaś rozebrać znaczną część barki, po czym możemy już iść do domu. Zadanie było duże, lecz Boże drogi, jak się do tego zabrano! Ani śladu lenistwa, ani śladu wahań! Siekiery zastukały, zaczęły wylatywać drewniane kołki. Inni podkładali grube drągi i napierając na nie w dwadzieścia rąk, rażno i sprawnie wyważali wręgi, które ku mojemu zdziwieniu dawały się teraz wyważyć w całości i nie uszkodzone. Praca wrzała. Wszyscy wokół przedziwnie jakoś zmądrzeli. Ani zbytecznych słów, ani przekleństw, każdy wiedział, co powiedzieć, co robić, gdzie stanąć, co poradzić. Dokładnie na pół godziny przed bębniem wyznaczone zadanie zostało spełnione i więźniowie poszli do domu zmęczeni, lecz całkowicie zadowoleni, choć właściwie zyskali zaledwie pół godziny. W stosunku wszakże do mnie zauważyłem jedną osobliwość: gdziekolwiek próbowałem im pomagać w czasie pracy, wszędzie byłem nie na miejscu, wszędzie zawadzałem, zewsząd odpędzali mnie nieomal mi wymyślając.

Pierwszy lepszy obdartus, który i sam był pracownikiem od siedmiu boleści, i nie śmiał słówka pisnąć wobec innych katorżników, sprawniejszych niż on i bardziej rozgarniętych, uważał jednak, że ma prawo krzyknąć na mnie, jeżeli się przy nim zatrzymał, a to pod pozorem, że mu przeszkadzam. Wreszcie jeden z rezolutnych powiedział mi obcesowo i grubiuńsko:

— Gdzie pan leziesz, fora stąd! Czego się pchać, gdzie nie proszą!

— Ma za swoje! — od razu podchwycił drugi.

— Weź no lepiej skarbonkę — rzekł do mnie trzeci — i ruszaj zbierać datki na koszalki opałki, na niebieskie migdałki, bo tutaj nie masz co robić.

Musiałem więc stać na uboczu, a stać na uboczu, gdy wszyscy pracują — to rzecz niemiła. Ale kiedy istotnie odszedłem i stanąłem na końcu barki, wnet zaczęli krzyżeć:

— Ładnych dali nam robotników! Jaka z nich pociecha! Żadna!

Naturalnie, robili to rozmyślnie, ponieważ bawiło to wszystkich. Mieli ochotę zabawić się kosztem byłego szlachetki i, rzecz prosta, radzi byli okazji.

Łatwo teraz pojąć, dlaczego, jakem już mówił, pierwszym moim pytaniem po przybyciu na katorgę było: jak się zachowywać, jak ustosunkować do tych ludzi? Przeczuwałem, że często będę miał z nimi takie starcia, jak obecnie na robocie. Lecz mimo wszelkich starć, postanowiłem nie zmieniać swego planu działania, który już wtedy częściowo obmyśliłem; wiedziałem, że plan jest słuszny. Mianowicie: postanowiłem, że powinienem zachowywać się możliwie najprościej i najbardziej niezależnie, wcale nie okazywać szczególnie gorliwej chęci zbliżenia się z nimi, ale też nie odtrącać ich, jeśli sami zapragną się zbliżyć. Wcale się nie bać ich pogroźek i nienawiści i w miarę możliwości udawać, że tego nie spostrzegam. Wcale się z nimi nie zbliżać na niektórych wiadomych punktach i nie aprobować niektórych ich nawyków i zwyczajów, słowem — nie dobijać się, żeby całkowicie przyjęli mnie do swojej kompanii. Wnet się domyśliłem, że oni pierwsi gardziliby mną za to. Jednak, wedle ich pojęć (a stwierdziłem to później niezbitcie), mimo wszystko powinienem był cenić i szanować wobec nich nawet swe szlacheckie pochodzenie, to znaczy pieścić się, zadzierać nosa, brzydzić się nimi, wyrzekać na każdym kroku, paniczycować.

Tak właśnie pojmowali istotę szlachectwa. Naturalnie, łajaliby mnie za to, a jednak w duchu poważaliby mnie. Taka rola nie zachwycała mnie; nigdy nie był szlachcicem wedle ich pojęć; natomiast dałem sobie słowo, że żadnym ustępstwem nie obniżę wobec nich ani swego wykształcenia, ani swych zapatrywań. Gdybym, chcąc im dogodzić, zaczął się im przypochlebiać, basować, poufalić się z nimi i puszczać się na różne ich „kawały”, aby zaskarbić sobie ich przychyłność — uznaliby natychmiast, że czynię to z lęku i tchórzostwa, i potraktowaliby mnie ze wzgardą. A-w nie mógł służyć za przykład: chodził do majora, więc oni sami się go bali. Z drugiej strony, nie chciałem też zamykać się przed nimi w zimnej i niedostępnej grzeczności, jak to robili Polacy. Bardzo dobrze wiedziałem teraz, iż gardzą mną za to, że pragnę pracować tak samo jak oni, nie pieścić się i nie drę nosa; i choć wiedziałem na pewno, że później będą musieli zmienić zdanie o mnie, jednak myśl, iż obecnie mają jak gdyby prawo gardzić mną z powodu mojego rzekomego nadszkakiwania im przy pracy, okropnie mię martwiła.

Gdy wieczorem, po skończonej pracy poobiedniej, wróciłem zmęczony i udręczony, ogarnął mię ponownie straszny smutek. „Ileż tysięcy takich dni mam jeszcze przed sobą — myślałem — dni wciąż takich samych, wciąż takich samych!” Milcząc, o zmierzchu już, snułem się samotnie za koszarami, wzdłuż parkanu, aż nagle ujrzałem naszego Kulkę, który biegł wprost ku mnie. Kulka był naszym psem więziennym, podobnie jak bywają psy kompanijne, bateryjne i szwadronowe. Żył w twierdzy od niepamiętnych czasów, do nikogo nie należał, poczytywał wszystkich za swych panów i żywił się odpadkami z kuchni. Spory był to pies, czarny w białe łaty, kundel, nie bardzo stary, o mądrych oczach i puszystym ogonie. Nikt go nigdy nie pieścił, nikt nie zwracał nań nigdy najmniejszej uwagi. Zaraz pierwszego dnia pogładziłem go i z ręki dałem mu chleba. Kiedym go głaskał, stał spokojnie, przymilnie patrzył na mnie, i na znak zadowolenia powolutku merdał ogonem. Teraz długo mnie nie widząc, mnie, który pierwszy od kilku lat zechciałem go przygarnąć, Kulka biegał, szukał wśród wszystkich, a gdy mnie znalazł za koszarami, z piskiem pomknął w moim kierunku. Nie wiem doprawdy, co mi się stało, ale go schwycił, wyczałował, objął za łeb; Kulka oparł przednie łapy na moich ramionach i jął lizać mnie w twarz. „Oto więc przyjaciel, którego zsyła mi los!” — pomyślałem, i ilekroć potem, w tym pierwszym ciężkim i ponurym okresie, wracałem z robót, nasamprzód, nigdzie jeszcze nie wstępując, śpieszyłem za koszary, ze skaczącym przede mną i piszczącym z radości Kulką, chwytalem go za łeb i całowałem, całowałem go, i jakieś słodkie, a zarazem dręcząco gorzkie uczucie rozpie-rało mi serce. Pamiętam, że nawet było mi przyjemnie myśleć, jak gdybym się chełpił przed sobą samym własną męką, iż na całym świecie pozostała mi teraz tylko jedna istota, która mnie kocha, która jest do mnie przywiązana, mój przyjaciel, mój jedyny przyjaciel — mój wierny pies Kulka.

VII. Nowe znajomości — Pietrow

Ale czas upływał i z wolna zacząłem się przyzwyczajać. Z każdym dniem powszednie zjawiska nowego mego życia wprawiały mnie w coraz mniejszą rozterkę. Wydarzenia, otoczenie, ludzie — wszystko to jakoś mi się opatrzyło. Niepodobna było się pogodzić z tym życiem, lecz uznać je za fakt dokonany — wypadało już dawno. Wszystkie nie rozstrzygnięte zagadnienia, które jeszcze zostały we mnie, zataiłem w sobie, możliwie najbardziej głęboko. Jużem się nie objął po twierdzy i nie zdradzałem swej udręki. Dziko ciekawe spojrzenia katorżników już się nie zatrzymywały na mnie tak często, nie śledziły mnie z taką rozmyślną czelnością. Widocznie i ja się im opatrzyłem, z czegom wielce był rad. Po twierdzy przechadzałem się już jak we własnym domu, znałem swe miejsce na pryzkach, a nawet przywykłem jak gdyby do takich rzeczy, do których przedtem nie przypuszczałem, że kiedykolwiek przywyknę. Regularnie co tydzień szedłem, by mi ogolono pół głowy. Każdej soboty, po pracy, kolejno wywoływano nas w tym celu do kordegardy (kto się nie ogolił, sam już odpowiadał za to); tam fryzjerzy z batalionów mydlili zimnym mydłem nasze głowy i bez miłosierdzia skrobali je tępymi jak szydło brzytwami, tak że do dziś dnia czuję ciarki na wspomnienie tej katuszy. Zresztą niebawem znalazło się lekarstwo: Akim Akimycz wskazał mi pewnego aresztanta, byłego żołnierza, który za kopiejkę golił każdego chętnego własną brzytwą i tym zarabkował. Wielu katorżników, choć nie były to przecież delikaciki, szło do niego, by uniknąć fryzjerów skarbowych. Naszego aresztanta fryzjera nazywano majorem; czemu? — nie wiem, nic potrafię też powiedzieć, z czego mógł przypominać majora. Teraz, gdy to piszę, żywo staje mi przed oczyma ten major, słuszny, chuderlawy i małowówny chłop, dosyć przygłupi, wiecznie pogrążony w swym zajęciu, zawsze z paskiem w ręce, na którym dniem i nocą wecował swą do niemożliwości zużytą brzytwę, i zdawał się całkowicie pochłonięty tą pracą, którą snadź uznał za jedyny cel życia. W rzeczy samej, był ogromnie kontent, kiedy miał dobrą brzytwę i kiedy ktoś przychodził się ogolić; mydło jego było ciepłe, ręka lekka, golenie aksamitne. Najwidoczniej delektował się i szczyił swym kunsztem, a zarobioną kopiejkę brał od niechcienia, jakby rzeczywiście chodziło mu o kunszt, nie zaś o kopiejkę. A-w niezgorzej oberwał od naszego placmajora, gdy składając mu denuncjacje wspomniał pewnego razu imię naszego więziennego fryzjera i nieogłędnie nazwał go majorem. Placmajor obraził się i rozjuszył niebywale. „Czy wiesz, łotrze jeden, co to jest major! — krzyczał z pianą na ustach, po swojemu rozprawiając się z A-wem. — Czy rozumiesz, co to jest major! A tu raptem jakiegoś łajdaka katorżnika śmiesz mi w oczy, w mojej obecności, nazywać majorem!... Tylko A-w mógł obcować z takim człowiekiem.

Zaraz od pierwszego dnia zacząłem marzyć o wolności. Rachuba, kiedy się skończą moje lata więzienne, rachuba snuta na tysiąc różnych sposobów stała się moim ulubionym zajęciem. Nie

mogłem nawet myśleć o niczym innym i pewien jestem, że postępuje tak każdy człowiek, terminowo pozbawiony wolności. Nie wiem, czy katorżnicy myśleli i rachowali podobnie jak ja, lecz zdumiewająca lekkomyślność ich nadziei uderzyła mnie od pierwszej chwili. Nadzieja uwięzionego, pozbawionego wolności — najzupełniej się różni od nadziei człowieka żyjącego naprawdę. Zapewne, wolny człowiek spodziewa się (na przykład odmiany losu, ziszczenia jakiegoś zamierzenia), ale żyje, działa: prawdziwe życie wciąga go w swój wir. Inaczej ma się rzecz z więźniem. Wprawdzie i tu jest życie — więziennicze, katorżnicze, ale kimkolwiek byłby katorżnik, na jakikolwiek termin zostałby zesłany, żadną miarą, instynktownie nie może uznać swej doli za coś istotnego, ostatecznego, za część rzeczywistego życia. Każdy katorżnik czuje, że jest nie u siebie w domu, tylko jak gdyby w gościnie. Na dwadzieścia lat spogląda jakby na dwa lata i nie wątpi, że w pięćdziesiątym piątym roku życia, po wyjściu z katorgi, będzie takim samym zuchem jak teraz, gdy ma lat trzydzieści pięć. „Jeszcze sobie użyję!” myśli i z uporem odsuwa wszelkie wątpliwości i inne przykre refleksje. Nawet zesłani bezterminowo do specjalnego oddziału liczyli czasem na to, że nagle przyjdzie z Petersburga decyzja: „Przenieść do Nerczyńska, do kopalni, i wyznaczyć termin.” A wtedy dobra nasza: po pierwsze, do Nerczyńska idzie się prawie pół roku, a iść etapem — o ileż to milsze niż twierdza! Następnie zaś odbędzie się swój termin w Nerczyńsku, a wtedy... I pomyśleć tylko, że czasami rachował na to człowiek już siwy! W Tobolsku widziałem przykutych do ściany. Siedzi takie chłopisko na łańcuchu długości jakiegoś sążnia; tu ma wyrko. Przykuli go za coś wyjątkowo strasznego, popełnionego już na Syberii. Siedzą po pięć lat, siedzą i po dziesięć. Przeważnie są to bandyci. Widziałem między nimi jednego tylko zakrawającego na pana; gdzieś, kiedyś miał posadę. Mówił skromniuteńko, prawie szeptem, uśmiezek słodziuchny. Pokazywał nam swój łańcuch, pokazywał, jak się trzeba wygodniej kłaść na wyrku. Musiał to być niezły ptaszek! Na ogół zachowują się spokojnie i robią wrażenie zadowolonych, a tymczasem każdy z nich pragnie czym prędzej odsiedzieć swój termin. Po co właściwie? Ano, po to: wyjdzie wtedy z dusznej, stęchłej izby o niskim ceglany pułapie i przejdzie się po dziedzińcu więziennym, i... i na tym koniec. Poza twierdzę nie wypuszczą go już nigdy. Wie sam, że spuszczeni z łańcucha wiecznie już trzymani są w twierdzy, aż do śmierci, w kajdanach. Wie o tym, a jednak szalenie pragnie co rychlej odbyć swój łańcuchowy termin. Bo gdyby nie to pragnienie, czyż mógłby wysiedzieć pięć lub sześć lat na łańcuchu, nie umrzeć albo nie zwariować? Czyżby ktokolwiek wysiedział?

Czułem, że praca może mnie uratować, wzmocnić moje zdrowie, ciało. Stały niepokój psychiczny, nerwowe podniecenie, wilgotne powietrze koszar — mogłyby zrujnować mię zupełnie. Muszę jak najczęściej być na powietrzu, co dzień się zmęczyć, nauczyć się dźwigać ciężary, a przynajmniej uratuję siebie — myślałem — okrzepnę, wyjdę stąd zdrowy, rześki, silny, niestary. Nie omyliłem się: praca i ruch dobrze mi zrobiły. Ze zgrozą spoglądałem na jednego ze swych towarzyszy (ze szlachty), który gasł niczym świeca. Przybył tu razem ze mną, młody jeszcze, przystojny, rześki, wyszedł zaś na wpół zniszczony, siwy, ze sztywnymi nogami, z astmą.

Nie — myślałem, patrząc na niego — chcę żyć i będę żył. Toteż z początku miałem się z pyszna, obrywałem od katorżników za chęć do pracy; długo dopiekali mi pogardą i drwinami. Alem się na nikogo nie oglądał i zwawo szedł dokądś, chociażby na przykład wypalać i tłuc alabaster — jedna z pierwszych robót, które poznałem. Była to robota lekka. Zwierzchność inżynieryjna w miarę możliwości gotowa była ułatwiać pracę szlachcie, co zresztą wcale nie było oznaką pobłażania, tylko dowodem sprawiedliwości. Bo czyż można wymagać od człowieka, który jest o połowę słabszy i nigdy nie pracował fizycznie, takiej samej ilości pracy, jaką musiał ustawowo wykonać prawdziwy robotnik? Jednakże te „względy” stosowano nie zawsze, a nawet stosowano je raczej ukradkiem; dozór nad tym był ostry. Dostyc często trzeba było wykonać robotę mozolną, a wtedy, rzecz oczywista, szlachcicowi było w dwójnasób ciężiej niż innym. Do alabastru wysyłano zazwyczaj trzech czy czterech ludzi, starych lub słabych, no naturalnie i nas w tej liczbie; ponadto zaś dodawano jednego prawdziwego robotnika znajdującego się na rzeczy. Zwykle chodził stale, kilka lat z rzędu, ten sam, niejaki Ałmazow, surowy, śniady i chuderlawy człowiek, już w latach, nietowarzyski i opryskliwy. Głęboko nami gardził. Skądinąd, bardzo był nierozmowny, tak dalece, że nawet się lenił gderać na nas. Szopa, w której wypalało się i tłukło alabaster, stała również na pustynnym i stromym brzegu rzeki. Zimą, zwłaszcza w pochmurny dzień, widok na rzekę i przeciwległy, daleki brzeg był nudny. Coś markotnego, nękającego serce tkwiło w tym dzikim i pustynnym krajobrazie. Lecz bodaj czy nie jeszcze ciężiej było wówczas, gdy na nieskończonej białej płaszczyźnie śniegu jaskrawo lśniło słońce; człowiek rad by gdzieś ulecieć w ten step, co się zaczynał na drugim brzegu i ciągnął ku południowi jednolitą bezkresną płachtą na przestrzeni dobrych półtora tysiąca wiorst. Ałmazow zazwyczaj brał się do pracy w milczeniu i surowo; myśmy się jak gdyby wstydzieli, że nie potrafimy okazać mu skutecznej pomocy, on zaś umyślnie radził sobie sam, umyślnie nie żądał od nas żadnej pomocy, zapewne po to, żebyśmy czuli całą swą winę wobec niego i żal za własną nieużyteczność. A tymczasem chodziło tylko o napalenie w piecu, aby wypalić złożony w nim alabaster, który przecież my właśnie przydźwigaliśmy. Nazajutrz, gdy alabaster był już zupełnie wypalony, rozpoczynało się wyładowywanie z pieca. Każdy z nas brał ciężki bijak, nakładał sobie pełną skrzynię alabastru i zaczynał go tłuc. Była to nader przyjemna praca. Łamliwy alabaster szybko się zmieniał w biały błyszczący miał: tak ładnie, tak dobrze się kruszył. Podnosiliśmy ciężkie młoty i wszczynali taki harmider, że aż miło. I męczyliśmy się w końcu, i zarazem robiło nam się lekko: policzki czerwieniały, krew krążyła raźniej. Wtedy już i Ałmazow zaczynał patrzeć na nas wyrozumialej, jak się patrzy na małe dzieci. Wyrozumiale pykał fajeczkę, a jednak, kiedy musiał przemówić, nie mógł się powstrzymać od gderania. Zresztą i wszystkich innych traktował tak samo, w gruncie rzeczy był, jak się zdaje, poczciwym człowiekiem.

Inna robota, do której mnie posyłano — to obracanie tokarskiego koła w warsztacie. Koło było wielkie, ciężkie. Niełatwo je było obracać, zwłaszcza gdy tokarz (z majstrów inżynieryjnych) toczył coś w rodzaju schodowych balasków albo nóżki do dużego biurowego stołu dla któregoś z

urzędników; szła na to prawie cała belka. W takich razach praca przekraczała siły jednego człowieka, toteż zwykle posyłano do niej dwóch: mnie oraz niejakiego B., również szlachcica. Utarło się, że w ciągu kilku lat zawsze my dwaj wykonywaliśmy tę robotę, ilekroć należało coś utoczyć. B. był to człowiek słaby, wątły, młody jeszcze, cierpiący na piersi. Przybył tu na rok przede mną wraz z dwoma towarzyszami: staruszką, który przez cały czas swego więziennego życia dniem i nocą się modlił (za co więźniowie wielce go poważali) i który zmarł przy mnie, oraz z bardzo jeszcze młodym człowiekiem, świeżym, rumianym, silnym, śmiałym; ten przez całą drugą połowę drogi, czyli na przestrzeni siedmiuset wiorst, niósł wyczerpanego doszczętnie B. Trzeba było widzieć ich wzajemną przyjaźń. B. był to człowiek ze świetnym wykształceniem, szlachetny, o charakterze wielkodusznym, lecz zepsutym i rozjątrzoną chorobą. Z kołem radziliśmy sobie we dwójkę, i to nawet interesowało nas obu. Dla mnie ta praca stanowiła wyborną gimnastykę.

Bardzo też lubiłem odgarniać śnieg. Zazwyczaj działo się to po zawiejach, nader częstych w zimie. Po całodziennym zamieci śnieg zasypywał niektóre domy do połowy okien, niektóre zaś prawie aż po dach. Gdy zamieć nareszcie ustawała i pokazywało się słońce, pędzono nas dużymi gromadami, a czasem brano wszystkich, do odgarniania śniegu od budynków skarbowych. Każdemu dawano łopatę, wszystkim razem zadanie niekiedy takie, że aż dziw brał, jak się z nim uporać, i społem przystępowaliśmy do dzieła. Łatwo brało się na łopatę i rozrzucało wokół ogromne pecyny pulchnego śniegu, który dopiero co się uleżał i lekko przymarzył z wierzchu, a teraz już w powietrzu zamieniał się w błyszczący pył. Łopata wrzynała się w białą, lśniącą w słońcu masę. Aresztanci niemal zawsze wykonywali tę pracę ochoczo. Podniecało ich rześkie zimowe powietrze i ruch. Wszyscy weseleli; rozlegał się śmiech, pohukiwanie, koncepty. Rozpocząła się zabawa w śnieżki, toteż już po upływie minuty ludzie rozsądni, oburzeni na śmiech i wesołość, wszczynali oczywiście krzyk, i powszechne uniesienie kończyło się najczęściej wymyślaniami.

Stopniowo zacząłem też rozszerzać krąg swych znajomości. Co prawda, sam nie myślałem ich nawiązywać: wciąż jeszcze byłem niespokojny, posępny i nieufny. Znajomości moje zadzierzgnęły się same przez się. Jeden z pierwszych jął mnie odwiedzać więzień Pietrow. Mówię odwiedzać i kładę na to słowo szczególny nacisk. Pietrow mieszkał w specjalnym oddziale i w najdalszych ode mnie koszarach. Na pozór nie mogło być między nami żadnych przyjacielskich stosunków; nic, ale to zgoła nic nas nie łączyło i łączyć nie mogło. A jednak w tym pierwszym okresie Pietrow jakby poczytywał sobie za obowiązek prawie co dzień wstępować do mnie do koszar albo zatrzymywać mnie, kiedy po pracy błędził za koszarami, możliwie najdalej od ludzkich oczu. Zrazu było mi to nieprzyjemne. Ale potrafił osiągnąć, że wkrótce wizyty jego stały się dla mnie jak gdyby rozrywką, chociaż nie był to bynajmniej człowiek szczególnie wylewny i rozmowny. Niewysokiego wzrostu, silnej budowy ciała, zgrabny, obrotny, miał dosyć miłą twarz, bladą, o szerokich kościach policzkowych, o śmiałym spojrzeniu, białych, gęstych i drobnych

zębach i z wieczną szczyptą tartego tytoniu pod dolną wargą. Wielu katorżników miało we zwyczaju kłaść sobie tytoń na wardze. Wyglądał na młodszego, niż był. Miał ze czterdzieści lat, a wyglądał na trzydzieści najwyżej. Mówił ze mną zawsze nadzwyczaj swobodnie, traktował mnie najzupełniej jak równego, to znaczy arcyprzystojnie i delikatnie. Jeśli spostrzegł na przykład, że szukam samotności, po paru chwilach pogawędki odchodził natychmiast i za każdym razem dziękował mi za rozmowę, czego nigdy, rzecz prosta, nie robił w stosunku do nikogo innego w całej katordze. Ciekawe, że tego rodzaju komitywa trwała między nami nie tylko w pierwszych dniach, ale w ciągu kilku lat z rzędu i nigdy prawie nie stawała się poufalszą, jakkolwiek był mi prawdziwie oddany. Do dziś dnia nie jestem pewien: czego właściwie chciał ode mnie, czemu przyłaził do mnie dzień w dzień? Chociaż mu się później zdarzało mnie okradać, kradł jakby niechcący; o pieniądze zaś nigdy niemal mnie nie prosił, a zatem przychodził wcale nie po pieniądze i nie w jakimś interesie.

Nie wiem też dlaczego, ale zdawało mi się zawsze, że Pietrow jak gdyby wcale nie mieszka ze mną w twierdzy, tylko gdzieś daleko, w innym domu, w mieście, a do twierdzy wstępuje mimochodem, żeby posłuchać nowin, odwiedzić mnie, zobaczyć, jak sobie wszyscy żyjemy. Zawsze się dokądś śpieszył, jak gdyby gdzieś zostawił kogoś, kto na niego czeka, jak gdyby nie dokończył jakiejś pracy. A tymczasem nie wyglądał na przeciążonego nadmiarem zajęć. Wzrok jego również był dziwny: baczny, z odcieniem śmiałości i poniekąd ironii; ale Pietrow patrzył jakoś w dal, ponad przedmiotem: zdawało się, że poza przedmiotem, będącym tuż przed nim, usiłuje dojrzeć inny, odleglejszy. Nadawało mu to wyraz roztargnienia. Naumyślnie śledziłem czasem, dokąd Pietrow pójdzie ode mnie. Gdzie to na niego tak czekają? Lecz ode mnie szedł pośpiesznie gdzieś do koszar albo do kuchni, siadał tam obok kogoś z rozmawiających, słuchał pilnie, czasem sam się wtrącał do rozmowy, i to nawet z wielkim zapalem, po czym zniemacka urywał i milkł. Ale czy rozmawiał, czy siedział milcząc, zawsze znać było, że to tylko tak sobie, mimochodem, właściwe zaś jego zajęcie jest gdzie indziej i tam go oczekują. Co zaś najdziwniejsze, że zajęć nie miał nigdy żadnych; trawił czas na kompletnej bezczynności (poza robotami przymusowymi, oczywiście). Żadnego fachu nie znał i prawie nigdy nie miał grosza przy duszy. Lecz i o pieniądze niezbyt się martwił. O czym ze mną rozmawiał? Rozmowa jego była równie osobliwa jak i on sam. Zobaczy, na przykład, że chodzę gdzieś samotnie za koszarami, i raptem zawróci w moją stronę. Chodził zawsze prędko, zawracał zawsze raptownie. Podejdzie zwykłym krokiem, a wydaje się, że przybiegł.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Nie przeszkadzam?

— Nie.

— Właśnie chciałem pana zapytać o Napoleona. To przecie krewny tego, co był w dwunastym roku? (Pietrow pochodził z kantonistów i był piśmienny.)

— Krewny.

— To czemuż powiadają, że jest jakimś tam prezydentem ?

Pytał zawsze prędko, porywczo, jak gdyby musiał co rychlej się czegoś dowiedzieć. Jak gdyby zasięgał informacji w jakiejś niezmiernie doniosłej sprawie, nie cierpiącej najmniejszej zwłoki.

Wyjaśniłem, jakim to Napoleon jest prezydentem, i dodałem, że wkrótce będzie może też cesarzem.

— Niby jak?

W miarę możliwości wyjaśniłem i to również. Pietrow słuchał z uwagą, doskonale rozumiejąc i w lot miarkując, przy czym aż nachylił ucha w moją stronę.

— Hm... A jeszcze chciałem pana zapytać, Aleksandrze Pietrowiczu, czy to prawda, że podobno są takie małpy, co mają ręce aż do pięt i są wielkie jak najszlachetniejszy człowiek.

— Owszem.

— Cóż to za małpy?

Powiedziałem wszystko, com o tym wiedział.

— A gdzie żyją?

— W gorących krajach. Na przykład na wyspie Sumatrze.

— To chyba w Ameryce, nie? Czy prawdę mówią, że ludzie chodzą tam do góry nogami?

— Nie do góry nogami. Macie na myśli antypodów.

Wy tłumaczyłem, co to jest Ameryka, a w miarę możliwości również, co to są antypodzi. Słuchał tak samo uważnie, jakby przybiegł wyłącznie po to, by zapytać o antypodów.

— A-ha! No, a w zeszłym roku czytałem o hrabinie La Vallière; Arefiew przyniósł książkę od komendanta. Czy to prawda, czy tylko tak sobie — zmyślenie? Utwór Dumasa.

— Zmyślenie, oczywiście.

— No, do widzenia, Dziękuję.

I Pietrow zniknął. Właściwie nigdyśmy prawie nie rozmawiali inaczej niż w ten sposób.

Zacząłem się o niego dowiadywać. Usłyszawszy o tej znajomości, M. przestrzegał mnie nawet. Oświadczył mi, że wielu katorżników budziło w nim grozę, zwłaszcza na początku, w pierwszych dniach, lecz żaden z nich, nawet sam Gazin, nie wywierał na nim tak okropnego wrażenia jak ten Pietrow.

— To największy desperat, najbardziej nieulekły ze wszystkich katorżników — mówił M. — Do wszystkiego jest zdolny; przed niczym się nie cofnie, jeśli mu co strzeli do głowy. Pana także zarżnie, jeżeli przyjdzie mu taka fantazja, zarżnie od niechcienia, bez zmrużenia oka i bez skruchy. Myślę nawet, że jest niespełna rozumu.

Ta opinia mocno mię zainteresowała. Ale M. jakoś nie umiał mi wyłożyć, czemu tak mu się wydaje. I rzecz dziwna: znałem później Piętrowa kilka lat z rzędu, niemal codziennie z nim rozmawiałem; przez cały czas był do mnie szczerze przywiązany (choć absolutnie nie wiem za co) — i przez te wszystkie lata, mimo że na katordze żył rozsądnie i zgoła nic okropnego nie zrobił,

jednak ilekroć patrzyłem na niego i rozmawiałem z nim, zawszem się przekonywał, że M. ma słuszość i że Pietrow jest może istotnie człowiekiem najbardziej zdesperowanym, nieulekłym, pozbawionym wszelkich hamulców wewnętrznych. Czemu tak mi się zdawało — tego również nie potrafię wyłuszczyć.

Nawiasem dodam, że to ten sam Pietrow, który kiedy go wezwano, by wymierzyć mu karę, chciał zabić placmajora, a ten się „cudem uratował”, jak mówili więźniowie, ponieważ odjechał na chwilę przedtem. Innym razem, jeszcze przed katorgą, zdarzyło się, że go pułkownik uderzył podczas musztry. Prawdopodobnie i wprzód bito go niejednokrotnie; ale tym razem nie zechciał tego znieść i zażgał swego pułkownika jawnie, w biały dzień, wobec uszykowanych szeregów. Co prawda, nie znam szczegółowo całej jego historii; nigdy mi jej nie opowiadał. Zapewne, były to tylko wybuchy, w których się jego natura objawiała w całej pełni. Jednak wybuchy te były nader rzadkie. W istocie był rozsądny, a nawet potulny. Namiętności w nim gorzały, owszem, namiętności silne, gorące, lecz zarzewie było stale przysypane popiołem i tliło się słabo. Nigdy u niego nie zauważył ani cienia fanfaronady czy pyszałkowatości, jak na przykład u innych. Klócił się rzadko, za to też z nikim się specjalnie nie przyjaźnił, chyba tylko z Sirotkinem, a i to wyłącznie wtedy, gdy mu ten bywał potrzebny. Zresztą raz widziałem, jak się poważnie rozgniewał. Nie chciano mu czegoś dać, jakiejś rzeczy; pominięto go przy jakimś podziale. Spierał się z nim więzień osilek, wysoki, zły, zadzierzysty, kpiarz i nie tchórz bynajmniej, Wasilij Antonow, z kategorii cywilnej. Długo już krzyczeli, i sądziłem, że sprawa skończy się najwyżej na wybitce, ponieważ i Pietrow, choć bardzo rzadko, bił się niekiedy i wymyślał jak najostatniejszy katorżnik. Tym razem jednak stało się inaczej: Pietrow pobladł raptem, wargi mu się zatrzęsły i zsiniały, oddychał z trudem. Wstał i powoli, bardzo powoli, niedosłyszalnie stąpając bosymi nogami (w lecie bardzo lubił chodzić boso) podszedł do Antonowa. Wtem w całych hałaśliwych i wrzaskliwych koszarach zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy oczekiwali, co to będzie. Antonow zerwał się; był zupełnie zmieniony na twarzy... Nie mogłem tego znieść i wyszedłem z koszar. Czekałem, że zanim jeszcze zdążę zejść z ganku, usłyszę krzyk zarzylanego człowieka. Jednakże i tym razem skończyło się na niczym. Antonow, nim jeszcze Pietrow zdążył do niego dojść, milcząc i pośpiesznie cisnął mu ową sporną rzecz. (Chodziło o jakiś bardzo nędzny łach, o jakieś onuce.) Naturalnie, po paru minutach Antonow skłął go jednak półgębkiem, żeby sobie ulżyć i dla przyzwoitości, żeby dowieść, że znowuż nie tak bardzo stchórzył. Lecz na przekleństwa Pietrow nie zwrócił uwagi, nawet nie odpowiedział: nic chodziło bowiem o przekleństwa, a sprawa została załatwiona na jego korzyść; był bardzo zadowolony i wziął sobie ów łachman. Po kwadransie znowu się już objął po twierdzy, z miną człowieka całkowicie bezczynnego, i jak gdyby szukał, czy się gdzie nie toczy ciekawsza rozmowa, do której mógłby wtrącić swoje trzy grosze. Wszystko zdawało się go interesować, lecz ostatecznie pozostawał przeważnie obojętny na wszystko, i snuł się bezczynnie po więzieniu nie wiadomo po co; coś go ponosiło to tu, to ówdzie. Można go też było porównać z robotnikiem, dzielnym robotnikiem, któremu praca

będzie się paliła w ręku, ale któremu na razie pracy nie dają, siedzi więc w oczekiwaniu i baraszkuje z małymi dziećmi. Nie rozumiałem ponadto, dlaczego nie ucieknie. Nie zawahałby się zwać, gdyby tylko tego zapragnął. Nad takimi ludźmi jak Pietrow roztropność ma władzę jedynie póty, póki czegoś nie zapragną. A wówczas nie ma już dla nich żadnych przeszkód. Jestem zaś pewien, że zdołałby zbiec zręcznie, wyprowadzić wszystkich w pole, cały tydzień siedzieć bez chleba gdzieś w lesie, albo w szuwarach nad rzeką. Ale snadź jeszcze nie wpadł na ten pomysł i nie zapragnął tego w pełni. Wybitnej rozwagi, szczególnego zdrowego rozsądku nigdy u niego nie spostrzegłem. Tacy ludzie rodzą się z jedną jedyną myślą, która całe życie bezwiednie porusza nimi tam i sam. Miotają się całe życie, dopóki nie znajdą zajęcia całkowicie odpowiadającego ich pragnieniu, wtedy już sam diabeł im nie straszny. Dziwiłem się niekiedy, że ten człowiek, co zabił swego zwierzchnika za uderzenie, tak bez protestu kładzie się u nas pod różgi. Dostawał czasem chłostę, gdy go przyłapywano z wódką. Podobnie jak wszyscy katorżnicy bez fachu, uprawiał niekiedy przemyt wódki. Lecz i pod różgi kładł się jak gdyby za własnym przyzwoleniem, jak gdyby uznając, że zasłużył na plagi; w przeciwnym razie za nic by się nie położył, dałby się raczej zabić. Dziwiłem się też, gdy mię okradał mimo widoczne do mnie przywiązanie. Nawiedzało go to okresami. To on ukradł mi Biblię, którą mu dałem po to tylko, by ją z jednego miejsca zaniósł na drugie. Droga wynosiła kilka kroków, jednak zdążył znaleźć kupca, sprzedał Biblię i natychmiast przepił pieniądze. Prawdopodobnie bardzo zachciało mu się pić, a skoro bardzo mu się czego zachciało, musiało się to ziścić. Taki właśnie człowiek zabije za dwudziestkę, ażeby za tę dwudziestkę wypić ćwiartkę, chociaż kiedy indziej nie tknie przechodnia z setką tysięcy rubli. Wieczorem sam mi oznajmił o kradzieży, ale bez najmniejszego skrępowania ani skruchy, całkiem obojętnie, jak o najzwyczajniejszej przygodzie. Spróbowałem sfukać go co się zowie; przy tym szkoda mi było mojej Biblii. Słuchał bez rozdrażnienia, owszem, bardzo potulnie; przyznawał, że Biblia jest nader pożyteczną książką; szczerze żałował, że teraz już jej nie mam, ale bynajmniej nie żałował tego, że ją ukradł; patrzył na mnie z taką pewnością siebie, że od razu przestał go łąjać. Łajanie zaś moje znosił widocznie z uwagi na to, że przecież niepodobna nie skarcić go za taki postępek, więc niech już sobie użyję, niech sprawię sobie ulgę, niech go zwymyślam; ale że to w gruncie rzeczy błahostka, taka oczywista błahostka, że człowiek poważny powinien by się wstydzić gadać o tym. Zdaje mi się, że w ogóle miał mnie za dzieciaka, prawie za niemowlę, które nie rozumie najprostszych w świecie rzeczy. Jeśli na przykład sam zaczynałem z nim mówić o czymś poza naukami i książkami, to mi wprawdzie odpowiadał, lecz jak gdyby tylko z grzeczności, poprzestając na najkrótszych odpowiedziach. Często zadawałem sobie pytanie: co mu po tych wiadomościach książkowych, o które mię zwykle nagabywał? Zdarzało się, że podczas takich rozmów zerkał na niego spod oka: czy się aby ten człowiek nie śmieje ze mnie? Lecz nie; zazwyczaj słuchał serio, uważnie, choć zresztą nie zanadto, i ta ostatnia okoliczność niekiedy mię korciła. Pytania zadawał ściśle, dokładnie, lecz jakoś niezbyt się dziwił otrzymany ode mnie informacjom i przyjmował je nawet z roztargnieniem... Wydawało mi

się również, że, co do mnie, bez długiego łamania sobie głowy doszedł do wniosku, iż ze mną nie sposób mówić jak z innymi ludźmi, iż mogę rozmawiać wyłącznie o książkach i nie jestem nawet zdolny pojąć nic innego, wobec czego nie warto mnie fatygować.

Mam pewność, że nawet mnie lubił, i mocno mię to zdumiewało. Czy uważał mnie za niedorośłego, niepełnego człowieka? czy miał dla mnie to szczególnego rodzaju współczucie, jakie instynktownie żywi każda istota silna dla innej, słabszej, za jaką mnie uznał? — nie wiem. I chociaż mu to wszystko nie przeszkadzało mnie okradać, jestem pewien, że i okradając żałował mnie. „Et — myślał może, sięgając ręką po moją własność — cóż to za człowiek, który nie umie obstać nawet przy swoim mieniu!” Ale, jak się zdaje, właśnie za to mnie lubił. Pewnego razu sam mi powiedział mimochodem, że „zanadto już pocziwy” i „taki szczerzy, ale to taki szczerzy, aż żal bierze. Tylko niech się pan nie urazi, Aleksandrze Pietrowiczu — dodał po chwili — przecie mówię to z dobrego serca.”

Z takimi ludźmi zdarza się czasem w życiu, że znienacka natura ich wyjdzie na jaw ostro i gwałtownie w momencie jakiegoś nagłego, zbiorowego ruchu czy przewrotu, i w ten sposób natrafiają oni od razu na właściwe pole działania. Nie są to ludzie słowa, nie nadają się więc na inicjatorów i głównych przywódców; ale są głównymi wykonawcami i pierwsi zaczynają. Zaczynają po prostu, bez specjalnych okrzyków, za to pierwsi przeskakują główną przeszkodę, bez namysłu, bez strachu, ruszają z kopyta — i wszyscy rzucają się za nimi i idą na oślep, idą aż do ostatniego krańca, gdzie też zazwyczaj przyplacają głową. Nie wierzę, by Pietrow dobrze skończył. W jakiejś jednej chwili zapłaci za wszystko na raz, a jeśli nie przepadł dotąd, to widocznie czas jego jeszcze nie nadszedł. Kto wie zresztą? Może dożyje siwizny i najspokojniej umrze ze starości, bez celu wałęsając się po świecie. Sądzę jednak, iż M. miał słuszną rację mówiąc, że to największy desperat w całej katordze.

VIII. Desperaci — Łuczka

Co do desperatów, trudno powiedzieć coś na pewno. Na katordze, jak i wszędzie, było ich dosyć mało. Ten i ów wyglądał strasznie; gdy sobie przypominano, co o nim opowiadają, zaczynano od niego stronić. Z początku jakieś podświadome uczucie kazało mi omijać takich ludzi z daleka. Potem wiele się zmieniło w moim poglądzie na najstraszniejszych nawet morderców. Ten i ów, choć nikogo nie zabił, straszniejszy jest od takiego, co siedzi za sześć zabójstw. O niektórych zaś zbrodniach trudno było urobić sobie bodaj najogólniejsze pojęcie: tyle dziwnych okoliczności towarzyszyło ich popełnieniu. Właśnie dlatego mówię, że niektóre zabójstwa wśród naszego ludu miewają czasem najbardziej niespodziewane przyczyny. Istnieje, na przykład, i to nawet bardzo często, taki typ zabójcy: żyje sobie ten człowiek cicho i spokojnie. Dola go trapi — znosi ją cierpliwie. Przypuśćmy, że to chłop, człowiek ze służby, mieszczanin, żołnierz. Wtem coś się w nim przekreśliło; nie wytrzymał i żgnął nożem swego wroga i gnębiiciela. I tu zaczyna się cała niezwykłość: ten człowiek na pewien czas się wykoleja. Najpierw zabił gnębiiciela, wroga; wprawdzie to zbrodnia, lecz zrozumiała, był do niej powód; ale potem zabija już nie tylko wrogów, zabija pierwszego lepszego, zabija dla uciechy, za szorstkie słowo, za spojrzenie, dla równego rachunku albo po prostu: „z drogi, nie płacz mi się tu, kiedy ja idę!” Jakby się upił, jakby majaczył w gorączce. Jakby po przekroczeniu raz obowiązującej go przedtem granicy zaczął się lubować w tym, że teraz nie ma dlań nic świętego; jak gdyby coś go kusiło, żeby przekreślić od razu wszelkie prawo i władzę, nasycić się najbardziej wyuzdaną i wybujałą samowolą, nasycić się zamieraniem serca od tej grozy, której w żaden sposób nie może przecie nie czuć w sobie. Na dobitkę wie, że czeka go straszliwa kaźń. Może to wszystko przypomina doznania człowieka, co stojąc na wysokiej wieży czuje tak nieprzeparty pociąg do ziejącej pod jego nogami otchłani, że już sam rad by w końcu skoczyć w nią na złamanie karku: raz kozie śmierć! I przytrafia się to najbardziej nawet potulnym, najprzeciętniejszym ludziom. W tym szale niektórzy z nich popisują się sami przed sobą. Im bardziej zahukany był przedtem taki człowiek, tym silniejsza teraz pokusa, by się popisać, napędzić strachu. Napawa się tym strachem, lubi samą odrazę, którą wzbudza w innych. Doprowadza się do jakiejś desperacji i taki desperat niekiedy sam już czeka, żeby go co rychlej ukarano, żeby go poskromiono, ponieważ w końcu już mu samemu za ciężko dźwigać na sobie tę sztuczną desperację. Ciekawe, że najczęściej cały ten nastrój, całe to nadrabianie miną trwa dokładnie do chwili egzekucji, po czym — jak nożem uciął; jak gdyby to był rzeczywiście jakiś przepisowy termin, zawczasu ustalony odpowiednimi regułami. Tu człowiek raptem pokornieje, cichnie, zmienia się po prostu w szmatę. Na placu kaźni mazgai się — prosi lud o przebaczenie. Przychodzi do katorgi, ludzie

patrz: jaki on zaśliniony, jaki zasmarkany, ba, zahukany, aż podziw ogarnia: „Czy to naprawdę ten, co zarznął pięć, sześć osób?”

Zapewne, niektórzy i na katordze nierychło pokornieją. Człowiek taki wciąż jeszcze „trzyma fason”, zachowuje chępliwość; że niby „nie wypadłem sroce spod ogona, mam sześć dusz na sumieniu”. W końcu jednak pokorniej mimo wszystko. Z rzadka tylko sprawi sobie uciechę wspominając swój gracki rozmach, swoją hulankę, gdy raz w życiu był desperatem, i bardzo lubi, jeżeli tylko znajdzie prostaczka, z przystojną godnością zaimponować mu, pochłubić się, opowiedzieć o swych czynach, nie dając zresztą poznać po sobie, jak bardzo ma chęć opowiadać. Patrzajcie, co to za zuch był ze mnie!

I z jakim wyrafinowaniem przestrzega tej ambitnej powściągliwości, jak leniwie niedbała bywa czasem taka opowieść! Jaka wystudiowana próżność bije z tonu, z każdego słówka opowiadającego. Gdzie się ci ludzie tego nauczyli?

Kiedyś w pierwszych dniach, w pewien długi wieczór, beczynn timer i markotnie leżąc na pryczy wysłuchałem jednej z takich opowieści i wskutek braku doświadczenia wziąłem opowiadającego za jakiegoś kolosalnego, okropnego złoczyńcę, za niesłychany, żelazny charakter, chociaż w tym samym czasie omal nie żartowałem sobie z Pietrowa. Tematem opowiadania było, jak to on, Łuka Kuźmierz, jedynie i wyłącznie dla własnej przyjemności zakatrupił pewnego majora. Ów Łuka Kuźmierz był to ten sam drobny, szczupłutki, cienkonosy, mały aresztancik z naszych koszar, Małorusin, o którym już kiedyś wspominałem. Właściwie był Rosjaninem, tylko że się urodził na południu, jak się zdaje, jako syn parobka. Istotnie, odznaczał się zadzierzystością. Jak to mówią: „mały, ale udały”. Lecz więźniowie instynktownie umieją człowieka rozgryźć. Nie bardzo go poważano, czyli, jak się mówi na katordze, „nie bardzo go uważano”. Był niezmiernie ambitny. Tego wieczora siedział na pryczy i szył koszulę. Szycie bielizny stanowiło jego rzemiosło. Obok niego siedział chłopiec tępy i ograniczony, ale poczciwy i łagodny, tęgi i wysoki, jego sąsiad z pryczy, więzień Kobylin. Łuczka, po sąsiedztwie, często się z nim kłócił i w ogóle traktował go z góry, szyderczo i despotycznie, czego Kobylin, wskutek swej prostoduszności, częściowo nie dostrzegał. Robił na drutach wełnianą pończochę i obojętnie słuchał Łuczki. Tamten opowiadał dosyć głośno i wyraźnie. Chciał, żeby go wszyscy słuchali, chociaż usiłował udawać, że opowiada tylko Kobylinowi.

— Transportowali mnie, bracie, od nas do Cz-wa — zagał dłubiąc igłą — za włóczęgostwo, uważasz.

— Kiedy to było, dawno? — spytał Kobylin.

— Jak dojrzeje groch, zacznie się drugi rok. Owóż, jakeśmy przyszli do K-wa, posadzili mnie tam na krótki czas do ostrogu. Patrzę siedzi ze mną ze dwunastu chłopów, same Chochły, wysokie, krzepkie, tęgie, istne tury. Ale cichutkie jak trusie: wikt podły, jeich major kręci nimi, jak się jego miłości rzewnie podoba. (Łuczka umyślnie przekręcił słowo. Siedzę dzień, siedzę drugi; widzę, że

to naród strachem podszyty. „Czemu pozwalacie, żeby taki dureń ciosał wam kolki na głowie?” — powiadam do nich.

— Spróbuj no sam z nim pogadać! — śmieją się ze mnie. Ja nic, milczę. Strasznie śmieszny był tam jeden Chochół, bracia — dodał nagle, niechając Kobylina i zwracając się do nas wszystkich. — Opowiadał, jak go skazali w sądzie i jak rozmawiał ze sądem, a tymczasem aż się zanosi od płaczu; zostawiłem dzieci, żonę, powiada. A taki wielki, siwy, gruby. „*Ja jomu — powiada — baczu: ni! A win, bisow syn, wse pyszet, wse pyszet. Nu, baczu sobi, ta szczob ty zdoch, a jab podywywsia! A win wse pyszet, wse pyszet, ta jak pysne!... Tut i propała moja hołowa!*” Daj no mi nitkę, Wasia, te katorżne są do niczego.

— Masz, z targu — odrzekł Wasia podając mu nici.

— Nasze szwalniane są lepsze. Pozawczora posyłaliśmy Niewalidę (inwalidę). Diabli go wiedzą, od jakiej podłej baby on tam kupuje! — ciągnął dalej Łuczka nawlekając igłę.

— Od kumy, musić.

— Musić, od kumy.

— Więc jakże z onym majorem? — spytał zupełnie zapomniany Kobylin.

Tylko tego potrzeba było Łuczce. Nie od razu wszakże podjął swą opowieść, owszem, jak gdyby nie raczył zwrócić uwagi na Kobylina. Spokojnie wyrównał nici, spokojnie i leniwie przybrał wygodniejszą pozycję i dopiero wtedy jął mówić:

— Podbechtałem nareszcie moich Chochłów: zażądali majora. A ja jeszcze z rana wziąłem od sąsiada majcher i schowałem go na wszelki, uważacie, wypadek. Major rozjuszył się. Jedzie. No, Chochły, powiadam, nie tchórzyc! A ci już mają duszę na ramieniu! Aż dygoczą! Wpada major, pijany. „Kto tu jest! Jak tu jest! Ja car, ja Bóg!”

— Kiedy powiedział: „Ja car, ja Bóg”, wysuwam się naprzód — ciągnął dalej Łuczka — a w rękawie mam nóż.

— Nie, wasza dostojność — powiadam, a tymczasem powoluśku podchodzę coraz bliżej, coraz bliżej — nie, wasza dostojność, powiadam, jakże to być może, żebyś nam był carem i Bogiem?

— A, więc to ty, więc to ty jesteś buntownikiem? — wrzasnął major.

— Nie, powiadam (i podchodzę coraz bliżej), nie, wasza dostojność, powiadam; może i tobie wiadomo, że Bóg nasz, wszechmocny i wszechobecny, jest jeden, powiadam. I car nasz takóž jest jeden, nad nami wszystkimi przez samego Boga postawiony. Jest monarchą, wasza dostojność, powiadam. Ty zaś, wasza dostojność, powiadam, jesteś dopiero majorem — naszym naczelnikiem, wasza dostojność, z cesarskiej łaski, powiadam, i z własnych zasług.

— Jak to, jak to, jak to, jak to! — zagdakał niby kura, nie może mówić, zachłystuje się. Bo strasznie się zdziwił.

— Ano tak to — powiadam. Tu rzucam się raptem na niego i w samiuteńki brzuch wbijam mu cały majcher. Zgrabnie mi poszło. Zatoczył się, zarył nosem. Wtedy rzuciłem nóż.

– Chochły, powiadam, podnieście go teraz!

Tu pozwolę sobie na dygresję. Niestety, takie zwroty jak: „Ja car, ja Bóg” i wiele innych podobnych były za dawnych czasów w częstym użyciu wśród licznych naczelników. Godzi się zresztą dodać, że teraz niewiele zostało takich naczelników, a może i wcale ich już nie ma. Dodam również, że szczególnie popisywali się i lubili popisywać takimi zwrotami przeważnie ci naczelnicy, co przyszli z awansu. Stopień oficerski jakby odmienia ich do gruntu i przewraca im w głowie. Długo chodzili w jarzmie, przeszli kolejno wszystkie stadia uległości, teraz nagle stali się oficerami, naczelnikami, uszlachconymi, więc z nieprzyzwyczajenia i pierwszego upojenia wyolbrzymiają pojęcie o własnej potędze i władzy, naturalnie, tylko w stosunku do podległych im żołnierzy. Wobec przełożonych uprawiają po dawnemu pochlebstwo, teraz zgoła już niepotrzebne, a nawet wstrętne wielu naczelnikom. Niektórzy pochlebcy z osobliwym nawet rozrzewnieniem śpieszą oświadczyć swym władzom przełożonym, że przecież sami pochodzą z żołnierzy, choć są oficerami, toteż „zawsze znają swoje miejsce”. Ale w stosunku do podwładnych stawali się nieograniczonymi władcami. Zapewne, teraz już chyba takich nie ma i nie znajdzie się taki, co by huknął: „Ja car, ja Bóg”. Mimo to dodam jednak, że nic tak nie jątrzy więźniów, a i w ogóle wszystkich podwładnych, jak tego rodzaju zwroty ze strony naczelników. To bezczelne samouwielbienie, to przesadne mniemanie o własnej bezkarności rodzi nienawiść w najpokorniejszym człowieku i doprowadza go do ostateczności. Na szczęście cała ta rzecz, prawie miniona, również i za dawnych czasów była surowo zwalczana przez zwierzchność. Mnie samemu znane są niektóre tego przykłady.

I w ogóle drażni podwładnego wszelkie pomiatanie nim, wszelkie lekceważenie. Niektórzy sądzą na przykład, że wystarczy dobrze żywić, dobrze utrzymywać więźnia, wykonywać wszystkie przepisy regulaminu. To także błąd. Każdy człowiek, kimkolwiek jest i jakkolwiek byłby poniżony, żąda — chociażby instynktownie tylko, chociażby bezwiednie — poszanowania swej ludzkiej godności. Więzień sam wie, że jest więźniem, wyrzutkiem, i zna swoje miejsce wobec naczelnika; żadne jednak piętna, żadne kajdany nie sprawią, by zapomniał, że jest człowiekiem. A ponieważ istotnie jest człowiekiem, należy się z nim zatem obchodzić po ludzku. Boże drogi! Przecież ludzkie traktowanie może ucłowieczyć nawet takiego, w którym dawno się już zatarło podobieństwo boże. Właśnie tych „nieszczęśliwych” trzeba traktować najbardziej po ludzku. W tym ich ocaleniu i radość. Spotykałem takich zacnych, szlachetnych zwierzchników. Widziałem, jak oddziaływają na tych poniżonych. Kilka dobrotliwych słów — i więźniowie prawie że zmartwychwstawali moralnie. Cieszyli się jak dzieci i jak dzieci zaczęli kochać. Podkreślę jeszcze jedną osobliwość: sami więźniowie nie lubią zanadto poufałego i zanadto dobrodusznego traktowania ze strony naczelników. Więzień pragnie szanować naczelnika, a wtedy jakoś przestaje go szanować. Więźniowi przyjemnie jest na przykład, by jego naczelnik miał order, by był okazałej postawy, by się cieszył łaskami jakiegoś wysokiego zwierzchnika, by był i surowy, i

dostojny, i sprawiedliwy, i przestrzegał swej godności. Takich więźniowie bardziej lubią; boć taki naczelnik zachował i własną godność, i ich nie skrzywdził, wszystko jest więc dobrze i ładnie.

— Tęgo musieli cię za to grzać, nie? — spokojnie rzucił Kobylin.

— Hm! Grzali mnie, bo grzali, bracie, jakbyś tam był. Aleju, daj no mi nożyczki! Cóż to, bracie, nie ma dzisiaj majdanu?

— Bo się wczoraj strąbili — wyjaśnił Wasia. — Gdyby się nie strąbili, to by pewnikiem był.

— Gdyby! Za gdyby dają w Moskwie sto rubli — wtrącił Łuczka.

— A tobie, Łuczka, ile dali za wszystko razem? — nawiązał Kobylin.

— Dali mi, druhu serdeczny, sto pięć. A czy wiecie, braciszku, co wam powiem: mało mnie nie zabili — podjął Łuczka, znów niechając Kobylina. — Jakem miał dostać one sto pięć, powieźli mnie z całą paradą. A ja wprzód nigdy jeszcze nie kosztował batów. Przywaliło narodu, że coś okropnego, całe miasto się zbiegło: boć będą karać zbója takiego, co człowieka zabił. Głupi ten naród, powiadam wam, jak but. Timoszka² rozebrał mnie, położył, wrzeszczy: „Trzymaj się, zaraz cię osmałę.” Czekam: co to będzie? Jak mi wrzepił raz — chciałem krzyknąć, rozwarłem gębę, ale żaden krzyk ze mnie nie wyszedł. Uważacie, głos mi się zatrzymał. Jak mi wrzepił dwa, no, wierzcie albo nie wierzcie, jużem nawet nie słyszał, jak odliczyli dwa. A kiedym się ocknął, słyszę, że liczą: siedemnaście. Takim sposobem, bracia, ze cztery razy zdejmowali mnie potem z dyb, odpoczywałem po pół godziny: cucili mnie wodą. Patrząc na wszystkich, wytrzeszczam oczy i myślę sobie: „Wyzionę tutaj ducha...”

— Aleś nie wyzionął? — naiwnie spytał Kobylin.

Łuczka obrzucił go spojrzeniem pełnym najwyższej pogardy, rozległ się śmiech.

— Stołowa noga, dalipan!

— Kielbie we łbie — zauważył Łuczka, jakby żałując, że zaczął rozmowę z takim człowiekiem.

— Szwankuje na umyśle — potwierdził Wasia.

Łuczka zamordował wprawdzie sześć osób, ale w katordze nikt go się nigdy nie bał, mimo że w duchu Łuczka może pragnął sławy strasznego człowieka...

² * Kat (przyp. aut.) * Kat (przyp. aut.)

IX. Izajasz Fomicz — Łaźnia — Opowiadanie Bakłuszyna

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Więźniowie oczekiwali ich w podniosłym nastroju, ja zaś, patrząc na nich, również oczekiwałem czegoś niezwykłego. Na jakie cztery dni przed świętami poprowadzono nas do łaźni. Za moich czasów, zwłaszcza w pierwszych moich latach, rzadko prowadzono więźniów do łaźni. Wszyscy się ucieszyli i jęli się wybierać. Mielśmy iść po obiedzie, i tego poobiedzia nie było już pracy. W naszych koszarach najbardziej cieszył się i uwijał Izajasz Fomicz Bumsztejn, katorżnik żydowskiego pochodzenia, o którym już wspominałem w rozdziale czwartym tej opowieści. Lubił parzyć się aż do zamroczenia, aż do utraty zmysłów, i za każdym razem, gdy mi się teraz zdarza, snując dawne wspomnienia, pomyśleć o naszej więziennej łaźni (która zasługuje na to, by ją zachować w pamięci), od razu na pierwszy plan wysuwa się twarz uszczęśliwionego i niezapomnianego Izajasza Fomicza, mego towarzysza katorgi i koszarowego współmieszkańca. Boże, cóż to był za śmieszny i zabawny człowiek! Powiedziałem już kilka słów o jego figurce: jakie pięćdziesiąt lat, chucherkowaty, pomarszczony, z najokropniejszymi piętami na policzkach i czole, chuderlawy, wątły, o ciele białym jak kurczę. W wyrazie jego twarzy widniało bezustanne niczym nie zachwiane zadowolenie, a nawet błogość. Zdawał się nie żałować bynajmniej, że się znalazł na katordze. Ponieważ był jubilerem, a innego jubilera nie było w mieście, ustawicznie więc wykonywał dla różnych panów i władz miejskich wyłącznie jubilerskie prace. Płacono mu niewiele, ale zawsze płacono. Nie klepał biedy, owszem, żył bogato, lecz odkładał pieniądze i pod zastaw udzielał wszystkim więźniom pożyczek na procent. Miał własny samowar, porządny materac, filizanki, całą zastawę obiadową. Tamtejsi Żydzi pamiętali o nim i otaczali go opieką. W soboty chodził pod konwojem do miasta do swej świątyni (regulamin zezwala na to) i dobrze mu się powodziło, ale mimo to niewątpliwie wyczekiwał końca swej dwunastoletniej katorgi, by się „ożenić”. Najkomiczniej łączyła się w nim naiwność, głupota, chytrość, zuchwalstwo, prostoduszność, nieśmiałość, chępliwość i arogancja. Dziwiło mię bardzo, że katorżnicy wcale go nie wykpiwają, najwyżej żartują sobie z niego dla zabawy. Snadź Izajasz Fomicz służył wszystkim do rozrywki i bezustannej uciechy. „Mamy go jednego tylko, nie ruszajcie Izajasza Fomicza”, mówili więźniowie, a Izajasz Fomicz, choć pojmował, o co chodzi, szczyił się widocznie swym znaczeniem, co wielce bawiło więźniów. W arcyzabawny sposób przybył na katorgę (przede mną jeszcze, ale mi o tym opowiadano). Pewnego razu, nagle, nad wieczorem, w czasie wolnym od pracy, gruchnęła w więzieniu pogłoska, że przyprowadzono Żydka, że gołą go w kordegardzie i że wnet wejdzie. W katordze nie było jeszcze wtedy ani jednego Żyda. Więźniowie czekali

niecierpliwie i natychmiast obścapił go, kiedy wszedł we wrota. Podoficer więzienny zaprowadził go do koszar cywilnych i wskazał mu miejsce na pryczach. Izajasz Fomicz trzymał w ręku worek z wydanymi mu rzeczami skarbowymi i własnymi. Położył worek, wgramolił się na pryczę i usiadł podkuliwszy nogi, nie mając odwagi podnieść oczu na nikogo. Wokół niego rozlegał się śmiech i więzienne żarciki godzące w jego żydowskie pochodzenie. Nagle przez tłum przepchał się młody więzień niosąc w rękach swe najbardziej zniszczone, brudne i podarte letnie portki tudzież skarbowe onuce. Usiadł obok Izajasza Fomicza i poklepał go po ramieniu.

— No, druhu serdeczny, czekam już tu na ciebie szósty rok. Masz, patrzaj, dużo dasz za to?

I rozłożył przed nim przyniesione łachy.

Izajasz Fomicz, który po przybyciu na katorgę struchlał tak, że nie śmiał nawet podnieść wzroku na tę ciżbę szyderczych, oszpeconych i strasznych twarzy, co szczelnie otoczyły go kołem, i który wskutek onieśmienia nie zdążył jeszcze bąknąć ani słówka — na widok zastawu ocknął się nagle i jał rażno przebierać palcami łachmany. Ba, obejrzał je pod światło. Wszyscy czekali, co powie.

— No co? Rubla srebrem pewnie nie dasz? A powinien byś! — ciągnął dalej właściciel zastawu mrugając do Izajasza Fomicza.

— Rubla srebrem — to nie, a siedem kopiejek — można.

Oto pierwsze słowa, jakie Izajasz Fomicz wypowiedział na katordze. Wszyscy aż się chwycili za boki.

— Siedem! Ha, dawaj choć siedem; masz szczęście! Ale pamiętaj, pilnuj zastawu, odpowiesz mi za niego gardłem.

— Trzy kopiejki procentu, razem będzie dziesięć kopiejek — urywanie, drżącym głosem podjął Żydek sięgając do kieszeni po pieniądze i lekko strzygąc okiem na więźniów. I bał się okropnie, i pragnął ubić interes.

— Te trzy kopiejki procentu to chyba za rok?

— Nie, nie za rok, za miesiąc.

— Żyła z ciebie, Żydu. A jak twoja godność?

— Izajas Fomicz.

— No, Izajaszu Fomiczu, wysoko zajdziesz u nas! Żegnam.

Izajasz Fomicz obejrzał raz jeszcze zastaw, złożył go i troskliwie wsunął do swego worka przy akompaniamencie śmiechu wszystkich więźniów.

Naprawdę wszyscy zdawali się go nawet lubić i nikt nie krzywdził, jakkolwiek prawie wszyscy byli mu dłużni. Był łagodny jak kura i, widząc ogólną przychylność, nawet się „stawiał”, ale z takim prostodusznym komizmem, że mu to natychmiast wybaczano. Łuczka, który znał w życiu wielu Żydków, często się z nim przekomarzał, lecz wcale nie ze złościwości, ale tak sobie, dla zabawy, zupełnie jak się ludzie bawią z pieskiem, papugą, tresowanymi zwierzątkami i tak

dalej. Izajasz Fomicz doskonale to wiedział, ani trochę się nie obrażał i bardzo zgrabnie odpowiadał żartom na żart.

— Hej, Żydu, poturbuję cię!

— Ty mnie uderzysz jeden raz, a ja ciebie dziesięć — zuchowato odcina się Izajasz Fomicz.

— Parchu przeklęty!

— *Nechaj bude parch.*

— Żyd parchaty!

— *Nechaj bude takoczky.* Choć parchaty, ale bogaty. *Hrosze ma.*

— Chrystusaś sprzedał.

— *Nechaj bude takoczky.*

— Brawo, Izajasz Fomiczu, zuch z ciebie! Nie ruszajcie go, mamy go jednego tylko! — z rechotem krzyczą więźniowie.

— Hej, Żydu, dostaniesz baty, pójdiesz na Syberię.

— Już i tak jestem na Syberii.

— Wyprawia cię jeszcze dalej.

— A czy jest tam Pan Bóg?

— Ano niby jest.

— *Nu, nechaj.* Niech tylko będzie Pan Bóg i *hrosze*, to już będzie dobrze.

— Zuch z ciebie, Izajasz Fomiczu, od razu widać, że zuch! — wołają dokoła, a Izajasz Fomicz, chociaż widzi, że się z niego śmieją, nie traci animuszu.

Ogólne pochwały sprawiają mu widoczną przyjemność, i zaczyna cieniutkim dyszkantem śpiewać na całe koszary: la-la-la-la-la! — jakąś nieskładną i śmieszoną melodię, jedyną pieśń, bez słów, którą śpiewał przez cały czas swojego pobytu na katordze. Później, gdyśmy nawiązali bliższą znajomość, upewniał mnie pod przysięgą, że to ta sama pieśń i właśnie ta sama melodia, którą śpiewało sześćset tysięcy Żydów, od małego do wielkiego, przechodząc przez Morze Czerwone, i że każdemu Żydowi tradycja nakazuje śpiewać tę melodię w chwili tryumfu i zwycięstwa nad wrogami.

W wilię każdej soboty, w piątek wieczorem, więźniowie umyślnie przychodzili z innych koszar do naszych, by popatrzeć, jak Izajasz Fomicz będzie święcił swój sabat. Izajasz Fomicz był do tego stopnia niewinnie chełpliwy i próżny, że ta powszechna ciekawość również robiła mu przyjemność. Z pedantyczną i sztuczną godnością nakrywał w kąciku swój stół, otwierał księgę, zapalał dwie świece i mrużąc jakieś tajemnicze słowa zaczynał przywdziewać swoją szatę (satę, jak wymawiał). Była to barwna zarzutka z wełnianego materiału, którą pieczolowicie przechowywał w swym kufrze. Do ręki przywiązywał rzemienie, a do głowy, na czole, przytwierdzał za pomocą tasiemki jakąś drewnianą skrzyneczkę, co sprawiało wrażenie, że z czoła Izajasza Fomicza wyrasta jakiś śmieszny róg. Następnie rozpoczynały się modły. Recytował je śpiewnie, krzyczał, spluwał, obracał się dokoła, wykonywał dzikie i cudaczne gesty. Zapewne wszystko to

było przewidziane przepisami zakonu, nie było więc w tym nic śmiesznego ani dziwnego, lecz śmieszne było to, że Izajasz Fomicz jak gdyby umyślnie zgrywa się przed nami i chełpi swymi obrzędami. To raptem zakryje sobie dłońmi głowę i poczyna recytować ze szlochem. Szlocha coraz głośniej, po czym, wycieńczony, prawie ze skowytem przytyka do księgi głowę, którą wieńczy arka przymierza; aliści nagle, wśród najgwałtowniejszych łkań, wybucha śmiechem i zawodzi śpiewnie jakimś tkliwie-uroczystym głosem, osłabłym z nadmiaru szczęścia. „Patrzcie, jak go rozbiera!” — mawiali więźniowie. Pewnego razu spytałem Izajasza Fomicza: co znaczą te szlochy, a potem nagle te uroczyste przejścia do szczęścia i błogości? Izajasz Fomicz niezmiernie lubił te moje pytania. Od razu wyłuszczył mi, że płacz i szloch oznacza myśl o utracie Jerozolimy i że zakon nakazuje przy tej myśli szlochać możliwie najgłośniej i bić się w piersi. Lecz w chwili najstraszniejszych łkań on, Izajasz Fomicz, powinien znienacka, jakby niechcący, przypomnieć sobie (owo znienacka także stanowi przepis zakonu), że istnieje prorocstwo o powrocie Żydów do Jerozolimy. Tu powinien natychmiast wybuchnąć radością, pieśniami, śmiechem i odmawiać modlitwy tak, by samym już głosem wyrazić możliwie najwięcej szczęścia, twarzą zaś możliwie najwięcej triumfu i szlachetności. To przejście znienacka i nieodzowny obowiązek tego przejścia ogromnie się podobały Izajaszowi Fomiczowi: upatrywał w tym jakiś szczególny, arcydowcipny fortel i z chełpliwą miną zwierzał mi ten przemyślny nakaz zakonu. Kiedyś, podczas najgorętszych modłów, do pokoju wszedł placmajor w towarzystwie oficera dyżurnego i konwojentów. Wszyscy więźniowie sprężyli się na baczność przy swych pryczach, jedynie Izajasz Fomicz jął jeszcze bardziej krzyżeć i wyprawiać grymasy. Wiedział, że modlitwa jest dozwolona, że przerywać jej nie wolno i że krzycząc w obecności majora nie wystawia się na żadne zgoła ryzyko. Lecz było mu nader przyjemnie udać zucha wobec majora i popisać się wobec nas. Major podszedł doń na odległość kroku; Izajasz Fomicz stanął tyłem do swego stolika i prosto w twarz majora zaczął śpiewnie recytować swe uroczyste prorocstwo, wymachując rękoma. Ponieważ zakon nakazywał mu wyrażać w tej chwili nadzwyczaj wiele szczęścia i szlachetności, więc też uczynił to natychmiast, w jakiś osobliwy sposób mrużąc oczy, śmiejąc się i kiwając głową w stronę majora. Major się zdziwił, w końcu jednak parsknął śmiechem, w oczy nazwał go głupcem i wyszedł, a Izajasz Fomicz uderzył w jeszcze głośniejszy krzyk. Po godzinie, gdy już jadł kolację, zapytałem go: „Co by to było, gdyby placmajor, wskutek swej głupoty, rozgniewał się na ciebie?”

— Jaki placmajor?

— Jak to jaki? Nie widziałeś?

— Nie.

— Przecie stał o krok, tuż przed tobą.

Ale Izajasz Fomicz jął mnie upewniać najpoważniej w świecie, że nie widział absolutnie żadnego majora, że w tym czasie, przy tych modłach, wpada w ekstazę, wobec czego nic już nie widzi i nie słyszy, co się wokół niego dzieje.

Jak dziś widzę Izajasza Fomicza, który się w sobotę snuje beczynn timer po całym więzieniu, ze wszystkich sił starając się nic nie robić, zgodnie z nakazami zakonu na sobotę. Cóż za nieprawdopodobne historie opowiadał mi, ilekroć wracał ze swej świątyni; co za niezwykle wieści i pogłoski z Petersburga przynosił mi twierdząc, iż otrzymał je od swoich Żydków, oni zaś — z pierwszej ręki.

Ale zanadto się już rozgadałem na temat Izajasza Fomicza.

W całym mieście były tylko dwie łaźnie publiczne. Pierwsza, którą utrzymywał pewien Żyd, miała numerowane kabiny z opłatą po pięćdziesiąt kopiejek za kabinę i urządzona była dla osób z wyższych sfer. Druga zaś łaźnia była przeważnie dla gminu, stara, brudna, marna; do tej to łaźni nas poprowadzono. Mroźnie było i słonecznie, więźniowie cieszyli się już z tego, że wyjdą z fortecy i popatrzą na miasto. Śmiech, żarty nie milkły w drodze. Na podziw całemu miastu konwojował nas pluton żołnierzy w komplecie i z nabitą bronią. W łaźni podzielono nas od razu na dwie zmiany: druga czekała w zimnym przedsionku, aż się pierwsza umyje; było to konieczne ze względu na ciasnotę. Mimo to było tak ciasno, że mi zachodził w głowę, jak się tu mogła zmieścić nawet połowa nas. Pietrow nie odstępował mnie na krok; sam, bez mojej prośby, przyskoczył, by mi pomóc, a nawet zaproponował, że mnie umyje. Wraz z Pietrowem ofiarował mi usługi również i Bakłuszyn, więzień ze specjalnego oddziału, nazywany u nas pionierem, o którym już wspominałem przelotnie, jako o najweselszym i najmilszym z więźniów, bo też był nim w istocie. Jużemy się trochę zapoznali. Pietrow pomógł mi się rozebrać, ponieważ z nieprzyzwyczajenia rozbierałem się długo, a w przedsionku było zimno, niemal tak zimno jak na dworze. Dodam, że więźniowi bardzo trudno się rozbierać, jeżeli niezupełnie jeszcze nabrał wprawy. Przede wszystkim trzeba umieć prędko rozsznurować podkajdanki. Podkajdanki te są ze skóry, długości jakich czterech werszków; wkłada się je na bieliznę, wprost pod żelazny pierścień obejmujący nogę. Para podkajdanek kosztuje co najmniej sześć grzywien srebrem, a jednak każdy więzień sprawia je sobie, własnym sumptem oczywiście, bez podkajdanek bowiem niepodobna chodzić. Pierścień obejmuje nogę nieściśle i między pierścieniem a nogą może przejść palec; wówczas żelazo uderza po nodze, ociera ją, toteż bez podkajdanek więzień w ciągu jednego dnia nabawiłby się ran. Ale zdjąć podkajdanki nie jest jeszcze tak trudno. Trudniej nauczyć się zręcznie zdejmować spod kajdan bieliznę. To już istna sztuka kuglarska. Zdjąwszy nogawkę kałesonów, dajmy na to z lewej nogi, trzeba ją najpierw przeciągnąć między nogą a żelaznym pierścieniem, następnie, wyswobodziwszy nogę, wciągnąć tę nogawkę z powrotem w pierścień; potem przewlec wszystko, co się już zdjęło z lewej nogi, przez pierścień na prawej, następnie zaś wszystko, co się przewlekło przez prawy pierścień, wciągnąć z powrotem. To samo z wkładaniem świeżej bielizny. Nowicjuszowi trudno się nawet domyślić, jak to zrobić; pierwszy nauczył nas tego wszystkiego więzień Koreniew, w Tobolsku, były herszt bandy, który przesiedział pięć lat na łańcuchu. Lecz więźniowie nabywają wprawy i radzą sobie bez najmniejszej trudności. Dałem Pietrowowi kilka kopiejek, by mi kupił mydła i wiecheć;

więźniowie dostawali wprawdzie i mydło skarbowe, każdy po kawałeczku wielkości dwugroszówki, a grubości plasterka sera, jaki się na wieczorkach podaje u ludzi „średniej sfery”. Mydło sprzedawano tuż w przedsionku, wraz z sytą, kołaczami i gorącą wodą. Każdy więzień otrzymywał, w myśl umowy z właścicielem łaźni, tylko jeden kubełek gorącej wody; kto zaś chciał umyć się dokładniej, ten mógł dostać za grosz drugi kubełek, który mu podawano do łaźni przez specjalnie w tym celu zrobione okienko z przedsionka. Gdym już był rozebrany, Pietrow poprowadził mnie, i to nawet pod rękę, zauważył bowiem, że mi bardzo trudno stąpać w kajdanach, „Proszę podciągnąć je do góry, na łydki — mówił podtrzymując mnie, jak piastun. — A tu proszę iść ostrożniej, tu jest próg.” Aż mię to trochę krępowało; pragnąłem upewnić Pietrowa, że i sam potrafię przejść, lecz nie uwierzyłby temu. Stanowczo traktował mnie jak dziecko, nieletnie i nieumiejętne, któremu każdy powinien dopomóc. Pietrow bynajmniej nie był sługą, nade wszystko nie był sługą; gdybym go obraził, wiedziałby, jak ze mną postąpić. Wcale nie obiecałem mu za usługi pieniędzy, zresztą nie prosił o nie. Cóż go tedy skłaniało, by mieć o mnie takie starania?

Gdyśmy otworzyli drzwi łaźni, myślałem, żeśmy wstąpili do piekła. Proszę sobie wyobrazić pokój długości dwunastu kroków i tejże szerokości, w którym się zgromadziło może ze stu ludzi na raz, a już na pewno nie mniej niż osiemdziesięciu, ponieważ więźniowie zostali podzieleni tylko na dwie zmiany, a wszystkich nas przyszło do łaźni ze dwustu. Para zasłaniająca oczy, kopeć, brud, ciasnota taka, że nie ma gdzie nogi postawić. Przestraszony, chciałem się cofnąć, ale Pietrow niezwłocznie dodał mi otuchy. Z największą biedą przecisnęliśmy się do ławek poprzez głowy siedzących na podłodze ludzi, prosząc, by się pochylili, żebyśmy mogli przejść. Lecz wszystkie miejsca na ławkach były zajęte. Pietrow oświadczył mi, że trzeba kupić miejsce, i z punktu rozpoczął targi z więźniem, co się usadowił przy okienku. Ów za kopiejkę ustąpił nam miejsca, niezwłocznie pobrał od Pietrowa pieniądze, które ten przezornie wziął ze sobą do łaźni i trzymał je w ręce, po czym dał nurka pod ławkę, wprost pod moje miejsce, gdzie było ciemno, brudno i gdzie lepka wilgoć narosła na pół palca bez mała. Aliści wszystkie miejsca pod ławkami również były zajęte; tam się także roilo od ludzi. Na całej podłodze nie było skrawka szerokości dłoni, na którym by nie siedzieli zgięci w kabłąk więźniowie, polewając się ze swych kubełków. Inni tkwili między nimi i trzymając w rękach kubełki myli się stojąc; brudna woda ściekała z nich wprost na wygolone głowy siedzących. Na półce i na wszystkich wiodących do niej występach siedzieli, skuleni i skręceni jak śruby, ci, co się myli. Jednakże myto się niewiele. Ludzie z gminu mało się myją gorącą wodą i mydłem, wolą rozparzyć się, a potem oblać zimną wodą — oto i cała kąpiel. Na półce z pięćdziesiąt wiechciów łaźiebnych podnosiło się i opadało miarowo; wszyscy chłostali się do nieprzytomności. Co chwila dodawano pary. To już nie był żar, to było piekło. Wszystko to darło się i rechotało, przy brzęku stu łańcuchów wlokących się po podłodze... Niektórzy, chcąc przejść, potykali się o cudze łańcuchy, a własnymi zawadzali o głowy siedzących niżej, padali, klęli i pociągali za sobą owych zahaczonych. Brud lał się zewsząd. Wszyscy byli w

jakimś opitym, podnieconym nastroju; rozlegały się piski i krzyki. Pod okienkiem w przedsionku, skąd podawano wodę, ludzie wymyślali sobie, tłoczyli się, bili. Podawana gorąca woda, zanim dotarła do miejsca przeznaczenia, wylewała się na głowy siedzących na podłodze. Co pewien czas, przez okno lub uchylone drzwi zaglądała wąsata twarz żołnierza, który z karabinem w ręku patrzył, czy wszystko w porządku. Wygolone łby i rozparzone do czerwoności ciała więźniów zdawały się jeszcze poczwarniejsze. Na rozparzonym grzbiecie zazwyczaj jaskrawo występują blizny po dawnej chłóście batami i kijami, teraz więc te grzbiety wyglądały jak świeżo poranione. Straszne blizny! Poczulem ciarki, gdym patrzył na nie. Dodadzą pary — para zasnuwa gęstym gorącym obłokiem całą łaźnię — ogólny ryk, wrzask. W obłoku majaczej wysmagane plecy, ogolone głowy, skręcone ręce i nogi; a w dodatku Izajasz Fomicz śmieje się do rozpuku na najwyższej półce. Rozparza się do nieprzytomności, lecz żaden bodaj żar nie zdoła go nasycić; za kopiejkę wynajmuje łaźiebneho, ale ten w końcu nie może wytrzymać, rzuca wiecheć i biegnie oblać się zimną wodą. Izajasz Fomicz nie daje za wygraną i godzi drugiego, trzeciego: postanowił nie oglądać się dziś na wydatki i zmienia kolejno pięciu łaźiebnych. „Zuch Izajasz Fomicz, umie się parzyć!” krzyczą więźniowie z dołu. Izajasz Fomicz czuje sam, że przewyższa w tej chwili wszystkich i wszystkich zakasował; tryumfuje i ostrym, obłąkańczym głosem wykrzykuje swą arię: la-la-la-la-la, która zagłusza wszystkie głosy. Przyszło mi na myśl, że jeśli się kiedy znajdziemy wszyscy razem w piekle, będzie ono bardzo podobne do tego miejsca. Nie mogłem się powściągnąć od zakomunikowania tego domysłu Pietrowowi; on tylko się rozejrzał wokół i nic nie odpowiedział.

Chciałem i dla niego także kupić miejsce przy sobie, lecz usiadł u moich nóg i oświadczył, że mu bardzo wygodnie. Tymczasem Bakłuszyn w miarę potrzeby kupował i podawał nam wodę. Pietrow oznajmił, że umyje mnie od stóp do głów, tak iż „będę czyściuteńki”, i usilnie radził, bym się wyparzył. Nie zaryzykowałem. „A teraz umyję panu nóżki” — dodał na zakończenie. Zrazu chciałem odrzec, że sam potrafię się umyć, alem już mu się nie sprzeciwiał i całkowicie zdałem się na niego. Zdrobienie „nóżki” stanowczo nie miało w sobie najmniejszego posmaku służalczości; Pietrow po prostu nie mógł nazwać moich nóg nogami dlatego zapewne, że inni, prawdziwi ludzie mają nogi, ja zaś — jeszcze tylko nóżki.

Po umyciu mnie Pietrow z takimi samymi ceremoniami, to znaczy z podtrzymywaniem, z przestrogami co krok, jak gdybym był porcelanowy, odtransportował mnie do przedsionka, pomógł włożyć bieliznę, a dopiero gdy się już całkiem uporał ze mną, skoczył z powrotem do łaźni, by się wyparzyć.

Kiedyśmy wrócili do domu, zaproponowałem mu szklankę herbaty. Nie odmówił, wypił i podziękował. Przyszło mi do głowy sypnąć groszem i uraczyć go ćwiartką. Ćwiartka znalazła się w naszych koszarach. Pietrow był wielce rad, wypił, chrząknął, oświadczył, że go doskonale orzeźwił, po czym skwapliwie udał się do kuchni, jakby tam nie mogli sobie dać bez niego rady.

Zastąpił go przy mnie inny współbiednik, Bakłuszyn (pionier), którego jeszcze w łaźni zaprosiłem także do siebie na herbatę.

Nie znam człowieka o miłszym charakterze niż Bakłuszyn. Wprawdzie nie popuszczał innym, owszem, często się kłócił, nie lubił, żeby się wtrącano w jego sprawy — słowem, umiał stanąć we własnej obronie. Kłócił się jednak nie na długo i mam wrażenie, że wszyscy go u nas lubili. Gdziekolwiek wchodził, wszyscy witali go z zadowoleniem. Znano go nawet w mieście, jako najzabawniejszego w świecie człowieka, co nigdy nie traci humoru. Był to rosły zuch, lat trzydziestu, o dziarskiej i prostodusznej twarzy, dosyć ładnej, z brodawką. Tę swoją twarz wykrzywił czasem tak pocieszenie, naśladując różnych ludzi, że otoczenie nie mogło się nie śmiać. On również należał do żartownisiów; lecz nie pobłażał naszym wyniosłym wrogom śmiechu, toteż nikt go już nie łajał za to, że jest „pustym i bezużytecznym” człowiekiem. Pełen był ognia i życia. Poznajomiał się ze mną jeszcze w pierwszych dniach i oświadczył mi, że pochodzi z kantonistów, że potem służył w pionierach, gdzie go nawet wyróżniły i lubiły niektóre wysoko postawione osoby, co go dotychczas napępiało wielką dumą. Od razu jął mnie wypytywać o Petersburg. Niekiedy nawet czytywał książki. Przyszedłszy do mnie na herbatę, najpierw rozśmieszył całe koszary opowiadaniem o tym, jak z rana porucznik Sz. splantował naszego placmajora; po czym usiadł koło mnie i z zadowoloną miną oznajmił, że podobno odbędzie się teatr. W twierdzy przygotowywano na święta przedstawienie teatralne. Znaleźli się aktorzy, pomalutku sporządzano dekoracje. Niektórzy mieszkańcy miasta obiecali pożyczyć aktorom swych ubrań, nawet do ról kobiecych; ba, za pośrednictwem pewnego ordynansa miano nadzieję dostać strój oficerski z akselbantami. Byleby tylko placmajor nie zabronił, jak w ubiegłym roku. Ale w ubiegłym roku placmajor był na Boże Narodzenie w złym humorze; spłukał się gdzieś, a i w twierdzy coś nabrojono, więc na złość zabronił, obecnie zaś może nie zechce czynić wstrętów. Słowem, Bakłuszyn był bardzo ożywiony. Znać było, że jest jednym z głównych inicjatorów teatru; w duchu dałem sobie słowo, że na pewno będę na tym spektaklu. Prostoduszna radość Bakłuszyna z przyszyłych sukcesów teatru przypadła mi do serca. Słowo do słowa, rozgadaliśmy się. Między innymi powiedział mi, że niecały czas służył w Petersburgu; coś tam przeszkrobał i wysłano go do R., zresztą w stopniu podoficera, do batalionu garnizonowego.

— No, a już stamtąd przysłali mnie tutaj — dodał Bakłuszyn.

— Ale za co? — spytałem.

— Za co? Jak pan myśli, Aleksandrze Pietrowiczu, za co? Za to, że się zakochał.

— E, za to się jeszcze tutaj nie przysła — zaprzeczyłem ze śmiechem.

— Co prawda — dodał Bakłuszyn — co prawda, przy tej okazji strzeliłem z pistoletu do jednego tamtejszego Niemca. Ale czyż za Niemca warto zsyłać człowieka, niech pan sam powie!

— Swoją drogą, jak to było? Proszę opowiedzieć, jestem ciekaw.

— Prześmieszna historia, Aleksandrze Pietrowiczu.

— Tym lepiej. Słucham.

— Mam opowiedzieć? Ha, niech i tak będzie...

Usłyszałem niezupełnie może śmieszną, ale za to dosyć dziwną historię jednego zabójstwa...

„Było to tak — rozpoczął Bakłuszyn. — Kiedy wysłali mnie do R., widzę, że miasto ładne, wielkie, tylko za dużo Niemców. No, jestem, ma się rozumieć, człowiek jeszcze młody, u przelożonych mam dobrą markę, chodzę sobie w czapce na bakier, spędzam czas, niby. Sypię oko do Niemek. I spodobała mi się jedna Niemeczka, Luiza. Obydwie były praczkami, od najcieńszej, wie pan, bielizny — ona i jej ciotka. Ciotka stara, cyrlichmanirlich, a żyją sobie zamożnie. Z początku łąziłem pod oknami, potem nawiązałem prawdziwą przyjaźń. Luiza mówiła po rosyjsku dobrze, tylko r wymawiała jakoś dziwnie; taka milusieńka, wie pan, zem jako żywo nie spotkał takiej drugiej. Ja zrazu tego i owego, ale ona mi na to: «Nie, co to to nie, Sasza, albowiem pragnę zachować całą swoją niewinność, ażebyś miał godną siebie żonę» — i tylko się przymila, śmieje tak dźwięcznie... a schludniutka była, że nigdy drugiej takiej nie widziałem. Sama skusiła mnie na żeniaczkę. Hm, jakże się nie ożenić, niech pan powie? Więc wybieram się z prośbą do podpułkownika. Wtem widzę, że Luiza raz nie przyszła na schadzkę, drugi raz nie przyszła, trzeci raz nie przyszła... Kropię do niej list; na list nie ma odpowiedzi. Cóż to znaczy, myślę sobie. No bo gdyby mnie oszukiwała, miałyby przecież tyle dowcipu, żeby i na list odpisać, i na schadzki przychodzić. Ona zaś nawet nie potrafiła skłamać; ucięła i basta. To ciotka, myślę sobie. Do ciotki chodzić nie śmiałem, bo choć wiedziała o wszystkim, myżesmy się jednak kryli przed nią, cicho sza! Łażę jak błędny, napisałem ostatni list i mówię: «Jeżeli nie przyjdiesz, sam pójdę do ciotki.» Nastraszyła się, przyszła. Płacze. Pewien Niemiec, powiada, Schulz, daleki ich krewny, zegarmistrz, bogaty i już niemłody, wyraził chęć pobrania się z nią — żeby i mnie uszczęśliwić, powiada Luiza, i nie zostać na stare lata bez żony. No i kocha mnie, powiada, i dawno już miał ten zamiar, tylko wciąż milczał, namyślał się. Więc tak a tak, mój Sasza, powiada, on jest bogaty i to dla mnie szczęście; więc nie zechcesz chyba pozbawić mnie mego szczęścia? Patrzą — dziewczyna płacze, obejmuje mnie... Hej, myślę sobie, ma rację! Jakiż to los — wyjść za żołnierza, choć niby podoficer? — «No, powiadam, żegnaj, Bóg z tobą; nie mogę pozbawić ciebie twego szczęścia. A czy ładny przynajmniej?» — «Nie, powiada, niemłody już, długonosy...» — aż się sama roześmiała. Odszedłem od niej; ha, myślę sobie, nie było mi sądzone! Nazajutrz rano idę pod jego sklep, bo mi wymieniła ulicę. Zaglądam przez szybę: siedzi Niemiec, robi zegarek, ze czterdzieści pięć lat, nos garbaty, oczy wylupiaste, we fraku i wysokim sztywnym kołnierzyku, mina jak z komina. Ażem splunął; miałem ochotę stłuc mu szybę... ale nie warto, myślę sobie, co z woza spadło, to przepadło! Przyszedłem o zmierzchu do koszar, ległem na łóżku i czy da pan wiarę, Aleksandrze Pietrowiczu, jak nie zapłacę...

No, mija dzień, drugi, trzeci. Z Luizą się nie widuję. A tymczasem usłyszałem od jednej kумы (stara baba, także praczka, którą Luiza odwiedzała czasami), że Niemiec wie o naszej miłości i dlatego właśnie postanowił się prędzej ożenić. Gdyby nie to, czekałby jeszcze ze dwa lata. Pono wziął od Luizy taką przysięgę, że nie będzie mnie znała, i pono na razie jeszcze trzyma

je, niby ciotkę i Luizę, w niepewności; że niby może się jeszcze rozmyśli, bo teraz nie jest jeszcze całkiem zdecydowany. Powiedziała mi także, że pojutrze, w niedzielę rano, zaprosił je obie na kawę i że będzie jeszcze jeden krewny, staruszek, dawniej był kupcem, teraz jest ubogi jak mysz kościelna, służy w jakimś składzie wódek za stróża. Kiedym się dowiedział, że może w niedzielę postanowią całą tę sprawę, wzięła mnie taka złość, że nie mogłem dać sobie rady. I przez cały ten dzień, i przez cały następny nie mogłem myśleć o niczym innym. Utopiłbym szelmę Niemca, myślę sobie.

W niedzielę rano jeszcze nic nie wiedział, ale po nabożeństwie zrywam się, wkładam płaszcz i walę do Niemca. Myślałem, że zastanę ich wszystkich. Ani dlaczego poszedłem do Niemca, ani co chciałem tam powiedzieć — sam nie wiem. Na wszelki wypadek wsunąłem do kieszeni pistolet. Pistoletcisko było liche, ze starym kurkiem; jeszcze jako dzieciak strzelałem z niego. Teraz już się nie nadawał do strzelania. Ale nabiłem go; myślę sobie: jak zaczną mnie lżyć, wypędzać, dobędę pistoletu i nastraszę ich wszystkich. Przychodzę. W pracowni nie ma nikogo, wszyscy siedzą w pokoju. Oprócz nich ani żywego ducha, służby żadnej. Całej służby miał tylko jedną Niemkę, była mu i za kucharkę. Przeszedłem przez sklep, widzę: drzwi zamknięte, a drzwi stare, zamykane na haczyk. Serce mi bije, zatrzymałem się, słucham: mówią po niemiecku. Jak ci nie kopnę nogą z całych sił, drzwi się od razu otworzyły. Patrę — stół nakryty. Na stole duży imbryk, kawa gotuje się na spirytusowej maszynie. Leżą sucharki; na drugiej tacy — karafka wódki, śledź i kielbasa, stoi też butelka jakiegoś wina. Luiza i ciotka, obydwie wysztafirowane, siedzą na kanapie. Naprzeciwko nich na krześle tenże Niemiec, kawaler Luizy, uczesany, we fraku, w wysterczonym naprzód kołnierzyku. A na drugim krześle siedzi jeszcze jeden Niemiec, stary już, tusty, siwy, i milczy. Jakem wszedł, Luiza zbladła. Ciotka chciała się zerwać, ale usiadła z powrotem, a Niemiec się nachmurzył. Zły jak lichy, wstał i do mnie:

— «Czego pan sobie życzy?» — powiada. Zgłupiałem, ale już mnie wziął okropny zawziętek.

— «Czego sobie życzę? — powiadam. — Powinieneś przyjąć gościa, poczęstować go wódką. Przeszedłem do ciebie w odwiedziny.»

Niemiec pomyślał chwilę i mówi: «Proszę siadać.» Usiadłem. — «Dawajże mi wódki» — mówię.

— «Owszem — powiada — oto wódka, pij pan, proszę. »

— «Ale dawaj mi dobrej wódki» — powiadam. A ogarnia mnie coraz gorsza złość.

— «To dobra wódka.»

Krzywdowałem sobie, że ma mnie za bajbardzo. A najgorsze ze wszystkiego, że Luiza patrzy na to. Wypiłem i powiadam:

— «A czemu to, Niemcze, chciałeś mi zrobić despekt? Zaprzyjajź się ze mną. Przeszedłem do ciebie po przyjaźni. »

— «Ja nie mogę być pański przyjaciel — powiada — pan jesteś prosty żołnierz.»

Tu mnie diabli wzięli.

— «A, ty strachu na wróble, ty pludrze jeden! — powiadam. — Czy wiesz, że od tego momentu mogę z tobą zrobić, co mi się żywnie podoba? Chcesz, to cię zastrzelę z pistoletu? »

Dobyłem pistoletu; stanąłem przed nim i z bliska wymierzam mu lufę prościuteńko w głowę. Tamci siedzą jak nieżywi, słówka boją się pisnąć; a stary dygocze jak liść, milczy, zbieleł jak kreda.

Niemiec się zdziwił, jednakowoż przyszedł do siebie.

— «Ja się pana nie boję — powiada — i proszę, jako człowiek szlachetny, dać spokój żartom, a ja się pana wcale nie boję.»

— «Oj, łiesz — powiadam — boisz się!» — A jakże! Nie śmie ruszyć głowy spod pistoletu, siedzi jak trusia.

— «Nie — powiada — pan absolutnie nie śmiesz to zrobić.»

— «Niby dlaczego?» — powiadam.

— «Dlatego — powiada — że jest to panu surowo zabroniono i będą pana za to surowo ukarać. »

Widać sam diabeł podjudził tego durnia Niemca! Gdyby mi się nie stawiał, żyłby do dziś dnia; skończyłoby się na sprzecze.

— «Więc powiadasz, że nie śmiem?»

— «Nie śmiem?»

— «Pan absolutnie nie śmiesz zrobić to ze mną...»

— «Ha, w takim razie masz, pludrze!» — I wygarnąłem do niego, aż dał kozła z krzesła. Tamci w krzyk.

Ja pistolet do kieszeni, i w nogi, a jakem wchodził do twierdzy, tom przez bramę siepnął pistolet między pokrzywy.

Przyszedłem do domu, ległem na wyrku i myślę sobie: zaraz mnie wezmą. Mija godzina, druga — nie biorą. A już gdzieś przed zmierzchem zdjęła mnie taka markotność, że strach: koniecznie zachciało mi się zobaczyć Luizę. Idę pod sklep zegarmistrza. Patrzą: ludu jak mrowia, policja. Ja do kumy: «Wywołaj Luizę!» Zaczekałem chwileczkę, widzę: biegnie Luiza; rzuciła mi się na szyję, płacze: «Samam winna wszystkiemu — powiada — żem usłuchała ciotki.» Powiedziała mi też, że ciotka zaraz po tej awanturze poszła do domu i aż się rozchorowała ze strachu, no i nabrała wody w usta: ani sama nie zgłosiła nikomu, ani mnie nie pozwala — powiada. Boi się, niech sami robią, co sobie chcą, mówi. «Nas, Luizo, nikt nie widział» — powiada. — Nawet służącą wyprawił z domu, bo się bał. Wydrapałaby mu oczy, gdyby się dowiedziała, że myśli o żeniacze. Z czeladników także nie było ani jednego — wszystkich wyprawił z domu. Sam ugotował kawę, sam przyszykował jedzenie. A ten krewniak to i wprzód milczał całe życie, nigdy nic nie mówił, no a po tej awanturze wziął czapkę i pierwszy wyszedł. I pewnie też będzie milczał, rzekła Luiza. Tak się też stało. Przez dwa tygodnie nikt mnie nie ruszał i nie było na mnie żadnego podejrzenia. A te dwa tygodnie, niech mi pan wierzy albo nie wierzy,

Aleksandrze Pietrowiczu, zawarły w sobie całe moje szczęście. Co dzień widywałem Luizę. I jakże się przywiązała, jak przywiązała do mnie! Płacze: «Pójdę za tobą wszędzie, gdziekolwiek cię zesłają, powiada, wszystko rzucę dla ciebie!» Jużem myślał, że trupem tam padnę: tak mnie okrutnie rozrzewniła. No, ale po dwóch tygodniach wzięli mnie. Stary i ciotka dogadali się i donieśli na mnie..."

— Za pozwoleniem — przerwałem Bakłuszynowi — mogli pana za to zesłać tylko na jakie dziesięć lat, ostatecznie na dwanaście, do kategorii cywilnej, a pan przecież siedzi tu w specjalnym oddziale. Z jakiejże to racji?

— Hm, to już inna sprawa — rzekł Bakłuszyn. — Kiedy stawili mnie przed miejscową komisją sądową, kapitan przymówił mi szpetnie przed rozprawą. Nie mogłem tego przenieść i powiadam mu: „Jakim prawem mi wymyślasz? Alboż nie widzisz, łajdaku, że siedzisz przed «zwierciadłem praw»!" Ha, wtedy już wszystko wzięło inny obrót, zaczęli mnie sądzić inaczej, no i za wszystko razem przysądzili: cztery tysiące i tutaj, do specjalnego oddziału. A kiedy wyprowadzili mnie na plac, wyprowadzili też kapitana: mnie — przez suchy las, a jego zdegradować na żołnierza i zesłać na Kaukaz. Do widzenia, Aleksandrze Pietrowiczu. Niech pan przyjdzie na nasze przedstawienie.

X. Święta Bożego Narodzenia

Wreszcie nadeszły święta. Już w Wigilię więźniowie prawie nie wychodzili do robót. Poszli do szwalni, do warsztatów; reszta była tylko na apelu, i chociaż wyznaczono im różne prace, niemal wszyscy, bądź w pojedynkę, bądź gromadkami, wrócili natychmiast do twierdzy, i po obiedzie nikt już nie wychodził. A zresztą i rankiem większość chodziła tylko we własnych, a nie w urzędowych interesach: jedni, żeby się wystarać o przyniesienie wódki i zamówić nową; drudzy, żeby odwiedzić znajomych kumciów i kumcie albo zebrać przed świętami należności za wykonane poprzednio prace. Bakłuszyn oraz inni biorący udział w teatrze — żeby obejść swych znajomych, przeważnie służbę domową oficerów, i zdobyć potrzebne stroje. Niektórzy chodzili z zatroskaną i zaaferowaną miną dlatego jedynie, że inni byli zaaferowani i zatroskani. Ten i ów, choć znikąd nie miał dostać pieniędzy, udawał, że i on także dostanie je od kogoś; słowem, wszyscy jak gdyby spodziewali się następnego dnia jakiejś odmiany, czegoś niezwykłego. Nad wieczorem inwalidzi, którzy chodzili na targ za sprawunkami dla więźniów, przydźwigali mnóstwo przeróżnych wiktuałów: wołowiny, prosiąt, ba, gęsi. Liczni więźniowie, nawet najskromniejsi i najoszczędniejsi, całutki rok składający grosz do grosza, uważali za swój obowiązek potrząsnąć kaletą i godnie uczcić tak uroczyste święto. Dzień jutrzejszy był świętem prawdziwym, stanowiącym niepodzielną własność więźnia, formalnie przyznanym mu przez prawo. W tym dniu więzień nie mógł być wysłany do robót, a takich dni było tylko trzy w roku.

I wreszcie któż wie, ile wspomnień musiało odżyć w duszach tych straceńców przy powitaniu takiego dnia! Dnie wielkich świąt mocno się wrażają w pamięć ludzi prostych, począwszy od wczesnego dzieciństwa. Są to dnie wytchnienia od ich ciężkiej pracy, dnie zebrania rodzinnych. W twierdzy zaś wspomnieniom tym musiała towarzyszyć męka i tęsknota. Cześć dla uroczystego dnia przechodziła u więźniów aż w pewną sztywność; niewielu spacerowało; wszyscy wyglądali poważnie i byli jak gdyby czymś zajęci, chociaż często nie mieli zgoła nic do roboty. Lecz i próżniacy, i hulacy starali się zachować dostojną powagę... Śmiech był jakby zakazany. W ogóle nastrój graniczył z drażliwością i rozjątrzoną nietolerancją, i kto naruszał ogólny ton, choćby niechcący, tego osadzono z krzykiem i wymyślaniami i gniewano się na niego jakby za brak poszanowania dla samych świąt. Ten nastrój więźniów był godny uwagi, a nawet wzruszający. Poza wrodzoną czcią dla wielkiego dnia, więzień czuł podświadomie, że tym obserwowaniem święta łączy się jak gdyby z całym światem, a więc nie jest zupełnym wyrzutkiem, przypadłym człowiekiem, że i w twierdzy jest to samo, co u ludzi. Oni to czuli: było to widoczne i zrozumiałe.

Akim Akimycz również przygotowywał się do święta gorliwie. Nie miał wspomnień rodzinnych, ponieważ wyrósł w obcym domu jako sierota i bodajże w piętnastym roku poszedł na służbę; nie miał też nigdy szczególnych radości, bo całe życie spędził regularnie, jednostajnie,

bojąc się odchylić choć na włoszek od wskazanych mu obowiązków. Nie był także specjalnie religijny, ponieważ formalna poprawność pochłonęła w nim jak gdyby wszystkie inne ludzkie cechy i właściwości, wszystkie namiętności i pragnienia złe i dobre. Wskutek tego przygotowywał się do powitania uroczystego dnia spokojnie, nie turbując się smutnymi i zgoła bezużytecznymi wspomnieniami, z cichą, metodyczną poprawnością, której miał dokładnie tyle, ile potrzeba dla spełnienia obowiązku i raz na zawsze przepisanego obrzędu. W ogóle nie lubił długich medytacji. Znaczenie samego faktu nigdy jak gdyby nie zaprzętało mu głowy, natomiast wskazanych sobie raz prawideł przestrzegał z nienaganną skrupulatnością. Gdyby mu jutro kazano zrobić coś wręcz przeciwnego, uczyniłby to z taką samą pokorą i sumiennością, z jaką wczoraj robił tamto. Raz, jeden jedyny raz w życiu spróbował pokierować się własnym rozumem — i powędrował na katorgę. Ta nauka nie poszła w las. I choć nie było mu sądzone pojąć kiedykolwiek, na czym mianowicie polegała jego wina, za to wyciągnął ze swej przygody zbawienną regułę: nie mędrkować nigdy i w żadnych okolicznościach, ponieważ mędrkowanie „to nie na jego rozum”, jak się między sobą wyrażali więźniowie. Ślepo oddany obrządkom, patrzył nawet na swe świąteczne prosię, które nadział kaszą i upiekł (własnoręcznie, gdyż umiał również piec), patrzył na nie, mówię, z pewnego rodzaju przedwstępnym szacunkiem, jakby to nie był zwykły prosiak, którego zawsze można było kupić i upiec, ale jakiś osobliwy, odświętny. Może od dzieciństwa przywykł widzieć w tym dniu na stole prosię i wywnioskował, że prosię stanowi nieodzowną przynależność tego dnia, toteż jestem pewien, że gdyby choć raz nie skosztował w tym dniu prosięcia, do końca życia dręczyłyby go wyrzuty sumienia, że się sprzeniewierzył obowiązkowi. Aż do świąt chodził w starej kurtce i starych spodniach, wprawdzie pocerowanych przyzwoicie, lecz zupełnie już wyświechtanych. Teraz wyszło na jaw, że nową odzież, którą dostał jakie cztery miesiące temu, pieczołowicie przechowywał w kuferku i nie dotykał jej, uśmiechała mu się bowiem myśl, że ją uroczyście przywdzieje po raz pierwszy w dniu święta. Tak też uczynił. Jeszcze z wieczora wydobył swą nową odzież, rozłożył, obejrzał, oczyścił, odkurzył dmuchając na nią, a po zrobieniu tego wszystkiego — przedwstępnie ją przymierzył. Okazało się, że leży zupełnie dobrze; wszystko było dopasowane, szczelnie się zapinało od dołu do góry, tekturowo sztywny kołnierzyk wysoko podpierał brodę; w pasie uformowało się nawet coś w rodzaju mundurowego wcięcia, i Akim Akimycz aż się uśmiechnął z ukontentowania i nie bez dziarskości obrócił się przed swym miniaturowym lusterkiem, które własnoręcznie i już dawno okleił w wolnej chwili złotym szlaczkiem. Tylko jeden konik od haftki na kołnierzu kurtki znalazł się nie całkiem na miejscu. Widząc to Akim Akimycz postanowił przestawić haftkę; przestawił, znowu zmierzył i okazało się, że teraz jest już całkiem dobrze. Wówczas złożył wszystko tak jak przedtem i z uspokojonym sercem zamknął do jutra w kuferku. Głowę miał ogoloną zadowolająco, lecz pilnie przejrząwszy się w lusterku, zauważył, że na głowie niezupełnie bodaj jest gładko, że widnieją ledwie dostrzegalne czubki włosów, niezwłocznie więc poszedł do „majora”, żeby się ogolić całkiem przyzwoicie i przepisowo. I chociaż nazajutrz nikt by nie

oglądał Akima Akimycza, ogolił się jedynie dla spokoju własnego sumienia, żeby się w takim dniu wywiązać ze wszystkich swych powinności. Zbożna cześć dla guziczka, pętelki, kordonka jeszcze w dzieciństwie niezatarcie utrwaliła mu się w umyśle jako bezsporny obowiązek, a w sercu — jako wzór najszczytniejszego piękna, do jakiego może się wznieść porządny człowiek. Uporawszy się z tym wszystkim Akim Akimycz, w swym charakterze starszego więźnia w koszarach, kazał przynieść siano i obserwował sumiennie, jak je rozrzucano po podłodze. To samo działo się też w innych koszarach. Nie wiem dlaczego, lecz na Boże Narodzenie zawsze rozrzucano w naszych koszarach siano. Następnie, po tych wszystkich zachodach, Akim Akimycz zmówił pacierz, położył się na wyrku i natychmiast usnął słodkim snem niemowlęcia, by się nazajutrz obudzić możliwie najwcześniej. Tak samo postąpili zresztą wszyscy więźniowie. We wszystkich koszarach udano się na spoczynek wcześniej niż normalnie. Zwykłe prace wieczorne zostały odłożone na kiedy indziej, o majdanach nie było nawet mowy. Wszystko oczekiwało jutrzejszego poranku.

Nastał wreszcie. Przede dniem jeszcze, skoro tylko zagrano pobudkę, stróże otwarli koszary, a podoficer dyżurny, który przyszedł policzyć więźniów, powinszował im świąt. Odpowiedzieli mu tym samym, odpowiedzieli życzliwie i przyjaźnie. Naprędce pomodliwszy się Akim Akimycz i wielu innych, co mieli w kuchni własne gęsi i prosięta, poszli zobaczyć, co się tam z nimi dzieje, jak się je piecze, co gdzie stoi i tak dalej. Poprzez mrok, z małych, zalepionych śniegiem i lodem okienek naszych koszar widać było, że w obu kuchniach, we wszystkich sześciu piecach żwawo buzuje ogień rozpalony jeszcze przed świtem. Po dziedzińcu, w ciemności, myszkowali już więźniowie w kożuszkach, bądź pozapinanych, bądź tylko zarzuconych na ramiona; wszystko to zmierzało do kuchni. Lecz niektórzy, bardzo zresztą nieliczni, zdążyli już odwiedzić i szynkarzy. Byli to najniecierpliwsi. Na ogół zaś wszyscy zachowywali się godziwie, spokojnie i jakoś nadzwyczaj sfornie. Nie było słyhać ani zwykłego wymyślenia, ani zwykłych kłótni. Wszyscy rozumieli, że to wielki dzień i wielkie święto. Byli tacy, co zajrzeli do innych koszar, by powinszować znajomym. Zaznaczało się coś w rodzaju przyjaźni. Uwaga nawiasowa: między więźniami prawie nie można było zauważyć przyjaźni — już nie mówię ogólnej, bo to się rozumie samo przez się, ale nawet prywatnej, która by łączyła jakiegoś jednego więźnia z drugim. Tego prawie nie było u nas i jest to rys znamieny: na wolności bywa inaczej. U nas w ogóle, z nader rzadkimi wyjątkami, wszyscy we wzajemnych stosunkach byli oschli, oziębli, i stanowiło to jakby ton urzędowy, raz na zawsze przyjęty i ustalony. Ja także wyszedłem z koszar; ledwie zaczynało świtać, gwiazdy bladły, zwiewny mroźny opar unosił się w górę. Z kominów kuchennych buchał gęsty dym. Niektórzy ze spotykanych więźniów sami chętnie i życzliwie winszowali mi świąt. Dziękowałem i odwzajemniałem życzenia. Byli wśród nich i tacy, którzy dotąd nie zamienili ze mną jeszcze ani słowa przez cały ten miesiąc.

Tuż przed kuchnią dopędził mnie więzień z koszar wojskowych, w zarzuconym na ramiona kożuchu. Już od połowy podwórza dojrzał mnie i wołał: „Aleksandrze Pietrowiczu! Aleksandrze

Pietrowiczu!" Biegł w stronę kuchni. Zatrzymałem się i poczekałem na niego. Był to chłopak młody, o twarzy okrągłej, o łagodnym wyrazie oczu, bardzo nierozmowny ze wszystkimi — do mnie zaś nie odezwał się jeszcze ani słówkiem i nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi od czasu mego przybycia do ostrogu; nie wiedziałem nawet, jak mu na imię. Podbiegł zdyszany i stanął przede mną jak słup, patrząc na mnie z tępym, lecz zarazem błogim uśmiechem.

— O co chodzi? — spytałem nie bez zdziwienia, widząc, że stoi przede mną, uśmiecha się, patrzy na mnie jak sroka w gnat, ale rozmowy nie wszczyna.

— Ano, to przecie święto... — bąknął, i sam spostrzegłszy, że nie mamy o czym więcej mówić, porzucił mnie i skwapliwie pobiegł do kuchni.

Dodam przy tej okazji, żeśmy i potem prawie się z nim nie stykali i nic zamienili bodaj ani słowa aż do mego wyjścia z katorgi.

W kuchni, przy rozżarzonych piecach, panował rejwach, tłok i ścisk. Każdy pilnował swego dobra; „kuchty” zabierali się do gotowania skarbowego jadła, ponieważ obiad w tym dniu miał być wcześniej. Nikt zresztą nie zaczynał jeszcze jeść, bo choć ten i ów miałby ochotę, ale przestrzegał przyzwoitości wobec innych. Oczekiwano na kapłana, by dopiero po jego przybyciu zakończyć post. Tymczasem, zanim jeszcze zupełnie rozwidniało, za wrotami twierdzy jeły się już rozlegać nawołujące okrzyki gefrajtra: „Kucharze!” Okrzyki te rozlegały się co chwila nieledwie i trwały prawie dwie godziny. Wywoływano z kuchni kucharzy, aby przyjmowali datki nadsyłane do twierdzy ze wszystkich krańców miasta. Przynoszono je w ogromnych ilościach, a były to kołaczki, chleby, serniki, babki, racuchy, bliny i inne wykwentne pieczywo. Sądzę, że w żadnym kupieckim i mieszczańskim domu nie było chyba ani jednej gospodyni, która by nie przysłała swego pieczywa, ażeby w to uroczyste święto uraczyć „nieszczęsnych” i uwięzionych. Były datki bogate: drożdżowe bułki z najprzedniejszej mąki, nadesłane w wielkiej obfitości. Były też datki ubożuchne: ot, jakiś kołaczek za grosz i jakieś dwa ciemne racuchy, ledwie posmarowane śmietaną: to już był dar biedaka dla biedaka, od ust sobie odjęty. Przyjmowano wszystko z jednakową wdzięcznością, bez względu na jakość darów i na ofiarodawców. Przyjmujący je więźniowie zdejmowali czapki, kłaniali się, wieszowali świąt i zanosili datek do kuchni. Kiedy się już zgromadziły całe sterty ofiarowanego pieczywa, wezwano starszych z każdych koszar i ci podzielili wszystko równo. Nie doszło do żadnych kłótni, do żadnych przekleństw; rzecz robiono uczciwie, rzetelnie. To, co przypadło na nasze koszary, rozdzielono już u nas; dzielił Akim Akimycz i jeszcze jeden więzień; dzielili własnoręcznie i własnoręcznie rozdawali każdemu. Nie doszło do najmniejszych protestów, nie było ani cienia zawiści z czyjejkolwiek strony; wszyscy wyrażali zadowolenie; niepodobna było nawet podejrzewać, żeby kto mógł zataić datek albo nierówno go podzielić. Po uporaniu się z tym w kuchni, Akim Akimycz przystąpił do obłóczyn: ubrał się z całą godnością i uroczystością, nie zostawiając ani jednej nie dopiętej haftki, po czym natychmiast zabrał się do właściwych modłów. Modlił się dosyć długo. Już wielu więźniów, przeważnie ludzi starszych, modliło się stojąc. Młodzież, nawet w święto, modliła się niewiele: zaledwie się ktoś

przeżegnał przy wstawaniu. Po modlitwie Akim Akimycz podszedł do mnie i z pewną solennością powinszował mi świąt. Zaprosiłem go na herbatę, on zaś mnie na swoje prosię. Niebawem przybiegł do mnie również Pietrow, żeby mi powinszować. Był już, jak się zdaje, po paru kieliszkach i chociaż przybiegł zdyszany, powiedział niedużo, tylko postać chwilę przedemną z wyrazem oczekiwania i wkrótce udał się do kuchni. Tymczasem w koszarach wojskowych czyniono przygotowania do powitania kapłana. Koszary te urządzone były nie tak jak inne: prycze ciągnęły się w nich pod ścianami, a nie pośrodku izby, jak we wszystkich innych koszarach, była to więc jedyna w twierdzy izba z wolnym pośrodku miejscem. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby w razie potrzeby można tu było zbierać więźniów. Na środku izby postawiono stół, nakryto go czystym ręcznikiem, umieszczono na nim święty obraz i zapalono lampkę oliwną. Wreszcie przyszedł kapłan, z krzyżem i święconą wodą. Pomodliwszy się i zaśpiewawszy przed obrazem, stanął przed więźniami, i wszyscy ze szczerą pobożnością jęli podchodzić i całować krzyż. Następnie kapłan obszedł wszystkie koszary i pokropił je święconą wodą. W kuchni pochwalił nasz więzienny chleb, słynny w całym mieście, i więźniowie natychmiast zapragnęli posłać mu dwa świeże, dopiero co upieczone bochenki; odniesienie ich niezwłocznie polecili jednemu z inwalidów. Odprowadzili krzyż z takim samym namaszczeniem, z jakim go powitali; prawie zaraz potem przyjechali placmajor i komendant. Komendanta lubiono u nas, a nawet szanowano. Obszedł wszystkie koszary w asyście placmajora, wszystkim powinszował świąt, wstąpił do kuchni i skosztował więziennego kapuśniaku. Kapuśniak był wyborny; z okazji takiego dnia dano prawie po całym funkcie mięsa na każdego więźnia. Ponadto ugotowano jagły i suto je okraszono. Odprowadziwszy komendanta placmajor kazał zacząć obiad. Więźniowie starali się nie nawijać mu na oczy. Nie lubiono u nas jego złowrogiego spojrzenia spod okularów, którym i teraz wypatrywał na prawo i na lewo, czy się nie znajdzie jaki nieład, jaki winowajca.

Zasiedliśmy do obiadu. Prosię Akima Akimycza upieczone było znakomicie. I nie potrafię wytłumaczyć, jak się to stało, że wnet po odjeździe placmajora, po upływie pięciu minut najwyżej, znalazło się nadzwyczaj wielu pijanych, choć jeszcze przed kilku minutami wszyscy byli prawie całkiem trzeźwi. Zjawilo się dużo płonących i rozpromienionych twarzy, zjawily się bałajki. Polak ze skrzypcami chodził już za którymś hulaką, wynajęty przezeń na cały dzień, i rzępolił mu wesołe tańce. Rozmowa była coraz bardziej pijacka i gwarna. Lecz obiad minął bez większych burd. Wszyscy byli najedzeni. Wielu starszych i solidniejszych ludzi od razu poszło spać, między innymi zrobił to Akim Akimycz, będący widocznie zdania, że po obiedzie w uroczyste święto trzeba koniecznie trochę pospać. Dziadek, ów starodubowski staroobrzędowiec, po krótkiej drzemce wlażł na piec, otworzył swoją księgę i modlił się do późnej nocy, bez przerwy niemal. Ciężko mu było patrzeć na „wszeteczeństwa”, jak mówił o ogólnej hulance więźniów. Wszyscy Czerkiesi usiedli na ganku i ciekawie, a zarazem z pewnym wstrętem patrzyli na pi-

janych. Spotkałem Nurrę: „*Jaman, jaman!*³ — powiedział mi kiwając głową z nabożnym oburzeniem. — Uch, *jaman!* Allach będzie się gniewał!” Izajasz Fomicz uparcie i wyniośle zapalił w swym kąciku świeczkę i jał pracować, aby snadź pokazać, że nic sobie nie robi z naszego święta. Tu i ówdzie po kątach rozłożyły się majdany. Inwalidów nikt się nie bał, a na wypadek przyjścia podoficera, który sam usiłował nic nie dostrzeżać, postawiono stróży. Oficer dyżurny przez cały ten dzień zajrzał ze trzy razy. Lecz pijani się kryli, majdany znikwały na jego widok, zresztą sam on postanowił jak gdyby nie zwracać uwagi na drobne uchybienia. Pijany człowiek uchodził już w tym dniu za uchybienie drobne. Zabawa była coraz huczniejsza. Wybuchły też kłótnie. Wszelako trzeźwych było znacznie więcej i ci pilnowali nietrzeźwych. Za to kto pił, pił już bez miary. Gazin tryumfował. Z dufną miną przechadzał się około swego miejsca na pryzach, pod którymi śmiało ulokował wódkę, przechowywaną uprzednio gdzieś w śniegu za koszarami, w potajemnej skrytce, i dowcipnie śmiał się patrząc na przybywających doń klientów. Sam był trzeźwy i nie wypił ani kropli. Zamierzał pohulać w końcu święta, gdy już zgarnie pieniądze z wszystkich aresztanckich kieszeni. W koszarach rozlegały się pieśni. Ale opilstwo przechodziło już w alkoholowe oszołomienie i od pieśni niedaleko było do łez. Wielu, w kozuchach zarzuconych na ramiona, spacerowało z własnymi bałałajkami i brząkało zuchowato. W specjalnym oddziale uformował się nawet chór z jakich ośmiu osób. Ładnie śpiewali przy akompaniamencie bałałajek i gitar. Czysto ludowych pieśni śpiewano mało. Pamiętam tylko jedną, dziarsko odśpiewaną:

*Wczoraj jam się, młoda,
Na uczcie bawiła.*

I tutaj usłyszałem nowy wariant tej pieśni, którego nie znałem jeszcze. W końcu pieśni dodawano parę wierszy:

*Wszystkom w domu, młoda,
Pięknie zarządziła:
Łyzeczki umyłam,
Z tego barszcz warzyłam;
Ze śmieci z podłogi
Upiekłam pierogi.*

Przeważnie zaś śpiewało się tak zwane u nas pieśni aresztanckie, znane zresztą wszystkim. Jedna z nich, humorystyczna, pt. *Dawniej*, opisywała, jak to się dawniej człowiek weselił i pędził

³ *ile, ile*

jaśniepański żywot na wolności, a teraz siedzi w katordze. Dawniej „przysmaczał szampanem blamanż”, obecnie zaś —

*Jak dadzą mi kapusty z wodą,
Zajadam, aż się uszy trzęsą.*

Wzięciem cieszyła się też aż nazbyt znana piosenka:

*Jam za młodu żył wesoło
I posiadał swój kapitał;
Dziś w kieszeniach pusto, goło,
Do katorgi jam zawitał...*

i tak dalej. Tylko że wymawiano u nas nie „kapitał”, lecz „kopitał”, wywodząc to słowo od wyrazu ciulać. Śpiewało się też piosenki tęskne. Jedna była czysto katorżnicza, jak mi się zdaje, również znana:

*Gdy się niebo spleśni brzaskiem,
Gdy pobudkę bęben zagra —
Starszy drzwi otwiera z trzaskiem,
Pisarz nas do prac przynagla,
Świat pozostał za murami,
Ostróg głuchy jest i niemy,
Ale Bóg i tu jest z nami,
Więc i tu nie przepadniemy, itd.*

Druga pieśń była jeszcze bardziej tęskna, na śliczną zresztą nutę, ułożoną zapewne przez jakiegoś zesłańca, z ekliwymi i dosyć nieporadnymi słowami. Z niej przypominam sobie teraz kilka wierszy:

*Mój wzrok nie ujrzy tej krainy,
Gdzie mię powiła matka;
Już taki los mój, że bez winy
Mam cierpieć do ostatka.
Na strzesze huknie puszczyk smutny,
Aż się rozlegnie wszędzie;
Poczuję w sercu żal okrutny,
Bo mnie już tam nie będzie.*

Tę piosenkę śpiewało się u nas często, ale nie chórem, tylko solo. W porze przechadzki ktoś wyjdzie czasem na ganek koszar, siądzie, zaduma się, oprze policzek na rękę i zanuci wysokim falsetem. Słuchaczom serce się kraje. Dobrych głosów nie brakowało.

Tymczasem zapadał już zmierzch. Smutek, markotność, odurzenie wyzierały ponuro spoza pijaństwa i hulanki. Ci, co się śmiali godzinę temu, szlochali teraz gdzieś, przebrawszy miarę w picciu. Inni zdążyli się już poczubić parokrotnie. Inni, bladzi i ledwie trzymający się na nogach, łazili po koszarach, wszczynali kłótnie. Ci zaś, których opijalność nie miała właściwości zaczepnych, daremnie szukali przyjaciół, aby otworzyć przed nimi duszę i wypłakać swój pijany smutek. Wszyscy ci nieboracy chcieli się poweselić i ochoczo spędzić uroczyste święto — a, Boże kochany! — jakże ciężki i smutny był ten dzień dla każdego bez mała. Każdy spędzał go tak, jakby go zawiodły jakieś nadzieje. Pietrow przybiegał do mnie jeszcze ze dwa razy. Przez cały dzień pił bardzo niewiele i prawie całkiem był trzeźwy. Lecz aż do ostatniej chwili wciąż oczekiwał czegoś, co miało z pewnością nastąpić, czegoś niezwykłego, odświętnego, ogromnie wesołego. Wprawdzie nie mówił o tym, ale patrzyło mu to z oczu. Niezmordowanie snuł się z koszar do koszar. Lecz nic osobliwego nie wydarzyło się i nie nastąpiło, prócz pijaństwa, bezsensownych klątw pijackich, głów ociążonych od wódki. Sirotkin, w nowej czerwonej koszuli, objął się także po wszystkich koszarach, ładniutki, umyty, i także zdawał się czegoś czekać, spokojnie i naiwnie. W koszarach robiło się coraz nieznośniej i obmierzlej. Zapewne, było też wiele rzeczy pociesznych, ale mnie było jakoś żal ich wszystkich, smutno, ciężko i duszno między nimi. Oto się dwóch więźniów spiera, kto ma kogo częstować. Znać, że się spierają już dawno, a przedtem nawet się pokłócili. Zwłaszcza jeden ma do drugiego jakąś zadawnioną urazę. Narzeka i z trudem obracając językiem sili się dowieść, że tamten postąpił z nim niesprawiedliwie: sprzedało się jakiś kozuszek, zataiło się kiedyś jakieś pieniądze, w ubiegłym roku, na zapusty. I coś tam jeszcze... Oskarżycielem jest wysoki, muskularny chłop, niegłupi, spokojny, ale gdy się upije — koniecznie chce nawiązywać przyjaźnie i zwierzać się ze swych smutków. I wymyśla, i zgłasza pretensję jak gdyby z zamiarem, by się potem jeszcze lepiej pogodzić z przeciwnikiem. Drugi jest przysadkowaty, krępy, niewielkiego wzrostu, o twarzy okrągłej, chytry i szczwany. Wypił może więcej niż jego towarzysz, lecz jest tylko z lekka podchmielony. Ma charakter i uchodzi za bogatego, ale w tej chwili woli widać nie drażnić wylewnego przyjaciela, podprowadza go więc do szynkarza; przyjaciel twierdzi, iż oskarżony powinien i ma święty obowiązek poczęstować go, „jeżeliś tylko człek uczciwy”.

Szynkarz — z pewnym szacunkiem dla fundującego, a z odcieniem pogardy dla wylewnego przyjaciela, ponieważ ten pije nie na własny, tylko na cudzy koszt — wyjmuje i nalewa kwaterkę.

— Nie, Stiopka, jesteś mi dłużen — powiada wylewny przyjaciel widząc, że dopiął swego — bo przecie to twój dług.

— Co mam sobie strzępić język po próżnicy! — odburkuje Stiopka.

— Nie, Stiopka, bujasz — obstaje pierwszy, biorąc od szynkarza kwaterkę — bo przecie jesteś mi winien pieniądze, nie masz sumienia, oczu także nie masz własnych, zaprzedałeś je psu! Krótko ci powiem, Stiopka: podlec jesteś, podlec i tyle!

— Czego tam sklamrzysz, rozchlapałeś wódkę! Jak cię godnie częstują, to pij i już — krzyczy szynkarz na wylewnego przyjaciela. — Nie myślę sterczeć nad tobą do jutra!

— I owszem, wypiję, nie masz się czego drzeć! Wesołych świąt, Stiepanie Dorofieiczu! — grzecznie i z lekkim ukłonem, trzymając w rękach kwaterkę, zwraca się do Stiopki, którego pół minuty temu nazywał podlecem. — Żyj nam zdrów sto lat, licząc od dnia dzisiejszego! — Wypił, chrząknął i otarł usta. — Dawniej, bracia, mogłem dużo wypić — dodał z poważnym dostojeństwem, zwracając się do wszech wobec, a do nikogo z osobna — ale teraz już widać lata moje nie te. Bóg zapłać, Stiepanie Dorofieiczu.

— Nie ma za co.

— Pamiętaj więc, Stiopka, ciągle ci będę tamto wypominał, bo nie dość, żeś mnie oszwabił jak ostatni łajdak, ale powiem ci jeszcze...

— A ja ci powiem ot co, moczymordo — przerwał Stiopka tracąc cierpliwość. — Słuchaj i zakarbuj sobie każde moje słówko: podzielimy świat na połowy: połowa świata tobie, połowa mnie. Idź i już mi się nie napataczaj. Mam ciebie potąd!

— Więc nie dasz pieniędzy?

— Jakich znów pieniędzy, opoju jeden?

— Ej, na tamtym świecie sam przyjdiesz mi je oddać, a ja nie wezmę. Mój grosik jest potny, robotny, znój w nim tkwi siedmiokrotny. Zaciąży ci mój piąтак na tamtym świecie.

— Idź do diabła, no!

— Czego mnie popędzasz? Czy ja jestem twój koń?

— Odwał się, odwał!

— Podlec!

— Liczykrupa!

I zaczęli wymyślać sobie jeszcze zacieklej niż przed traktamentem.

Oto na pryczach siedzi osobno dwóch przyjaciół: jeden wysoki, muskularny, mocny, istny rzeźnik, twarz ma czerwoną. Omal nie płacze, bardzo się bowiem wzruszył. Drugi jest wątły, szczuplutki, chudy, o długim nosie, z którego coś zdaje się kapać, i o małych świńskich ślepkach wbitych w ziemię. Jest to człowiek stateczny i wykształcony, był kiedyś pisarzem prowentowym i traktuje przyjaciela nieco z góry, co sprawia tamtemu wielką, choć ukrywaną przykrość. Cały dzień pili razem.

— Zdespektował mnie! — krzyczy muskularny przyjaciel, mocno przechylając głowę pisarza lewym ramieniem, którym go objął. „Zdespektował” ma znaczyć: uderzył. Muskularny przyjaciel, były podoficer, w duchu zazdrości swemu zapijaczonemu przyjacielowi, toteż obaj popisują się jeden przed drugim wytwornością stylu.

— A ja ci powiadam, że i ty nie masz racji... — sentencjonalnie zagaja pisarz, uparcie nie podnosząc oczu i poważnie patrząc w ziemię.

— Zdespektował mnie, zrozum! — przerywa mu przyjaciel, jeszcze mocniej tarmosząc drogiego druha. — Na całutkim świecie zostałeś mi teraz ty jeden, rozumiesz? Dlatego tobie jednemu powiadam: zdespektował mnie!...

— A ja ci znów powiem: taki skisły argument, mój drogi, przynosi ci tylko hańbę! — cieniutkim i uprzejmym głosem replikuje pisarz. — Zgódź się raczej, mój drogi, że cała ta pijatyka wynika z twojej własnej niestałości.

Muskularny przyjaciel odchyła się cokolwiek, spoziera tępo zapijaczonym wzrokiem na zadufanego w sobie pisarczyka i raptem, najzupełniej niespodzianie, z całych sił wali go olbrzymią pięścią w malutką twarz. Na tym się kończy ich całodzienna przyjaźń. „Mój drogi” toczy się nieprzytomny pod prycze...

Oto wchodzi do naszych koszar jeden mój znajomy ze specjalnego oddziału, nieskończenie dobroduszny i wesoły jegomość, niegłupi, jowialny lecz nie złośliwy, a na oko nadzwyczaj prostakowaty. Jest to ten sam, co pierwszego dnia mojego pobytu na katordze przy obiedzie w kuchni szukał, gdzie mieszka bogaty chłop, upewniał, że „ma swoją a n b i c j ę”, i napił się ze mną herbaty. Ma ze czterdzieści lat, niepospolicie grube wargi i duży, mięsisty nos, usiany wągrami. Trzyma w rękach bałajkę, której struny przebiera niedbale. Za nim, jak przypięty, sunie mały więzień o wielkiej głowie, którego dotychczas bardzo mało znałem. Zresztą nikt nie zwracał nań uwagi. Był jakiś dziwny, nieufny, wiecznie milczący i poważny; chodził do pracy w szwalni i widocznie starał się żyć na uboczu i z nikim nie nawiązywać bliższej komitywy. Obecnie zaś, pijany, przylgnął jak cień do Warłamowa. Szedł za nim w okropnym wzburzeniu, wymachiwał rękoma, tłukł kulakiem o ściany, o prycze i omal nie płakał. Warłamow zdawał się zgola na niego nie zważać, jakby go w ogóle przy nim nie było. Ciekawe, że przedtem ci dwaj ludzie prawie się nie stykali, ani zajęcia, ani charakter — nic ich nie łączy. Należą do różnych kategorii, mieszkają w różnych koszarach. Nazwisko małego więźnia brzmi Bułkin.

Na mój widok Warłamow uśmiechnął się. Siedziałem na swojej prycy koło pieca. Stał opodal naprzeciwko mnie, coś zmiarkował, kiwnął się, nierównym krokiem podszedł do mnie, chwacko cały się wygiął, lekko dotknął strun i z cicha postukując obcasem wyrecytował:

Kraślolica, białolica

Najmilejsza ma dziewica

Jak sikorka śpiewa;

W swej sukience sajetowej,

Bardzo pięknej, atlasowej,

Prześliczna to dziewa.

Ta pieśń doprowadziła Bułkina jak gdyby do ostateczności; jał machać rękami i zwracając się do wszystkich krzyczeć:

— Kłamstwo, bracia, wierutne kłamstwo! Ani słówka prawdy, samo kłamstwo!

— Staruszkowi Aleksandrowi Pietrowiczowi! — rzekł Warłamow zaglądając mi w oczy z filuternym śmiechem i nieledwie całując mnie. Był pijaniuteński. Zwrotu „staruszkowi takiemu a takiemu...” czyli: takiemu a takiemu moje uszanowanie, używa lud na całej Syberii, nawet względem człowieka dwudziestoletniego. Słowo „staruszek” ma wyrażać szacunek, cześć, nawet przypochebstwo.

— No, Warłamow, jak się wam żyje?

— Ot, po jednym dzionku na dobę. A kogo cieszy dzień święty, ten od rana urżnięty; proszę mi darować! — Warłamow mówił trochę śpiewnie.

— Znowu kłamstwo, znowu wierutne kłamstwo! — wrzasnął Bułkin, z desperacją uderzając ręką po pryczach. Ale tamten jak gdyby dał sobie słowo, że nie będzie zwracał nań najmniejszej uwagi, i tkwił w tym głęboki komizm, ponieważ Bułkin uczeplił się Warłamowa najzupełniej ni stąd, ni zowąd, od wczesnego rana, z tej właśnie racji, że Warłamow, jak mu się dlaczegось wydawało, „wciąż kłamie”. Snuł się za nim jak cień, czepiał się każdego jego słówka, załamywał ręce, prawie rozkrwawiał je waląc w ściany i prycze, i cierpiał, wyraźnie cierpiał wskutek przekonania, że Warłamow „wciąż kłamie!” Gdyby miał włosy na głowie, zapewne powyrywałby je sobie ze strapienia. Jakby się poczuwał do odpowiedzialności za postęпки Warłamowa, jakby ciążyły mu na sumieniu wszystkie przywary Warłamowa. Ale w tym sęk, że tamten nawet na niego nie patrzył.

— Wierutne kłamstwo, wierutne kłamstwo, wierutne kłamstwo! Ani jedno jego słowo do niczego nie pasuje! — wrzeszczał Bułkin.

— A co cię to obchodzi? — ze śmiechem mówili więźniowie.

— Muszę panu powiedzieć, Aleksandrze Pietrowiczu, że byłem bardzo przystojny i dziewczęta bardzo mnie lubiły... — ni przypiął, ni przyłatał oświadczył Warłamow.

— Kłamstwo! Znowu kłamstwo! — przerywa mu Bułkin z dziwnym skowytym. Więźniowie chwytają się za boki.

— No, a ja zadaję przed nimi szyku! Koszula na mnie czerwona, szarawary manchesterowe; leżę sobie niby jakiś hrabia Butyłkin, pijany, wie pan, w sztok, słowem — proszę siadać!

— Kłamstwo! — z determinacją upiera się Bułkin.

— A ja podówczas miałem po ojcu murowany jednopiętrowy dom. Ha, w dwa lata przeputałem i piętro, i parter, została mi tylko brama bez słupów. Trudno: pieniądze — to gołębie: przylatują i odlatują!

— Kłamstwo! — jeszcze bardziej stanowczo zaprzecza Bułkin.

— Więc kiedyś się opamiętał, wysłałem stąd łzawą suplikę do krewnych; kto wie, może mi przyślą grosiwa. Bo mówili, że powstałem przeciwko rodzicom. Że ich nie szanowałem! Oto już siódmy rok, jakem wysłał suplikę.

— I nie ma odpowiedzi? — spytałem rozbawiony.

— Ano nie ma — odparł, także wybuchając nagle śmiechem i coraz bliżej przysuwając nos do mojej twarzy. — A wie pan, Aleksandrze Pietrowiczu, ja tu mam kochankę...

— Wy? Kochankę?

— Niedawno Onufriew powiada do mnie: „Wprawdzie moja jest dziobata, nieładna, ale za to ma huk odzieży; a twoja ładna, ale goła, chodzi z torbami.”

— Czy to prawda?

— Owszem, chodzi po prośbie! — odrzekł i zaniósł się tłumionym śmiechem; wszyscy więźniowie także się roześmiali. Istotnie, wszyscy wiedzieli, że się pokumał z jakąś żebraczką i że przez pół roku wypłacił jej zaledwie dziesięć kopiejek.

— No więc co? — zapytałem pragnąc, by mi nareszcie dał spokój.

Umilkł, przymilnie spojrział na mnie, a w końcu powiedział czule:

— Więc może będzie pan łaskaw postawić mi z tego powodu ćwiartkę? Bo ja przecież, Aleksandrze Pietrowiczu, piłem dzisiaj samą herbatę — dodał rzewnie, przyjmując pieniądze — i tak się nachleptałem tej herbaty, że odebrało mi oddech, a w bandziochu bulgocze jak w butelce...

Podczas gdy Warłamow przyjmował pieniądze, moralne cierpienia Bułkina przekroczyły jak gdyby miarę ludzkiej wytrzymałości. Gestykulował jak opętany, omal nie płakał.

— Ludzie boży! — krzyczał zwracając się w zapamiętaniu do całych koszar. — Patrzcie na niego! Wierutne kłamstwo! Cokolwiek mówi, wszystko to kłamstwo, wszystko kłamstwo, wszystko kłamstwo!

— Ale co tobie do tego? — wołają więźniowie, zdziwieni jego furią. — Dziwaczny z ciebie człowiek.

— Nie pozwolę kłamać! — drze się Bułkin błyskając oczyma i z całych sił waląc pięścią w pryzce. — Nie chcę, żeby kłamał!

Wszyscy się śmieją. Warłamow bierze pieniądze, kłania mi się i z pociesznymi grymasami wybiega z koszar — do szynkarza, naturalnie. I bodaj że dopiero w tej chwili po raz pierwszy zauważa Bułkina.

— No, chodźmy! — mówi doń, zatrzymując się w progu, jakby tamten naprawdę był mu do czegoś potrzebny. — Fujara! — dorzuca z pogardą puszczając zmartwionego Bułkina przed sobą i znów zaczynając brzdąkać na bałałajce.

Ale po co opisywać ten alkoholowy dur! Nareszcie ów dławiący dzień się kończy. Więźniowie ciężko zasypiają na pryzkach. Gadają i majaczą przez sen jeszcze bardziej niż w inne noce. Tu i

ówdzie siedzą jeszcze przy majdanach. Minęło wyczekiwane od dawna święto. Jutro znowu dzień powszedni, znowu do roboty.

XI. Przedstawienie

Trzeciego dnia świąt odbyło się wieczorem pierwsze przedstawienie w naszym teatrze. Prawdopodobnie było wiele przedwstępnych kłopotów i zabiegów, lecz aktorzy wzięli wszystko na siebie, tak że my, reszta, nie wiedzieliśmy zgoła, jak się sprawy mają i co się mianowicie robi. Właściwie nie wiedzieliśmy nawet, co będzie odegrane. Przez wszystkie te trzy dni aktorzy idąc do robót starali się zdobyć możliwie najwięcej strojów. Spotykając mnie Bakłuszyn tylko przytykał palcami z ukontentowania. Zdaje się, że i placmajor był w niezłym nastroju. Co prawda nie mieliśmy pojęcia, czy wie o teatrze. A jeżeli wie, to czy zezwolił nań formalnie, czy tylko postanowił milczeć, machnąwszy ręką na aresztancką imprezę i nakazawszy, rzecz prosta, żeby wszystko było w jak największym porządku. Sądzę, że wiedział o teatrze, nie mógł nie wiedzieć; ale nie chciał się w to mieszać, rozumiejąc, że w razie zakazu może być jeszcze gorzej: więźniowie zaczną broić, pić, toteż znacznie lepiej, żeby się czymś zajęli. Zresztą przypisuję placmajorowi takie rozumowanie dlatego tylko, że jest najbardziej naturalne, najbardziej zdrowe i słuszne. Można to nawet tak wyrazić: gdyby podczas świąt więźniowie nie mieli teatru lub innego zajęcia w tym rodzaju, sama zwierzchność powinna by je wymyślić. Ale ponieważ nasz placmajor odznaczał się wręcz przeciwnym trybem myślenia niż wszyscy inni ludzie, bardzo więc być może, iż biorę na siebie ciężki grzech zakładając, że wiedział o teatrze i że nań zezwolił. Taki człowiek jak placmajor koniecznie musiał wszędzie kogoś przygnieść, coś komuś odebrać, pozbawić kogoś praw, słowem — wyrzucić gdziekolwiek ucisk. Pod tym względem znany był w całym mieście. Cóż go to obchodziło, że właśnie wskutek tego ucisku mogły wybuchnąć na katordze swawole? Na swawole są kary (rozumują tacy ludzie jak nasz placmajor), a na łotrów-więźniów — surowość i bezustanne, dokładne wykonywanie prawa; nic ponadto nie trzeba! Ci nieudolni wykonawcy prawa nie pojmują wcale i nie są w stanie pojąć, że samo dokładne przestrzeganie prawa, bez sensu, bez zrozumienia jego ducha, prowadzi bezpośrednio do zamieszek i nigdy do niczego innego nie doprowadzało. „Skoro tak opiewa regulamin, o co jeszcze chodzi?” — mówią i szczerze się dziwią, gdy ktoś żąda od nich, na dodatek do regulaminu, zdrowego rozsądku i trzeźwej głowy. Zwłaszcza to ostatnie wydaje się wielu z nich zbyteczną i oburzającą fanaberią, krepowaniem ich władzy, nietolerancją.

Ale tak czy owak, starszy podoficer nie czynił więźniom wstrętów, a im w to graj. Twierdzę stanowczo, że teatr i wdzięczność za pozwolenie nań były przyczyną, iż przez święta nie zaszło żadne poważniejsze naruszenie porządku: ani jednej krwawej bójkki, ani jednej kradzieży. Sam byłem świadkiem, jak więźniowie mitygowali niektórych rozhukanych czy zacierzewionych kolegów, powołując się tylko na to, że władze mogą zabronić teatru. Podoficer wziął od więźniów słowo, że się wszyscy będą zachowywać cicho i przyzwoicie. Przystali z radością i święcie dotrzy-

mali obietnicy; bardzo im też pochlebiało, że się wierzy ich słowu. Trzeba zresztą nadmienić, że zezwolenie na teatr nic a nic nie kosztowało przełożonych, nie pociągało żadnych ofiar. Miejsca nie ogradzano z góry; zmontowanie i zdemontowanie teatru zajmowało jaki kwadrans najwyżej. Przedstawienie, trwało półtorej godziny, i gdyby raptem wyższe władze poleciły przerwać widowisko, spełniłoby się to w oka mgnieniu. Stroje były schowane w kufrach więźniów. Lecz zanim opowiem, jak urządzony był teatr i jak wyglądały stroje, wspomnę o afiszu teatralnym, czyli o tym, co mianowicie zamierzano odegrać.

Pisanego afisza właściwie nie było. Dopiero na drugie, na trzecie przedstawienie ukazał się jeden afisz, napisany przez Bakłuszyna dla pp. oficerów i w ogóle dla honorowych gości, którzy zaszczytili nasz teatr swoją obecnością na pierwszym jeszcze przedstawieniu. Mianowicie: z grona panów przychodził zwykle oficer dyżurny, a raz wstąpił sam dowódca warty. Wstąpił też jeden raz oficer inżynieryjny; otóż dla takich właśnie widzów sporządzono afisz. Więźniowie przypuszczali, że fama teatru więziennego zatoczy szerokie kręgi w twierdzy, a nawet w mieście, tym bardziej że w mieście nie było teatru. Podobno odbyło się jedno tylko jakieś przedstawienie amatorskie, i na tym koniec. Więźniowie cieszyli się jak dzieci z najdrobniejszego powodzenia, a nawet się chełpili. „Kto wie — myśleli i mówili sami sobie oraz jedni do drugich — a nuż i najwyżsi przełożeni dowiedzą się o tym; przyjdą i popatrzą, a wtedy zobaczą, jacy są więźniowie. To nie zwykle sobie przedstawienie żołnierskie, z jakimiś kukłami, z pływającymi łódkami, z chodzącymi niedźwiedziami i kozami. Tutaj są aktorzy, prawdziwi aktorzy, grający pańskie komedie; takiego teatru i w mieście nie ma. Ponoć u generała Abrosimowa odbyło się raz przedstawienie i jeszcze się odbędzie; ha, może i zakasują nas bogactwem kostiumów, ale co do rozmów, to nie wiadomo jeszcze, czy nam dorównają! Gubernator usłyszy i — a nuż, a widelec? — może sam zechce przyjść popatrzeć. W mieście nie ma teatru...” Słowem, fantazja więźniów, zwłaszcza po pierwszym sukcesie, wybujała podczas świąt niepomierne, dochodząc prawie do marzeń o nagrodach lub o skróceniu terminu robót, chociaż w tejże niemal chwili sami zaczęli najdobroduszniej śmiać się z siebie. Krótko mówiąc, były to dzieci, kompletne dzieci, jakkolwiek niektóre z tych dzieci miały po czterdzieści lat. Ale mimo braku afisza znałem już w głównych zarysach program zamierzonego widowiska. Pierwsza sztuczka nosiła tytuł: *Filatka i Miroszka rywalami*. Bakłuszyn chwalił mi się już na tydzień przed spektaklem, że rola samego Filatki, którą brał na siebie, zostanie odegrana tak, iż s a n k t-petersburski teatr ani się nie umywał. Chodził po koszarach, chełpił się niemiłosiernie i bezwstydnie, a zarazem zupełnie dobrodusznie, niekiedy zaś zniecała prezentował nam coś „po tyjatrakalnemu”, to znaczy jakiś urywek ze swej roli — i wszyscy zrywali boki, niezależnie od tego, czy to, co zaprezentował, było zabawne, czy niezabawne. Muszę jednak dodać, że i tu więźniowie umieli się utrzymać w karbach i zachować godność: wybrykami Bakłuszyna i opowiadaniem o przyszłym teatrze zachwycały się albo tylko najmłodsze żółtodzioby, bez dyscypliny wewnętrznej, albo tylko najwybitniejsi więźniowie, których autorytet był już ustalony niezachwianie, tak że mogli już się nie obawiać wyrażania

swych uczuć, wszelkich uczuć, chociażby najnaiwniejszych — czyli, wedle pojęć więziennych, najbardziej nieprzyzwoitych. Inni zaś wysłuchiwali pogłosek i gawęd w milczeniu, nie ganili wprawdzie i nie przeczyli, lecz ze wszystkich sił starali się traktować słuchy o teatrze obojętnie, a nawet po części z wysoka. Dopiero pod sam koniec, prawie już w dniu przedstawienia, wszyscy jęli się interesować: co to będzie? Jak tam nasi? Jak tam placmajor? Czy się wszystko powiedzie tak jak w zaprzeszłym roku? i tak dalej. Bakłuszyn upewniał mnie, że wszyscy aktorzy zostali świetnie dobrani, każdy „tam gdzie pasuje”. Że będzie nawet kurtyna, że narzeczoną Filatki zagra Sirotkin: „I sam pan zobaczy, jak on będzie wyglądał w kobiecej sukni!” — mówił mrużąc oczy i mlaskając językiem. Dobroczynna obywatelka ziemska będzie miała suknię z falbaną, i pelerynkę, i parasolkę w rękach, a dobroczynny obywatel ziemski ukaże się w oficerskim mundurze z akselbantami i z laseczką. Następnie miała iść druga sztuka, dramatyczna: *Kiedryła-obzarcuuch*. Tytuł zaintrygował mnie bardzo, lecz mimo wszelkich wypytywań o sztukę nie mogłem się dowiedzieć nic określonego. Dowiedziałem się tylko, że wzięta jest nie z książki, lecz „z odpisu”; że pożyczyl tekst tej sztuki zamieszkały na przedmieściu dymisjonowany podoficer, który prawdopodobnie sam kiedyś brał udział w jej wystawieniu na jakiejś scenie żołnierskiej. Istotnie w naszych odległych miastach i guberniach są takie sztuki teatralne, których nikt nie zna, które może nigdy nigdzie nie były drukowane, ale same się skądś zjawiały i stanowią żelazny repertuar każdego „teatru ludowego”. Byłoby bardzo, bardzo dobrze, gdyby nasi badacze podjęli dociekliwsze niż dotychczas studia nad teatrem ludowym, który przecież jest, istnieje i chyba zasługuje na pewną uwagę. Nie chce mi się wierzyć, by wszystko, com później zobaczył u nas, w naszym teatrze więziennym, było dziełem własnym naszych więźniów. Nieodzowna tu jest przekazywana tradycja, ustalone formy i pojęcia, od dawnych czasów przechodzące z pokolenia w pokolenie. Trzeba ich szukać u żołnierzy, u robotników, w miastach fabrycznych, a nawet u mieszczan w niektórych zapadłych ubogich miasteczkach. Zachowały się one również po wsiach oraz po miastach gubernialnych wśród czeladzi wielkich dworów ziemiańskich. Owszem, sądzę, że liczne dawne sztuki rozpowszechniły się w odpisach po Rosji nie inaczej niż przez ziemiańską czeladź. Dawni obywatele ziemscy i wielcy panowie moskiewscy miewali własne teatry złożone z artystów-poddanych. I z takich właśnie teatrów bierze początek nasza ludowa twórczość dramatyczna, której ślady są niewątpliwe. Co się zaś tyczy *Kiedryła-obzarcuucha*, pomimo najszczerzych chęci nie zdołałem dowiedzieć się o nim nic poza tym, że się na scenie ukażą złe duchy i porwą Kiedryła do piekła. Lecz co to znaczy Kiedrył, a wreszcie dlaczego Kiedrył, a nie Kirył? Czy tło jest rosyjskie, czy cudzoziemskie — tego żadną miarą nie potrafiłem spenetrować. Na zakończenie miała być odegrana „pantomima z muzyką”. Zapewne, wszystko to było nader ciekawe. Aktorów było z piętnastu — same zuchy i chwaty. Mruczeli swoje role pod nosem, odbywali próby, niekiedy za koszarami, kryli się, chowali. Słowem, chcieli nam wszystkim zaimponować czymś niezwykłym i niespodzianym.

W dni powszednie zamykano więzienie wcześniej, skoro tylko zapadła noc. W święta Bożego Narodzenia zrobiono wyjątek: nie zamykano aż do wieczornego capstrzyku. Ulga ta miała na względzie teatr. Przez święta więźniowie zazwyczaj codziennie, przed wieczorem, zgłaszali do dyżurnego oficera najpokorniejszą prośbę, by „zezwoił na teatr i dłużej nie zamykał więzienia”, przy czym dodawali, że wszak i wczoraj był teatr i dłużej nie zamykano drzwi, a nie doszło do żadnych brewerii. Oficer dyżurny mówił sobie tak: „Rzeczywiście, brewerii wczoraj nie było; a skoro dają słowo, że i dzisiaj nie będzie, więc sami tego dopilnują, a to rzecz najpewniejsza. Co więcej, gdybym zabronił widowiska, gotowi (kto ich tam wie, przecie to katorżnicy!) umyślnie, na złość spletać jakiś kawał i narazić nas na przykrość.” Wreszcie jedno jeszcze: stać na warcie jest nudno, a tutaj teatr, i to nie żołnierski po prostu, lecz więzienny, więźniowie zaś — to ciekawi ludzie; czemuż nie popatrzeć? A patrzeć oficer dyżurny zawsze ma prawo.

Przyjedzie naczelnik: „Gdzie oficer dyżurny?” — Poszedł liczyć więźniów, zamykać koszary.” Wyraźna odpowiedź i wyraźne usprawiedliwienie. Toteż oficerowie dyżurni każdego wieczoru w ciągu całych świąt zezwalali na teatr i nie zamykali koszar aż do capstrzyku. Więźniowie wiedzieli z góry, że warta nie będzie czyniła im wstrętów, i byli spokojni.

Około siódmej przyszedł po mnie Pietrow i razem udaliśmy się na przedstawienie. Z naszych koszar poszli prawie wszyscy, z wyjątkiem czernihowskiego staroobrzędowca i Polaków. Polacy dopiero w dniu ostatniego przedstawienia, czwartego stycznia, zdecydowali się odwiedzić teatr, i to po licznych zapewnieniach, że jest tam ładnie, wesoło i bezpiecznie. Wyniosłość Polaków wcale nie drażniła katorżników, i czwartego stycznia zostali powitani bardzo grzecznie. Dano im nawet najlepsze miejsca. Co się zaś tyczy Czerkiesów, a jeszcze bardziej Izajasza Fomicza, to dla nich nasz teatr był istną rozkoszą. Izajasz Fomicz za każdym razem dawał po trzy kopiejki, ostatnim zaś razem położył na talerzu dziesiątkę, a na twarzy jego malowała się błogość. Aktorzy uradzili pobierać od obecnych co łaska na rozchody związane z teatrem tudzież na własne pokrzepienie. Pietrow twierdził, że mnie wpuszczą na jedno z pierwszych miejsc, choćby teatr był pełen po brzegi, z uwagi na to, że będąc bogatszy od innych, zapewne dam więcej, no a przy tym znam się na rzeczy lepiej niż reszta. Tak się też stało. Ale najpierw opiszę widownię i urządzenie teatru.

Nasze koszary wojskowe, w których zainstalowano teatr, miały z piętnaście kroków długości. Z dworu wchodziło się na ganek, z ganku do sieni, a z sieni do koszar. Długie te koszary, jakem już wspomniał, urządzone były specjalnie: prycze ciągnęły się w nich pod ścianą, tak że środek izby zostawał wolny. Połowę izby, bliższą wejścia z ganku, przeznaczono dla widzów; w drugiej zaś połowie, która się łączyła z innymi koszarami, mieściła się scena. Przede wszystkim zaimponowała mi kurtyna. Ciągnęła się na jakie dziesięć kroków w poprzek całych koszar. Kurtyna była takim zbytkiem, że istotnie budziła podziw. Poza tym pomalowana była olejnymi farbami: widniały na niej drzewa, altanki, stawy i gwiazdy. Sklecono ją z płótna, starego i nowego, kto ile dał i ofiarował; ze starych aresztanckich onuc i koszul, jako tako zszytych w jedną

wielką płachtę, ta zaś jej część, na którą nie starczyło płótna, była po prostu z papieru, również wyproszonego po jednej kartce w różnych kancelariach i urzędach. Nasi malarze, wśród których odznaczał się także A-w „Briilow”, przyozdobili ją starannie. Efekt był wspaniały. Ten luksus cieszył nawet najbardziej posepnych i zgryźliwych więźniów, którzy, gdy doszło do przedstawienia, okazali się wszyscy bez wyjątku takimi samymi dzieciuchami jak najzagorzalsi i najniecierpliwsi. Wszyscy byli radzi, ba, chełpliwie radzi. Na oświetlenie składało się kilka łójówek pokrajanych na kawałki. Przed kurtyną stały dwie ławki z kuchni, a przed ławkami trzy czy cztery krzesła, które znaleziono w pokoju podoficera. Krzesła przewidziane były dla ewentualnych najdosłojniejszych gości w rangach oficerskich. Ławki zaś — dla podoficerów i pisarzy inżynieryjnych, kierowników robót i innych ludzi, należących wprawdzie do zwierzchności, ale bez oficerskich stopni, na wypadek, gdyby zajrzeli do więzienia. Tak się też stało: postronnych gości mieliśmy dzień w dzień, przez całe święta; czasem przychodziło ich więcej, czasem mniej, na ostatnim zaś przedstawieniu nie było w ławkach ani jednego nie zajętego miejsca. Na samym końcu, już poza ławkami, stali więźniowie, z uszanowania dla gości — bez czapek, w kurtkach albo kożuszkach, mimo że w izbie było duszno i gorąco. Naturalnie dla więźniów przewidziano za mało miejsca. Lecz oprócz tego, że jeden siedział dosłownie na drugim, zwłaszcza w tylnych rzędach, zajęte były również prycze, kulisy, a znaleźli się i tacy amatorzy, którzy stale chodzili za teatr, do drugich koszar, i już stamtąd, zza tylnych kulis, przyglądali się widowisku. Tłok w pierwszej połowie koszar był niemożliwy i nie ustępował może tłokowi i ciasnocie, jaką niedawno widziałem w łaźni. Drzwi do sieni stały otworem; w sieni, gdzie było dwadzieścia stopni mrozu, także tłoczyli się ludzie. Nas, mnie i Pietrowa, od razu puszczono na przód, prawie aż do ławek, skąd widać było daleko lepiej niż w tylnych rzędach. Mnie więźniowie uważali poniekąd za eksperta, znawcę, który bywał i nie w takich teatrach; widzieli, że Bakłuszyn przez cały czas zasięgał mojej rady i okazywał mi szacunek; obecnie więc należy mi się miejsce i honory.

Wprawdzie więźniowie byli ludźmi w najwyższym stopniu próżnymi i lekkomyślnymi, ale z pozoru tylko. Mogli się ze mnie śmiać widząc, że kiepsko pomagam im w pracy. Ałmazow mógł ze wzgardą patrzeć na nas, szlachtę, szcycąc się wobec nas swoją umiejętnością wypalania alabastru. Wszelako w ich prześladowaniach i drwinach tkwił też inny pierwiastek: myśmy kiedyś byli szlachtą; należeliśmy do tego samego stanu co ich dawni panowie, o których nie mogli zachować dobrego wspomnienia. Teraz jednak, w teatrze, ustąpili mi miejsca. Uznawali, że tutaj potrafię sądzić lepiej niż oni, że więcej niż oni widział i wiem. Nawet najmniej życzliwie usposobieni do mnie (wiem o tym) pragnęli obecnie, bym pochwalił ich teatr, i bez śladu unizoności puścili mnie na lepsze miejsce. Twierdzą tak dzisiaj, gdy sobie przypominam ówczesne swe wrażenia. Pamiętam, że już i wtedy wydało mi się, że w ich sprawiedliwym sądzie o mnie wcale nie było unizoności, tylko poczucie własnej godności. Najwznioślejszym i najbardziej znamienym rysem naszego ludu jest poczucie sprawiedliwości i pragnienie jej.

Koguciej zaś chęci przepychania się naprzód we wszystkich miejscach i za wszelką cenę, bez względu na to, czy człowiek tego wart, czy niewart — tej chęci ludowi brak. Wystarczy usunąć zewnętrzną, nieistotną plewę i przyjrzeć się ziarnu uważniej, z bliska, bez przesądów, a niejeden znajdzie w ludzkiej naturze takie cechy, jakich się zgoła nie domyślał. Nasi mędracy mogą nauczyć lud niewielu rzeczy. Twierdzę nawet, że przeciwnie, sami się jeszcze powinni od niego uczyć.

Pietrow oświadczył mi naiwnie, kiedyśmy się dopiero wybierali do teatru, że puszcza mnie naprzód i dlatego również, iż mam więcej pieniędzy. Ustalonej ceny nie było: każdy dawał, ile mógł lub ile chciał. Gdy zaczęto zbierać, prawie wszyscy położyli coś na talerzu, chociażby grosz tylko. Lecz jeśli mnie puszczało naprzód i poniekąd z powodu pieniędzy, przypuszczając, że dam więcej niż inni, to ileż i w tym także było poczucia godności! „Bogatszyś ode mnie, ruszaj więc naprzód, i chociaż tutaj wszyscy jesteśmy równi, ty położysz więcej: zatem taki gość jak ty jesteś aktorom miłszy; bierz więc pierwsze miejsce, ponieważ jesteśmy tu wszyscy nie za pieniądze tylko z uszanowania, więc też segregować siebie powinniśmy już sami”. Ileż w tym prawdziwej, szlachetnej dumy! To nie szacunek dla pieniędzy, lecz szacunek do samego siebie. W ogóle zaś pieniądze, bogactwo nie cieszyły się specjalnym szacunkiem, zwłaszcza jeśli się patrzy na wszystkich więźniów w czambuł, w masie, w zespole. Gdyby nawet wypadło rozpatrywać ich oddzielnie, nie pamiętam ani jednego, który by się naprawdę poniżał dla pieniędzy. Owszem, byli wśród nich łapigrosze, którzy wypraszała i ode mnie. Lecz to łapigroszostwo miało w sobie więcej swawoli niż właściwej interesowności; więcej humoru, prostodusznego dowcipu. Nie wiem, czy się wysławiam zrozumiale... Zapomniałem jednak o teatrze. Do rzeczy. Przed podniesieniem kurtyny cała izba przedstawiała ożywiony i dziwny obraz. Przede wszystkim — tłum widzów, zbity, stłoczony, ściśnięty ze wszystkich stron, cierpliwie i z błogim wyrazem twarzy oczekujący początku widowiska. W tylnych rzędach — ludzie włączający jeden drugiemu na kark. Wielu z nich przyniosło ze sobą polana z kuchni: jako tako ustawivszy pod murem grube polano, człowiek gramolił się na nie, opierał się oburącz o ramiona stojącego przed nim i nie zmieniając pozycji stał w ten sposób dwie godziny, najzupełniej rad z siebie i swego miejsca. Inni włączali na piec, na przymurek, i tak samo stali cały czas, wsparci o stojących przed nimi. Tak było w ostatnich rzędach, przy ścianie. Z boku, umościwszy się na pryczach, nad muzykantami również stał zbity tłum. Tutaj były dobre miejsca. Jakich pięciu ludzi wspięło się na piec i leżąc na nim patrzyło w dół. Ci mieli prawdziwe używanie. Na futrynach okiennych, po przeciwległej stronie także tłoczyły się gromady takich, co się spóźnili lub nie znaleźli dobrego miejsca. Wszyscy zachowywali się cicho i skromnie. Wszyscy chcieli ukazać się panom i honorowym gościom z najlepszej strony. Na wszystkich twarzach malowało się arcynaiwne oczekiwanie. Wszystkie twarze były czerwone i spotniałe od gorąca i duszności. Jakież osobliwe poblaski dziecinnej radości, miłego, czystego zadowolenia lśniły na tych poradlonych, piętnowanych czołach i policzkach, w tych spojrzeniach ludzi, dotychczas zawsze ponurych i posępnych, w tych oczach płonących niekiedy strasznym ogniem! Wszyscy byli bez czapek, i z prawej strony

wszystkie głowy wydawały mi się ogolono. Lecz oto na scenie słyhać rumor, krzątanie. Zasłona wnet pójdzie w górę. Orkiestra wnet zagra... Ta orkiestra zasługuje na wzmiankę. Z boku, na pryzkach, rozsiadło się jakich ośmiu muzykantów: dwoje skrzypiec (jedne były w więzieniu, drugie pożyczone od kogoś w twierdzy, artysta zaś znalazł się na miejscu), trzy bałałajki — wszystkie własnej roboty, dwie gitary oraz bęben zamiast kontrabas. Skrzypce piszczały tylko i zgrzytały, gitary były do niczego, za to bałałajki — na podziw. Chyżość, z jaką grajek przebierał palcami struny, stanowczo zakrawała na najzręczniejsze kuglarstwo. Grano tylko melodie taneczne. W najskoczniejszych miejscach bałałajkarze uderzali kostkami palców o pudło bałałajki; ton, smak, wykonanie, stosunek do instrumentów, sposób interpretacji motywu — wszystko to było swoiste, oryginalne, więźniarskie. Jeden z gitarzystów również wspaniale znał swój instrument. Był to ten ze szlachty, co zamordował ojca. Co się zaś tyczy grającego na bębnie, ten dokazywał istnych cudów: to uderza drobno palcami, to znów przeciąga wielkim palcem po skórze instrumentu; raz słyhać częste, dźwięczne i jednostajne uderzenia, to zniecka ten silny, dobitny dźwięk jak gdyby rozsypuje się na nieprzeliczone mnóstwo drobnych, klekoczących i szemrzających dźwięków. Wreszcie zjawily się jeszcze dwie harmonie. Dalibóg, nie miałem dotąd pojęcia, co można wydobyć z tych prostych, ludowych instrumentów: zgodność dźwięków, zestrój a przede wszystkim duch, sposób zrozumienia i interpretacji treści motywu — były wręcz zdumiewające. Po raz pierwszy pojąłem wtedy do głębi, co mianowicie nieskończenie hulaszczego i dziarskiego zawierają w sobie dziarskie i hulaszcze rosyjskie pieśni taneczne. Wreszcie zasłona poszła w górę. Wszyscy się poruszyli, wszyscy przestąpili z nogi na nogę, stojący w tyle wspięli się na palce, ktoś spadł z polana, wszyscy jak jeden mąż otwarli usta i wytrzeszczyli oczy; zapanowała kompletna cisza... Przedstawienie się rozpoczęło.

Obok mnie stał Alej w gronie swych braci i innych Czerkiesów. Wszyscy oni namiętnie przywiązali się do teatru i potem przychodzili co wieczór. Niejednokrotnie czynilem spostrzeżenia, że wszyscy muzułmanie, Tatarzy i tak dalej, zawsze są zapalonymi miłośnikami wszelkich widowisk. Kucnął też przy mnie Izajasz Fomicz, który z chwilą podniesienia kurtyny jak gdyby zamienił się w słuch, we wzrok i najbardziej naiwne, zachłanne wyczekiwanie cudów i rozkoszy. Aż przykro by mi było, gdyby nadzieje go zawiodły. Miła twarz Aleja promieniała taką dziecięcą, śliczną radością, że, wyznając, ogromnie mi było przyjemnie patrzeć na niego, i pamiętam, że ilekroć przy jakimś zabawnym i udatnym powiedzonku aktora rozlegał się ogólny śmiech, natychmiast obracałem się do Aleja i zaglądałem mu w twarz. On mnie nie widział — cóż mogłem go teraz obchodzić! Bardzo niedaleko ode mnie, po lewej stronie, stał więzień, niemłody, zawsze nachmurzony, zawsze niezadowolony i zrzędzący. On także zauważył Aleja, i widziałem, jak się parę razy obracał z półśmiechem, by nań popatrzeć; tak był uroczy! Aleja nazywał, nie wiem dlaczego, „Alejem Siemionyczem”. Rozpoczęto od *Filatki i Miroszki*. Filatka (Bakłuszyn) rzeczywiście był świetny. Odegrał swoją rolę z zadziwiającą precyzją. Znać było, że przemyślał każde powiedzenie, każdy swój ruch. Lada blahemu słowu, lada gestowi umiał nadać

sens i znaczenie, doskonale odpowiadające charakterowi roli. Do tej staranności, do tego wystudiowania dodajcie dziwną, niefałszowaną wesołość, prostotę, naturalność, a gdybyście widzieli Bakłuszyna, sami byście na pewno przyznali, że to prawdziwy, urodzony aktor, z wielkim talentem. Filatkę widziałem niejednokrotnie w teatrach moskiewskim i petersburskim; otóż twierdzą stanowczo, iż aktorzy stołeczni, grający Filatkę, obydwaj grali gorzej niż Bakłuszyn. W porównaniu z nim byli „pejzantami”, a nie autentycznymi chłopami. Za bardzo chcieli odtworzyć chłopą. Ponadto Bakłuszyna podniecało współzawodnictwo: wszystkim było wiadomo, że w drugiej sztuczce rolę Kiedryła będzie grał więzień Pocejkin, aktor, którego wszyscy uważali czemuś za bardziej utalentowanego, lepszego niż Bakłuszyn, i Bakłuszyn bolał nad tym jak dziecko. Ileż to razy przychodził do mnie w ostatnich dniach i dawał wyraz swym uczuciom. Na dwie godziny przed widowiskiem dygotał jak w febrze. Kiedy się w tłumie rozlegał śmiech i okrzyki: „Brawo, Bakłuszyn! Zuch jesteś!” — cała jego twarz promieniała szczęściem, prawdziwe natchnienie lśniło w jego oczach. Scena, w której Filatka, mając całować się z Miroszką, krzyczy doń najpierw: „Wytrzymaj sobie gębę!” — i sam się także wyciera, wypadła arcykomicznie. Wszyscy aż się zatoczyli ze śmiechu. Lecz najciekawszy byli dla mnie widzowie: tu już spadły wszelkie maski. Oddawali się tej rozkoszy bez zastrzeżeń. Coraz częściej wznosili okrzyki aprobaty. Oto jeden szturcha towarzysza i naprędcę zwierza mu swe wrażenia, wcale się nie troszcząc, a może nawet nie widząc, kto przy nim stoi; drugi, przy jakiejś zabawnej scenie, nagle z zachwytem odwraca się do tłumu, szybko ogląda wszystkich, jakby zapraszając ich do śmiechu, macha ręką i natychmiast znów chciwie odwraca się do sceny. Trzeci po prostu mlaska językiem, strzela z palców i nie może spokojnie ustać w miejscu, że zaś nie ma dokąd iść, więc tylko przestępuje z nogi na nogę. Pod koniec sztuki ogólny wesoły nastrój doszedł do szczytu. Nic a nic nie przesadzam. Proszę sobie wyobrazić więzienie, kajdany, niewolę, w perspektywie dalsze długie smutne lata, życie jednostajne jak kapuśniaczek w słotny dzień jesienny — i oto raptem tym wszystkim przygnębionym i uwięzionym ludziom pozwolono odpocząć przez godzinę, pobawić się, zapomnieć o ciężkim śnie, urządzić teatr, i to jaki teatr — całemu miastu na podziw i dumę: znajcie nas, przekonajcie się, co to więźniowie! Naturalnie, zajmowało ich wszystko, na przykład stroje. Rzeczą ogromnie ciekawą było dla nich zobaczyć na przykład jakiegoś Wańkę Otpietego albo Niecwietajewa, albo Bakłuszyna w odzieży zupełnie innej niż ta, w jakiej od tylu już lat widzieli ich codziennie. „Przecież to więzień, ten sam więzień, pobrzękuje nawet kajdanami, a tymczasem wchodzi w surducie, w okrągłym kapeluszu, w płaszczu — niczym cywil! Przyprawił sobie wąsy, włosy. Oto wyjął z kieszeni czerwoną chusteczkę, wachluje się nią, udaje pana, jak gdyby naprawdę był, wypisz-wymaluj, wielkim panem!” I wszyscy są zachwyceni. „Dobroczynny ziemianin” wystąpił w mundurze adiutanta, bardzo znoszonym co prawda, ze szlifami, w czapce z bączkiem, i wywarł nadzwyczajne wrażenie. Na tę rolę było dwóch amatorów i — czy dacie wiarę? — niby małe dzieci, okropnie pokłócili się ze sobą o to, kto ma grać: obydwaj pragnęli ukazać się w oficerskim mundurze z akselbantami! Musieli ich mitygować inni aktorzy i

większością głosów uchwalili powierzyć rolę Niecwietajewowi, nie dlatego, żeby był okazalszy i ładniejszy, a więc podobniejszy do pana, tylko dlatego, że Niecwietajew upewnił wszystkich, iż wystąpi z laseczką i będzie nią tak machał w powietrzu i kreślił coś na ziemi, jak najprawdziwszy pan i pierwszorzędnny elegant, na co Wańki Otpietego nie stać, bo na oczy nie widział prawdziwych państwa. Jakoż istotnie, kiedy się Niecwietajew ukazał ze swoją damą na scenie, nie przestawał szybko i śmignie kreślić na ziemi ciemną trzciniową laseczką, którą skądś wytrzasnął, upatrując snadź w tym geście cechę najwyższej pańskości, niedościgły szczyt elegancji i „fasonu”. Zapewne kiedyś, jeszcze w dzieciństwie, gdy był czeladnym bosonogim malcem, zdarzyło mu się zobaczyć ładnie ubranego pana z laseczką; urzekła go jego wprawa w wywijaniu nią, i niezatarte wrażenie pozostało w jego duszy na wieki, toteż teraz, w trzydziestym roku życia, wszystko stanęło mu przed oczyma jak żywe i pozwoliło olśnić i urzec całe więzienie. Niecwietajew był tak pochłonięty swym zajęciem, że nie patrzył już nigdzie i na nikogo, nawet mówił nie podnosząc oczu, śledząc wyłącznie swoją laskę i jej szpic. Dobroczyzna obywatelka ziemską także była wielce niepospolita w swym rodzaju: weszła na scenę w starej, zniszczonej sukni muślinowej, istnej szmacie, z gołymi ramionami i szyją, z twarzą straszliwie uszmińkowaną bielidłem i różem, w perkalowym czepku nocnym związanym pod brodą, z parasolką w jednej ręce, a w drugiej z wachlarzem z kolorowego papieru, którym chłodziła się bez ustanku. Wybuch śmiechu powitał panią; zresztą sama pani nie wytrzymała i parę razy się roześmiała. Grał ją więzień Iwanów. Sirotkin, przebrany za dziewczynę, był bardzo miłutki. Kuplety również wypadły dobrze. Słowem, sztuka wzbudziła najzupełniejsze i ogólne zadowolenie. Krytyki nie było i być nie mogło.

Jeszcze raz odegrano uwerturę: *Sieni moja, sieni*, i kurtyna znów się podniosła. Był to *Kiedrył. Kiedrył* — to coś w rodzaju Don Juana; w każdym razie i jego, i sługę pod koniec sztuki diabli porywają do piekła. Dano cały akt, lecz oczywiście jest to urywek; początek i koniec znikły. Sensu w tym ani śladu. Rzecz się dzieje w Rosji, gdzieś w zajeździe. Oberżysta wprowadza do pokoju pana w płaszczu i okrągłym pogniecionym kapeluszu. Idzie za nim jego sługa Kiedrył z tłumokiem i kurą zawiniętą w niebieski papier. Kiedrył ma na sobie kożuszek i lokajski kaszkiet. To właśnie on jest obżarciuchem. Gra go więzień Pocejkin, rywal Bakłuszyna; pana gra ten sam Iwanow, co w pierwszej sztuce grał dobroczynną ziemiankę. Oberżysta, Niecwietajew, ostrzega, że w pokoju straszą diabli, i znika. Pan, ponury i zatroskany, mruczy pod nosem, że dawno wiedział o tym, każe Kiedryłowi wypakować rzeczy i przyrządzić kolację. Kiedrył jest tchórzem i obżarciuchem. Na wiadomość o diablach blednie i drży jak liść. Chętnie by uciekł, lecz boi się pana. A na dobitkę chce mu się jeść. Jest łakomy, głupi, chytry na swój sposób, tchórzliwy, co krok oszukuje pana, a zarazem lęka się go. Jest to ciekawy typ sługi, w którym mgliście i odległe odzywają się cechy Leporella, naprawdę świetnie zinterpretowany. Pocejkin ma niewątpliwy talent i jest aktorem, jak sądzę, jeszcze lepszym niż Bakłuszyn. Oczywiście, kiedym nazajutrz spotkał Bakłuszyna, nie wypowiedziałem mu swego zdania w pełni: zanadto bym go zmartwił.

Więzień, grający pana, także niezłe wywiązał się z roli. Plótl niestworzone banialuki; ale dykcja była poprawna, wartka, gest odpowiedni. Podczas gdy Kiedrył pora się z tłumokami, pan chodzi w zadumie po scenie i ogłasza wszem wobec, że tego wieczoru skończą się jego wędrówki. Kiedrył słucha ciekawie, robi grymasy, mówi *aparte* i każdym słowem śmieszy widzów. Nie żał mu pana, lecz słyszał o diabłach, chce się dowiedzieć, co to jest, wszczyna więc rozmowę i wypytuje pana. W końcu pan oznajmia mu, że kiedyś, w jakichś opałach, zwrócił się o pomoc do piekła i diabli mu pomogli, wyciągnęli go z kabały, ale że dzisiaj upływa termin i może dziś jeszcze, w myśl ugody, diabli przyjdą po jego duszę. Kiedryła oblatuje tęgi strach. Natomiast pan nie traci animuszu i każe mu przygotować kolację. Słyszając o kolacji Kiedrył ożywia się, wydobywa kurę, wyjmuje wino — przy czym raz po raz skubie ukradkiem po kawałeczku kury i zjada. Publiczność zanosi się od śmiechu. Oto skrzypnęły drzwi, wiatr postukuje okiennicami; Kiedrył dygocze i co rychlej, prawie bezwiednie, pakuje do ust olbrzymi kawał kury, którego nie może przełknąć. Znowu śmiech. „Gotowe?” woła pan spacerując po pokoju. — „W tej chwileczce, jaśnie panie... zaraz... przyrządzę”, mówi Kiedrył, zasiada do stołu i najspokojniej w świecie zaczyna pałaszować jedzenie swego pana. Publiczności podoba się widocznie spryt i chytryść sługi oraz to, że pan został wystrychnięty na dudka. Trzeba przyznać, że i Pocejkin rzeczywiście wart był pochwał. Słowa: „w tej chwileczce, jaśnin panie, zaraz przyrządzę” wypowiedział znakomicie. Siadłszy do stołu zaczyna jeść łapczywie i wzdryga się za każdym krokiem pana, by ten nie dostrzegł jego figli; ilekroć pan zawróci na pięcie, sługa daje nurka pod stół i zabiera ze sobą kurę. Wreszcie zaspokaja pierwszy głód; czas pomyśleć o panu. — „Czy prędko?” krzyczy pan. — „Gotowe!” rażno odpowiada Kiedrył, zmiarkowawszy, że dla pana nic już prawie nie zostało. Jakoż istotnie, na talerzu leży tylko jedno duże udko. Pan, posepny i zatroskany, nic nie spostrzegając siada do stołu, a Kiedrył z serwetką staje za jego krzesłem. Każde słowo, każdy gest, każdy grymas Kiedryła, gdy zwracając się do publiczności kiwa głową w stronę swego naiwnego pana — wywołują homeryczny śmiech widzów. Lecz w chwili, kiedy pan zaczyna jeść, zjawiają się diabli. Tu już nic niepodobna zrozumieć, bo diabli zjawiają się aż z nadto nie po ludzku: w bocznych kulisach otwierają się drzwi i wchodzi coś w bieli, zamiast głowy ma latarnię ze świecą; drugie widmo także ma latarnię na głowie, a w ręku trzyma kosę. Dlaczego latarnia, dlaczego kosa, dlaczego diabli są biali? Tego nikt nie może sobie wytłumaczyć. Zresztą nikt się nad tym nie zastanawia. Widać tak już być powinno. Pan dosyć mężnie stawia diabłom czoło i krzyczy, że jest gotów, że mogą go brać. Natomiast Kiedrył tchórzy jak zajac; wchodzi pod stół, ale mimo całego swojego lęku nie zapomina wziąć ze sobą butelki. Diabli znikają na moment; Kiedrył wyłazi spod stołu; lecz ledwie się pan zabiera znów do kury, do pokoju wpadają trzej diabli, chwytają pana z tyłu i niosą go do piekła. „Kiedrył! Ratuj mnie!” woła pan. Ale Kiedrył ma co innego do roboty. Tym razem ściągnął pod stół i butelkę, i talerz, i nawet chleb. Teraz jest sam, diabłów nie ma, pana także. Wyłazi, rozgląda się i uśmiech rozpromienia jego twarz.

Szelmowsko mruży oczy, siada na pańskim miejscu i kiwając głową do publiczności mówi półszepem:

— No, teraz jestem sam... bez pana!...

Wszyscy śmieją się z tego, że jest bez pana, a Kiedrył po chwili dodaje półszepem, zwracając się poufnie do publiczności i coraz weselej robiąc oko:

— Bo pana diabli wzięli!...

Zachwyt widzów nie ma granic! Oprócz tego, że pana wzięli diabli, było to wypowiedziane takim tonem, tak filuternie, z takim kpiarsko-tryumfującym grymasem, że naprawdę nie sposób było nie oklaskiwać. Aliści szczęście Kiedryła trwa krótko. Właśnie zajął się butelką, nalał sobie do szklanki i chce pić, gdy znienacka diabli wracają, podkradają się od tyłu na palcach i — łaps go pod boki. Kiedrył drze się wniebogłosy; z tchórzostwa nie śmie się odwrócić. Bronić się także nie może: w rękach trzyma butelkę i szklankę, z którymi nie ma serca się rozstać. Z przerażenia rozdziawił gębę, dobre pół minuty siedzi wybałuszając oczy na publiczność z takim pociesznym wyrazem tchórzliwego przestachu, że mógłby służyć malarzowi za model. Wreszcie diabli go niosą, unoszą; z butelką się nie rozstaje; macha nogami i wrzeszczy, wrzeszczy. Krzyk jego słychać jeszcze za kulisami. Ale kurtyna zapada i wszyscy się śmieją do rozpuku, wszyscy są wniebowzięci... Orkiestra intonuje kamaryńskiego.

Zaczynają cicho, ledwie dosłyszalnie, lecz motyw narasta, narasta, tempo jest coraz zwawsze, rozlega się dziarskie postukiwanie w pudła bałałajek... Jest to kamaryński w całym swym rozmachu, i naprawdę byłoby dobrze, gdyby Glinka bodaj przypadkiem usłyszał go w naszym więzieniu. Rozpoczyna się pantomima z towarzyszeniem muzyki. Melodia nie milknie przez cały czas trwania pantomimy. Dekoracje przedstawiają wnętrze chałupy. Na scenie — młynarz i jego żona. Młynarz w jednym kącie naprawia uprząż, w drugim kącie żona przędzie len. Żonę gra Sirotkin, młynarza — Niecwietajew.

Dodam tu, że nasze dekoracje są bardzo ubogie. I w tej sztuczce, i w poprzedniej, i w innych widz więcej uzupełnia własną wyobraźnią, niż widzi. Zamiast tylnej ściany rozpięto jakiś dywan czy derkę; z boku stoi lichy parawan. Lewa zaś strona nie jest niczym zasłonięta, widać więc prycze, lecz widzowie są niewymagający i zgadzają się dosztukowywać rzeczywistość imaginacją, tym bardziej że więźniowie mają do tego wielkie zdolności: „Skoro ma to być ogród, niechże będzie, że to ogród; jak pokój, to pokój, jak chata, to chata — wszystko jedno i nie warto wybredzać.” Sirotkin w stroju młodej kobiety jest bardzo miły. Na widowni pada półgłosem kilka komplementów. Młynarz kończy pracę, bierze czapkę, bierze bicz, podchodzi do żony i tłumaczy jej na migi, że będzie musiał wyjść, ale gdyby pod jego nieobecność przyjęła kogo, to... i wskazuje na bicz. Żona słucha i kiwa głową. Prawdopodobnie zna ten bicz bardzo dobrze: kobieta jest płocha. Mąż wychodzi. Ledwie przestąpił próg, żona grozi mu pięścią. Wtem pukanie; drzwi się otwierają i wchodzi sąsiad, także młynarz, chłop w kabacie i z brodą. W rękach trzyma podarek: czerwoną chustkę. Kobieta się śmieje, ale w chwili, gdy sąsiad chce ją objąć, znowu pukanie do

drzwi. Co począć? Naprędce chowa go pod stołem, a sama wraca do wrzeciona. Zjawia się drugi adorator: jest to pisarz, w uniformie wojskowym. Dotychczas pantomima szła bez zarzutu, gest był bezbłędnie trafny. Można nawet się było zdziwić patrząc na tych zaimprovizowanych aktorów i mimo woli pomyśleć: ileż sił i talentu przepada u nas na Rusi niekiedy prawie na darmo, w niewoli i ciężkiej doli! Lecz więzień, grający pisarza, zapewne był kiedyś na przedstawieniu domowym albo w prowincjonalnym teatrze i ubrdał sobie, że nasi aktorzy, wszyscy co do jednego, nie znają się na *rzeczy* i nie tak chodzą, jak należy chodzić na scenie. Toteż występuje tak, jak podobno za dawnych czasów występowali w teatrach bohaterzy klasycy: stawia długi krok i, jeszcze nie przysunąwszy drugiej nogi, raptem się zatrzymuje, odchyła w tył cały tułów, głowę, dumnie toczy wzrokiem wokół i — stawia drugi krok. Jeśli taki chód śmieszył u bohaterów klasycznych, to u wojskowego pisarza, w komicznej scenie, jest jeszcze śmieszniejszy. Ale nasza publiczność sądziła, że widocznie tak właśnie być powinno, i przyjęła długie kroki pisarza dryblasza jako fakt dokonany, bez specjalnej krytyki. Ledwie zdążył pisarz wyjść na środek sceny, znowu pukanie: gosposia znów się spłoszyła. Gdzie podziąć pisarza? Do kufra, który na szczęście jest otwarty. Pisarz wchodzi do kufra i kobiecinka nakrywa go wiekiem. Tym razem zjawia się gość osobliwy, także zakochany, lecz szczególnego autoramentu. Jest to bramin, i to nawet w odpowiednim stroju. Wśród widzów wybucha huczny śmiech. Bramina gra więzień Koszkin, a gra doskonale. Ma postać bramińską. Na migi tłumaczy swej lubej, jak bardzo ją kocha. Podnosi ręce do nieba, następnie przykładają je do piersi, do serca; lecz w chwili gdy się na dobre rozczulił — słycać głośnie kołatanie. Znać od razu, że to gospodarz. Wylekła żona odchodzi od zmysłów, bramin miota się jak oparzony i błaga, żeby go gdzie ukryła. Niewiasta co tchu stawia go za szafą, a sama, zapomniawszy otworzyć drzwi, podbiega do swej przędzy i przędzie, przędzie, nie słysząc męzowskiego stukania, z przestrachu wije nić, której nie ma w rękach, i kręci wrzeciono, którego nie podniosła z podłogi. Sirotkin bardzo dobrze i udatnie wyraził ten przestrach. Lecz gospodarz wyważa drzwi nogą i z biczem w ręku podchodzi do żony. Wie o wszystkim, wszystko podpatrzył i wprost pokazuje jej na palcach, że ukryła trzech męzczyzn. Potem szuka ukrytych. Najpierw znajduje sąsiada i szturchańcami wypycha go z izby. Struchlały pisarz chce umknąć, podnosi głowę wieko i w ten sposób sam się zdradza. Gospodarz zacina go biczem, i tym razem rozkochany pisarz skacze nie na klasyczną bynajmniej modłę. Pozostaje bramin; gospodarz szuka go długo, wreszcie znajduje w kącie za szafą, grzecznie mu się kłania i za brodę wyciąga go na środek sceny. Bramin próbuje się bronić: woła „grzeszniku, grzeszniku!” (jedyne słowa wypowiedziane w pantomimie). Aliści mąż nie słucha i rozprawia się z nim po swojemu. Żona, widząc, że teraz kolej na nią, rzuca przędzę, wrzeciono i wybiega z izby; stołek, na którym siedziała przędąc, wywraca się z hukiem, więźniowie śmieją się. Alej nie patrząc na mnie tarł się za rękaw, krzyczy: „Patrzaj! Bramin, bramin” — i nie może już ustać ze śmiechu. Kurtyna spada. Rozpoczyna się druga scena.

Nie będę jednak opisywał wszystkich scen. Było ich jeszcze dwie czy trzy. Wszystkie zabawne i naprawdę wesołe. Jeśli nie sami więźniowie je skomponowali, to bądź co bądź włożyli w każdą z nich sporo swego. Prawie każdy aktor improwizował na własną rękę, toteż następnych wieczorów ten sam aktor grał tę samą rolę nieco odmiennie. Ostatnią pantomimę, fantastyczną, zakończył balet. Chowają umarłego. Bramin z liczną służbą czyni nad trumną różne zaklęcia, ale bez skutku. Wreszcie rozlega się okrzyk: „Słońce zachodzi”, nieboszczyk odżywa i wszyscy w radości zaczynają płaszać. Bramin tańczy z nieboszczykiem, tańczy w sposób całkiem osobliwy, po bramińsku. Na tym teatr kończy się do następnego wieczoru. Wszyscy więźniowie rozchodzą się weseli, radzi, chwalą aktorów, dziękują podoficerowi. Sprzeczek nie słyhać.

Wszyscy są niezwykle zadowoleni, nawet szczęśliwi, i zasypiają nie tak jak zawsze, lecz prawie ze spokojem w sercu. Spytaście: dlaczego? A jednak to nie urojenie mojej wyobraźni. To prawda, szczerą prawdą. Odrobinę tylko pozwolono tym biedakom pożyć po swojemu, zabawić się po ludzku, bodaj godzinę spędzić nie po więziennemu — i człowiek odmienia się moralnie, chociażby na kilka minut zaledwie... Lecz oto już głęboka noc. Wzdrygam się i budzę się przypadkiem; stary wciąż się jeszcze modli na piecu i będzie się modlił aż do brzasku; Alej cicho śpi koło mnie. Przypominam sobie, że przed zaśnięciem śmiał się jeszcze, gwarząc z braćmi o teatrze, i mimo woli wpatruję się w jego spokojną dziecinną twarz. Kolejno przypominam sobie wszystko: ostatni dzień, święta, cały ten miesiąc... Przerażony podnoszę głowę i oglądam śpiących towarzyszy w migotliwym, mdłym świetle skarbowej cieniutkiej świecy. Patrzą na ich biedne twarze, na ich biedne posłania, na całą tę bezdenną nędzę i biedę — wpatruję się, jakbym się chciał upewnić, że wszystko to nie jest dalszym ciągiem szkaradnego snu, lecz rzeczywistą prawdą. Owszem, to prawda: słyszę czyjś jęk, ktoś ciężko zarzucił rękę i brzęknął łańcuchem. Drugi wzrygnął się we śnie i zaczął coś mówić, a dziadek na piecu modli się za wszystkich „prawosławnych chrześcijan”; słyszę jego miarowe, ciche, przeciągłe „Jezu Chryste Panie, zmiłuj się nad nami!...”

„Przecie jestem tu nie na zawsze, przecież tylko na kilka lat!” — myślę i znowu opuszczam głowę na poduszkę.

Część druga

I. Szpital

II. Ciąg dalszy

III. Ciąg dalszy

IV. Mąż Akulki

V. Letnia pora

VI. Zwierzęta na katordze

VII. Zażalenie

VIII. Towarzysze

IX. Ucieczka

X. Wyjście z katorgi

I. Szpital

Wkrótce po świętach zachorowałem i poszedłem do naszego szpitala wojskowego. Stał na uboczu, o pół wiorsty od twierdzy. Był to długi, parterowy budynek, pomalowany żółtą farbą. W lecie, podczas remontu, zużywało się nań niesłychane ilości ochry. W olbrzymim dziedzińcu szpitala mieściły się dependencje, domy dla personelu medycznego i inne zabudowania służbowe. W głównym zaś gmachu — wyłącznie izby chorych. Izb tych było dużo, ale w tym tylko dwie aresztanckie, zawsze przepełnione, szczególnie jednak latem, toteż często trzeba było zsuwać łóżka. Zapełniali nasze izby wszelkiego rodzaju „nieszczęśnicy”. Chodzili tam od nas, chodzili rozmaici podsądni wojskowi, trzymani na różnych odwachach, ludzie po wyroku i przed wyrokiem, oraz ci, których później miano przesłać dalej; chodzili też więźniowie z roty poprawczej — dziwnej instytucji, w której zamykano celem poprawy ich sprawowania żołnierzy winnych jakiegoś wykroczenia i niezbyt pewnych, a z której po upływie dwóch lat lub więcej wychodzili oni zazwyczaj takimi szubrawcami, jakich się rzadko spotyka. Gdy który z więźniów zasłabł u nas, zwykle meldował z rana o swej chorobie podoficerowi. Natychmiast zapisywano go w księdze i z tą księgą kierowano chorego z konwojentem do batalionowego lazaretu. Tam doktor pobieżnie oglądał wszystkich chorych ze wszystkich formacji wojskowych w twierdzy i jeśli uznał, że ktoś jest naprawdę chory, zapisywał go do szpitala. Odnotowano mnie w księdze, a po pierwszej, kiedy się już wszyscy od nas udali na poobiednie roboty, poszedłem do szpitala. Chory więzień zazwyczaj brał ze sobą, ile tylko mógł pieniędzy, chleba, bo wiedział, że tego dnia nie dostanie w szpitalu porcji, ponadto zaś malutką fajeczkę oraz kapciuch z tytoniem, krzemieniem i krzesiwem, które starannie chowało się za cholewą. Wstąpiłem za szpitalne ogrodzenie nie bez pewnej ciekawości, jeszcze bowiem nie znałem tej nowej odmiany naszego aresztanckiego żywota.

Dzień był ciepły, pochmurny i smutny — jeden z tych dni, kiedy takie instytucje jak szpital przybierają szczególnie rzeczowy, markotny i ponury wygląd. We dwóch z konwojentem weszliśmy do izby przyjęć, gdzie stały dwie miedziane wanny i gdzie już czekali dwaj chorzy, spośród podsądnych, również z konwojentami. Wszedł felczer, leniwie i władczo obejrzał nas, po czym jeszcze leniwiej poszedł zameldować lekarzowi dyżurnemu. Ten zjawił się wkrótce; obejrzał nas, potraktował bardzo życzliwie i wystawił nam „karty chorobowe”, na których widniały nasze nazwiska. Dalsze zaś rozpoznanie choroby, przepisanie leków, diety i tak dalej było już rzeczą tego z lekarzy, który zawiadywał izbami aresztanckimi. Już przedtem słyszałem zachwyty więźniów nad lekarzami. „Prawdziwi ojcowie!” — odpowiadali mi na moje pytania, kiedym się wybierał do szpitala. Przebraliśmy się. Wzięto od nas odzież i bieliznę, w którejśmy przyszli, a ubrano nas w bieliznę szpitalną, ponadto dostaliśmy długie pończochy, pantofle, szlafmyce i

grube sukienne kitle burego koloru, podbite ni to partem, ni to jakąś szmatą. Krótko mówiąc, kitel był niemożliwie brudny; ale w całej rozciągłości oceniłem go dopiero na miejscu. Następnie zaprowadzono nas do izb aresztanckich, które były położone u wylotu nieskończenie długiego korytarza, wysokiego i czystego... Zewnętrzna schludność była wszędzie nader zadowalająca; wszystko, co się na pierwsze wejrzenie rzucało w oczy, aż lśniło. Zresztą, może tak mi się tylko wydawało po naszym więzieniu. Dwaj podsądni ruszyli do izby na lewo, ja na prawo. U drzwi zaryglowanych żelazną sztabą stał wartownik z karabinem, obok niego drugi, z zapasowej zmiany. Młodszy podoficer (ze straży szpitalnej) kazał mnie wpuścić, i znalazłem się w długim i wąskim pokoju; pod obu dłuższymi ścianami stały łóżka, w liczbie około dwudziestu dwóch, z których trzy czy cztery jeszcze nie zajęte. Łóżka były drewniane, pociągnięte zieloną farbą, znane aż nadto dobrze wszem wobec i każdemu z osobna u nas na Rusi: łóżka, które za sprawą jakowegoś fatum żadną miarą nie mogą być wolne od pluskiew. Ulokowałem się w rogu, po tej stronie, gdzie były okna.

Jakem już powiedział, byli tu i nasi więźniowie, z katorgi. Niektórzy z nich znali mnie już albo przynajmniej widzieli przedtem. Znaczną większość stanowili aresztanci z rotty poprawczej oraz podsądni. Ciężko czyli obłożnie chorych było niezbyt wielu. Inni zaś, lekko chorzy lub ozdrowieńcy, bądź siedzieli na wyrkach, bądź chodzili tam i z powrotem po pokoju, gdzie między dwoma rzędami łóżek zostawała jeszcze wolna przestrzeń dla przechadzki. W izbie panował nieznośnie duszący, szpitalny odór. Powietrze było zatrute różnymi przykrymi wyziewami i wonią leków, mimo że w kącie prawie cały dzień paliło się w piecu. Na moim łóżku leżał pasiasty pokrowiec. Zdjąłem go. Pod pokrowcem zobaczyłem sukieny koc podszyty płótnem i grubą bielizną nader wątpliwej czystości. Przy łóżku stał stolik, a na nim kubek i cynowa miska. Gwoli przyzwoitości nakrywało się to wszystko wydanym mi małym ręcznikiem. U dołu stolik miał półkę; pijący herbatę trzymali tam imbryki, dzbany z kwasem i tak dalej; lecz pijących herbatę było wśród chorych bardzo niewiele. Fajki zaś i kapciuchy, które posiadali bez mała wszyscy, nie wyłączając nawet suchotników, chowało się pod wyrkami. Doktor i inni zwierzchnicy nie oglądali ich prawie nigdy, a jeśli i zastali kogo z fajką, to udawali, że nic nie widzą. Zresztą i chorzy byli nieomal zawsze ostrożni i chodzili palić pod piec. Tylko w nocy palili niekiedy leżąc w łóżkach; ale w nocy nikt nie obchodził izb, chyba czasem oficer, dowódca straży szpitalnej.

Dotychczas nigdy jeszcze nie leżałem w żadnym szpitalu; toteż całe otoczenie było dla mnie zupełnie nowe. Spostrzegłem, że budzę pewną ciekawość. Ci ludzie słyszeli już o mnie i przyglądali mi się zupełnie bezceremonialnie, nawet poniekąd z odcieniem wyższości, jak się przygląda nowicjuszowi w szkołach lub petentowi w urzędach. Po mojej lewej ręce leżał podsądny, pisarczyk, nieślubny syn dymisjonowanego kapitana. Oskarżony był o fałszerstwo pieniędzy i leżał już z rok, zupełnie zdrów, jak się zdaje, ale upewniał doktorów, że cierpi na aneuryzm. Dopiął swego: uniknął katorgi i kary cielesnej i po upływie roku został wysłany do T-

ka, gdzie miał przebywać gdzieś przy szpitalu. Był to krępy, przysadzisty chłopiec lat dwudziestu ośmiu, wielki filut i jurysta, bardzo niegłupi, nadzwyczaj obrotny i dufny, chorobliwie ambitny, najpoważniej w świecie wmawiający w siebie, że jest niezmiernie uczciwym, Bogu ducha winnym, prawdomównym człowiekiem; przekonanie to zachował na zawsze. Pierwszy zagadał do mnie, ciekawie jał mię wypytywać i dosyć szczegółowo opowiadał mi o wewnętrznych porządkach szpitalnych. Przede wszystkim, rzecz prosta, oświadczył mi, że jest synem kapitana. Miał ogromną ochotę uchodzić za szlachcica albo przynajmniej za kogoś „z waszecia”. Następnie podszedł do mnie pewien chory z rotty poprawczej i zaczął upewniać, że znał wielu spomiędzy zesłanej uprzednio szlachty, przy czym podawał ich imiona i imiona ojców. Był to siwy już żołnierz; na twarzy miał wypisane, że kłamie jak z nut. Nazywał się Czekunow. Jawnie świecił mi bakę, przypuszczając zapewne, że mam pieniądze. Widząc moje zawiniątko z herbatą i cukrem natychmiast ofiarował mi swe usługi: jeżeli chcę, wystara mi się o imbryk i zaparzy herbatę. Co do imbryka, obiecał mi go przysłać nazajutrz M-cki przez jednego z więźniów chodzących do pracy w szpitalu. Aliści Czekunow załatwił wszystko. Zdobył jakiś saganeczek, a nawet filiżankę, zgotował wodę, zaparzył herbatę, słowem usługiwał mi z niezwykłą gorliwością, co natychmiast pobudziło jednego z chorych do rzucenia pod jego adresem kilku jadowitych docinków. Tym chorym był leżący na wprost mnie suchotnik nazwiskiem Ustiancew, z żołnierzy podsądnych, ten, co ze strachu przed karą wypił pół kwarty wódki mocno zaprawionej tabaką i przez to napytał sobie suchot; już wspomniałem o nim gdzieś wyżej. Dotychczas leżał w milczeniu i ciężko oddychał, przyglądając mi się pilnie i uważnie, a z oburzeniem wodząc wzrokiem za Czekunowem. Niezwykła, zgryźliwa powaga nadawała jakiś szczególnie komiczny odcień jego oburzeniu. Wreszcie nie wytrzymał: „Patrzcie na tego fagasa! Znalazł sobie pana!” — rzekł z przestankami i głosem urywanym z alteracji. Był już u schyłku życia. Czekunow obrócił się ku niemu, dotknięty do żywego:

— Kto fagas? — zagadnął spoglądając na Ustiancewa ze wzdargą.

— Ty! — odparł ów tonem tak pewnym siebie, jak gdyby miał bezsporne prawo karcieć Czekunowa, a nawet jakby mu to specjalnie zlecono.

— Ja fagas?

— Tak, ty. Słyszycie, dobrzy ludzie, nie wierzy! Jeszcze się dziwi!

— A co ci do tego! Alboż to nie widzisz, że pan jest jak bez rąk. Wiadomo, bez sługi mu nijako! Czemuż więc nie usłużyć, ty ryju włochaty!

— Niby kto to włochaty ryj?

— Ty jesteś włochaty ryj.

— Ja jestem włochaty ryj?

— Właśnie ty!

— A tyś bardzo ładny? Gębę masz jak wronie jajko... jeżeli ja jestem włochaty ryj.

— Właśnie że jesteś! Skoro już Bóg cię skazał, leżałbyś sobie i umierał! A ten jeszcze pyskuje! Po co pyskujesz!

— Po co! Z dwojga złego wolę się już pokłonić butowi niż łapciowi. Mój ojciec się nie kłaniał i mnie zabronił. Ja... ja...

Chciał ciągnąć dalej, lecz na kilka minut okropnie się rozkaszał plując krwią. Niebawem zimny, wycieńczający pot wystąpił na jego wąskim czole. Gdyby nie przeszkadzał mu kaszel, wciąż by mówił; z oczu jego widać było, jak bardzo chciał jeszcze trochę powymyślać; lecz — wyzbyty sił — machał tylko ręką,.. Toteż pod koniec Czekunow zapomniał już o nim.

Poczułem, że złość suchotnika skierowana jest raczej na mnie niż na Czekunowa. Za to, że Czekunow pragnie mi się przypochlebić i w ten sposób zarobić parę groszy, nikt by się na niego nie gniewał i nie patrzył nań ze specjalną pogardą. Wszyscy rozumieli, że robi to jedynie dla pieniędzy. Pod tym względem prości ludzie nie są zbyt drażliwi i subtelnie potrafią rozróżniać. Ustiancowi nie spodobałem się ja sam, nie spodobała mu się moja herbata i to, że nawet w kajdanach zakrawam na pana, jak gdybym się nie mógł obejść bez służby, chociaż bynajmniej nie życzyłem sobie żadnej obsługi i nie używałem jej. Przeciwnie, zawsze chciałem wszystko robić sam, owszem, bardzo zależało mi na tym, żeby się nie wydać delikacikiem, zniewieściałym paniątkiem. Wyznaję, skoro się o tym zgadało, że nawet uważałem to za punkt honoru. Tymczasem (zgoła nie rozumiem, czemu się zawsze tak działo) nigdy nie mogłem się pozbyć różnych pomocników i posługaczy, którzy mi się sami narzucali i w końcu zawojowywali mnie kompletnie, tak że właściwie byli moimi panami, a ja ich sługą; z pozoru wszakże wychodziło na to, że jestem istotnie pan, że nie mogę się obejść bez służby i paniczkuje. Sprawiało mi to, oczywiście, dotkliwą przykrość. Lecz Ustiancow był suchotnikiem, człowiekiem rozdrażnionym. Inni zaś chorzy sadzili się na obojętność, nie pozbawioną odcienia wyniosłości. Pamiętam, że wszystkich zaprzętała pewna szczególniejsza okoliczność: dowiedziałem się z rozmów więźniów, że tegoż wieczoru przyprowadzą do nas podsądnego, którego w tej chwili ćwiczą różgami. Więźniowie oczekiwali nowicjusza z pewnym zaciekawieniem. Twierdzili zresztą, że kara będzie lekka: wszystkiego pięćset.

Rozejrzałem się powoli. O ilem mógł spostrzec, prawdziwie chorzy cierpieli tu przeważnie na szkorbut i na oczy — są to lokalne choroby tych okolic. W izbie było takich kilku. Reszta prawdziwie chorych leżała na różne febry, na wrzody, na piersi. Tutaj — inaczej niż w innych izbach — zgromadzono wszelkie choroby, nawet weneryczne. Powiedziałem: prawdziwie chorzy, ponieważ kilku przyszło „tak sobie”, bez żadnej choroby, „żeby odpocząć”. Lekarze chętnie wpuszczali takich, ze współczucia, zwłaszcza, kiedy było dużo wolnych łóżek. Wikł na odwachach i na katordze, w porównaniu ze szpitalem, wydawał się tak podły, że wielu więźniów z przyjemnością przychodziło leżeć, mimo ciężkiego powietrza i pobytu w zamkniętej izbie. Byli nawet specjaliści miłośnicy leżenia i szpitalnego życia w ogóle; przeważnie zresztą z rotty poprawczej. Ciekawie przyglądałem się moim nowym towarzyszom, ale pamiętam, że

najbardziej obudził wtedy moją ciekawość jeden z nich, dogorywający już, z naszego więzienia, także suchotnik i także w ostatnim już stadium; leżał tuż za łóżkiem Ustiancewa, a więc również prawie naprzeciwko mnie. Nazywał się Michajłow; przed dwoma jeszcze tygodniami widziałem go w więzieniu. Od dawna chorował i od dawna powinien się być leczyć; ale z jakąś upartą i zgoła niepotrzebną cierpliwością przemagał się, nadrabiał miną i dopiero w święta poszedł do szpitala, aby po trzech tygodniach umrzeć tam na galopujące suchoty; jak gdyby się ten człowiek spalił. Uderzyła mnie teraz jego strasznie zmieniona twarz — jedna z pierwszych twarzy, jakie ujrzałem po przybyciu do katorgi; już i podówczas rzuciła mi się czemuś w oczy. Obok niego leżał żołnierz z roty poprawczej, stary już człowiek, haniebny, wstrętny niechluj... Nie będę jednak wyliczał wszystkich chorych... Wspomniałem teraz o tym dziadydze tylko dlatego, że wówczas także wywarł na mnie pewne wrażenie i w jednej chwili zdążył mi dać wcale dobre pojęcie o niektórych osobliwościach izby aresztanckiej. Pamiętam, że ten dziadyga miał wtedy gwałtowny katar. Ciągle kichał i przez cały tydzień potem kichał nawet we śnie, salwami, po pięć i po sześć kichnięć raz po raz, przy czym nigdy nie omieszkiał powiedzieć: „A to ci skaranie boskie!” W chwili, o której mowa, siedział na posłaniu i łapczywie zażywał tabakę z papierowej tutki, żeby się mocniej i dokładniej wykichać. Kichał w bawełnianą chustkę, własną, kraciastą, sto razy praną i nieprawdopodobnie wypłowiiałą; mały nosek dziwacznie mu się marszczył w mnóstwo drobnych fałdek, ukazywały się pieńki starych, szerniałych zębów i czerwone, zaślinione dziąsła. Po wykichaniu się natychmiast rozkładał chustkę, pilnie oglądał obficie zgromadzony na niej śluz i niezwłocznie ścierał go o swój bury szpitalny kitel, tak że wszystek śluz zostawał na kitlu, a chusta była tylko ledwie wilgotna. Robił tak przez cały tydzień. To zapobiegliwe, sknerskie oszczędzanie własnej chustki z uszczerbkiem skarbowego kitla bynajmniej nie wywoływało żadnych protestów ze strony chorych, choć któryś z nich musiał przecież przywdziać po nim ten sam kitel. Ale naszemu prostemu ludowi aż dziwnie obce jest uczucie wstrętu, odrazy. Mnie zaś od razu zemdliło z obrzydzenia i mimo woli jałem natychmiast oglądać kitel, który tylko co włożyłem. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że już od pewnego czasu ściągał na siebie moją uwagę swym silnym zapachem; zdążył już się na mnie zagrzać i coraz mocniej zionął lekarstwami, plastrami i, jak mi się zdawało, ropą, w czym nic nie było dziwnego, ponieważ od niepamiętnych lat nie schodził z ramion chorych ludzi. Możliwe, że kiedyś przepierano jego płócienną podszewkę na plecach; ale nie wiem na pewno. Natomiast obecnie podszewka ta była przepojona wszelkimi niemiłymi cieciami, kataplazmami, osoczem z przeciętych wrzodów itd. Na dobitkę do izby aresztanckiej bardzo często przychodzili ludzie dopiero co ukarani chłostą, z poranionymi grzbietami; leczono ich okładami, toteż kitel, wkładany wprost na mokrą koszulę, żadną miarą nie mógł się nie niszczyć: wszystko zostawało na nim. I przez cały mój pobyt na katordze, przez wszystkie te lata, ilekroć zdarzało mi się bywać w szpitalu (a bywałem w nim wcale często), za każdym razem wkładałem kitel z bojaźliwym niedowierzaniem. Zwłaszcza zaś nie podobały mi się znajduwane czasami w tych kitlach wszy, wielkie i niepospolicie tłuste.

Więźniowie z lubością poddawali je egzekucji i gdy pod grubym, niezgrabnym paznokciem więźnia pstrykał niekiedy tępiony insekt, twarz myślicy świadczyła o stopniu doznawanej rozkoszy. Bardzo też nie lubiono u nas pluskiew, i częstokroć cała izba spolem zaczynała je tępić w długi, nudny wieczór zimowy. I mimo że w izbie, poza ciężkim powietrzem, od zewnątrz wszystko było możliwie czyste, czystością wewnętrzną, podszewkową, że tak powiem, bynajmniej nie mogliśmy się poszczycić. Chorzy zadowalali się tym i uważali nawet, że tak być powinno; zresztą i same porządki nie usposabiały do szczególnej schludności. Lecz o porządkach powiem kiedy indziej...

Skoro tylko Czekunow podał mi herbatę (nawiasem mówiąc, na wodzie, którą przynoszono do izby od razu na całą dobę i która się zbyt prędko psuła w naszym powietrzu), drzwi otworzyły się dosyć głośno i pod wzmożonym konwojem wprowadzono żołnierza, świeżo ukaranego chłostą. Po raz pierwszy widziałem ukaranego. Później przyprowadzano ich często, niektórych (gdy kara była zbyt ciężka) nawet przynoszono, i za każdym razem stanowiło to wielką rozrywkę dla chorych. Zazwyczaj takiego delikwenta witano u nas z wielce skupionym wyrazem twarzy i jakąś aż trochę sztuczną powagą. Zresztą przyjęcie zależało częściowo od stopnia doniosłości przestępstwa, a zatem i od ilości plag. Człowiek dotkliwie obity i zażywający famy wielkiego zbrodniarza cieszył się większym szacunkiem i większą atencją niż jakiś sobie zbiegły rekrucik, jak ten chociażby, którego przyprowadzono teraz. Lecz ani w pierwszym, ani w drugim wypadku więźniowie nie wyrażali szczególniejszego współczucia, nie czynili też żadnych szczególnie zjadliwych uwag. Milcząc pomagali nieszczęśnikowi i pielęgowali go, zwłaszcza jeśli się nie mógł obejść bez pomocy. Felczerzy już sami wiedzieli, że oddają obitego we sprawne i doświadczone ręce. Zwykle pomoc polegała na częstym i nieodzownym zmienianiu zmoczonego zimną wodą prześcieradła lub koszuli, którą się kładło na pociętym ranami grzbiecie, osobliwie jeśli ukarany sam już nie miał sił zadbać o siebie, oraz na zręcznym wyciąganiu drzazg, które częstokroć zostają w grzbiecie po złamanych na nim kijach. Ta operacja bywa zazwyczaj nader przykra dla chorego. Ale na ogół zawsze dziwiła mnie zdumiewająca wytrzymałość, z jaką ukarani znosili ból. Widziałem ich wielu, niekiedy nad miarę schłostanych, a prawie żaden z nich nie jęczał! Tylko cała twarz jakby się zmienia, blednie; oczy płoną; wzrok jest roztargniony, niespokojny, wargi się trzęsą, toteż nieborak umyślnie przygryza je zębami omal nie do krwi. Żołnierz, o którym mowa, był to chłopiec w wieku jakich dwudziestu trzech lat, mocny, muskularny, wysoki, zgrabny, o ładnej twarzy i śniadym ciele. Plecy miał porządnie pokiereszowane. Od góry do pasa był obnażony; na ramionach miał mokre prześcieradło, wskutek czego drżał na całym ciele jak w febrze i przez półtorej godziny chodził tam i z powrotem po izbie. Wpatrywałem się w jego twarz: w tej chwili zdawał się nie myśleć o niczym, spozierał dziwnie i dziko, błędnym wzrokiem, któremu widocznie trudno się było na cokolwiek z uwagą zatrzymać. Wydało mi się, że uważnie spojrział na moją herbatę. Herbata była gorąca, z filiżanki buchała para, biedaczysko zaś zziąbł i dygotał, aż mu dzwoniły zęby.

Zaproponowałem, żeby się napił. Milcząc podszedł do mnie, wziął filiżankę, wypił na stojąco i bez cukru, z wielkim pośpiechem i jak gdyby ze szczególnym staraniem, by nie patrzeć na mnie. Następnie w milczeniu odstawił filiżankę i nawet nie kiwnąwszy mi głową zaczął znowu chodzić tam i z powrotem po izbie. Bo też nie myślał nawet o grzecznościach! Co się zaś tyczy więźniów, to z jakiegoś powodu wszyscy zrazu unikali wszelkiej rozmowy z ukaranym rekrutem, a nawet po udzieleniu mu początkowej pomocy, później jak gdyby usiłowali już nie zwracać na niego uwagi, może chcąc dać mu jak najwięcej spokoju i nie naprzykrzać mu się dalszym wypytywaniem i współczuciem — z czego on, jak się zdaje, zupełnie był zadowolony.

Tymczasem pociemniało, zapalono lampkę nocną. Niektórzy, bardzo zresztą nieliczni, mieli własne lichtarze. W końcu, już po wieczornej wizycie doktora, wszedł dyżurny podoficer, porachował wszystkich chorych, i izbę zamknięto po uprzednim wniesieniu kubła... Dowiedziałem się ze zdziwieniem, że ten kubeł zostanie tu na całą noc, chociaż ustęp znajdował się tuż na korytarzu, zaledwie o dwa kroki od drzwi. Ale taki już był ustalony porządek. W dzień jeszcze czasem wypuszczano więźnia z izby, co prawda nie dłużej niż na minutę; w nocy natomiast — pod żadnym pozorem. Izba aresztancka nie była podobna do innych izb szpitalnych, i chory więzień nawet w chorobie odbywał karę. Kto pierwszy wydał takie zarządzenie — nie wiem; wiem tylko, że nie było w tym ani krzty zdrowego sensu i nigdzie cała bezużyteczna formalistyka nie uwydatniała się tak jaskrawo jak w tym na przykład wypadku. Naturalnie, nie działo się to za sprawą doktorów; powtarzam — więźniowie nie mogli się dość nachwalić swych lekarzy, uważali, że lekarze odnoszą się do nich po ojcowsku, szanowali ich. Każdy doznawał ich życzliwości, słyszał od nich słowa otuchy, a więzień, odepchnięty przez wszystkich, cenił to sobie, ponieważ widział niefałszowaną szczerłość tych słów i tej życzliwości. Nie było w tym przymusu; nikt by nie pociągnął lekarzy do odpowiedzialności, gdyby traktowali aresztantów inaczej, to jest brutalniej, bardziej nieludzko: byli więc dobrzy z prawdziwej miłości bliźniego. I rozumieli, oczywiście, że pacjentowi, niezależnie od tego, czy jest, czy nie jest więźniem, tak samo potrzeba świeżego powietrza, jak i każdemu innemu choremu, chociażby najwyższej rangi. Chorzy w innych izbach, uzdrowieńcy na przykład, mogli swobodnie chodzić po korytarzach, używać więcej ruchu, oddychać powietrzem mniej zatrutym niż powietrze w izbie, zastałe i zawsze, na co nie było rady, pełne dusznych wyziewów. Dziwnie mi jest i wstrętne, gdy teraz pomyślę o tym, do jakiego stopnia powietrze to, już i tak zatrute, musiało się u nas zatruwać w nocy, kiedy wnoszono ten kubeł, przy cieplej temperaturze izby i przy wiadomych chorobach, zmuszających do chodzenia „na stronę”. Jeżeli teraz powiedziałem, że więzień również i w chorobie odbywał karę, to, rzecz prosta, nie miałem i nie mam na myśli, że wydano to rozporządzenie wyłącznie celem kary. Naturalnie, byłoby to z mojej strony nedorzeczne oszczerstwo. Chorych nie ma już po co karać. A skoro tak, to samo się przez się rozumie, że widocznie jakaś twarda, nieuchronna konieczność zmuszała zwierzchników do tego rozporządzenia, brzemiennego w szkodliwe następstwa. Jaka mianowicie? Ale kiedy właśnie w tym sęk, że niczym innym nie można choć trochę wytłumaczyć

konieczności tego i wielu innych przepisów, tak dalece niepojętych, że nie tylko wytłumaczyć, ale nawet wyobrazić sobie tłumaczenia niepodobna. Czym wytłumaczyć to bezużyteczne okrucieństwo? Tym, proszę państwa, że więzień przyjdzie do szpitala, rozmyślnie udając chorego, oszuka lekarzy, w nocy pójdzie do ustępu i korzystając z ciemności ucieknie. Poważnie dowodzić całej śmieszności takiego rozumowania prawie nie sposób. Dokąd ucieknie? Jak ucieknie? W czym ucieknie? W dzień wypuszczają po jednym; to samo mogłoby być w nocy. Przy drzwiach stoi wartownik z nabitą bronią. Ustęp jest dosłownie o dwa kroki od wartownika, a mimo to choremu towarzyszy zastępca wartownika, który ani na chwilę nie spuszcza go z oka. Jest tam jedno tylko okno, opatrzone jak na zimę, z podwójną ramą i żelazną kratą. Pod oknem zaś, na dworze, tuż przed oknami izb aresztanckich, także całą noc chodzi wartownik. Na to, by wyjść przez okno, trzeba wysadzić ramę i kratę. Któż na to pozwoli? Ale przypuśćmy, że więzień uprzednio zabije wartownika, tak, że ten ani piśnie i nikt tego nie usłyszy. Owszem, przypuśćmy nawet taki absurd; więzień będzie przecież musiał wyłamać okno i kratę. Proszę pamiętać, że tuż koło wartownika śpią stróże izbowi, a o dziesięć kroków od niego, przy drugiej izbie aresztanckiej, stoi drugi wartownik z karabinem, przy nim drugi zastępca wartownika i drudzy stróże. I dokądże uciekać zimą w pończochach, pantoflach, szpitalnym kitlu i szlafmycy? A jeżeli tak, jeżeli niebezpieczeństwo jest tak znikome (tj. na dobrą sprawę żadne zgoła), to po cóż tak dotkliwie obciążenie dla chorych, może w ostatnich dniach i godzinach ich życia, dla chorych, którym świeże powietrze jest jeszcze potrzebniejsze niż zdrowym? Po co? Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć.

Lecz skorośmy już raz zapytali: „Po co?” i skoro się już o tym zgadało, muszę wspomnieć obecnie o jeszcze jednym pytaniu, które tyle lat sterczało przede mną w postaci najbardziej zagadkowego faktu i na które również nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Muszę powiedzieć o tym chociaż parę słów, zanim przystąpię do dalszego ciągu niniejszego opisu. Mówię o kajdanach, od których nie uwalnia katorżnika żadna choroba. Nawet gruźlicy umierali przy mnie w kajdanach. A tymczasem wszyscy się do tego przyzwyczaili, wszyscy uważali to za fakt dokonany, nieodwołalny. Nie wiem nawet, czy się kto nad tym zastanawiał, skoro przez wszystkie te lata żadnemu z lekarzy nie przyszło nawet na myśl wyjednać u władz rozkucia chociażby jednego ciężko chorego więźnia, zwłaszcza suchotnika. Co prawda kajdany nie są takim znów wielkim ciężarem. Wazą od ośmiu do dwunastu funtów. Zdrowemu człowiekowi nie jest trudno nosić dziesięć funtów. Mówiono mi wprawdzie, że od kajdan nogi zaczynają po kilku latach usychać. Nie wiem, czy to prawda, choć tkwi w tym pewne prawdopodobieństwo. Ciężar, bodaj niewielki, bodaj dziesięciofuntowy, na stałe przymocowany do nogi, mimo wszystko nienormalnie zwiększa wagę kończyny i po dłuższym czasie może wyrzeć wpływ szkodliwy... Ale dajmy na to, że dla zdrowego to nic. Lecz dla chorego? Dajmy na to, że i dla zwykłego chorego to także nic. Lecz, powtarzam, czy to samo dotyczy ciężko chorych, czy to samo dotyczy gruźlików, którym już i bez tego schną ręce i nogi, tak że lada słomka staje się ciężka? I doprawdy, gdyby zwierchność

lekarska wystarała się o ulgę choćby tylko dla suchotników, już i to jedno stanowiłoby istotne i wielkie dobrodziejstwo. Powie ktoś, że więzień jest złoczyńcą i nie zasługuje na dobrodziejstwa; czy jednak godzi się zwiększać ciężar kary człowiekowi, którego już i tak dotknął palec boży? Zresztą trudno uwierzyć, żeby się to robiło wyłącznie celem karania. Nawet sąd uwalnia suchotnika od kary cielesnej. Zatem i tu również kryje się jakiś tajemniczy, doniosły wzgląd, mający na celu zbawienną ostrożność. Ale jaki — nie sposób zrozumieć. Boć nie można serio się obawiać, że suchotnik ucieknie. Komu przyjdzie to na myśl, zwłaszcza gdy uwzględnimy pewien stopień rozwoju choroby? Udać zaś suchotnika, oszukać lekarzy po to, by zbiec — niepodobna. To nie taka choroba; poznaje się ją od pierwszego wejrzenia. No i jeszcze jedno: czy zakuwają człowieka w kajdany po to tylko, żeby nie uciekł, albo żeby mu to przeszkodziło w ucieczce? Bynajmniej. Kajdany — to tylko znak, hańbiące piętno, brzemień fizyczne i moralne. Przynajmniej tak się przypuszcza. W ucieczce zaś nie mogą przeszkodzić nikomu i nigdy. Najbardziej niewprawny, najbardziej niezaradny więzień zdoła bez większego trudu przepiłować je w nader krótkim czasie lub rozbić nit kamieniem. Kajdany na nogach nie są absolutnie żadnym środkiem ostrożności; a skoro tak, skoro mają być tylko dodatkową karą dla katorżnika po wyroku, to znowu pytam: czy się godzi karać umierającego?

I właśnie teraz, kiedy to piszę, żywo mi się przypomina pewien dogorywający suchotnik, ów Michajłow, który leżał prawie naprzeciwko mnie, nie opodal Ustiancewa, i który zmarł, pamiętam, czwartego dnia mego pobytu w izbie chorych. Może właśnie dlatego zacząłem teraz mówić o gruźlikach, że mimo woli powtarzam wrażenia i myśli, jakie mnie nawiedziły podówczas z powodu tej śmierci. Michajłowa znałem zresztą niewiele. Był to człowiek bardzo jeszcze młody, w wieku jakich dwudziestu pięciu lat najwyżej, słuszny, szczupły i nadzwyczaj miłej powierzchowności. Przebywał w specjalnym oddziale i był aż dziwnie milczący, zawsze jakoś cicho, spokojnie smutny. Jak gdyby „usychał”. Przynajmniej tak się później o nim wyrażali więźniowie, którym zostawił po sobie dobre wspomnienie. Pamiętam tylko, że miał śliczne oczy, i nie wiem doprawdy, czemu tak dobitnie mi się upamiętnił. Umarł około trzeciej po południu, w dzień mroźny i pogodny. Mocne, skośne promienie słońca przeszywały zielone, z lekka zamrożone szyby w oknach naszej izby. Cały ich potok lał się na nieszczęśliwego. Umarł nieprzytomnie, odchodził mozolnie i długo, kilka godzin z rzędu. Już od rana oczy jego przestały poznawać tych, co się do niego zbliżali. Towarzysze chcieli mu jakoś ulżyć, widzieli, że jest mu bardzo ciężko; oddychał z trudem, głęboko, rżąc; pierś unosiła mu się wysoko, jakby mu brakło powietrza. Zrzucił kołdrę, wszystką odzież, a w końcu jął zrywać z siebie koszulę: nawet ona zdawała mu się ciężka. Pomogli mu, zdjęli zeń koszulę. Straszno było patrzeć na to długie, długie ciało, o rękach i nogach wyschłych do kości, o zapadniętym brzuchu, wystającej piersi, żebrach zaznaczających się wyraźnie, jak u kościotrupa. Na całym ciele został tylko drewniany krzyżyk z relikwiarzykiem i kajdany, z których mógłby teraz wysunąć chudą nogę. Na pół godziny przed jego śmiercią wszyscy u nas przycichli, zaczęli rozmawiać nieledwie szeptem. Jeżeli kto chodził, starał się

stapać bez szmeru. Mało rozmawiali ze sobą o rzeczach postronnych, z rzadka tylko popatrywali na konającego, który coraz bardziej charczał. Wreszcie wymacał błędzą i niepewną ręką relikwiarzyk na piersi i zaczął go zrywać z siebie, jakby i on mu ciążył, przeszkadzał, uwierał go. Zdjęto mu też relikwiarzyk. Po jakich dziesięciu minutach umarł. Zapukali do drzwi, dając znać wartownikowi. Wszedł stróż, popatrzył tępo na nieboszczyka i udał się do felczera. Felczer, młody i poczciwy jegomość, trochę przesadnie dbały o swą powierzchowność, dosyć zresztą przyjemną, zjawił się wkrótce; szybkim krokiem, głośno stąpając przez ucichłą izbę, podszedł do zmarłego i z jakąś szczególnie niefrasobliwą miną, snadź specjalnie przybraną na tę okazję, ujął go za puls, pomacał, machnął ręką i wyszedł. Natychmiast zawiadomiono wartę dyżurną: zmarły był wielkim zbrodniarzem, ze specjalnego oddziału, toteż nawet i jego śmierć należało stwierdzić ze szczególnymi ceremoniami. W oczekiwaniu na dyżurnych któryś więzień cichym głosem poddał myśl, że nie wadziłoby zamknąć nieboszczykowi oczy. Drugi wysłuchał go uważnie, milcząc podszedł do zmarłego i zamknął mu powieki. Widząc leżący na poduszce krzyżyk, wziął go, obejrzał i w milczeniu włożył go znów Michajłowowi na szyję; włożył i przeżegnał się. Tymczasem martwa twarz kostniała; promień światła igrał na niej, usta były rozchylone: dwa rzędy białych, młodych zębów lśniły spod cienkich warg, które się przylepiły do dziąseł. Nareszcie wszedł dyżurny podoficer, przy pałaszu i hełmie, za nim dwaj stróże. Podchodził, coraz bardziej zwalniając kroku, niepewnie zerkając na więźniów, którzy ucichli i ze wszech stron surowo na niego patrzyli. Zbliżywszy się do nieboszczyka na odległość jednego kroku, stanął jak wryty, jakby onieśmielony. Całkiem nagi, wyschnięty trup, w samych kajdanach, wywarł na nim wrażenie, toteż zniecka odpiął podpinkę, zdjął hełm, co wcale nie było wymagane, i szeroko się przeżegnał. Był to surowy, siwy wiarus. Pamiętam, że w owej chwili tuż przy nim stał Czekunow, również siwy starzec. Cały czas w milczeniu i pilnie spozierał na podoficera, z jakąś dziwną uwagą wpatrując się w każdy jego gest. Lecz ich oczy się spotkały, i Czekunowowi czemuś nagle drgnęła dolna warga, skrzywił się cudacznie, wyszczerzył zęby i szybko, mimowolnym ruchem głowy wskazawszy podoficerowi zmarłego, powiedział:

— Toć i on miał matkę! — i odszedł.

Pamiętam, słowa te przeszły mnie jak nóż... Po co je wymówił, dlaczego przyszyły mu do głowy? Ale zaczęto podnosić nieboszczyka; dźwignięto go razem z łóżkiem; słoma zachręściła, kajdany, wśród zupełnej ciszy, brzęknęły o podłogę... Podciągnięto je. Ciało wyniesiono. Raptem wszyscy zaczęli mówić głośno. Słyszałem, jak podoficer, już na korytarzu, wysyłał kogoś po kowala. Trzeba było rozkuć nieboszczyka...

Lecz odbiegłem od tematu...

II. Ciąg dalszy

Lekarze obchodzili izby chorych z rana; mniej więcej o jedenastej przybywali do nas wszyscy razem, towarzysząc lekarzowi naczelnemu, przed nimi zaś, o półtorej godziny wcześniej, odwiedzał izbę nasz ordynator. Ordynatorem był u nas podówczas pewien młodziutki lekarz, znający się na rzeczy, uprzejmy, życzliwy, którego więźniowie bardzo lubili, upatrując w nim jedną tylko przywarę: że jest „zanadto skromniutki”. Istotnie, był nierozmowny, czuł się jakby skrępowany wobec nas, prawie piekł raki, niemal na pierwszą prośbę chorych zmieniał im dietę, bodaj gotów byłby zapisywać im również i lekarstwa stosownie do ich prośb. Skądinąd był to zacny młodzieniec. Wypada przyznać, że na Rusi wielu lekarzy cieszy się miłością i szacunkiem prostych ludzi, i to całkiem słusznie, o ile mogłem zauważyć. Wiem, że moje słowa zakrawają na paradoks, zwłaszcza gdy się uwzględni powszechną nieufność całego rosyjskiego ludu do medycyny i do zamorskich leków. W rzeczy samej, człowiek z gminu, gdy ciężko zapadnie na zdrowiu, woli kilka lat z rzędu leczyć się u znachorki albo kurować domowymi, ludowymi środkami (którymi wcale nie trzeba gardzić) niż pójść do doktora albo leżeć w szpitalu. Lecz oprócz tego, że tkwi w tym pewna nadzwyczaj doniosła okoliczność, nie mająca żadnego związku z medycyną, a mianowicie: powszechna nieufność całego ludu do wszystkiego, co ma na sobie piętno administracji, formalistyki; oprócz tego, mówię, lud jest zastraszony i uprzedzony do szpitali różnymi bajdami, strachami, czasem nedorzecznymi, ale niekiedy mającymi podstawę. Głównie jednak przerażają go niemieckie porządki w szpitalu, obcy ludzie dokoła przez całe trwanie choroby, rygory co do jadła, opowiadania o przykrej surowości felczerów i lekarzy, o krajaniu i patroszeniu trupów i tak dalej. A na dobitkę — powiada sobie lud — leczyć nas będą panowie, boć lekarze są jednak panami. Ale przy bliższej znajomości z nimi (wprawdzie nie bez wyjątków, lecz najczęściej) wszystkie te strachy znikają bardzo rychło, co, moim zdaniem, chlubnie świadczy o naszych doktorach, zwłaszcza młodych. Większość z nich potrafi zaskarbić sobie szacunek, a nawet miłość prostych ludzi. Ja przynajmniej piszę o tym, co sam widziałem i czegom doświadczył niejednokrotnie i w wielu miejscach, a nie mam powodu sądzić, żeby się gdzie indziej zbyt często działo inaczej. Zapewne, lekarze w niektórych zakątkach biorą łapówki, ciągną wielkie zyski ze swych szpitali, lekceważą sobie pacjentów, nawet całkiem zapominają o medycynie. Tak jeszcze bywa, lecz ja mówię o większości, albo raczej o tym duchu, o tym kierunku, który się teraz, za naszych dni, przejawia w medycynie. Ci zaś odstępcy, wilki w owczej trzódce, cokolwiek by przytoczyli na swe usprawiedliwienie, jakkolwiekby się tłumaczyli na przykład środowiskiem, które z kolei zaprzepaściło i ich samych, nigdy nie będą mieli słuszności, zwłaszcza jeśli przy tym utracili miłość bliźniego. A miłość bliźniego, życzliwość, braterskie współczucie są może niekiedy potrzebniejsze choremu niż wszelkie lekarstwa. Powinni byśmy

nareszcie zaniechać ślamazarnych skarg na środowisko, które nas niszczy. Owszem, prawdą jest, że niszczy w nas niejedno, ale przecież nie wszystko, i częstokroć ten i ów sprytny, świadomy rzeczy filut nader zręcznie osłania i usprawiedliwia wpływem tego środowiska nie tylko swoją słabość, ale po prostu podłość, osobliwie jeśli umie ozdobnie mówić lub pisać. Jednakże znów odbiegłem od tematu; chciałem tylko powiedzieć, że gmin jest nieufny i wrogo usposobiony raczej do administracji medycznej niż do lekarzy. Gdy pozna, jakimi są w istocie, szybko wyzbywa się wielu swych uprzedzeń. Pozostałe urzędnictwo naszych lecznic dotychczas pod wielu względami nie odpowiada duchowi ludu, dotychczas rażą swymi porządkami nawyki naszego gminu i nie mogą uzyskać całkowitej jego ufności i poważania. Tak mi się przynajmniej zdaje na podstawie niektórych własnych moich wrażeń.

Nasz ordynator zatrzymywał się zwykle przy każdym chorym, z powagą i wielką skrupulatnością oglądał go, wypytywał, zapisywał mu leki, dietę. Czasem i on spostrzegał, że „chory” wcale nie jest chory; ale ponieważ aresztant przyszedł wypocząć od robót lub poleżeć na sienniku, nie zaś na gołych deskach, no i bądź co bądź w ciepłym pokoju, a nie w wilgotnej kordegardzie, gdzie się w ciasnocie tłoczy ciżba bladych i przepitych podsądnych (podsądni u nas prawie zawsze, na całej Rusi, są bladzi i przepici: dowód, że ich utrzymanie i stan ducha jest niemal zawsze gorszy niż u więźniów po wyroku), więc nasz ordynator spokojnie odnotowywał im jakąś *febris catarrhalis* i polecał im leżeć czasem nawet cały tydzień. Z tej *febris catarrhalis* wszyscy śmiali się u nas. Wiedzieli bardzo dobrze, iż jest to utarta, w myśl jakiejś obopólnej ugody między doktorem a pacjentem, formuła na oznaczenie domniemanej choroby: „zapasowych kolek”, jak sami aresztanci tłumaczyli termin *febris catarrhalis*. Niekiedy chory nadużywał miękkości serca lekarza i leżał póty, aż go nie wypędzono siłą. Trzeba było widzieć wówczas naszego ordynatora: zdawało się, że truchleje, że mu wstyd powiedzieć choremu wręcz, by czym prędzej wyzdrowiał i prosił o wypisanie, choć lekarz mógł najzwyczajniej w świecie, bez wszelkich ceregieli i ugłaskiwań, wypisać go, notując na jego karcie chorobowej: *sanat est*⁴. Z początku robił aluzje, potem jak gdyby prosił: „Czy aby nie pora? Przecież jesteś już prawie zdrow, w izbie jest ciasno” i tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie choremu robiło się wstyd, i sam prosił o wypisanie. Doktor naczelny, człowiek miłosierny i uczciwy (jego również bardzo lubili chorzy), był jednak nierównie surowszy, bardziej stanowczy niż ordynator, w niektórych razach dawał nawet dowód srogości i za to wielce go u nas szanowano. Przychodził w asyście wszystkich lekarzy szpitalnych, po ordynatorze, także badał każdego z osobna, najdłużej zatrzymywał się przy ciężko chorych, zawsze umiał powiedzieć im jakieś pocziwe, dodające otuchy, często nawet serdeczne słówko i w ogóle robił dobre wrażenie. Takich, co przyszli z „zapasowymi kolkami”, nigdy nie odtrącał i nie odprawiał z kwitkiem: ale jeśli sam pacjent się upierał, doktor po prostu wypisywał go: „No, bracie, jużes dosyć sobie poleżał, odsapnął, ruszaj więc, trzeba mieć Boga w sercu.” Upierali się zazwyczaj albo leniuchy, zwłaszcza w roboczym letnim sezonie, albo

pod sądni oczekujący na karę. Pamiętam, do jednego z takich zastosowano szczególną surowość, ba, srogość, by go skłonić do wypisania się z lecznicy. Przyszedł z chorobą oczu, oczy ma czerwone, narzeka na silny, kłujący ból w gałkach. Zaczęli go leczyć muszkami, pijawkami, wstrzykiwaniem jakiegoś żrącego płynu i tak dalej, ale mimo to choroba nie ustępowała, zaczerwienienie nie mijało. Po pewnym czasie lekarze domyślili się, że to choroba udana: zapalenie jest stale niewielkie, nie pogarsza się, ale też nie polepsza, trwa w stanie niezmiennym. Rzecz podejrzana. Wszyscy więźniowie dawno już wiedzieli, że chory udaje i wodzi ludzi za nos, choć sam się do tego nie przyznawał. Był to młody chłopiec, ładny, i owszem, ale robiący na nas wszystkich niemiłe wrażenie: skryty, podejrzliwy, zasepiony, z nikim nie gada, patrzy spode łba, wiecznie się boczy, jakby wszystkich podejrzewał. Pamiętam, niektórym u nas przychodziło nawet do głowy, że gotów coś spletać. Był żołnierzem, dopuścił się grubszej kradzieży, przyłapano go i skazano na tysiąc kijów i rotę aresztanckie. Jakem już przedtem wspominał, niektórzy podsądni, aby oddalić chwilę kary, decydują się na straszne wybiegi: w przededniu kaźni pchnie nożem jednego z przełożonych albo kolegę aresztanta, więc go sądzą ponownie, kara odwleka się jeszcze na jakie dwa miesiące i cel zostaje osiągnięty. Mniejsza o to, że przecież za dwa miesiące będzie ukarany w dwójnasób, w trójnasób surowiej; byleby tylko teraz odwlec groźną chwilę na kilka bodaj dni, a później niech się dzieje, co chce: tak wielki bywa czasem strach tych nieszczęśników. Niektórzy u nas szeptali między sobą na ucho, że trzeba się go wystrzegać; kto wie, gotów zarznąć kogo w nocy. Co prawda kończyło się na gadaniu, specjalnych zaś środków ostrożności nikt nie przedsięwziął, nawet ci, których łóżka stały tuż obok jego łóżka. Widzieli zresztą, że po nocach trze sobie oczy wapnem z tynku i czymś tam jeszcze, aby z rana były znów czerwone. Wreszcie lekarz naczelny zagroził mu zawłoką. Przy uporczywej, długotrwałej chorobie ocznej, gdy już wszystkie środki medyczne zawiodły, lekarze, dla uratowania wzroku, decydują się na środek gwałtowny i bolesny: stawiają choremu zawłokę, niby koniowi. Ale nieborak w dalszym ciągu nie zgodził się wyzdrowieć. Cóż to był za charakter uparty, czy też nad miarę tchórzliwy: przecie zawłoka, choć nie tak dotkliwa jak kije, jest również bardzo bolesna. Lekarz ręką zgarnia pacjentowi z tyłu skórę na szyi, ile się tylko da uchwycić, całe zagarnięte ciało przebija nożem, wskutek czego powstaje szeroka i długa rana na całym karku, i przewleka przez tę ranę taśmę płócienną, dosyć szeroką, prawie na palec; następnie co dzień, w oznaczonej godzinie, szarpie tę taśmę w ranie, zupełnie jakby ją na nowo przecinał, żeby się ustawicznie ślimaczyła i nie goiła. I tę torturę również biedak uparcie znosił — z okropnymi zresztą męczarniami — przez kilka dni i dopiero po tym zgodził się wypisać. Już po jednym dniu oczy jego były całkiem zdrowe, i skoro tylko wygoiła mu się szyja, poszedł na odwach, aby zaraz nazajutrz dostać tysiąc kijów.

Zapewne, ciężka jest chwila przed karą, ciężka tak dalece, że może grzeszę nazywając ten strach małodusznością i tchórzostwem. Ciężka widocznie, skoro człowiek woli karę podwójną,

potrójną, byleby tylko nie natychmiastową. Wspomniałem wszakże i o takich, co sami prosili o najrychlejsze wypisanie ze szpitala, z grzbietem jeszcze nie wygojonym po pierwszych kijach, aby odbyć resztę plag i definitywnie zakończyć sprawę; gdyż pobyt przed wyrokiem na odwachu jest dla wszystkich bez porównania gorszy od katongi. Lecz poza różnicą temperamentów, w determinacji i nieustraszoneści niektórych ludzi gra wielką rolę zatwardziałe przyzwyczajenie do plag i kar. Wielokrotnie bity człowiek jakoś umacnia się na duchu i na grzbiecie i w końcu patrzy na karę sceptycznie, bez mała jak na drobną niedogodność, której się już nie boi. Na ogół biorąc, jest to słuszne. Jeden nasz więzień ze specjalnego oddziału, ochrzczony Kałmuk, Aleksander czy Aleksandra, jak go u nas nazywano, osobliwszy człowiek, szczwany lis, nieulekły a zarazem bardzo dobroduszny, opowiadał mi, jak odbył swoje cztery tysiące, opowiadał ze śmiechem i żartami, lecz jednocześnie przysięgał z całą powagą, że gdyby od dzieciństwa, od najwcześniejszego, pierwszego dzieciństwa nie wyrósł pod batem, od którego literalnie przez całe życie w hordzie nie schodziły mu z pleców blizny — to by za nic w świecie nie zniósł tych czterech tysięcy. Opowiadając, jak gdyby błogosławił tę edukację pod biczem. „Bili mnie za wszystko, Aleksandrze Pietrowiczu! — mówił mi pewnego razu, siedząc na moim łóżku, na odwieczny przed zapaleniem świateł — bili za wszystko, za wszyscyuteńko, bili piętnaście lat z rzędu, od dnia, kiedy zacząłem siebie pamiętać, co dzień po kilka razy; nie bił, kto nie chciał; tak żem się pod koniec zupełnie już przyzwyczaiał.” W jaki sposób znalazł się w wojsku — nie wiem; nie pamiętam zresztą, może mi opowiadał; był to wieczny uciekinier i włóczęga. Pamiętam tylko jego opowieść o tym, jak strasznie struchlał, kiedy go skazano na cztery tysiące za zabicie przełożonego. „Wiedziałem, że ukarzą mnie surowo i że może nie wyjdę spod pałek, i choć przywykłem do batów, ale cztery tysiące pałek to nie przelewki! A przy tym cała zwierzchność była zła na mnie! Wiedziałem, wiedziałem na pewno, że się nie wywinę sianem, że nie dam rady, że nie wypuszczą mnie spod pałek. Z początku spróbowałem się ochrzcić, bo sobie myślę: a nuż darują; i chociaż moi od razu mi wtedy mówili, że nic z tego nie będzie, że nie darują, ale ja sobie myślę: spróbuję jednak, zawsze ochrzczonego będzie im więcej żal. Jakoż ochrzcieli mnie i na chrzcie świętym dali mi imię Aleksander; ale pałki swoją drogą zostały pałkami; nie darowali mi ani jednej; ażem sobie krzywdował. I myślę w duchu: czekajcież, wywiodę was wszystkich w pole. I cóż się panu zdaje, Aleksandrze Pietrowiczu: wywiodłem! Strasznie dobrze umiałem udawać umarlaka, a właściwie niezupełnie umarlaka, tylko takiego, co to zaraz wyzionie ducha. Poprowadzili mnie, prowadzą przez jeden tysiąc — krzyczę: «Pali.» Prowadzą przez drugi — ha, myślę sobie, przyszła na mnie kryska, wytłukli ze mnie duszę, nogi się uginają, więc ja rym! na ziemię; oczy w słup, twarz sina, nie zipię, na ustach piana. Podszedł lekarz: «Wnet zemrze» powiada. Niosą mnie do szpitala, a ja tam odżyłem. Więc jeszcze dwa razy wyprowadzali mnie później i złościł się, bardzo złościł na mnie, a ja ich zwiodłem jeszcze dwa razy; jakem tylko przeszedł trzeci tysiąc, obumarłem, a jak zacząłem przechodzić czwarty, to każda plaga żgała mnie w serce jak nóż, każda plaga obstała za trzy plagi, tak mocno kropili! Bo się zawzięli na

mnie. Ten głupi ostatni tysiąc (niechże go!...) starczył za wszystkie trzy pierwsze, i gdybym nie umarł przed samym końcem (zostawało wszystkiego ze dwieście pałek), ukatrupiliby mnie na miejscu, no, ale nie dałem się skrzywdzić; znowu wystrychnąłem ich na dudków i znowu obumarłem; znowu uwierzyli, bo i jakże nie uwierzyć, kiedy lekarz wierzy; i choć tych dwieście ostatnich walili z całą złością, walili tak, że czasami łatwiej znieść dwa tysiące, ale diabła zjedli, nie ukatrupili! A dlaczego? Ano dlatego, że od maleńkości rósł pod batem. Dlatego żyję do dziś dnia. Oj, bili mnie, bili w moim życiu!" — dodał na zakończenie opowieści, jakby w smutnej zadumie, jakby siląc się przypomnieć sobie i policzyć, ile razy go bito. „Ale gdzie tam! — dorzucił przerywając chwilowe milczenie — nie sposób tego zrachować; któż by zliczył! Rachuby na to nie starczy." Spojrzał na mnie i roześmiał się, ale tak dobrodusznie, że i ja musiałem się do niego uśmiechnąć. „Wie pan, Aleksandrze Pietrowiczu, nawet i teraz jeśli mi się co śni w nocy, to zawsze, że mnie biją; żadnych innych snów nie miewam." Istotnie, często krzyczał po nocach, darł się na cały głos, tak że więźniowie go budzili szturchańcami: „Czego wrzeszczysz, diable jeden!" Był to chłop krzepki, niewysokiego wzrostu, fertyczny i wesoły, w wieku jakich czterdziestu pięciu lat, żył ze wszystkimi w dobrej komitywie i chociaż bardzo lubił kraść i bardzo często brał za to u nas ciągi, no, ale któż u nas nie był złodziejaszkiem i kogóż za to nie bijano.

Dodam jeszcze jedno: zawsze dziwiła mnie nadzwyczajna dobroduszność, niepamiętliwość, z jaką ci wszyscy bici ludzie opowiadali o tym, jak ich bito, i o tych, którzy ich bili. Często nie mogłem się dosłuchać ani odrobiny gniewu czy nienawiści w takim opowiadaniu, od którego we mnie czasami wszystko się burzyło i serce zaczynało walić jak młotem. Oni zaś opowiadają i śmieją się jak dzieci. Taki na przykład M-cki opowiadał mi o swojej karze: był nieszlachcicem i dostał pięćset. Dowiedziałem się o tym od innych i sam go zagadnąłem: czy to prawda i jak to było? Odrzekł krótko, jak gdyby z ukrytym bólem, jak gdyby starając się nie patrzeć na mnie, i twarz mu poczerwieniała; po upływie pół minuty spojrzał na mnie i w oczach jego zapłonął ogień nienawiści, a wargi zadrżały mu z oburzenia. Poczulem, że nigdy nie mógł zapomnieć tej karty ze swojej przeszłości. Nasi zaś, prawie wszyscy (nie ręcę, że nie było wyjątków), patrzyli na to zupełnie inaczej. Niepodobna, myślałem sobie czasem, żeby się mieli za bezwzględnie winnych i zasługujących na kaźń, zwłaszcza kiedy zgrzeszyli nie przeciwko swoim, ale przeciwko władzom. Większość wcale się nie poczuwała do winy. Jużem powiedział, że wyrzutów sumienia nie stwierdziłem nigdy, nawet w tych wypadkach, gdy zbrodniarz godził we własną społeczność. O zbrodniach przeciw władzom nie ma nawet co mówić. Zdawało mi się niekiedy, że w tych wypadkach miał miejsce swoisty, że tak powiem, praktyczny lub raczej faktyczny pogląd na rzeczy. Brali pod uwagę los, nieuniknioność faktu — nie zastanawiając się nad nim, jak gdyby nieświadomie. Więc na przykład więzień, choć zawsze jest skłonny przyznawać sobie słusność w zbrodniach przeciw władzom, tak że sama kwestia jest dla niego bezprzedmiotowa, praktycznie zdawał sobie sprawę, że władze patrzą na jego zbrodnię w sposób zgoła inny, wobec czego muszą go ukarać, i kwita. Walka jest tu obustronna. Zbrodniarz wie przy tym i nie wątpi, że go

usprawiedliwił sąd własnego środowiska, prostego ludu, który nigdy (to także wie) nie potępi go ostatecznie, najczęściej zaś w ogóle go uniewinni, byleby jego grzech nie godził w swoich, we współbraci, w prosty lud. Sumienie ma spokojne, i ten spokój sumienia dodaje mu siłę moralnych, a to grunt. Zdaje się czuć, że ma na czym się oprzeć, i dlatego nie nienawidzi, bierze to, co mu się przydarzyło, za fakt nieuchronny, który nie z nim się począł, nie z nim się skończy i długo jeszcze, długo będzie trwał, wśród raz ustanowionej, biernej, lecz uporczywej walki. Któryż to żołnierz, wojując z Turkiem, nienawidzi go osobiście? A przecież Turek kłuje go bagnetem, strzela do niego. Prawda i to, że nie wszystkie opowiadania tchnęły zimną krwią i kompletną obojętnością. Na przykład o poruczniku Żerebiatnikowie opowiadano aż z pewnym odcieniem oburzenia, niezbyt wielkiego zresztą. Tego porucznika Żerebiatnikowa poznałem jeszcze na początku swego pobytu w szpitalu — z opowiadań więźniów, naturalnie. Później zobaczyłem go kiedyś na własne oczy, gdy stał u nas na warcie. Był to człowiek pod trzydziestkę, słusznego wzrostu, korpulentny, otyły, o rumianych, zapłynnionych tłuszczem policzkach, o białych zębach i tubalnym nozdriewowskim śmiechu. Z twarzy jego znać było, że nie ma na świecie człowieka, który by się mniej zastanawiał. Namiętnie lubił chłostać i ćwiczyć kijami, gdy mu polecono wykonanie wyroku. Spieszę dodać, że już i wówczas patrzyłem na porucznika Żerebiatnikowa jak na wyrodka z jego środowiska, a podobnie patrzyli nań i sami więźniowie. Oprócz niego byli też inni wykonawcy — w minionych czasach, rzecz prosta, tych niedawno minionych czasach, w które „choć świeża pamięć, już się nie chce wierzyć” — lubiący spełnić swój obowiązek starannie i gorliwie. Ale przeważnie odbywało się to naiwnie i bez szczególnego entuzjazmu. Natomiast pan porucznik był czymś w rodzaju wielce wyrafinowanego smakosza tej rzeczy. Kochał się, kochał namiętnie w sztuce wykonawczej, a kochał się w niej jedynie dla sztuki. Rozkoszował się nią i, jak przesycony rozkoszami, wyblakły patrycjusz z czasów cesarstwa rzymskiego, wynajdywał coraz to nowe subtelności, coraz to nowe wynaturzenia, aby choć trochę rozruszać i mile polechtać swą zatyłą duszę. Prowadzą na przykład więźnia na karę; wykonawcą jest Żerebiatnikow; samo spojrzenie na długi, uszykowany rząd ludzi z grubymi kijami już w nim budzi natchnienie. Z zadowoloną miną obchodzi szeregi i napomina usilnie, żeby każdy spełnił swoje zadanie starannie, sumiennie, bo jak nie... Ale żołnierze wiedzieli już, co znaczy owo bo jak nie. Przyprawdzają zbrodniarza, i jeżeli ten dotychczas jeszcze nie znał Żerebiatnikowa, jeżeli jeszcze nie słyszał o wszystkich jego narowach, to pan porucznik płał mu takiego na przykład figielka. (Oczywiście, jest to jeden z setki figielków; pomysłowość porucznika była niewyczerpana.) Każdy więzień, w chwili gdy go obnażają, a ręce przywiązują mu do kolb karabinów, za które podoficerowie ciągną go później przez cały „suchy las” — każdy więzień, utartym zwyczajem, zawsze poczyna w tej chwili błagać wykonawcę łzawym, płaczkliwym głosem, żeby go chłostali nieco słabiej i nie powiększali kary nadmierną srogością: „Wasza dostojność — krzyczy nieszczęśliwiec — zmiłuj się, bądź ojcem rodzonym, zrób, żebym się całe życie modlił za

ciebie, ulituj się!" Żerebiatnikow na to tylko czeka; od razu przerywa rozprawę i ze wzruszoną również miną nawiązuje rozmowę z więźniem:

— Ależ, mój drogi — powiada — cóż mam zrobić z tobą? Nie ja cię karzę, tylko prawo!

— Wasza wielmożność, wszystko jest w twoich rękach, zmiłuj się!

— Może myślisz, że mi ciebie nie żal? Może myślisz, że mi przyjemnie patrzeć, jak cię będą bili? Przecież ja także jestem człowiek! Człowiek jestem czy nie, co?

— Wiadomo, wasza wielmożność, wiadoma rzecz: wyście ojcowie, my dzieci. Bądź ojcem rodzonym! — krzyczy więzień, któremu zaczyna już świtać nadzieja.

— Ależ, mój drogi, rozważ sam; masz wszystkie klepki i możesz to rozważyć: przecie i sam wiem, że z obowiązku ludzkości powinienem patrzeć na ciebie, grzesznika, pobłażliwie i miłosiernie.

— Święta prawda, wasza wielmożność, święta prawda!

— Tak jest, patrzeć miłosiernie, choćbyś był największym grzesznikiem. Cóż, kiedy nie ja decyduję, tylko prawo! Sam pomyśl! Przecież służę Bogu i ojczyźnie, przecie wezmę ciężki grzech na duszę, jeżeli osłabię prawo, pomyśl o tym!

— Wasza wielmożność!

— Ha, trudno i darmo! Niechże ci będzie, zrobię to dla ciebie! Wiem, że grzeszę, ale niechże ci będzie... Zlituję się nad tobą tym razem, ukarzę cię lekko. Dobrze, ale jeżeli wyrządę ci w ten sposób szkodę? Zlituję się teraz nad tobą, ukarzę cię lekko, a ty poweźmiesz nadzieję, że i następnym razem będzie to samo, i znowu popełnisz zbrodnię. Co wtedy? Przecież obciążę to moją duszę...

— Wasza wielmożność! Klnę się na wszystkie świętości! świadkiem mi Stwórcy Najwyższy...

— No, dobrze już, dobrze! Ale czy mi przysięgniesz poprawę na przyszłość?

— Jak Boga mego kocham! Niech mnie zaraz piorun trzaśnie, jeżeli...

— Nie zaklinaj się, to grzech. Uwierzę ci na słowo. Dajesz słowo?

— Wasza wielmożność!!!

— No to pamiętaj: ulaskawiam cię jedynie przez wzgląd na twoje łyzy sieroce. Sierotą jesteś?

— Sierotą, wasza dostojność. Sam jak palec, ani ojca, ani matki...

— Więc uwzględniam twoje sieroce łyzy, ale pamiętaj, że to ostatni raz... Prowadźcie go — dorzuca tak miękkim głosem, że więzień sam już nie wie, jakimi modlitwami prosić Boga za tak dobrotliwego człowieka.

Lecz oto groźny orszak rusza z miejsca; prowadzą go; zagrział bęben, podniosły się pierwsze kije...

— Grzmoć go! — woła Żerebiatnikow na całe gardło. — Wal go! Pal, pal! Smal go! Jeszcze, jeszcze! Grzej sierotę, grzej łapserdaka! Poczęstuj go, poczęstuj!

I żołnierze walą na odlew, skry się sypią z oczu nieboraka, zaczyna wrzeszczeć, a Żerebiatnikow biegnie za nim wzdłuż frontu i zanosi się, pokłada ze śmiechu, zrywa sobie boki,

nie może się wyprostować, aż w końcu żal bierze patrzeć na to niebożątko. Ucieszony jest, ubawiony, z rzadka tylko milknie jego dźwięczny, zdrowy, tubalny śmiech, i znowu słyhać:

— Grzmoc go, grzmoc! Smal łapserdaka, smal sierotę!...

Albo znowu obmyślał takie urozmaicenia: przyprowadzają więźnia; więzień znów zaczyna błagać. Tym razem Żerebiatnikow nie błaznuje, nie zgrywa się, uderza w ton szczerości:

— Wiesz co, przyjacielu — powiada — ukarzę cię jak należy, boś tego wart. Ale gotów jestem zrobić dla ciebie jedno: nie przywiążę cię do kolb. Pójdiesz sam, tylko że w inny sposób. Biegnij co tchu przez cały szyk! Wprawdzie każdy kij cię zdzieli, ale cała rzecz będzie krótsza, co? Chcesz spróbować?

Więzień słucha w rozterce, z niedowierzaniem, i zastanawia się: „Ha — myśli w duchu — może naprawdę tak będzie lżej; pobiegnę z całych sił, więc męczarnia będzie pięć razy krótsza, a może też nie każdy kij uderzy.” — Dobrze, wasza wielmożność, zgoda.

— A, skoro zgoda, to w porządku. Ruszaj! Chłopcy, nie gapić się! — woła do żołnierzy, wiedząc zresztą z góry, iż ani jeden kij nie ominie winowajczego grzbietu: żołnierz, który by chybił, sam wie bardzo dobrze, na co się naraża.

Więzień puszcza się co tchu przez „suchy las”, ale, rzecz prosta, nie mija w biegu nawet piętnastu par bijących żołnierzy: kije niczym werbel bębna, niczym piorun, raptem, na raz, sypią mu się na plecy, i biedak z krzykiem upada jak podcięty, jak rażony kulą.

— Nie, wasza wielmożność, niech już lepiej będzie wedle prawa — mówi, z wolna podnosząc się z ziemi, blady i wystraszony.

A Żerebiatnikow, który z góry wiedział o tej całej sztuczce i co z niej wyniknie, rechocze, śmieje się do rozpuku. Ale nie będę przecież opisywał wszystkich jego rozrywek i wszystkiego, co sobie u nas o nim opowiadano!

W nieco inny sposób, w innym tonie i duchu, opowiadano u nas o niejakiem poruczniku Smiekałowie, który pełnił obowiązki naczelnika naszego więzienia, zanim jeszcze powierzono to stanowisko placmajorowi. O Żerebiatnikowie aresztanci opowiadali wprawdzie dość obojętnie, bez większej zawziętości, ale bądź co bądź nie unosili się nad jego wyczynami, nie chwalili go, owszem, brzydzili się nim widocznie. Ba, gardzili po trosze. Natomiast porucznika Smiekałowa wspominali z radością i upodobaniem. Chodzi o to, że nie był on bynajmniej jakimś szczególniejszym amatorem chłosty; nie miał w sobie wcale czysto żerebiatnikowskiego pierwiastka. A jednak był nie od tego, by czasem wychłostać; w tym jednak sęk, że i o jego różgach wspomniano u nas z jakąś słodką miłością — tak dalece umiał ten człowiek dogodzić więźniom! Czym sobie zasłużył na taką popularność? Jużci, nasz lud, jak może i cały naród rosyjski, gotów zapomnieć piekło mąk za jedno pocziwe słowo; stwierdzam to jako fakt, nie analizując go tym razem ani tak, ani owak. Nietrudno było dogodzić temu ludowi i mieć u niego mir. Atoli porucznik Smiekałow miał mir wyjątkowy, tak że nawet o tym, jak chłostał, przypominano sobie nieledwie z roztkliwieniem. „Istny ojciec”, mówili czasem więźniowie i aż wzdychali, we wspomnieniach

porównując swego poprzedniego naczelnika Smiekałowa z obecnym placmajorem. „Do rany go przyłożyć!” Był to człowiek prosty, może nawet dobry na swój sposób. Ale zdarza się, że naczelnik bywa człowiekiem nie tylko dobrym, lecz wielkodusznym, i cóż? — nikt go nie lubi, a czasem wręcz wyśmiewają. Chodzi o to, że Smiekałow jakoś umiał tak zrobić, że go u nas wszyscy uznawali za swojego człowieka, a to jest wielka umiejętność, albo raczej dar wrodzony, nad którym ci, co go posiadli, nie zastanawiają się nawet. Rzecz dziwna, tacy ludzie bywają zgoła źli, a jednak zyskują niekiedy wielką popularność. Nie brzydzą się podwładnymi, nie okazują im wstrętu — oto gdzie, jak mi się zdaje, tkwi powód! Nie czuć w nich paniczka o białych rękach, nie zalatują wielkopańskim zapachem, jest w nich jakiś osobliwy, wrodzony, ludowy zapach, i Boże drogi, jakże lud jest na to wrażliwy! Czegóż nie da za to! Najmiłosierniejszego człowieka gotów zamienić na najsurowszego, jeżeli ten trąci ich własnym, zgrzebnym zapachem. Cóż dopiero, jeżeli tracący tym zapachem człowiek jest ponadto rzeczywiście dobroduszny, chociażby na swój sposób? Staje się wówczas nieoszacowany! Porucznik Smiekałow, jak już wspomniałem, czasami karał dotkliwie, ale umiał jakoś tak zrobić, że nie tylko nie miano mu tego za złe, lecz przeciwnie, teraz, za moich czasów, gdy już to wszystko dawno minęło, wspomniano o jego sztuczki przy chłóście ze śmiechem i lubością. Zresztą miał tych sztuczek niewiele: zbywało mu na fantazji. Bogiem a prawdą, miał tylko jedną sztuczkę, jedną jedyną, na której poprzestawał u nas przez cały prawie rok; lecz może właśnie dlatego była ona miła, że jedyna. Sporo było w tym naiwności. Przyprawdzają na przykład winowajcę więźnia. Smiekałow sam przychodzi na miejsce kaźni, przychodzi z uśmiechem, z żarciem, od razu zaczyna pytać winowajcę o coś ubocznego, o jego osobiste, domowe, więzienne sprawy, i to wcale nie w jakimś celu, nie dla skaptowania go, tylko dlatego po prostu, że rzeczywiście chce wiedzieć o tych sprawach. Przynoszą różgi, a dla Smiekałowa krzesło; Smiekałow siada, ba, zapala fajkę. Miał taką długą fajkę. Więzień zaczyna błagać... „Nie, bracie, kładź się, trudna rada...” mówi Smiekałow, więzień wzdycha i kładzie się. „No, kochanku, czy nie umiesz czegoś na pamięć?” — „Jakżeby nie umiał, wasza wielmożność, chrześcijanin jestem, od dziecka się uczyłem.” — „No to recytuj.” I więzień już wie, co ma recytować, i wie z góry, co będzie przy tej recytacji, ponieważ ten figiel odbywał się już trzydzieści razy przy innych egzekucjach. A i sam Smiekałow wie, że więzień o tym wie; wie, że nawet żołnierze, którzy z podniesionymi różgami stoją nad leżącą ofiarą, dawno już słyszeli o tej sztuczce, a jednak powtarza ją znowu — tak bardzo przypadła mu do gustu raz na zawsze, może dlatego właśnie, że sam ją wymyślił, z literackiej ambicji. Więzień zaczyna recytować, ludzie z różgami czekają, a Smiekałow aż się pochyla na krzesło, podnosi rękę, przestaje kurzyć fajkę, czeka na znane słowa. Po pierwszej linijce znanego tekstu więzień dochodzi wreszcie do słów: i na tamtym świecie. O to tylko chodziło „Stój!” — woła porwany zapalem porucznik i w mig, z natchnionym gestem zwracając się do człowieka, który podniósł różgę, krzyczy: „Dajże mu po grzbiecie!”

I wybucha śmiechem. Stojący wokół żołnierze uśmiechają się także; uśmiecha się bijący, omal się nie uśmiecha nawet bity, mimo że różga, na komendę daj mu po grzbiecie, świszcze już w powietrzu, by za chwilę chlasnąć jak brzytwą po ciele delikwenta. I Smiekałow się cieszy, cieszy z tego właśnie, że tak zgrabnie to wymyślił, że s a m to ułożył; „i na tamtym świecie”, „dajże mu po grzbiecie”: jest w tym i sens, i rym. Więc Smiekałow wraca z egzekucji wielce zadowolony z siebie, a i obity również wraca prawie że zadowolony z siebie i Smiekałowa, i po upływie pół godziny już opowiada, jak to i teraz, po raz trzydziesty pierwszy, powtórzyła się sztuczka, powtórzona przedtem trzydziestokrotnie. „Choć do rany go przyłóż! Strasznie dowcipny!”

Czasami wspomnienia o przezacnym poruczniku trąciły aż jakąś maniłowszczyzną.

— Czasem, bracia, idzie sobie człowiek — opowiada któryś aresztancik i całą gębą uśmiecha się na to wspomnienie — idzie, a on już siedzi przy oknie w szlafroku, popija herbatę, ęmi fajeczkę. Zdejmuje czapkę. „Dokąd idziesz, Aksienow?” „Ano do roboty, Michaile Wasiliczu, najszampierw trza wstąpić do warsztatu.” On się zaśmieje... Szczera dusza, jak mi Bóg miły!

— Poszukać takiego ze świecą! — przyświadcza któryś ze słuchaczy.

III. Ciąg dalszy

Zacząłem teraz mówić o karach oraz o rozmaitych wykonawcach tych sympatycznych obowiązków, dlatego właśnie, że dopiero w szpitalu wyrobiłem sobie pogładowe pojęcie o tych wszystkich sprawach. Przedtem wiedziałem o tym jedynie ze słyszenia. Do naszych dwóch izb szpitalnych przyprowadzano wszystkich ukaranych pałkami podsądnych ze wszystkich batalionów, oddziałów aresztanckich i innych formacji wojskowych, położonych w naszym mieście i całym jego okręgu. W tym pierwszym okresie, kiedym się tak chciwie przyglądał wszystkiemu, co się wokół mnie działo, wszystkie te dziwne dla mnie porządki, wszyscy ci ukarani i oczekujący kary wywierali na mnie, rzecz prosta, nader silne wrażenie. Byłem wzburzony, stropiony i przestraszony. Pamiętam, że już wtedy zacząłem nagle i niecierpliwie wnikać we wszystkie szczegóły tych nowych zjawisk, słuchać rozmów i opowiadań innych więźniów na ten temat, zadawać pytania, dobijać się rozstrzygnięć. Między innymi, chciałem koniecznie poznać wszystkie stopnie wyroków i wykonań, wszystkie odcienie tych wykonań, poglądy więźniów na to; starałem się wyobrazić sobie stan psychologiczny idących na kaźń. Jużem powiedział, że przed karą mało kto zachowuje zimną krew, nie wyłączając i tych nawet, którzy już wprzód bywali niejednokrotnie i srodze bici. Na ogół skazańca ogarnia jakiś ostry, lecz czysto fizyczny strach, mimowolny i nieodparty, przytłaczający całą istotę moralną człowieka. Również i później, przez te kilka lat życia więziennego, mimo woli obserwowałem tych podsądnych, którzy, poleżawszy w szpitalu po pierwszej połowie kary i wygoiwszy sobie grzbiet, wypisywali się z lecznicy, żeby już nazajutrz odbyć drugą połowę wyznaczonych sobie kijów. Ten podział kary na dwie połowy odbywa się zawsze na wniosek lekarza obecnego przy egzekucji. Jeżeli wyrok przewiduje wielką ilość plag, tak że więzień nie zniósłby wszystkich na raz, dzieli mu tę liczbę na dwie a nawet trzy części, w zależności od tego, co doktor powie już w czasie wykonywania kary, to znaczy, czy karany może iść dalej przez „suchy las”, czy też będzie to połączone z niebezpieczeństwem dla jego życia. Zazwyczaj pięćset, tysiąc, nawet półtora tysiąca wymierzają od razu; jeśli natomiast wyrok opiewa na dwa, trzy tysiące to wykonanie dzieli się na dwie albo i trzy części. Ci, którzy wygoiwszy sobie plecy po pierwszej połowie, wychodzili ze szpitala, by odbyć drugą połowę, w dniu wypisania się i w przeddzień bywali zwykle posępni, ponurzy, nierozmowni. Dawało się u nich zauważyć pewne przytępienie umysłu, jakieś nienaturalne roztargnienie. Taki człowiek nie wdaje się w rozmowy i przeważnie milczy; co najciekawsze, to że i sami więźniowie nie mówią z nim i nie usiłują mówić o tym, co go czeka. Żadnych zbędnych słów, żadnych pociech; owszem, usiłują w ogóle nie zwracać na niego uwagi. Oczywiście, jest to lepsze dla skazańca. Zdarzają się wyjątki, jak na przykład Orłów, o którym już opowiadałem. Po pierwszej połowie kary ubolewał tylko nad tym, że mu się plecy długo nie goją, nie może więc

czym prędzej się wypisać, by czym prędzej odbyć resztę plag, wyruszyć z partią na wyznaczone sobie zesłanie i w drodze zbiec. Ale jemu przyświecał cel, i Bóg raczy wiedzieć, co działo się w jego umyśle. Miał naturę żywotną i namiętą. Był bardzo rad, mocno podniecony, choć tłumił swe emocje. Chodzi o to, że jeszcze przed pierwszą połową kary sądził, iż go nie wypuszczą spod kijów i że na pewno umrze. Kiedy był w areszcie, o uszy obijały mu się różne słuchy o zarządzeniach zwierzchności; już wtedy przygotowywał się do śmierci. Lecz po odbyciu pierwszej połowy nabrał ducha. Przyszedł do szpitala półmartwy; nigdy jeszcze nie widziałem takich ran; ale przyszedł z radością w sercu, z nadzieją, że będzie żył, że słuchy były przesadne, że jednak wypuścili go teraz spod pałek, toteż obecnie, po długim pobycie w areszcie, już mu się zaczynała roić droga, ucieczka, wolność, pola i lasy... W dwa dni po wypisaniu się ze szpitala umarł w tymże szpitalu, na tymże łóżku, nie zniósł bowiem drugiej połowy. Ale już wspominałem o tym.

A jednak ci więźniowie, którzy spędzali takie ciężkie dni i noce tuż przed karą, znosili samą kaźń mężnie, nie wyłączając nawet najbardziej tchórzliwych. Rzadko słyszałem jęki w ciągu pierwszej nocy i po ich przybyciu, nieraz nawet z ust ludzi niezmiernie ciężko zbitych; w ogóle lud umie znosić ból. Na temat bólu zadawałem dużo pytań. Chciałem dowiedzieć się ściśle, jak wielki jest ten ból; z czym, ostatecznie, można go porównać? Doprawdy nie wiem, czemu tak mi na tym zależało. Pamiętam tylko, że nie z czezej ciekawości. Powtarzam: byłem wzburzony i wstrząśnięty. Lecz kogokolwiek wypytywałem, żadną miarą nie mogłem się dobić odpowiedzi, która by mnie zadowoliła. „Pali, pali jak ogień” — oto wszystko, czegom się mógł dowiedzieć, to była jedyna ich odpowiedź. Pali, i kwita. Już w owym pierwszym okresie, kiedy się nieco zbliżyłem z M-m, wypytywałem jego także. „Boli, odrzekł, bardzo boli, wydaje się, że pali jak ogień; że się plecy przypiekają na bardzo silnym ogniu”. Słowem, wszyscy świadczili tak samo. Pamiętam zresztą, że już wówczas zrobiłem pewne dziwne spostrzeżenie, przy którego słuszności zresztą nie obstaję, lecz zgodność orzeczenia samych więźniów mocno je potwierdza: a mianowicie, że różgi, jeśli się je wymierza w wielkiej ilości, są najcięższą ze wszystkich stosowanych u nas kar. Na pierwszy rzut oka wydaje się to niedorzecznością i niepodobieństwem. Jednakowoż pięcioma, nawet czterema setkami różeg można zasieć człowieka na śmierć; powyżej zaś pięciuset — zabija się go prawie na pewno. Tysiąca różeg na raz nie wytrzyma nawet człowiek najsilniejszej budowy ciała. Natomiast pięćset kijów można znieść bez żadnego niebezpieczeństwa dla życia. Tysiąc kijów może wytrzymać, bez obawy o życie, niezbyt nawet silny człowiek. Nawet dwoma tysiącami kijów nic można zabić człowieka przeciętnie silnego i zdrowego. Wszyscy więźniowie twierdzili, że różgi są gorsze od pałek. „Gorzej doskwierają, mówili, większa to męczarnia.” Zapewne, różgi są sroższą katuszą. Mocniej drażnią, mocniej działają na nerwy, podniecają je nad miarę, szarpią nimi ponad wytrzymałość. Nie wiem, jak jest teraz, ale w niedawno minionych czasach byli tacy dżentelmeni, którym możność wychłostania ofiary dostarczała czegoś, co przywodzi na pamięć markiza de Sade i panią de Brinvilliers. Sądzę, że to doznanie ma w sobie coś, wskutek czego serce tych dżentelmenów zamiera słodko a

zarazem boleśnie. Są ludzie, którzy jak tygrysy łakną krwi. Kto raz zakosztował tej władzy, tego bezgranicznego panowania nad ciałem, krwią i duchem takiego samego jak on człowieka, podobnie stworzonego, brata w Chrystusie, kto zakosztował tej władzy, kto miał całkowitą możność poniżyć największym poniżeniem inną istotę, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże, ten już jakoś nieuchronnie przestaje władać nad swymi doznaniem. Tyrania to nałóg, potrafi się rozwijać i wreszcie rozwija się w chorobę. Twierdzę, że najlepszy człowiek może wskutek przyzwyczajenia zordynarnieć i stępieć do stanu dzikiej bestii. Krew i władza odurza: rozwija się grubiaństwo, wyuzdanie; dla umysłu i uczucia stają się dostępne, a w końcu słodkie, najbardziej nienormalne zjawiska. Człowiek i obywatel ginie w tyranii na zawsze, powrót zaś do godności ludzkiej, do skruchy, do odrodzenia jest już dla niego prawie niemożliwy. Dodajmy, że przykład, możność takiej samowoli działa zaraźliwie na całe społeczeństwo: władza tak jest ponętna. Społeczeństwo, które obojętnie patrzy na takie zjawisko, już jest zarażone w samej swej istocie. Słowem, prawo kary cielesnej, dane człowiekowi nad człowiekiem, stanowi jeden z wrzodów społeczeństwa, stanowi jeden z najskuteczniejszych środków wyniszczenia w nim wszelkiego kielka, wszelkiej próby obywatelskości, i jest wystarczającą podstawą do nieuniknionego i nieodpartego rozkładu.

Katem społeczeństwo się brzydzi, ale katem dżentelmenem — bynajmniej. Dopiero niedawno doszło do głosu zdanie przeciwne, lecz doszło do głosu w książkach dopiero, abstrakcyjnie. Ci nawet, co je głoszą, nie wszyscy jeszcze zdążyli wygasić w sobie tę żądzę tyranii. Nawet każdy fabrykant, każdy przedsiębiorca na pewno musi czuć jakąś drażniącą przyjemność, że czasami robotnik zależy od niego całkowicie, z całą swą rodziną. Tak jest na pewno; pokolenie nierychło się odrywa od tego, co w nim tkwi dziedzicznie; człowiek nierychło zarzeka się tego, co mu weszło w krew, co wyssał, że tak powiem, z mlekiem matki. Takie nagłe przewroty nie zachodzą nigdy. Uświadomić sobie swą winę i grzech pierworodny — to jeszcze mało, bardzo mało; trzeba się go zgoła oduczyć. A to nie taka szybka sprawa.

Wspomniałem o kacie. Zalażek katowstwa tkwi prawie w każdym współczesnym człowieku. Lecz bestialskie cechy człowieka rozwijają się nierównomiernie. Jeżeli zaś zagłuszą one w kimś wszystkie inne jego cechy, człowiek taki, rzecz jasna, staje się okropny i szkaradny. Istnieją dwa rodzaje katów: jedni są dobrowolni, drudzy — poniewolni, przymuszeni. Dobrowolny kat, oczywiście, pod każdym względem stoi niżej niż poniewolny, którym przecież lud tak się brzydzi, brzydzi aż do grozy, do wstrętu, do żywiolowego, mistycznego nieledwie strachu. Skąd się bierze ta prawie zabobonna trwoga przed jednym katem, a taka obojętność, nieomal aprobata dla drugiego? Zdarzają się arcydziwne przykłady: znałem ludzi nawet dobrych, nawet uczciwych, nawet szanowanych w społeczeństwie, a tymczasem, na przykład, nie mogli znieść spokojnie, że skazaniec nie krzyczy pod różgami, nie błaga i nie prosi o litość. Karani powinni koniecznie krzyczeć i prosić o litość. Tak się utarło: uchodzi to i za przyzwoite, i za nieodzowne, i gdy pewnego razu ofiara nie chciała krzyczeć, wykonawca, którego znałem i który skądinąd mógł być

uznany za człowieka może i dobrego, w tym wypadku obraził się osobiście. Z początku chciał ukarać lekko; ale nie słysząc zwykłych „wasza wielmożność, ojczyzna, ulituj się, wiecznie będę się za ciebie modlił” i tak dalej — rozszedł się i wymierzył pięćdziesiąt różeg dodatkowo, pragnąc wywołać krzyk i prośby — no i wywołał. „Musiałem, bo był zatwardziały” — odparł mi nader serio. Co się tyczy prawdziwego kata, poniewolnego, z przymusu, rzecz wiadoma: jest to więzień po wyroku, skazany na zesłanie, ale pozostawiony, by pełnił funkcje oprawcy; zrazu terminował u innego kata, a gdy się nauczył, zostawiono go na zawsze przy więzieniu, gdzie mieszka oddzielnie, w osobnym pokoju, ma nawet własne gospodarstwo, lecz prawie zawsze znajduje się pod konwojem. Jużci, żywy człowiek to nie maszyna: wprawdzie kat bije z obowiązku, ale niekiedy nabiera gustu; chociaż bije nie bez przyjemności, prawie nigdy nie żywi osobistej nienawiści do swej ofiary. Zręczność uderzenia, wprawa, chęć popisania się wobec towarzyszy i publiczności podnieca jego ambicję. Uprawia sztukę dla sztuki. Poza tym wie doskonale, że odtrącili go wszyscy, że otacza go i towarzyszy mu wszędzie zabobonna trwoga, toteż nie ręczę, że nie ma to na niego wpływu, nie wzmagają jego wściekłości, jego bestialskich inklinacji. Nawet dzieci wiedzą, że się „wyparł ojca i matki”. Rzecz dziwna: ilekroć widziałem katów, zawsze byli to ludzie rozwinięci, rozgarnięci, obdarzeni rozumem i nadzwyczajną ambicją, ba, dumą. Czy się ta duma w nich rozwija jako protest przeciw powszechnej pogardzie; czy wzmagają ją świadomość lęku, jaki budzą w ofierze, i poczucie władzy nad nią — nie wiem. Może sama parada i teatralność otoczenia, w którym publiczność widzi ich na miejscu kaźni, przyczynia się do rozwinięcia w nich niejkiej wyniosłości. Pamiętam, że wypadło mi kiedyś przez pewien czas często spotykać i z bliska obserwować jednego oprawcę. Był to człowiek średniego wzrostu, muskularny, szczupły, lat około czterdziestu, o dosyć przyjemnej i rozumnej twarzy i kędzierzawej czuprynie. Zawsze był niezmiernie godny, spokojny; zewnątrz zachowywał się jak dżentelmen, zawsze opowiadał krótko, rozważnie, a nawet uprzejmie, lecz z jakąś wyniosłą uprzejmością, jak gdyby się czymś chełpił przede mną. Oficerowie dyżurni często gwarzyli z nim w mojej obecności, i to, dalibóg, jakby z pewnym szacunkiem. Zdawał sobie z tego sprawę i w stosunku do przełożonych umyślnie zdwajał swą grzeczność, powściągliwość i poczucie godności. Im łaskawiej rozmawiał z nim naczelnik, tym bardziej nieustępliwym wydawał się on sam, i chociaż ani trochę nie uchybiał najsubtelniejszej grzeczności, jestem pewien, że się w tej chwili czuł nierównie wyższym niż rozmawiający z nim naczelnik. Było to wypisane na jego twarzy. Czasem, w bardzo upalny letni dzień, wysyłano go pod konwojem, z długim cienkim drągiem, by wyłukiwał psy miejskie. W miasteczku tym było niezmiernie dużo psów, zupełnie bezpańskich i rozmnażających się z niesłychaną szybkością. Podczas kanikuly stawały się niebezpieczne, toteż, w myśl zarządzenia władz, polecano katowi ich tępienie. Ale i ta poniżająca funkcja wcale go snadź nie upokarzała. Trzeba było widzieć, jak dostojnie się przechadzał miejskimi ulicami, w asyście zmęczonego konwojenta, już samym swym widokiem płosząc spotykane kobiety i dzieci, jak spokojnie, a nawet z góry patrzył na wszystkich

spotkanych. Przy tym żyje się katom wybornie. Mają pieniądze, jedzą bardzo dobrze, piją. Pieniądze ciągną z łapówek. Cywilny podsądny, któremu sąd wyznaczył karę, wysupła ostatni grosz, by choć trochę udobruchać oprawcę. Od niektórych natomiast, od bogatych podsądnych, sam kat ściągą różne kwoty, uzależniając je od przypuszczalnych zasobów więźnia; bierze i po trzydzieści rubli, a czasem jeszcze więcej. Z bardzo bogatymi nawet się targuje. Bardzo lekko ukarać, rzecz jasna, kat nie może; odpowiedziałby za to własnym grzbietem. Jednakże w zamian za ustaloną łapówkę przyrzeka ofierze, iż nie będzie jej bił zbyt dotkliwie. Prawie zawsze ludzie się zgadzają na jego propozycję, jeżeli zaś nie, to istotnie wymierza karę po barbarzyńsku, niemal zawsze bowiem jest to najzupełniej zależne od niego. Bywa, że wyznacza sporą kwotę nawet bardzo ubogiemu podsądnemu; krewni przychodzą, targują się, kłaniają i biada im, jeśli nie uczynią mu zadość. W takich razach wielce mu jest pomocna zabobonna trwoga, którą budzi. Czegóż to nie opowiadają o katach! Zresztą sami więźniowie upewniali mnie, że kat może zabić jednym uderzeniem. Ale, po pierwsze, któż to stwierdził? A zresztą, kto wie, może tak jest! Mówili o tym ze świętym przekonaniem. Sam zaś kat ręczył mi, że może to uczynić. Mówiono również, że potrafi uderzyć z całego rozmachu, ale tak, że na plecach skazańca nie ukaże się najmniejsza bodaj pręga i delikwent nie poczuje najmniejszego bólu. Zresztą o tych wszystkich sztuczkiach i fortelach krąży aż nazbyt dużo opowieści. Lecz nawet jeżeli kat weźmie łapówkę, aby ukarać lekko, to jednak pierwszą plagę wymierza na odlew, z całej siły. Owszem, weszło to u nich w zwyczaj. Następne uderzenia łagodzi, zwłaszcza jeśli mu przedtem zapłacono. Ale pierwsza plaga, czy mu się zapłaciło, czy nie, jest jego własnością. Nie wiem doprawdy, po co oni to robią. Czy po to, żeby z miejsca zaprawić ofiarę do dalszych uderzeń, z tym wyrachowaniem, że po pierwszym, bardzo ciężkim uderzeniu mniej już dręczącymi wydadzą się lekkie, czy też po prostu oprawca chce się popisać wobec ofiary, napędzić jej strachu, oszołomić ją od pierwszej plagi, żeby rozumiała, z kim ma do czynienia, słowem — zaimponować? Tak czy owak, kat przed początkiem kary jest w podnieconym nastroju, jest świadom swej siły, czuje się władcą; to w tej chwili aktor, budzący podziw i grozę publiczności; no i oczywiście nie bez rozkoszy woła do swej ofiary, przed pierwszym uderzeniem: „Uwaga, kropie!” — zwykle w tych razach i straszliwe słowa. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo można znieprawić naturę ludzką!

W owym pierwszym okresie, w szpitalu, zachłannie się przysłuchiwałem wszystkim takim opowieściom więźniów. Leżenie nudziło nas nieznośnie. Każdy dzień był kubek w kubek podobny do drugiego! Z rana jeszcze pół biedy, gdyż rozrywką była wizyta lekarzy, a wkrótce po niej obiad. Na tle takiej monotonii jedzenie stanowiło, rzecz jasna, rozrywkę nie lada. Dieta, zależnie od chorób pacjentów, była różnaita. Jedni dostawali tylko jakiś krupnik; inni tylko kaszkę; jeszcze inni tylko pszenny grysik, cieszący się wielkim powodzeniem. Wskutek długiego leżenia więźniowie rozpieszczali się i stawali łasuchami. Rekonwalescentom i ludziom prawie zdrowym dawano kawałek gotowanej wołowiny, „byka”, jak się u nas mówiło. Najlepsza była dieta chorych na skorbut: mięso z cebulą, chrzanem i tak dalej, a niekiedy i z odrobiną wódki.

Chleb, również zależny od choroby, był czarny albo pytłowy, starannie wypieczony. Ta urzędowość i skrupulatność w przepisywaniu diety tylko śmieszyła pacjentów. Zapewne, w niektórych chorobach człowiek sam nic nie jadł. Ale za to chorzy przy apetycie, jedli, co chcieli. Niektórzy zamieniali się porcjami, toteż dieta, odpowiednia dla jednych pacjentów, przypadła zupełnie innym. Obłożnie chorzy, których obowiązywała ostra dieta, kupowali mięso lub porcje szkorbutowe, pili kwas, szpitalne piwo, kupując je od tych, którym je przepisywano. Byli tacy, co zjadali aż po dwie porcje. Sprzedawało się je i odprzedawało za pieniądze. Mięsna porcja była ceniona dość wysoko: kosztowała pięć kopiejek asygnatami. Jeżeli w naszej izbie nie było od kogo kupić, posyłało się stróża do drugiej izby aresztanckiej, albo do izb żołnierskich, „wolnych”, jak mówiło się u nas. Zawsze można było znaleźć chętnych do sprzedaży. Ci zostawali o suchym chlebie, lecz zarabiali parę groszy. Ubóstwo, naturalnie, było powszechne, ale ci, co mieli pieniądze, posyłali nawet na targ po kołaczki, ba, po różne przysmaczki i tak dalej. Nasi stróżowie spełniali te wszystkie polecenia całkiem bezinteresownie. Po obiedzie nastawał najnudniejszy czas; z braku lepszego zajęcia chorzy spali, gadali, kłócili się, opowiadali coś głośno. Jeśli nie przyprawiano nowych pacjentów, było jeszcze nudniej. Przybycie nowicjusza prawie zawsze sprawiało pewne wrażenie, osobliwie jeżeli nikt go nie znał. Oglądano go, starano się dowiedzieć, kim jest, skąd i z jakiego powodu się tu znalazł. Najbardziej się w tym wypadku interesowano idącymi etapem: ci zawsze coś opowiadali, choć zresztą nie o własnych poufnych sprawach; o to — jeżeli człowiek nie zaczynał mówić sam — nie nagabywano go nigdy, tylko: skąd idą? z kim? jaka droga? dokąd pójdą? i tak dalej. Słyszając nowe opowiadanie, niektórzy przypominali sobie jakby mimochodem to i owo z własnych przeżyć: różne etapy, partie, dozorców, naczelników. Ukarani pałkami przychodzili także o tej porze, nad wieczorem. Zawsze robili dosyć silne wrażenie, o czym już zresztą wspominałem; ale przecież nie co dnia ich przyprawiano, i dzień, gdy ich nie było, dłużył się nam bardzo; jak gdyby wszystkie twarze okrutnie się opatrzyły jedno drugiem; wybuchały w końcu kłótnie. Cieszyliśmy się nawet z wariatów, których przyprawiano na badanie. Podsądni z rzadka udawali wariatów, by się wymigać od kary. Wkrótce demaskowano ich, albo ściślej mówiąc, sami postanawiali zmienić swoją politykę, i taki więzień, po dwóch czy trzech dniach brewerii, raptem, ni stąd, ni zowąd odzyskiwał rozum, cichł i posepnie prosił o wypisanie ze szpitala. Ani więźniowie, ani lekarze nie zawstydzali go, nie wykluwali mu oczu niedawnymi jego sztuczki: milcząc wypisywali go, milcząc odprowadzali, a w parę dni później przychodził do nas po karze. Na ogół wypadki tego rodzaju zdarzały się rzadko. Natomiast prawdziwi wariaci, których przyprawiano na badanie, byli dla całej izby istnym skaraniem boskim. Niektórych wariatów, wesołych, rezolutnych, krzyjących, tańczących i śpiewających, więźniowie zrazu witali omal nie z entuzjazmem. „To ci dopiero heca!” — mówili patrząc na tylko co przyprawione dziwadło. Ja zaś z ciężkim sercem patrzyłem na tych nieszczęśliwych. Nigdy nie mogłem spokojnie patrzeć na obłąkańców.

Niebawem wszakże bezustanne brewerie i hałaśliwe wybryki przyprowadzonego i ze śmiechem powitanego wariata dawały się nam we znaki i po paru dniach wszyscy bez wyjątku mieliśmy ich wyżej uszu. Jednego z nich trzymano u nas jakie trzy tygodnie, i człowiek rad by uciekł z izby. Jak na złość jednocześnie przyprowadzono jeszcze jednego obłąkańca. Ten wywarł na mnie szczególne wrażenie. Działo się to w trzecim już roku mojej katongi. W pierwszym roku, lub raczej w pierwszych miesiącach mego więziennego żywota, wiosną, chodziłem wraz z całą grupą do odległej o dwie wiorsty cegielni, ze zdunami, którym podawałem cegły. Musieliśmy naprawić piece, aby w lecie można było puścić cegielnię w ruch. Tego rana M-cki i B. zaznajomili mnie z mieszkającym w cegielni dozorcą, podoficerem Ostrożskim. Był to Polak, sześćdziesięcioletni starzec, wysoki, suchy, nadzwyczaj przystojny, a nawet majestatyczny. Od dawna pełnił służbę na Syberii i chociaż pochodził z ludu — przyszedł jako żołnierz z wojska walczącego w trzydziestym roku — M-cki i B. lubili go i szanowali. Wciąż czytał katolicką Biblię. Rozmawiałem z nim; mówił tak łagodnie, tak mądrze, tak ciekawie opowiadał, tak poczciwie i rzetelnie patrzyło mu z oczu. Od tej pory nie widziałem go ze dwa lata, słyszałem tylko, że w jakiejś sprawie znajdował się pod śledztwem — aż nagle wprowadzono go do naszej izby jako wariata. Wszedł z wrzaskiem, śmiechem, puścił się w pląs z najbardziej nieprzyzwoitymi, karczemnymi gestami. Więźniowie byli zachwyceni, ale mnie zrobiło się tak smutno... Po trzech dniach zachodziliśmy już wszyscy w głowę, co z nim począć. Klócił się, czubił, wrzeszczał, śpiewał nawet w nocy, co chwila wyprawiał takie wstrętne kawały, że się wszystkim zbierało na mdłości. Nikogo się nie bał. Włożono mu kaftan bezpieczeństwa, ale nam stanęło to kością w gardle, chociaż bez kaftana wszczynął sprzeczki i bójki omal nie ze wszystkimi. Przez te trzy tygodnie cała izba prosiła czasem jednogłośnie lekarza naczelnego, by przeniósł to nasze utrapienie do drugiej izby aresztanckiej. Tam po jakich dwóch dniach proszono również o przeniesienie go do nas z powrotem. A ponieważ mieliśmy aż dwóch wariatów na raz, niespokojnych i szalejących, więc się obie izby kolejno zamieniały wariatami. Okazało się, że jeden wart drugiego. Wszyscy westchnęliśmy z ulgą, gdy nareszcie zabrano ich od nas...

Pamiętam także jeszcze jednego dziwnego wariata. Kiedyś w lecie przyprowadzono podsądnego, człowieka zdrowego, wyglądającego bardzo niezgrabnie, lat czterdziestu pięciu, o twarzy zeszpeconej ospą, czerwonych, zapłyniętych oczkach i niezmiernie ponurej, posępnej minie. Ulokawono go obok mnie. Okazało się, że jest nader potulny, z nikim nie gadał, siedział jakby coś obmyślając. Gdy się ściemniło, znienacka zwrócił się do mnie. Prosto z mostu, bez żadnych wstępów, ale z taką miną, jakby mi powierzał niesłychaną tajemnicę, jął mi opowiadać, że w najbliższych dniach miał dostać dwa tysiące plag, ale teraz nie dojdzie do tego, ponieważ córka pułkownika G. robi o niego starania. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem i odparłem, że zdaje mi się, iż w takich razach córka pułkownika nic nie może zdziałać. Niczego mi się jeszcze nie domyślał; przyprowadzono go wcale nie jako obłąkańca, lecz jako zwykłego pacjenta. Zapytałem go, na co cierpi. Odpowiedział, że nie wie; czemuś przysłali go tutaj, lecz jest kompletnie zdrów,

a pułkownikówna w nim się kocha; że pewnego razu, przed dwoma tygodniami, jechała mimo odwachu, a on właśnie wyjrzał zza kraty. Ujrawszy go natychmiast się w nim rozkochała. I od tej pory, pod różnymi pozorami, trzykrotnie już była na odwachu; pierwszy raz wstąpiła z ojcem do swego brata, oficera, który wówczas pełnił u nich straż; drugi raz przyszła z matką rozdawać jałmużnę i w przejściu szepnęła mu, że go kocha i ocali. Aż dziw, z jakimi dokładnymi szczegółami opowiadał mi te banialuki, które, oczywiście, od a do zet zrodziły się w jego biednej, zbakierowanej głowie. W to, że uniknie kary, wierzył święcie. O płomiennej miłości owej panny prawił spokojnie i z przekonaniem, i pominąwszy już ogólną niedorzeczność opowiadania, dziwnie było słyszeć tę romantyczną historię o zakochanej pannie z ust człowieka pod pięćdziesiątkę, z taką markotną, smętną i szpetną fizjonomią. Co też obawa kary potrafiła zrobić z tą lękliwą duszą! Może istotnie zobaczył kogoś przez okienko, i czyhający w nim, narastający z każdą godziną obłąd, spowodowany strachem, raptownie znalazł sobie ujście, właściwą formę. Nieszczęsny ten żołnierz, który może jako żywo ani razu nie zamarzył o pannie z dobrego domu, zniecka zmyślił cały romans, odruchowo czepiając się bodaj tej słomki. Wysłuchałem go w milczeniu i powiadomiłem innych więźniów. Lecz gdy się inni zaczęli tym interesować, umilkł wstydliwie. Nazajutrz doktor badał go długo, a ponieważ pacjent oświadczył, że jest zupełnie zdrow, co też badanie potwierdziło, więc wypisano go ze szpitala. Lecz o tym, że na jego karcie odnotowano *sanat*, dowiedzieliśmy się dopiero po wyjściu doktorów z izby, toteż nie mogliśmy im powiedzieć, jak się rzecz ma. Przy tym i myśmy się jeszcze wówczas niezupełnie domyślali, o co chodzi. Tymczasem wszystko polegało na omyłce zwierzchności, która przysyłając go do nas nie wyjaśniła należycie, czemu go przysyła. Zaszło tu jakieś niedopatrzienie. A może zresztą i ci, co go przysłali, snuli dopiero domysły, nie będąc wcale przekonani o jego obłądnie, działali na podstawie wątpliwych słuchów i przysłali go na obserwację. Tak czy owak, po dwóch dniach wzięto nieszczęśnika na plac kaźni. Był, jak się zdaje, niezmiernie zdumiony tą niespodzianką; do ostatniej chwili nie wierzył, że go ukarzą, i kiedy zaczęto go pędzić przez szeregi, jał wołać: „Ratunku!” W szpitalu położono go tym razem w drugiej izbie aresztanckiej, w naszej bowiem brakło łóżka. Lecz zasięgnąłem o nim informacji i dowiedziałem się, że przez całe osiem dni słówkiem się do nikogo nie odezwał, był stropiony i bardzo smutny... Potem gdy mu się zagoiły plecy, wysłano go dokądś. W każdym razie ja już o nim nie słyszałem.

Co się w ogóle tyczy kuracji i lekarstw, to, o ile mogłem zauważyć, lekko chorzy prawie nie przestrzegali zaleceń i nie zażywali leków, natomiast ciężko chorzy — i w ogóle ludzie chorzy naprawdę — bardzo lubili się leczyć, pilnie zażywali swoje mikstury i proszki; najbardziej wszakże lubiono u nas środki zewnętrzne. Bańki, pijawki, gorące okłady, puszczenie krwi, w których się tak kocha nasz prosty lud i w które tak wierzy, przyjmowano u nas chętnie, a nawet z przyjemnością. Zainteresowała mnie jednak dziwna okoliczność. Ci sami ludzie, którzy pod kijami i różgami tak cierpliwie znosili męki, niejednokrotnie narzekali, krzywili się, ba, jęczeli przy bańkach. Czy rozpieścił ich szpital, czy po prostu udawali delikatnych — nie wiem już, jak to

wy tłumaczyć. Co prawda, nasze bańki były osobliwe. Maszynkę, która momentalnie przecina skórę, felczer kiedyś, za świętej pamięci, zgubił czy zepsuł, albo może sama się zepsuła, wobec czego teraz musiał już robić nacięcia na ciele lancetem. Dla każdej bańki robi się około dwunastu takich nacięć. Maszynka czyni to bezboleśnie. Dwanaście nożyków uderza błyskawicznie, na raz, i bólu się nie czuje. Inna sprawa — nacinanie lancetem. Lancet kraje stosunkowo bardzo powoli, pacjent czuje ból, a ponieważ przy dziesięciu na przykład bańkach trzeba zrobić sto dwadzieścia takich nacięć, więc wszystko to razem, ma się rozumieć, jest dotkliwie. Doświadczyłem tego na sobie, ale chociaż było to bolesne i przykre, jednak nie tak, żeby się nie można było powstrzymać od jęków. Czasami aż śmiesznie było patrzeć na jakiegoś ćwika i drągala, który się krzywi i zaczyna mazgać. Na ogół przypominało to człowieka, który w ciężkich okolicznościach umie się zdobyć na hart i spokój, ale u siebie w domu, gdy nie ma nic do roboty, narzeka i grymasi, nie je tego, co mu podają, urąga i wymyśla; nic mu nie dogadza, wszyscy mu dokuczają, wszyscy mu uwłaczają, wszyscy go męczą — słowem „chleb go bodzie”, jak niekiedy mówią o takich, skądinąd spotykanych i wśród prostych ludzi; w naszym zaś więzieniu, wobec ustawicznego przestawiania wszystkich ze wszystkimi, powtarza się to aż nazbyt często. Zdarzało się w izbie, że koledzy zaczynają droczyć takiego delikacika, a ten i ów zeklnie go wręcz; wtedy tamten milknie wreszcie, jak gdyby istotnie zwlekał z zaniechaniem jęków, aż go ktoś zeklnie. Najbardziej nie znosił tego Ustiancew i nigdy nie pomijał okazji wyłajania pieszczoszka. Bo i w ogóle nigdy nie omieszkał ściać się z kimś. Była to jego rozkosz, jego potrzeba — skutek choroby, naturalnie, lecz poniekąd i skutek tępoty. Najpierw patrzy serio i badawczo, potem spokojnym, pełnym przekonania głosem zaczyna pouczać. We wszystko się wtrącał; myślałby kto, że mu zlecono pilnować u nas porządku czy powszechnej moralności.

— Nic nie przepuści — mawiali więźniowie ze śmiechem. Szczędzono go zresztą, unikano z nim utarczek i tylko czasem strojono sobie żarty.

— A to ci nagadał! Nie wywiozłoby się tego na trzech furach.

— Jak to nagadałem? Może mam czapkować durniowi? Czego wrzeszczy pod lancetem? Jak kto lubi miodek, niech też lubi chłodek, niechaj cierpi.

— Ale co tobie do tego?

— Nie, bracia — przerwał jeden z więźniów — bańki to głupstwo; wiem, bom próbował; za to nie ma gorszego bólu, jak kiedy długo ciągną człowieka za ucho.

Wszyscy się roześmiali.

— Alboż ciebie ciągnęli?

— Myślisz, że nie? Ciągnęli, chyba!

— To pewno dlatego ucha tak ci sterczą.

Ten więzień, Szapkin, rzeczywiście miał przydługie, sterczące uszy. Był to włóczęga, młody jeszcze, setny zuch, ścichapek, zawsze mówiący z jakimś ukrytym, poważnym humorem, co dodawało wiele komizmu niektórym jego opowiadaniom.

— Skądże miało mi strzelić do łba, że ciągnęli cię za ucho? Skąd miałem wpaść na taki pomysł, bęcwale jeden? — znowu wtrącił Ustiancew, zwracając się z oburzeniem do Szapkina, jakkolwiek ten nie mówił bynajmniej do niego, tylko do wszystkich w ogóle, ale Szapkin ani spojrzał na Ustiancewa.

— I któż to ciebie ciągnął? — zapytał ktoś.

— Kto? Wiadomo kto: sprawnik. Chodziło o włóczęgostwo, bracia. Przyszliśmy wtenczas do K., a było nas dwóch, ja i jeszcze jeden, też włóczęga, Jefim bez nazwiska. Po drodze trochęmy skubnęli u jednego chłopca we wsi Tołmina. Jest taka wieś, Tołmina się zowie. Ano, przychodzimy, rozglądamy się: może by co zwędzić i nogi za pas. Gdzie pola — tam wola, gdzie miasto — tam ciasno, wiadoma rzecz. Ano, najsamprzód wstąpiliśmy do karczmy. Patrzymy. Podchodzi do nas jakiś obszarpaniec, na łokciach dziury, odzież niemiecka. To, owo. — „Przepraszam bardzo, powiada, jesteście przy paszportach?” — „Nie, powiadamy, bez paszportów.” — „Uhm. I my podobnie. Mam tu jeszcze dwóch przyjacieli, powiada, którzy podobnie służą u generała Kukulskiego.⁵ Owóż śmiem oświadczyć, jakośmy krzynekę pohulali, a forsy na razie nie mamy. Prosimy postawić nam łaskawie półkwarcie.”

— „Cała przyjemność po naszej stronie, powiadam.” — Ano, golnęliśmy. I wskazali nam oni jedną sprawę, w naszej poniekąd branży. Na skraju miasta był dom, a w tym domu mieszkał bogaty mieszczanin — wszelkiego dobra huk — więc umyśliliśmy odwiedzić go w nocy. Tylko w tym ci sęk, że onej nocy przyskrzynili nas wszystkich pięciu u tego bagatego mieszczanina. Wzięli nas do cyrkułu, a potem do samego sprawnika. Sam ich przepytam, powiada. Wchodzi z fajką, niosą za nim filiżankę herbaty; chłop jak tur, z faworytami. Usiadł. A tymczasem oprócz nas przyprowadzili jeszcze trzech, też włóczęgów. A włóczęga, bracia, to śmieszny człowiek: nic nie pamięta, choćbyś mu kołki ciosał na głowie, wszyściutko zapomniał, nic nie wie. Sprawnik od razu do mnie. „Kto zacz?” — ryczy jak z beczki. Ja, wiadomo, to samo co wszyscy: że niby nic nie pamiętam, wasza wielmożność, wszystkim zapomniał. „Czekaj, powiada, z tobą pogadam jeszcze, znam skądciś twoją gębę” — i wytrzeszcza na mnie gały. A ja go jako żywo nie widziałem na oczy. Potem do drugiego: „Tyś co za jeden?”

„Hała-drała, wasza wielmożność.”

„Takie masz nazwisko? Hała-drała?”

„Takie mam nazwisko, wasza wielmożność.”

„No dobrze, tyś jest hała-drała; a ty?” — mówi do trzeciego.

„A ja za nim, wasza wielmożność.”

„Ale jak się nazywasz?”

„Właśnie tak się nazywam: «A ja za nim», wasza wielmożność.”

„Któż cię tak nazwał, łajdaku?”

⁵ Czyli w lesie, gdzie kuka kukułka. Ma to znaczyć, że oni także są włóczęgami. (przyp. autora)

„Dobrzy ludzie tak mnie nazwali, wasza wielmożność. Dobrzy ludzie są wszędzie, wasza wielmożność, wiadoma rzecz.”

„I cóż to za dobrzy ludzie?”

„Zdziebkom zapomniał, wasza wielmożność; proszę darować łaskawie.”

„Wszystkich zapomniałeś?”

„Wszystkich zapomniałem, wasza wielmożność.”

„Ale przecież miałeś ojca i matkę, co?... Ich chyba pamiętasz?”

„Musić miałem, wasza dostojność, ale takżem krzynekę zapomniał; może i miałem, wasza wielmożność.”

„Gdzieżeś mieszkał dotychczas?”

„W lesie, wasza wielmożność.”

„Ciągłe w lesie?”

„Ciągłe w lesie.”

„No a zimą?”

„Zimy nie widziałem, wasza wielmożność.”

„A jak ci na imię?”

„Siekiera, wasza wielmożność.”

„A tobie?”

„Tocz na brusku, wasza wielmożność.”

„A tobie?”

„Powoluśku, wasza wielmożność.”

„Żaden z was nic nie pamięta?”

„Żaden, wasza wielmożność.”

Stoi, śmieje się, oni takż się uśmiechają, na niego patrzący. Bywa czasem, że i w pysk wyrżnie. A wszystko to chłopcy jak tury, spaśne, że strach. „Zaprowadzić ich do ostrogu, mówi, pogadam z nimi później, a ty zostań — powiada niby do mnie. — Chodź tutaj, siadaj!” Patrzą: stół, papier, pióro. Cóż to będzie? myślę sobie. „Siadaj na krześle, powiada, bierz pióro, pisz!” Tu złapał mnie za ucho i dalejże ciągnąć. Ja na niego patrzę jak diabeł na klechę. „Nie umiem, wasza wielmożność” — powiadam. — „Pisz!”

„Litości, wasza wielmożność!” — „Pisz! jak umiesz, tak pisz!” I ciągnie mnie za ucho, ciągnie, a raptem jak ci nie zakręci. Powiadam wam, bracia, lżej by mi było, żeby mi wrzepił trzysta różeg; aż mi się iskry posypały ze ślepiów — pisz i basta! — Najadł się chyba blekotu czy co, u licha?

— Nie, blekotu się nie najadł. Tylko że niedługo przedtem pisarczyk w T-ku splatał figla: buchnął skarbowe pieniądze i w nogi; a uszy także miał odstające. Wysłali za nim listy gończe. Z rysopisu trochę jakby ja, więc ten sprawnik chciał spenetrować, czy umiem pisać i jak piszę.

— Ładny kwiat! Bolało?

— Toć mówię, że bolało.

Rozległ się ogólny śmiech.

— No, i napisałeś?

— Bogać tam! Jąłem wodzić piórem, wodzę, wodzę po papierze, więc mi wreszcie dał spokój. Przedtem, ma się wiedzieć, z dziesięć razy zajechał mnie po gębie, potem odesłał do ostrogu.

— Alboż umiesz pisać?

— Dawniej umiałem, ale jak zaczęli pisać piórami, tom się oduczył...

Na takich oto opowiadaniach lub raczej na takiej gadaninie upływał niekiedy nasz nudny czas. Jezu, cóż to była za nuda! Dnie długie, duszne, podobne do siebie jak dwie krople wody. Żebyż choć jaka książka! A jednak, zwłaszcza na początku, często chodziłem do szpitala, czasami chory, czasami tylko żeby poleżeć; uciekałem od ostrogu. Ciężko tam było, jeszcze ciężej niż tutaj, moralnie ciężej. Złość, wrogość, swary, zawiść, bezustanna dokuczliwość w stosunku do nas, szlachty, złe, zaciekle twarze. Tu zaś, w szpitalu, wszyscy byli na równiejszej stopie, żyli bardziej po przyjacielsku. Najsmutniejszą porą całej doby był wieczór, przy świecach, oraz początek nocy. Na spoczynek udają się wcześnie. Daleko przy drzwiach mdła lampka nocna świeci jaśniejszym punktem, w naszym zaś końcu izby jest półmrok. Robi się duszno i smrodliwie. Ten i ów nie może zasnąć, wstaje i z półtorej godziny siedzi na posłaniu, zwisiwszy głowę w szlafmocy, jakby rozmyślał o czymś. Patrząc na niego całą godzinę i usiłuję zgadnąć — żeby również zabić jakoś czas — o czym on дума. Albo zaczynam marzyć, wspominać przeszłość; w imaginacji powstają szerokie i barwne obrazy, przypominają się takie szczegóły, których bym kiedy indziej sobie nie przypomniał, nie odczułbym ich tak, jak obecnie. To znów roję o przyszłości: jak wyjdę z katorgi? Dokąd? Kiedy to będzie? Czy wrócę kiedykolwiek w rodzinne strony! Dumam, dumam, i w duszy budzi się nadzieja... To znów po prostu zaczynam liczyć raz, dwa, trzy i tak dalej, żeby wśród tej rachuby zasnąć. Czasami liczyłem do trzech tysięcy i nie zasypiałem. Oto ktoś się obraca na łóżku. Ustiancew zakaszlał swoim zgniłym, suchotniczym kaszlem, potem słabo jęczy, a za każdym razem powtarza: „Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu!” I dziwnie brzmi ten chory, rozklekotany, zawadzający głos pośród ogólnej ciszy. A tam w kąci dwóch ludzi także nie śpi i rozmawia w łóżkach. Jeden zacznie coś opowiadać o kolejach swego życia, o sprawach dalekich, minionych, o włóczędze, o dzieciach, o żonie, o dawnych porządkach. Już z samego odległego szeptu znać, że to wszystko, o czym opowiada, nigdy do niego nie powróci, że on sam, opowiadacz, jest amputowanym kikutem; drugi słucha. Słysząc tylko cichy, równomierny szept, jakby woda ciurczała gdzieś daleko...

Pamiętam, kiedyś w długą noc zimową wysłuchałem pewnej opowieści. Z początku wydała mi się snem, jak gdybym leżał w gorączce i jakby mi się to wszystko przywidziało w malignie, w majaczeniu...

IV. Mąż Akulki

(Opowiadanie)

Było późno, gdzieś około północy. Zasnąłem zrazu, ale się nagle obudziłem. Mdłe, drobne światełko odległej lampki nocnej ledwie rozwidniało izbę... Niemal wszyscy już spali. Spał nawet Ustiancew, i w ciszy słysząc było, jak mu ciężko oddychać i jak przy każdym oddechu bulgocze mu w gardle flegma. Daleko, w sieni, znienacka rozległy się ciężkie kroki zbliżającej się zmiany warty. Karabin szczęknął o podłogę. Otwarto drzwi. Gefrajter, stąpając ostrożnie, policzył chorych. Po chwili izbę zamknięto, postawiono nowego wartownika, straż odeszła, i znów zaległa cisza. Dopiero teraz zauważyłem, że nie opodał, po mojej lewej ręce, dwóch chorych nie śpi i rozmawia ze sobą szeptem. Zdarzało się to w izbach: czasem przez długie dni i miesiące jeden leży tuż obok drugiego i nie puszcza pary z ust, aż raptem rozgadają się w nocnej, pobudzającej do szczerości godzinie i jeden pocznie wykladać drugiemu całą swą przeszłość.

Snadź już dawno rozmawiali. Początku jakoś nie złapałem, a i teraz nie wszystko mogłem dosłyszeć; z wolna, wszakże osłuchalem się i jałem rozumieć wszystko. Sen się mnie nie imał: cóż więc miałem robić, jeżeli nie słuchać?... Jeden opowiadał z zapalem, półleżąc na łóżku, uniósłszy głowę i wyciągając szyję w kierunku towarzysza. Był widocznie zgorączkowany, podniecony, chciało mu się opowiadać. Słuchacz posępnie i najzupełniej obojętnie siedział na swym łóżku z wyciągniętymi nogami, z rzadka mruczał coś w odpowiedzi czy na znak uwagi, ale zdawał się to robić raczej dla przyzwoitości niż z istotnego zaciekawienia, i raz po raz zażywał niuch tabaki. Był to Czerewin, żołnierz z rotu poprawczej, człowiek pod pięćdziesiątkę, ponury pedant, zimny rezoner i zarozumiały głupiec. Opowiadający Szyszkow był młodym jeszcze, niespełna trzydziestoletnim więźniem cywilnym, pracującym w szwalni. Dotychczas mało zwracałem nań uwagi; a i później, przez cały czas pobytu w więzieniu, niezbyt się nim interesowałem. Był to chimeryczny lekkoduch. Czasem milczy, patrzy wilkiem, zachowuje się gburowato, całymi tygodniami nic nie gada. Potem znienacka uwikła się w jakąś historię, zacznie plotkować, unosić się z byle powodu, łązi z koszar do koszar, powtarza wiadomości, wygaduje na wszystkich, po prostu wyłazi ze skóry. Dostanie wreszcie po karku i znowu milczy. Tchórzliwy był i nijaki. Wszyscy odnosili się do niego z pogardą. Niewysokiego wzrostu, chuderlawy; oczy niespokojne, to znowu jakoś tępo zadumane. Zdarzało mu się coś opowiadać: zaczyna gorąco, z ogniem, wymachuje rękoma — a naraz urwie albo zboczy na co innego, da się porwać nowym szczegółom i zapomni, o czym miał mówić. Często wymyślał, a w kłótni koniecznie musiał robić człowiekowi gorzkie wyrzuty, wypominać mu swoje krzywdy, gadał, gadał, omal nie płakał... Niezłe grał i lubił grać na bałabajce, a w święta nawet tańczył, i to wcale dobrze, gdy go do tego przymuszono... Bardzo łatwo było go do czegoś przymusić... Nie żeby był znowu taki posłuszny, ale miał uspo-

sobienie towarzyskie i lubił narzucać się kolegom, a ponieważ był towarzyski, chciał się przypodobać.

Długo nie mogłem zmiarkować, o czym opowiada. Zdawało mi się zrazu, że wciąż odbiega od tematu i mówi o rzeczach postronnych. Może czuł, że Czerewina prawie nic a nic nie obchodzi jego opowieść, lecz bodaj celowo chciał sobie wmówić, że słuchacz jest bardzo przejęty, i może bardzo by go zabolalo, gdyby stwierdził, że jest inaczej.

— ...Jak wyjdzie na rynek — ciągnął dalej — wszyscy mu się kłaniają, bo wiedzą, że to bogacz.

— Miał handel, powiadasz?

— Ano tak, handel. W naszych miasteczkach bida z nędzą, grosz za groszem goni. Żeby podlać w ogrodzie, baby noszą wodę Bóg wie skąd, aże z rzeki; harują, robią bokami, a pod jesień i tak nie mają co włożyć do garnka. Golizna. No a on miał ładny szmat gruntu, orał parobkami, trzymał ich trzech, a do tego własna pasieka, handlował miodem i bydlęm, więc też wszyscy go u nas bardzo uważali. Stary był strasznie, siedemdziesiąt lat, kości zrobiły mu się ciężkie; siwy, duży taki. Jak wyjdzie w lisiej szubie na rynek, to go wszyscy honorują. Honorują, powiadam ci. „Witamy, ojczulku Ankudimie Trofimyczu!” — „Witam” — powiada. Nikomu nie grał na nosie. „Żyj nam długie lata, Ankudimie Trofimyczu!” — „A co słyhać u ciebie?” — zapyta. — „Et, szkoda gadać: ja to jak groch przy drodze; ale co u ciebie, ojczulku?” — „Ano, chwalić Pana Boga, żyję sobie powoluśku.” — „Żyj nam długo, Ankudimie Trofimyczu!” Nikim nie gardził, bracie, a jak co powie, to każde słowo rubla warte. Pobożny był, na drukowanym się znał, czytał same świątobliwe książki. Posadzi swoją starą przed sobą: „Słuchaj, żono, karbuj w myśli!” I nuże prawić. A ta stara nie bardzo była stara, wziął ją sobie drugą, jako że z pierwszą nie miał dzieci. No, a z tą drugą, niby z tą Marią Stiepanowną, miał dwóch niedorosłych jeszcze synów; młodszy, Wasia, urodził się, jak ojciec miał sześćdziesiąt lat, Akulka zaś, córka, najstarsza ze wszystkich, miała lat osiemnaście.

— To niby twoja żona, nie?

— Czekaj, napierw Filka Morozow napaskudzi. „Słuchaj no, powiada Filka do Ankudima: rób podział, dawaj mi wszystkie czterysta rubli, bom ja nie twój parobek. Nie chcę z tobą handlować, powiada, i nie chcę, powiada, brać twojej Akulki. Ja się teraz zbisurmaniłem, powiada. Rodzice mię teraz odumarli, powiada, więc pieniądze przepiję, a później pójdę do wojska, a za dziesięć lat przyjadę do was jako feldmarszałek.” Więc Ankudim zwrócił mu pieniądze, rozliczył się z nim na czysto — bo to jeszcze jego ojciec miał ze starym wspólny kapitał w interesie. — „Widzę, Filka, że nic z ciebie nie będzie” — powiada. A ten mu na to: „Albo nie będzie, albo będzie, a przy tobie, dziadygo, człowiek by się nauczył czerpać mleko szydłem. Trzęsiesz się nad każdym groszem, powiada, zbierasz każde świństwo, że może ci się przydać do polewki. Ja na to gwizdzę, powiada. Człowiek ciula, ciula, a pusta szkatuła. Ja mam charakter, powiada. Akulki zaś twojej nie wezmę: już i bez tego sypiałem z nią...”

„Nie waż mi się dyfamować uczciwej córki uczciwego ojca! — powiada Ankudim. — Kiedyżes z nią sypiał, ty węzowe ucho, ty szczupacza jucho?!” — I aż dygocze cały. Filka tak opowiadał.

„Ba, nie tylko za mnie; zrobię tak, że teraz wasza Akulka nie wyjdzie za nikogo, nikt jej nie weźmie. Mikita Grigoricz też jej nie weźmie, bo jest teraz zbezczeszczona. Już od jesieni żyjemy ze sobą. Ja teraz ani za sto papierków się nie zgodzę. Chcesz spróbować, to mi wyłóż sto papierków — nie zgodzę się...”

I jak ci nie zaczął bumblować, aż ziemia jęczy, aż miasto huczy! Dobrał sobie koleżków, pieniędzy ma jak lodu, trzy miesiące hulał, wszyściuteńko przepułał. „Jak mi się skończą pieniądze, powiada, sprzedam dom, wszystko sprzedam, a później albo do wojska, albo do lasu!” Od rana do nocy pijany, jeździł parą koni z dzwoneczkami. Dziewuchy za nim przepadały. Ładnie grywał na bandurze.

— Więc już i wprzód miał sprawę z Akulką, powiadasz?

— Stój, poczekaj. Ja także wtenczas pogrzebałem ojca, a matka piekła pierniki, pracowała dla Ankudima, z tegośmy żyli. Cienkośmy przędli. Ha, miało się splechetek gruntu za lasem, siało się żytko, ale jak ojciec umarł, wszystko poszło z wiatrem, bom ja także zaczął hulać, bracie. Biciem domagałem się pieniędzy od matki...

— Jeżeli biciem, to nieładnie. Ciężki grzech.

— Od rana do nocy, bracie, bywałem urżnięty. Dom nasz uszedłby od biedy, niczego sobie, ciasny, ale własny, tylko że w izbie pusto jak na klepisku. Przymierało się głodem, po całych tygodniach gryzło się suchary. Czasem matka psioczy na mnie, psioczy, a ja ani dbam!... Na krok, bracie, nie odstępowałem wtenczas Filki Morozowa. Od rana do nocy razem. „Graj mi na gitarze i tańcz, powiada, a ja będę leżał i ciskał w ciebie pieniędzmi, jako żem najbogatszy człowiek.” I czego też nie wyprawiał! Tylko kradzionych rzeczy nie przyjmował: „Nie jestem złodziej, powiada, uczciwy człowiek jestem. Chodźmy, powiada, wysmarujmy dziegiem Akulczyne wrota, nie chcę, żeby się Akulka wydała za Mikitę Grigoricza. To dla mnie teraz najważniejsze” — powiada. A stary jeszcze wprzódy chciał wydać dziewczynę za Mikitę Grigoricza. Mikita też był w podeszłych latach, wdowiec, chodził w okularach, handlował. Jak usłyszał, że ludziska obnoszą Akulkę na językach, to zaraz się cofnął: „Ankudimie Trofimyczu, powiada, to dla mnie będzie wielki despekt, a przy tym jużem leciwy, gdzie mi się żenić!” No, więcemy wysmarowali Akulce wrota. Oj, ćwiczyliż ją za to w domu, ćwiczyli... Maria Stiepanowna krzyczy: „Ze świata cię zgładzę!” A stary: „Dawnymi czasy, powiada, za świątobliwych patriarchów, spaliłbym ją na stosie, powiada, ale teraz, powiada, na całym świecie wszeteczeństwo i porubstwo.” Czasem sąsiedzi słyszą na całą ulicę, jak Akulka beczy wniebogłose, bo ją ćwiczą od rana do nocy. A Filka wrzeszczy na cały rynek: „Niech żyje panna Akulka, powiada, do tańca i do różańca! Gospodarna, czyściocha, chłopaków bardzo kocha! Mnie zaś, powiada, będzie pamiętała ani mniej, ani więcej, tylko dziewięć miesięcy.” Kiedyś spotykam Akulkę, szła z wiadrami, więc wołam: „Moje uszanowanie pannie Akulinie Kudimownie! Pięknie się panna ubrała, rad bym

wiedział, z kim sypiała!" Tyle tylko rzekłem, a ona jak ci spojrzy na mnie — oczyska wielkie, a wychudła na szczapę. Popatrzyła się na mnie, a jej matka myślała, że to jakieś prześmiechy ze mną, i drze się od przyzby. „Czego szczerzysz zęby, ladaco!" I tegoż dnia znowu zaczęła ją ćwiczyć. Czasami ćwiczy ją całą godzinę. „Zatłukę, powiada, bo jej teraz nie mam za córkę."

— Łajdaczyła się, co?

— Czekaj, słuchaj dalej. Żeśmy wtenczas trąbili z Filką jak smoki, więc kiedyś leżę, a matka przychodzi do mnie: „Czego się wylegujesz, niecnoto, zbóju jeden!" Tak na mnie pomstuje. „Ożeń się, powiada, z Akulą się ożeń. Oni teraz i za ciebie radzi ją oddadzą. Samymi pieniędzmi dostaniesz trzysta rubli." A ja jej na to: „Przecież osławiona jest teraz na cały świat." „Głupiś — mówi matka — albo nie wiesz, że ślub wszystko przykrywa; dla ciebie to i lepiej, żeby całe życie czuła swoją winę. A my byśmy się obsprawili za jeich pieniądze; z Marią Stiepanowną jużem mówiła — powiada. Ona i owszem." — A ja: „Niech wyłożą na stół dwadzieścia rubli, powiadam, to się ożenię." I czy dasz wiarę? Aż do samego ślubu byłem w pestkę pijany. A tu jeszcze Filka Morozow wygraża: „Ty taki siaki, Akulczyn mężu, porachuję ci wszystkie żebra, a z twoją żoną, jeżeli zechcę, każdziuteńkiej nocy sypiał będę." Ja mu na to: „Łżesz, psiawiaro!" Ha, zniesławił mnie na całą ulicę. Przybiegam do domu: „Nie chcę się żenić, powiadam, jeżeli mi w tej chwili nie dołożą jeszcze pięćdziesięciu rubli!"

— A zgadzali się wydać ją za ciebie?

— Za mnie? Czemużby nie? Albo to ja byle kto? Mój ojciec dopiero pod koniec zbiedniał od pożaru, a wprzódy tośmy żyli jeszcze bogaciej jak oni. Ankudim powiada do mnie: „Goliście jak święci tureccy." Ja mu na to: „Nieskapo posmarowano wam wrota dziegciem." A on mi na to: „Czego się stawiasz? Zatkanąć ludziom gęby nie można; dowiedz, że dziewczyna jest bez czci. Masz wóz i przewóz; nie chcesz, to jej nie bierz, powiada. Tylko zwróć te pieniądze, coś je wziął" — powiada. Wtenczas zerwałem z Filką: dałem mu znać przez Mitria Bykowa, że go teraz zniesławię na cały świat; no i aż do ślubu, bracie, leżałem pijany. Dopiero wtedy wytrzeźwiałem. Jak przywieźli nas z cerkwi i posadzili, Mitrofan Stiepanycz, niby jej wujek, powiada: „Choć nie bardzo honorowo, ale stało się i nie odstanie"... Stary, niby Ankudim, też był urżnięty i zapłakał; siedzi, łzy mu spływają po brodzie. Owóż, bracie, zrobiłem wtenczas tak: jeszcze przed ślubem wziąłem do kieszeni harap i z góry sobie umyślił, że teraz dam Akulce za wszystkie czasy: niechaj wie, jak to wychodzić za mąż bezecnym podstępem, a ludzie niechaj wiedzą, żem się nie po głupiemu żenił...

— Racja! Niech kobieta zna mores...

— Nie, milcz na razie. W naszych stronach od razu z cerkwi prowadzą państwa młodych do komory, a goście tymczasem piją. No, więc zostawili nas z Akulką w komorze. Siedzi biała jak płótno. Strach ją obleciał. Włosy też miała bieluchne jak len. Oczyska duże. I wiecznie milczy, nie słyhać jej głosu, jakby to niemowa mieszkała w domu. Strasznie dziwna. No i co powiesz, bracie

kochany: przysposobiłem harap, położyłem go tuż przy łóżku, a tymczasem okazało się, że dziewczyna Bogu ducha winna.

— Ejże?!

— Bogu ducha winna; uczciwa panna z uczciwego domu. I za cóż tedy, bracie mój, zniosła taką męczarnię! Za cóż ją Filka Morozow haniebnie zniesławił?

— Tak.

— Zeszłem wtenczas z łóżka, ukląknęłam, złożyłam ręce: „Akulino Kudimowno, powiadam, daruj mnie głupiemu, żem cię miał za taką. Daruj mnie podłemu!” — powiadam. A ona siedzi przede mną na łóżku, spoziera na mnie, obie ręce położyła mi na ramionach, śmieje się, a łzy jej płyną z oczu; śmieje się i płacze... Wyszedłem wtenczas do wszystkich i powiadam: „Jak spotkam teraz Filkę Morozowa, niech się pożegna ze światem!” A starzy sami już nie wiedzą, jak dziękować Bogu: matka mało nie padła jej do nóg, beczy. A stary powiada: „Żebyśmy wiedzieli, to byśmy ci wyszukali nie takiego męża, ukochana córko.” A jakeśmy pierwszej niedzieli poszli z nią do cerkwi: na mnie barankowa czapka, kaftan z przedniego sukna, manczestrowe portki; ona w nowej lisiej szubce, w jedwabnej chusteczce — jam wart jej, ona mnie: w korcu makuśmy się dobrali! Ludzie nas podziwiają: ja jak ja, ale Akulinka nikomu by wstydu nie zrobiła!...

— Ano, to i pięknie.

— Ha, słuchaj dalej. Zaraz na drugi dzień po weselu, choć pijany, uciekłem od gości; wyrwałem się i biegnę: „Dawajcie mi tu łajdaka Filkę Morozowa, powiadam, dawajcie mi tu psubrata!” Drę się na cały rynek! No, bo mi szumiało w głowie; dopiero przy Własowach złapało mnie trzech chłopca i siłą zaprowadziło do domu! A w mieście huczy jak w ulu. Dziewczęta na rynku szepczą jedna do drugiej: „Dziewuszki, sikorki, czyście słyszały? Akulka jest uczciwa.” A Filka w krótki czas potem mówi do mnie przy ludziach: „Sprzedaj żonę — będziesz miał na wódkę. Nasz żołnierz Jaszka po to się tylko żenił: z żoną nie sypiał, a trzy lata miał na wódkę.” — „Drań jesteś!” — powiadam mu. — „A tyś gamoń, powiada. Ożenili cię po pijanemu. Więc czyżeś się wtedy mógł rozeznąć w takiej rzeczy?” Przyszedłem do domu i krzyczę: „Ożeniliście mnie pijanego!” — powiadam. Matka skacze mi do oczu. „Matko — powiadam — zatkali ci uszy złotem. Dawaj mi Akulkę!” No i zacząłem ją tyrpać. Tyrpałem ją, bracie, ze dwie godziny, ażem się sam zwałił z nóg; trzy tygodnie z łóżka nie wstawała.

— Pewno — wtrącił Czerewin flegmatycznie — jak kobiety nie bić, to kobieta... Zaszleś ją z amantem, co?

— Nie, zająć nie zaszłem — odparł Szyszkow po chwili milczenia i jakby z wysiłkiem — ale było mi to ku obrazie: ludzie się naśmiewają, a wszystkim przewodzi Filka. Zaprosił nas do siebie i tak wyplantował: „Małżonka jego — powiada — jest miłosierna, litująca, każdemu usłużyć chcąca! A pamiętasz, chłopie, jakeś jej wrota smarował dziegiem?!” Siedziałem pijany, a on mnie łapu capu za włosy, nachylił w dół i powiada: „Tańcuj, Akulczyn mężu, a ja cię będę targał za czub, a ty mi tańcuj, zabawiaj mnie.” „Łajdaku!” — wołam. A on: „Przyjadę do ciebie z

kompanią i przy tobie będę siekł różgami Akulkę, twoją żonę, ile mi się będzie podobało." Czy dasz wiarę? Cały miesiąc potem bałem się wyjść z domu: gotów przyjechać, myślę sobie, wstydu narobić. I właśnie za to zacząłem ją bić...

— Po cóż bić! Można ludziom związać ręce, ale nie języki. Za dużo bić się nie godzi. Owszem, ukarzać, nauczyć rozumu, ale później przyhołub. Od tego żona.

Szyszkow milczał jakiś czas.

— Krzywdowałem sobie — podjął na nowo — no i weszło mi to we zwyczaj: w poniek który dzień biję od rana do nocy — a to że nie tak wstała, a to że nie tak się ruszyła. Jak nie obiję, to mi się ckną. Ona czasem siedzi, milczy, wygląda przez okno, płacze... Płacze tak, że mi się jej robi żal, ale swoją drogą biję. Matka, bywało, laje mnie za nią: „Zbóju jeden, powiada, hałaburdo sakramencki!” — „Zabiję! — krzyczę — i niech mi się nikt nie waży nic gadać, bo ożenili mnie podstępem.” Z początku stary Ankudim ujmował się za nią, sam przychodził: „Nie takiś znowuż jaśnie pan — powiada — znajdę na ciebie prawo!” Ale potem dał spokój. A Maria Stiepanowna całkiem się upokorzyła. Przychodzi kiedyś, zaklina ze łzami w oczach: „Przebac, Iwanie Siemionyczu, że ci się naprzykrzam. Sprawa drobna, ale prośba wielka. Miej Boga w sercu — kłania mi się — daruj, daruj jej! Żli ludzie oczernili naszą córkę: sam wiesz, żeś ją wziął uczciwą...” Kłania mi się do nóg, szłocha. A ja nosa zadzieram i o niczym nie chcę słyszeć. „Zrobię teraz z wami co mi się podoba, bo nie panuję nad sobą; a Filka Morozow, powiadam, jest mi przyjacielem i druhem od serca...”

— Znowuście razem hulali?

— Skąd! Bez kija nie przystępuj do niego! Rozpił się z kretelem. Wszystko przepuścił i sprzedał się mieszczaninowi, że pójdzie do wojska zamiast jego starszego syna. A jest u nas taki zwyczaj, że jak się kto sprzedaje za rekruta, to aż do dnia, kiedy go odstawią do wojska, wszystko w domu powinno leżeć przed nim plackiem, i on nad wszystkim panuje. Całą gotówkę dostaje dopiero, kiedy idzie do wojska, przedtem zaś mieszka w domu gospodarza, mieszka czasem i po pół roku, i wyprawia wtedy takie rzeczy, że nie spisze na wołowej skórze! Że niby: idę do wojska za twojego syna, znakiem tego jestem wasz dobroczyńca, więc powinniście mnie wszyscy szanować, bo w przeciwnym razie zerwę umowę. Tak się Filka szarogęsi u tego mieszczanina, sypia z jego córką, dzień w dzień po obiedzie targa go za brodę — słowem, dogadza sobie na potęgę. Dzień w dzień żąda łaźni, i żeby mu tam na rozżarzoną blachę lali wódkę, i żeby go do łaźni zanosili na własnych rękach kobiety. Jak wróci z hulanki do domu, staje na ulicy: „Nie chcę wejść przez bramę, rozbierajcie płot!” i muszą rozebrać płot w drugim miejscu, dalej od bramy, dopiero wtenczas wejdzie. Wreszcie skończyło się to, mieli go odwieźć do wojska, wytrzęźwili go. Luda zebrało się co niemiara: wiozą do wojska Filkę Morozowa! On się kłania na wszystkie strony. Akulka wtenczas akurat szła z ogrodu; jak Filka ją zoczył tuż przy naszej bramie: „Stój! — woła, zeskoczył z wozu i bije jej pokłon do ziemi! — Duszo moja, powiada, jagódko, kochałem cię dwa lata, a teraz wiożę mnie z muzyką do wojska. Daruj mi, powiada, uczciwa córko uczciwego

ojca, albowiem oszkalowałem cię podle!" I drugi raz pokłonił jej się do ziemi. Akulka stanęła, struchlała najpierw, a potem pokłoniła mu się w pas i mówi: „Ty także mi daruj, pocziwy zuchu, ja do ciebie nie mam nijakiej złości." Ja za nią do chaty: „Cóżeś to mu rzekła, ścierwo sobacze?" — A ona — czy dasz wiarę? — spojrzała na mnie: „Ależ ja go teraz miłuję nad życie!" — powiada.

— A to ci dopiero!...

— Przez cały ów dzień słowa do niej nie rzekłem... Dopiero nad wieczorem: „Akulka! Teraz cię ubiję" — powiadam. W nocy nie mogłem spać, wyszłem do sieni napić się kwasu, widzę, ma się już ku świtaniu. Wracam do izby. „Akulka — powiadam — wybieraj się, pojedziem na poletko." Bo już i wprzód wybierałem się tam, i matka wiedziała, że pojedziem. „Co to, to dobrze — powiada matka — roboty huk, a parobek ponoć już trzeci dzień nie może tam sobie dać rady." Zaprzęgam wóz, milczę. Jak wyjedziesz z naszego miasta, to zaraz masz bór na piętnaście wiorst, a za borem nasze poletko. Ze trzy wiorsty ujechaliśmy borem, zatrzymuję konia: „Akulka, powiadam, wstawaj, nadszedł twój koniec." Spoziera na mnie, drży cała, stanęła przede mną, milczy. „Sprzykrzyłaś mi się, powiadam: módl się!" I cap ją za włosy: miała takie długie, grube warkocze, omotałem je sobie na rękę, od tyłu ścisnąłem ją z obu stron kolanami, wziąłem nóż, odchyliłem jej głowę w tył i jak harapnę ją nożem po gardle... Ona jak ci krzyknie, krew jak ci tryśnie; rzuciłem nóż, uchwyciłem ją rękami z przodu, ległem na ziemi, objąłem ją i krzyczę nad nią, wyję; i ona krzyczy, i ja krzyczę; dygocze cała, szarpie mi się w rękach, a krew chlusta na mnie, chlusta na twarz, na ręce, chlusta a chlusta. Zostawiłem ją, strach mnie obleciał, konia zostawiłem — i w nogi; opłotkami przydrałowałem do domu i od razu do łaźni: łaźnię mieliśmy starą, nie używaną; wlałem tam pod ławę i siedzę. Do nocy tam przesiedziałem.

— No a Akulka?

— Ona widać po mnie wstała i też poszła do domu. Później znaleźli ją o sto kroków od tego miejsca.

— Widać nie dorznąłeś jej.

— Tak... — Szyszkow urwał na chwilę.

— Jest taka żyła — oświadczył Czerewin — jak od razu tej żyły nie przeciąć, to się człowiek będzie miotał, i choćby nie wiem ile krwi wyciekło, nie zemrze.

— Jednakowoż zmarła. Wieczorem znaleźli ją martwą. Dali znać, zaczęli mnie szukać i znaleźli tuż przed nocą, w łaźni!... A teraz czwarty już rok jestem tutaj — dodał po chwili milczenia.

— Hm... Pewno, jeżeli nie bić, nic dobrego z tego nie będzie — zaznaczył Czerewin z zimną krwią, sięgając po rozek z tabaką. Jął zażywać, długo i z przerwami. — Ale z tego wszystkiego widzę, chłopie — ciągnął dalej — żeś porządnie głupi. Ja także zaszłem raz swoją żonę z kawalerem. Więcem zawołał ją do szopy; złożyłem postronek we dwoje. „Komu przysięgasz? — powiadam. — Komu przysięgasz?" I nuże ją prać, piorę ci ją tym postronkiem, prałem a prałem,

z półtorej godziny ją prałem, aż wreszcie kobieta krzyczy: „Nogi ci będę myła i tę wodę piła.”
Awdotia jej było.

V. Letnia pora

Lecz oto już początek kwietnia, już się zbliża Wielki Tydzień. Stopniowo rozpoczynają się letnie roboty. Słońce z każdym dniem coraz cieplejsze i jaśniejsze; powietrze pachnie wiosną i podnieca organizm. Nadchodzące piękne dni wzruszają nawet człowieka zakutego w kajdany, rodzą w nim jakieś pragnienia, dążenia, tęsknotę. Jak gdyby pod jarzącymi słonecznymi promieniami niewola doskwierała jeszcze gorzej niż w słotny dzień zimowy lub jesienny; i znać to na wszystkich więźniach. Są radzi z jasnych dni, ale zarazem wzmaga się w nich jakaś niecierpliwość, porywczosć. Doprawdy, zauważyłem, że na wiosnę bodaj częściej wybuchały u nas kłótnie. Częściej powstawał zgiewk, hałas, krzyk, bijatyki, a zarazem zdarzało mi się nagle spostrzec gdzieś na robocie czyjeś zadumane i uporczywe spojrzenie wędrujące w modrą dal, hen, na drugi brzeg Irtyszu, gdzie nieobjętą płachtą, na półtora tysiąca wiorst, ściele się wolny step kirgiski; zdarzało mi się usłyszeć czyjeś głębokie westchnienie, jakby ktoś ponad wszystko pragnął łyknąć tego dalekiego, wolnego powietrza i sprawić tym ulgę swej przybitej, zakutej duszy. — „Ech!” mówi w końcu więzień i raptem, jakby otrząsnąwszy się z marzeń i zadumy, niecierpliwie i ponuro chwyta rydel czy cegły, które trzeba przenieść z jednego miejsca w drugie. Po chwili zapomina już o tym nagłym wrażeniu i zaczyna się śmiać albo wymyślać, zależnie od charakteru; lub też znienacka zabiera się z niezwykłym zapalem, zupełnie przekraczającym potrzebę, do wyznaczonego sobie odcinka pracy i zaczyna pracować, pracować z całych sił, jak gdyby chciał ciężarem roboty stłamsić w sobie coś, co uwiera i rozpiera od wewnątrz. Wszystko to ludzie krzepcy, przeważnie w kwiecie wieku i sił... Jak ciężą wtedy kajdany! Nie poetyzuję w tej chwili i jestem przeświadczony o słuszności swego spostrzeżenia. Oprócz tego, że w ciepłe, w jaskrawym blasku słońca, gdy człowiek słyszy i czuje całą duszą całym jestestwem potęgę zmartwychwstającej wokół przyrody, jeszcze cięższym staje się więzienie, konwój i cudza wola — oprócz tego mówię, o tej właśnie wiosennej porze na całej Syberii i w całej Rosji, z pierwszym skowronkiem, rozpoczyna się włóczęgostwo: ludziska uciekają z więzień i uchodzą w lasy. Po dusznym lochu, po sądach, kajdanach i kijach włóczą się, gdzie dusza zapragnie, gdzie milej i swobodniej; piją i jedzą, co się da, co Bóg ześle, a po nocach spokojnie zasypiają gdzieś w lesie albo w polu, bez wielkiej troski, bez więziennej tęsknoty, jak ptaszki leśni, żegnając na noc tylko niebieskie gwiazdy, pod Bożym okiem. Któż by przeczył! Zapewne, czasem i ciężko bywa, i głodno, i trudno „służyć u generała Kukulskiego”. Całymi dniami czasem nie widzi się chleba; przed wszystkimi trzeba się kryć, chować, trzeba i kraść, i grabić, niekiedy zabijać. „Osiedleniec nie pyta — co zobaczy, to chwyta” — mówią na Syberii o karnych osiedleńcach. Przysłowie to w całej rozciągłości, a nawet w jeszcze większej mierze, daje się zastosować i do włóczęgi. Włóczęga rzadko nie jest bandytą, a prawie zawsze jest złodziejem, oczywiście raczej z musu niż z ochoty.

Są włóczędzy zatwardziali. Ten i ów ucieka nawet po odbyciu katorgi, już z osiedlenia. Zdawałoby się, że taki jest i zadowolony na osiedleniu, i ma zabezpieczony byt, ale gdzie tam! coś go ciągnie, coś go woła. Życie po lasach, życie nędzne i straszne, ale wolne i pełne przygód, ma jakiś powab, jakiś tajemniczy urok dla tych, co go już raz zakosztowali; i oto raptem ucieka człowiek, czasem nawet skromny, skrzętny, rokujący już nadzieje, że będzie dobrym osiadłym człowiekiem i rządym gospodarzem. Poniektóry żeni się nawet, dochowuje się dzieci, pięć lat mieszka w jednym miejscu, aż naraz któregoś pięknego poranka znika ku zdumieniu żony, dzieci i całej gminy, do której go przypisano. W naszym więzieniu towarzysze pokazali mi jednego z takich zbiegów. Nie popełnił żadnych szczególniejszych zbrodni, przynajmniej nic takiego nie było o nim słyhać, a wciąż uciekał, całe życie strawił na ucieczkach. Bywał i nad południową granicą rosyjską za Dunajem, i na stepie kirgiskim, i we wschodniej Syberii, i na Kaukazie — wszędzie bywał. Kto wie, może w innych okolicznościach jego pasja podróżnicza uczyniłaby zeń jakiegoś Robinsona Kruzoa. Zresztą wszystko to opowiadali mi o nim inni, on sam zaś rozmawiał mało i jedynie w razie koniecznej potrzeby. Był to bardzo drobny chłopina, już pod pięćdziesiątkę, nadzwyczaj potulny, o bardzo spokojnej a nawet tępej twarzy, spokojnej aż do idiotyzmu. Latem lubił siedzieć na słonku i zawsze nucił pod nosem jakąś piosenkę, ale tak cichutko, że o pięć kroków od niego nic już nie było słyhać. Rysy twarzy miał jak z drewna; jadł mało, przeważnie tylko chleb; jako żywo nie kupił sobie ani jednego kołacza, ani czarki gorzałki, może zresztą nigdy nie miał pieniędzy, może nawet nie umiał liczyć. Traktował wszystko z niezmaconym spokojem. Niekiedy własnoręcznie karmił więzienne psy, czego nikt inny nie robił. Bo i w ogóle Rosjanin nie lubi karmić psów. Podobno był żonaty, i to nawet dwukrotnie; mówiono, że gdzieś ma dzieci... Za co trafił do katorgi — nie wiem. Nasi wciąż oczekiwali, że i od nas da dęba, ale czy to, że czas jego jeszcze nie nadszedł, czy to, że wiek był już nieodpowiedni, dosyć że nie próbował ucieczki, jakoś kontemplacyjnie przyglądając się osobliwemu środowisku, które go otaczało. Zresztą nie można było za niego ręczyć, choć zdawałoby się, że po co ma uciekać? co by na tym zyskał? A jednak, mimo wszystko, na ogół biorąc, leśny żywot włóczęgowski jest rajem w zestawieniu z więziennym. Takie to zrozumiałe, że nawet nie można porównywać. Choć ciężka dola, ale własna wola. Oto czemu każdy więzień, jak Ruś długa i szeroka, gdziekolwiekby siedział, staje się niespokojny na wiosnę, z pierwszymi powitalnymi promieniami wiosennego słońca. Wprawdzie wcale nie każdy zamierza uciekać: można jednak twierdzić z całą pewnością, że ze względu na trudność i odpowiedzialność decyduje się na to ledwie jeden na stu, lecz pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu przynajmniej pomarzy sobie, jak uciec, dokąd uciec, przynajmniej sprawi sobie uciechę choćby pragnieniem, choć rojeniem o tej możliwości. Ten i ów przynajmniej wspomni, jak to już kiedyś uciekał... Mówię teraz wyłącznie o więźniach po wyroku. Lecz, naturalnie, daleko częściej decydują się na ucieczkę podsądni. Natomiast skazani na pewien termin, jeśli i uciekają, to tylko w początku swego uwięzienia. Po odbyciu zaś dwóch, trzech lat katorgi więzień zaczyna już cenić te lata i stopniowo

dochodzi do wniosku, że lepiej odbyć legalnie cały termin i wyjść na osiedlenie, niż się narazić na takie ryzyko i na taką zgubę w wypadku niepowodzenia. A niepowodzenie jest bardzo możliwe. Najwyżej co dziesiątemu udaje się odmienić swój los. Spośród więźniów po wyroku częściej niż inni ryzykowali ucieczkę skazani na zbyt długie terminy. Piętnaście, dwadzieścia lat — wydaje się nieskończonością — i człowiek skazany na taki termin stale gotów marzyć o odmianie losu, chociażby już odbył dziesięć lat katorgi. Wreszcie i piętna odwodzą poniekąd od prób ucieczki. Odmienić swój los — to zwrot techniczny. I więzień, któremu podczas indagacji zarzucają próbę ucieczki, odpowiada, że chciał odmienić swój los. Ten nieco książkowy zwrot jest tu nader stosowny. Celem każdego zbiega nie jest całkowite oswobodzenie — zbieg wie bowiem, że to jest prawie niemożliwe — lecz chęć, żeby się dostać albo do innego zakładu, albo na osiedlenie, albo ponownie pod sąd, z oskarżenia o nowe, już podczas włóczęgi popełnione przestępstwo — słowem, gdziekolwiek, byle tylko nie w dawne, obmierzłe miejsce, byle tylko nie do poprzedniego więzienia. Wszyscy ci zbiegowie, jeżeli w ciągu lata nie znajdą sobie jakiegoś przygodnego, niezwykłego miejsca, gdzieby mogli przeczimować, jeśli się na przykład nie natkną na kogoś, kto ciągnie zyski z ukrywania zbiegów, jeśli, wreszcie, nie sprokurują sobie czasem przez zabójstwo jakiegoś paszportu, z którym wszędzie można przeżyć — przeważnie wszyscy w jesieni, o ile ich przedtem nie wyłapią, sami zgłaszają się tłumnie do miast i twierdz, w charakterze włóczęgów, i idą na zimę do więzienia, oczywiście nie bez nadziei, że latem znów uciekną.

Ja także czułem na sobie działanie wiosny. Pamiętam, z jaką zachłannością wyglądałem niekiedy przez szpary w ogrodzeniu, długo stojąc z głową wspartą o nasz parkan, z uwagą nienasyconie patrząc, jak się na naszym wale fortecznym zieleni trawa, jak coraz głębszym szafirem świeci dalekie niebo. Mój niepokój, moja tęsknota rosły z każdym dniem, i katorga stawała mi się coraz bardziej obmierzła. Nienawiść, której jako szlachcic w ciągu kilku pierwszych lat ustawicznie doznawałem ze strony więźniów, była dla mnie nie do zniesienia. Zatrzuwała całe moje życie jadem. W tych pierwszych latach często szedłem, choć zupełnie zdrów, poleżeć w szpitalu, po to jedynie, żeby nie być w więzieniu, żeby się tylko wybawić od tej upartej, niczym nie dającej się ukoić, ogólnej nienawiści. „Wyście żelazne dzioby, wyście nas zadziobali!” — mówili do nas więźniowie, i jakże czasami zazdrościłem przychodzącym do nas prostym ludziom! Ci od razu byli ze wszystkimi na koleżeńskie stopie. Toteż wiosna, majak wolności, powszechna wesołość w przyrodzie budziły we mnie również jakiś smutek i rozdrażnienie. W końcu postu, w szóstym, zdaje się, tygodniu, wypadło mi przygotowywać się do przyjęcia sakramentów. Już od pierwszego tygodnia starszy podoficer podzielił nas w tym celu na siedem zmian, odpowiadających liczbie tygodni postu. Każda zmiana liczyła więc około trzydziestu ludzi. Tydzień przed przystąpieniem do sakramentów bardzo mi się spodobał. Zwolniono nas od robót. Chodziliśmy po dwa i trzy razy dziennie do cerkwi położonej niedaleko więzienia. Dawno nie byłem w cerkwi. Nabożeństwo wielkopostne, tak dobrze znane jeszcze z dalekiego dzieciństwa w domu rodzicielskim, uroczyste modły, bicie pokłonów — wszystko to ożywiało w mej duszy

dawne, dawne czasy, odświeżało dziecięce jeszcze wrażenia, i pamiętam, że bardzo mi było przyjemnie, kiedy z rana, po zmarzłej nocą ziemi, konwój z nabitymi karabinami prowadził nas do domu Bożego. Zresztą konwój nie wchodził do cerkwi. W cerkwi stawaliśmy ławą tuż przy drzwiach, na ostatnich miejscach, tak że ledwie było słycać diaka o potężnym głosie, no i z rzadka dostrzegało się poprzez ciżbę czarną szatę i łysinę kapłana. Przypominałem sobie, jak to jeszcze w dzieciństwie, stojąc w cerkwi, patrzyłem czasami na prosty lud, co się tłoczył u wejścia i uniesienie ustępował z drogi sutemu naramiennikowi, otyłemu panu albo wyfiokowanej, lecz niesłychanie nabożnej damie, którzy przepychali się na pierwsze miejsca i każdej chwili gotowi byli się o nie kłócić. Zdawało mi się wówczas, że tam, u drzwi, modlą się jakoś inaczej niż my, modlą pokornie, żarliwie, bijąc pokłony aż do ziemi i z całkowitą świadomością własnego poniżenia.

Obecnie wypadło i mnie stać na tym miejscu, na gorszym nawet: byliśmy skuci i napiętnowani; wszyscy od nas stronili, ba, wszyscy zdawali się nas lękać, za każdym razem dawano nam jałmużnę, i pamiętam, że mi to nawet sprawiało pewne zadowolenie; jakieś wysubtelnione, osobliwe doznanie tkwiło w tym dziwnym zadowoleniu. „Dobrze, niech tak będzie!” – myślałem. Więźniowie modlili się bardzo gorliwie i każdy z nich przynosił co dzień do cerkwi swój nędzny grosz na zakup świeczki albo na cerkiewną kolektę: „Przecież i ja jestem człowiek” – myślał może i składając ofiarę czuł, że „wobec Boga wszyscy są równi”... Do komunii przystępowaliśmy podczas porannego nabożeństwa. Gdy kapłan z kielichem w rękach wygłaszał słowa: „...ale jako łotra mię przyjmij” – prawie wszyscy padali na ziemię dzwoniąc kajdanami i, jak mi się zdaje, upatrując w tych słowach bezpośredni zwrot do siebie.

Lecz oto nadszedł Wielki Tydzień. Dostaliśmy od zwierzchności po jednym jajku i po pajdzie słodkiego pszennego ciasta. Ludzie z miasta znów zasypali nas datkami. Znowu odwiedziny kapłana z krzyżem, znowu odwiedziny przełożonych, znowu tłusty kapuśniak, znowu pijaństwo i próżniactwo – kubek w kubek to samo co na Boże Narodzenie – z tą różnicą, że teraz można się już było przechadzać po więziennym dziedzińcu i wygrzewać w słońku. Było jakoś jaśniej, przestronniej aniżeli w zimie, ale też jakoś tęskniej. Długi, nieskończony dzień letni stawał się szczególnie nieznośny w święta. W dniu powszednie przynajmniej praca skracala czas.

Okazało się, że letnie roboty rzeczywiście są daleko trudniejsze od zimowych. Pracowaliśmy głównie przy budowach inżynieryjnych. Więźniowie jedni budowali, kopali ziemię, kładli cegły; inni wykonywali prace ślusarskie, stolarskie lub malarskie przy remoncie domów skarbowych. Jeszcze inni chodzili do fabryki robić cegły. Ta praca uchodziła u nas za najcięższą. Cegielnia stała o jakie trzy, cztery wiorsty od twierdzy. Latem codziennie o szóstej rano cała partia więźniów, licząca z pięćdziesięciu ludzi, szła robić cegły. Do tej pracy posyłano wyrobników, czyli robotników niewykwalifikowanych i nie znających się na żadnym rzemiośle. Brali ze sobą chleb, ponieważ wskutek odległości niewygodnie było przychodzić na obiad do domu, nakładając przez to dobre osiem wiorst, i obiadowali dopiero wieczorem, po powrocie do koszar. Każdy dostawał

pracę na cały dzień, i to taką, że czas od świtu do nocy ledwie starczył na wykonanie. Nasamprzód więzień musiał ukopać i przywieźć glinę, sam nanosić wody, sam ugnieść glinę nogami w przeznaczony do tego jamie i wreszcie zrobić z niej bardzo dużo sztuk cegieł, chyba ze dwie albo i pół trzeciej setki. Ja tylko dwa razy chodziłem do cegielni. Więźniowie wracali stamtąd już wieczorem, zmęczeni, wycieńczeni, i przez całe lato ustawicznie wykluwali innym oczy tym, że pracują najciężej. Mam wrażenie, że ich to pocieszało. A jednak niektórzy szli tam wcale chętnie: po pierwsze, cegielnia stała za miastem, miejsce było otwarte, wolne, na brzegu Irtyszu. Bądź co bądź, przyjemniej popatrzeć na takie okolice niż na obmierzłą twierdzę! Można było i palić swobodnie, i nawet poleżeć z pół godzinki z wielkim zadowoleniem. Ja zaś po dawnemu albo chodziłem do warsztatu, albo do alabastru, albo wreszcie pracowałem jako podawacz cegieł przy budowach. W tym właśnie charakterze wypadło mi kiedyś dźwigać cegły z brzegu Irtyszu do budujących się koszar w odległości siedemdziesięciu sążni, przez wał forteczny, i ta robota trwała dwa bite miesiące. Mnie nawet się podobała, choć sznurek, na którym musiałem nosić cegły, wciąż ocierał mi ramiona. Lecz podobało mi się, że praca wyraźnie rozwija moje siły. Z początku potrafiłem dźwigać zaledwie po osiem cegieł, z których każda ważyła mniej więcej dwanaście funtów. Ale później doszedłem do dwunastu i piętnastu cegieł, i to bardzo mnie cieszyło. W katordze siła fizyczna jest nie mniej potrzebna niż moralna dla zniesienia wszystkich materialnych niewygód tego przeklętego życia.

A ja chciałem jeszcze żyć i po wyjściu z katorgi...

Lubiłem zresztą nosić cegły nie tylko dlatego, że ta praca wzmacnia ciało, lecz i dlatego również, że się pracowało na brzegu Irtyszu. Mówię o tym brzegu tak często, ponieważ tylko stamtąd widać było świat boży, czystą, jasną dal, nie zamieszkane wolne stepy wywierające na mnie dziwne wrażenie swą pustynnością. Tylko na brzegu można było stanąć tyłem do twierdzy i nie widzieć jej. Wszystkie inne miejsca naszych robót znajdowały się już to w twierdzy, już to w jej pobliżu. Od najpierwszych dni zniechęciłem tę twierdzę, a zwłaszcza niektóre budynki. Dom naszego placmajora wydawał mi się jakimś przeklętym, ohydny miejscem, i patrzyłem nań z nienawiścią, ilekroć go mijalem. Na brzegu zaś można było zapomnieć: czasem człowiek stanął i patrzył na ten nieobeszły, pustynny rozłóg, tak jak skazaniec patrzy na wolność z okna swej ciemnicy. Wszystko tutaj było mi drogie i miłe: i jaskrawe, skwarne słońce na bezgranicznym modrym niebie, i daleka pieśń Kirgiza dolatująca z kirgiskiego brzegu. Wpatruję się długo — i w końcu dostrzegam jakąś biedną jurkę *bajgusza*; widzę dymek przy jurcie, Kirgizkę, która obrządza swoje dwie owce. Wszystko to ubogie i dzikie, lecz wolne. Dostrzegam jakiegoś ptaka w błękitnym przezroczystym powietrzu i długo, uporczywie śledzę jego lot: oto szybuje nad wodą, oto znika w błękicie, oto znów się ukazuje jak ledwie uchwytne punkcik... Nawet ubożuchny, wąty kwiatusek, który wczesną wiosną znalazłem w szczelinie opoczystego brzegu, nawet on jakoś boleśnie ściągnął na siebie moją uwagę. Tęsknota całego tego pierwszego roku katorgi była nie do zniesienia i działała na mnie jątrząco, gorzko. W tym pierwszym roku, wskutek tej

tęsknoty, wielu rzeczy nie zauważałem wokół siebie. Zamykałem oczy i nie chciałem widzieć. Pośród złych, nienawistnych towarzyszy katorżników nie zauważałem ludzi dobrych — ludzi zdolnych i myśleć, i czuć, mimo całą wstrętną korę przykrywającą ich od zewnątrz. Między jadovitymi słowami czasem nie dostrzegałem życzliwego i przyjaznego słowa, które było tym cenniejsze, że wypowiedziane całkiem bezinteresownie, a nieraz wprost z głębi duszy, która może więcej niż ja zniosła i wycierpiała. Lecz po co się rozpisywać na ten temat? Ogromniem był rad, ilekroć bardzo się zmęczyłem: a nuż zasnę po powrocie do domu! Bo sypianie u nas w lecie było męczarnią, kto wie, czy nie jeszcze gorszą niż w zimie. Co prawda, wieczory bywały niekiedy bardzo ładne. Słońce, które przez cały dzień nie opuszczało więziennego dziedzińca, zachodziło wreszcie. Nastawał chłodek, a po nim prawie zimna, oględnie mówiąc, noc stepowa. Więźniowie, zanim ich zamkną, gromadkami chodzą po dziedzińcu. Przeważnie jednak tłoczą się, Bogiem a prawdą, w kuchni. Tam zawsze się wyłania jakieś aktualne więzienne zagadnienie, gada się o tym i owym, czasem omawia się jakąś pogłoskę, częstokroć niedorzeczną, ale ogromnie podniecającą ciekawość tych odciętych od świata ludzi; więc na przykład, że nadeszła wiadomość, iż mają usunąć naszego placmajora. Więźniowie są łatwowierni jak dzieci; sami wiedzą, że ta pogłoska jest bzdurą, że przyniósł ją wierutny papla i wartogłów, więzień Kwasow, któremu już dawno postanowili nie wierzyć i który łże jak z nut — a jednak wszyscy się chwytają tej wiadomości, rajcują, sami siebie durzą, kończy się zaś na tym, że sami są źli na siebie, sami się siebie wstydzą, że dali wiarę Kwasowowi.

— Któż go przepędzi! — woła jeden. — Nie bój się, ma mocny kark, da sobie radę!

— Jednakowoż są i wyżsi od niego! — mówi drugi, zapalczywy i niegłupi więzień, otarty w świecie, ale kłótniwy jak rzadko.

— Kruk krukowi oka nie wykolę! — posepnie, jakby do siebie powiada trzeci, siwy już człowiek, który samotnie dojadł w kącie swój kapuśniak.

— Myślisz, że owi wyżsi przyjdą się ciębie poradzić, czy go usunąć, czy nie? — obojętnie dorzuca czwarty, z cicha brzdąkając na bałajajce.

— A czemużby nie? — ze wściekłością obrusza się drugi. — Jak zaczną nas opytywać, my wszyscy, cała biedota, powinniśmy prosić i wszystko opowiadać. Bo u nas to tak: krzyk, lament, a jak co do czego przyjdzie, to każdy się wypiera!

— A cóżeś sobie myślał? — mówi bałajajkarz. — Od tego jest katorga.

— Kilka dni temu — ciągnie dalej ów kłótniwy, nie słuchając go i gorączkując się — zostało trocha mąki. Ot, tyle co kot napłakał. Posłaliśmy, żeby ją sprzedać. Ale gdzie zaś, dowiedział się: magazynier mu doniósł; zabrali, oszczędność, uważacie. To ma być sprawiedliwość?

— A komuż chcesz się poskarżyć?

— Komu? Ano, samemu lewizorowi, któren tu jedzie.

— Jakiemu znów lewizorowi?

— To prawda, bracia, że jedzie tu lewizor — mówi młody, rezolutny chłopak, piśmienny, były kancelista, który swego czasu przeczytał *Księżnę de La Valliere* czy coś w tym rodzaju. Wiecznie jest wesół, trzymają się go kawały, ale zażywa miru, ponieważ nie z jednego pieca chleb jadał i wie, co w trawie piszczy. Nie zwracając uwagi na to, że podniecił ogólną ciekawość, idzie wprost do kuchni, to znaczy do kucharza, i żąda od niego wątróbki. Kuchty często handlowali czymś takim. Na przykład kupią za własne pieniądze duży kawał wątroby, usmażą i detalicznie sprzedają więźniom.

— Za grosz czy za dwa? — pyta kuchta.

— Ukraj za dwa: niech ludziska zazdroszczą! — odpowiada więzień. — To generał, bracia, generał jedzie tu z Petersburga, będzie oglądał całą Syberię. Fakt. Słyszałem od ludzi komendanta.

Wiadomość wywołuje nadzwyczajne poruszenie. Przez dobry kwadrans sypią się pytania: kto mianowicie, jaki generał, w jakiej randze i czy wyższy od tutejszych generałów? O rangach, naczelnikach, który z nich starszy, kto kogo może zapędzić w kozí róg, a kto sam musi się dać zapędzić — więźniowie ogromnie lubią rozmawiać, nawet kłócą się i łają o generałów, dochodzi omal do bójek. Na co im to? — powiecie. Ale szczegółowa znajomość generałów i w ogóle przełożonych stanowi miernik wiedzy, roztropności i dawnego, przedwieziennego znaczenia człowieka w społeczeństwie. W ogóle rozmowa o wyższej zwierzchności uchodzi za najbardziej wyszukaną i szczytną konwersację.

— Wychodzi więc na to, bracia, że rzeczywiście jadą tutaj usunąć majora — wtrąca Kwasow, malutki, czerwoniutki człowieczek, popędliwy i bezmyślny. To on pierwszy przyniósł wiadomość o majorze.

— Przekupi go! — burkliwie sarka posepny siwy więzień, który się już uporał z kapuśniakiem.

— Pewnie, że go przekupi — mówi drugi. — Alboż to mało grosza nagrabił! Jak nas tu jeszcze nie było, był dowódcą batalionu. Niedawno temu chciał się żenić z córką protopopa.

— No, ale się nie ożenił: pokazali mu drzwi; za biedny. Także mi kawaler do żeniaczki! Hołysz. W Wielkim Tygodniu spłukał się w karty. Fiedka mi mówił.

— Tak, łatę na łacie bije, a gorzałeczkę pije.

— Ech, bracie, ja także byłem żonaty. Kiepsko się żenić biedakowi: on się ożeni, a dola się nie zmieni! — wścibia się do rozmowy Skuratow.

— Pewno! O tobie mowa, a tyś tu — rzuca rezolutny były kancelista. — Tobie zaś, Kwasow, muszę powiedzieć, żeś głupi jak noga stołowa. Czy naprawdę myślisz, że takiego generała major przekupi i że taki generał umyślnie przyjedzie z Petersburga, żeby rewidować majora? Głupi jesteś, chłopie, ot co ci powiem.

— Albo co? Jak jest generałem, to już nie weźmie? — sceptycznie odzywa się ktoś z tłumu.

— Wiadomo, że nie weźmie, a jeżeli weźmie, to już słono.

— Pewnie, że słono: wedle rangi.

— Jenerał zawždy weźmie — zdecydowanie oświadcza Kwasow.

— Możesz ty mu dawał, co? — z pogardą mówi Bakłuszyn, który wszedł nagle. — Chyba nigdy nawet nie widziałeś jenerała.

— Właśnie żem widział!

— Bujasz.

— Sam bujasz.

— Chłopcy! Jeżeli widział, to niechaj zaraz gada przy wszystkich, jakiego zna jenerała. No, gadaj, bo ja wszystkich jenerałów znam.

— Widziałem jenerała Sieberta — dość niepewnie odpowiada Kwasow.

— Sieberta? Takiego jenerała nie ma. Pewnie ten twój Siebert pogłaskał cię kijem po grzbiecie, kiedy może był dopiero podpułkownikiem, a tobie się wydało ze strachu, że to jenerał.

— Nie, posłuchajcie mnie — woła Skuratow — bom ja żonaty człowiek. Rzeczywiście, w Moskwie był taki jenerał, Siebert, z Niemców, ale Rosjanin. Każdziuteńkiego roku spowiadał się u rosyjskiego popa i ciągle, bracia, pił wodę jak nie przymierzając kaczka. Dzień w dzień wypijał czterdzieści szklanek wody z rzeki Moskwy. Ponoć leczył się wodą od jakiejś choroby; mówił mi sam jego komardynier.

— Musić od tej wody zaległy mu się w brzuchu karasie, nie? — wtrąca więzień z bałałajką.

— Et, dalibyście spokój! Mowa tu o rzeczach poważnych, a wy... Jakież to lewizor, bracia? — z troską pyta ruchliwy, niemłody więzień Martynow, były huzar.

— Ot, klituś-bajduś! — rzuca jeden ze sceptyków. — Ludziska plotą jak na mękach! Wszystko to zawracanie głowy!

— Nie, nie zawracanie głowy — dogmatycznie wtrąca Kulikow, który dotychczas milczał dostojnie. Jest to człowiek świadomy swej powagi, pod pięćdziesiątkę, o nader przystojnej twarzy i jakimś wzdorliwie majestatycznym sposobie bycia. Zdaje sobie z tego sprawę i napęnia go to dumą. Jest poniekąd Cyganem, weterynarzem, na mieście zarobkuje leczeniem koni, a u nas handluje wódką. Rozumny jest i wiele widział. Słowa swe ceni na wagę złota.

— To prawda, bracia — spokojnie ciągnie dalej — słyszałem jeszcze w zeszłym tygodniu; jedzie tu jenerał, bardzo wysoko postawiony, będzie rewidował całą Syberię. Pewno, jego także przekupią, tylko nie nasz ośmiooki; ten nie odważy się nawet zbliżyć do niego. Jenerał jenerałowi nie równy, bracia. Bywają rozmaici. Jedno wam tylko mówię: nasz major tak czy owak zostanie na obecnym stanowisku. To murowane. Myśmy ludzie bez języka, a przełożeni nie zechcą donosić na jednego ze swoich. Rewizor zajrzy do koszar, potem wyjedzie i zamelduje, że znalazł wszystko w porządku...

— Otóż to, bracia, a major dostał pietra: od rana jest urżnięty.

— A wieczorem inaczej się zabawia. Fiedka mi mówił.

— Czarnego psa nie można umyć do białości. Alboż to pierwszy raz jest pijany?

— E, jeżeli nawet generał nie poradzi, to cóż to jest! Nie, przebrała się miara ich sztuczek! — ze wzburzeniem mówią więźniowie.

Wiadomość o rewizorze obiegła więzienie lotem błyskawicy. Po dziedzińcu snują się ludzie i niecierpliwie podają sobie wieść z ust do ust. Inni naumyślnie milczą, zachowują zimną krew i widocznie starają się w ten sposób dodać sobie powagi. Inni jeszcze pozostają obojętni. Na gankach koszar siadają więźniowie z bałałajkami. Niektórzy gawędzą w dalszym ciągu. Inni śpiewają, lecz na ogół wszyscy tego wieczoru są niesłychanie podnieceni.

Około dziesiątej rachowano nas wszystkich, zapędzano do koszar i zamykano na noc. Noce były krótkie; budzono nas o piątej rano, zasypialiśmy zaś nie wcześniej niż o jedenastej. Aż do tej pory zawsze panuje rejwach, więźniowie rozmawiają, a czasem, jak w zimie, urządzają też majdany. W nocy robi się nieznośnie gorąco i duszno. Chociaż z okna z podniesioną ramą ciągnie nocny chłód, więźniowie rzucają się na swych pryczach jak w malignie. Od miriadów pcheł aż się roi. Mamy je i zimą, i to w nader pokaźnej ilości, ale począwszy od wiosny liczba ich osiąga takie rozmiary, o których wprawdzie przedtem słyszałem, lecz nie sprawdziwszy, nie chciałem wierzyć. A im bliżej lata, tym są złośliwsze. Zapewne, do pcheł można się przyzwyczać, stwierdziłem to na sobie; jednakże mocno się dają we znaki. Niekiedy wymoczą tak, że wreszcie człowiek leży jak w gorączce i sam czuje, że nie śpi, tylko majaczy. A gdy nad ranem sfolgują w końcu jakby zamarły, i gdy w porannym chłodzie więzień rzeczywiście smacznie zasypia — rozlega się naraz u bramy bezlitosny warkot bębna i zaczyna się pobudka. Więzień, tuląc się w kożuszek, z przekleństwem słucha głośnych, dobitnych dźwięków, jakby je rachował, a tymczasem przez sen włazi mu do głowy natarczywa myśl, że to samo będzie i jutro, i pojutrze, i przez kilka lat z rzędu, aż do odzyskania wolności. „Kiedyż ta wolność? — myśli człowiek — i gdzie ona?” A na razie trzeba się zbudzić; zaczyna się codzienne chodzenie, ścisk... Ludzie się ubierają, śpieszą do pracy. Jednak w południe można było pospać jeszcze z godzinę.

O rewizorze powiedziano prawdę. Z każdym dniem słuchy coraz bardziej się potwierdzały, aż wreszcie wszyscy się dowiedzieli już na pewno, że jeden ważny generał jedzie z Petersburga na inspekcję całej Syberii, że już przyjechał, że jest w Tobolsku. Codziennie napływały nowe pogłoski. Wiadomości nadchodziły też z miasta: słyhać było, że wszyscy truchleją, wyskakują ze skóry, chcą się pokazać z najlepszej strony. Opowiadano, że wyższe władze przygotowują recepcje, bale, uroczystości. Całym gromadom więźniów kazano niwelować ulice w twierdzy, rozkopywać nierówności, malować parkany i słupki, tynkować, szpachlować — krótko mówiąc, chciano w jednej chwili naprawić wszystko tak, by wyglądało najkorzystniej. Więźniowie doskonale rozumieli, o co chodzi, toteż rajcowali coraz goręcej i zadzierzyśiej. Fantazja ich bujała nadzwyczajnie. Zamierzali nawet zgłosić zażalenie, kiedy generał zapyta o wikt. A tymczasem kłócili się ze sobą i wymyślali. Placmajor był jak na szpilkach. Częściej nachodził więzienie, częściej krzyczał, częściej ciskał się na ludzi, częściej zabierał ich do kordegardy, usilnie doglądał czystości i ładu. W tym czasie, jakby na zamówienie, wydarzyła się pewna

historyjka, która zresztą nie wzburzyła majora, jak można było oczekiwać, lecz przeciwnie, sprawiła mu przyjemność. W bójkę jeden więzień zgnął drugiego szydłem w pierś, prawie tuż pod sercem.

Więźniem, który dopuścił się tego wykroczenia, był niejaki Łomow; zranionego nazywano u nas Gawryłką; był to zatwardziały włóczęga. Nie pamiętam, czy miał też inne przezwisko; nazywano go u nas Gawryłką.

Łomow pochodził z zamożnych t-ich włościan k-skiego powiatu. Wszyscy Łomowowie prowadzili gospodarstwo: stary ojciec, trzech synów oraz ich stryj, Łomow. Byli to chłopci bogaci. W całej guberni mówiono, że mają do trzechset tysięcy rubli w asygnatach. Pracowali na roli, wyprawiali skóry, handlowali, przeważnie jednak trudnili się lichwą, ukrywaniem włóczęgów i rzeczy kradzionych oraz innymi sztuczkami. Co drugi włościanin w powiecie był im dłużny i znajdował się całkowicie w ich rękach. Uchodzili za ludzi rozumnych i sprytnych, ale wreszcie zanadto wbili się w pychę, zwłaszcza gdy pewien bardzo wpływowy tamtejszy dostojnik zaczął zatrzymywać się u nich po drodze, zawarł osobistą znajomość ze starym i polubił go za jego roztropność i obrotność. Strzeliło im raptem do głowy, że teraz nikt już im nie straszny, i zaczęli się puszczać na coraz ryzykowniejsze nielegalne przedsięwzięcia. Wszyscy sarkali na nich; wszyscy im życzyli, by się zapadli pod ziemię; lecz oni coraz wyżej darli nosa. Sprawników, ławników mieli za nic. W końcu powinęła im się noga i skręcili sobie kark, jednak nie wskutek czegoś karygodnego, jakichś swoich tajnych przestępstw, tylko wskutek fałszywego oskarżenia. O dziesięć wiorst od wsi mieli duży futor. Kiedyś, pod jesień, mieszkało tam u nich ze sześciu parobków Kirgizów, którzy od dawna chodzili w ich jarzmie. Którejś nocy zarżnięto wszystkich tych Kirgizów parobków. Zaczęły się dochodzenia. Trwały długo. Podczas nich wyszło na jaw wiele innych nieładnych rzeczy. Oskarżono Łomowów o zamordowanie parobków. Sami tak opowiadali i całe więzienie wiedziało o tym; padło na nich podejrzenie, że zbyt długo nie płacili parobkom, a ponieważ mimo swą wielką zamożność byli skąpi i chciwi, więc wyrznęli Kirgizów, by nie wypłacić im należności. W toku śledztwa i sądu całe ich mienie poszło w niwecz. Stary umarł. Dzieci rozesłano po ludziach. Jeden z synów i jego stryj trafili na naszą katorgę na dwanaście lat. I cóż? Byli najzupełniej niewinni śmierci Kirgizów. W tym samym więzieniu zjawił się później Gawryłka, znany obwieś i włóczykij, wesoły i rezolutny chłop, który całą tę sprawę przypisywał sobie. Nie słyszałem zresztą, czy sam się do tego przyznawał, lecz wszyscy byli święcie przekonani, że Kirgizi ponieśli śmierć z jego ręki. Gawryłka jeszcze za czasów swego włóczęgotwa miał do czynienia z Łomowami. Przyszedł na katorgę na krótki termin, jako zbiegły żołnierz i włóczęga. Kirgizów zamordował wspólnie z innymi włóczęgami; myśleli, że się suto obłowią przy rabunku w futorze.

Łomowów nie lubiano u nas, nie wiem za co. Jeden z nich, bratanek, był zuchem, dobrym chłopcem i miał zgodne usposobienie; natomiast jego stryj, ten, co zgnął Gawryłkę szydłem, był to chłop głupi i chimeryczny. Już i przedtem kłócił się z wieloma i nieraz tego obrywał. Gawryłkę

wszyscy lubili za wesoły i zgodny charakter. Jakkolwiek Łomowowie wiedzieli, że jest zbrodniarzem i że oni tu siedzą za jego sprawkę, nie kłócili się z nim jednak, ale też nigdy nie kumali, a i on nie zwracał na nich żadnej uwagi. Aż znienacka między nim i stryjem Łomowem wybuchła zwada o jakąś arcywstrętną dziewczuchę. Gawryłka jął się przechwalać jej względami; chłop poczuł zazdrość i któregoś pięknego południa pchnął go sztydłem.

Łomowowie, choć zrujnowani sądem, żyli w więzieniu jak bogacze. Niewątpliwie posiadali pieniądze. Mieli samowar, pili herbatę. Nasz major wiedział o tym i zaciekle nienawidził obu Łomowów. W sposób dla wszystkich widoczny dokuczał im i w ogóle dobierał im się do skóry. Łomowowie tłumaczyli to tym, że major chce wziąć od nich łapówkę. Jednak łapówki nie dawali.

Naturalnie, gdyby Łomow choć trochę głębiej wbił sztydło, uśmierciłby Gawryłkę. Ale cała rzecz skończyła się ostatecznie na draśnięciu. Zameldowano majorowi. Pamiętam, jak przyleciał zdyszany i jawnie zadowolony. Potraktował Gawryłkę nad podziw dobrotliwie, niczym rodzonego syna.

— Cóż, kochanku, możesz pójść do szpitala pieszo czy nie możesz? Nie, lepiej zaprząć mu konia. Zaprząć w tej chwili! — huknął czym prędzej na podoficera.

— Ależ, wasza wielmożność, ja nic nie czuję. Tylko z lekka mnie pokłuł, wasza wielmożność.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz, mój drogi, zobaczysz jeszcze... Miejsce jest niebezpieczne; wszystko zależy od miejsca; ten zbój ugodził cię pod samo serce! A ciebie, ciebie — wrzasnął zwracając się do Łomowa — o, teraz dobiore się do ciebie!... Marsz do kordegardy!

I „dobrał się” do niego istotnie. Łomowa sądzono, i chociaż się okazało, że rana jest błahym ukłuciem, zamiar był oczywisty. Winowajcę skazano na dodatkowy termin robót i na tysiąc plag. Major był wielce kontent.

W końcu przybył rewizor.

Zaraz nazajutrz po przybyciu do miasta przyjechał do naszego więzienia. Działo się to w święto. Już na parę dni wcześniej wszystko było u nas wyszorowane, wygładzone, wylizane. Więźniowie świeżo ogoleni. Odzież na nich biała, czysta. Latem wszyscy chodzili, wedle regulaminu, w białych płóciennych kurtkach i spodniach. Na plecach każdy miał wszyte czarne koło o średnicy mniej więcej dwóch werszków. Całą godzinę uczono więźniów, jak mają odpowiedzieć, gdyby się dostojnik z nimi przywitał. Odbywano próby. Major uwijał się jak mucha w ukropie. Na godzinę przed ukazaniem się generała wszyscy stali na miejscach jak posągi, w pozycji na baczność. Wreszcie, o pierwszej po południu, generał przyjechał. Był to wpływowy generał, taki wpływowy, że serca wszystkich urzędników na całej Syberii Zachodniej drgnęły chyba z chwilą jego przybycia. Wszedł surowo i godnie; za nim sunął wielki orszak towarzyszących mu zwierzchników lokalnych: kilku generałów, pułkowników. Był też jeden cywil, słuszny i przystojny pan we fraku i trzewikach, który również przyjechał z Petersburga i zachowywał się nader swobodnie i niewymuszenie. Generał zwracał się do niego często i z wielkim ugrzecznieniem. Ogromnie zainteresowało to więźniów: cywil, a takie honory, i to ze strony

takiego generała! Później dowiedzieliśmy się jego nazwiska oraz kim jest, ale domysłów było co niemiara. Nasz major, wciśnięty w mundur o pomarańczowym kołnierzu, z nabiegłymi krwią oczami, z pąsową wągrowatą twarzą, nie wywarł, zdaje się, zbyt miłego wrażenia na generale. Z wyjątkowej czci dla dostojnego gościa nie włożył okularów. Stał opodal, wyprostowany jak drut, i całą istotą gorączkowo wyczekiwał chwili, gdy będzie mógł na coś się przydać, aby natychmiast pomknąć i spełnić życzenia pana generała. Na nic się jednak nie przydał. Generał w milczeniu obszedł koszary, zajrzał też do kuchni, podobno skosztował kapuśniaku. Wskazano mu mnie nadmieniając, że jestem ze szlachty.

— A! — odrzekł generał. — I jakże się teraz zachowuje?

— Na razie zadowolająco, wasza ekscelencjo — odpowiedziano mu.

Generał kiwnął głową i po paru minutach wyszedł. Naturalnie, więźniowie — oszołomieni i zafrasowani — nie bardzo wiedzieli, co to wszystko ma znaczyć. Rzecz prosta, o żadnych zażaleniach na majora nie było mowy. Zresztą major z góry był tego pewien.

VI. Zwierzęta na katordze

Gdy wkrótce potem więzienie zakupiło Gniadosza, stanowiło to dla więźniów daleko milszą i ciekawszą rozrywkę niż dostojna wizyta. W więzieniu powinien być koń do przywożenia wody, wywożenia nieczystości i tak dalej. Wyznaczano więźnia, który miał go obrządzać. Ów więzień jeździł z nim — oczywiście pod konwojem. Nasz koń miał sporo pracy i z rana, i wieczorem. Gniadosz służył już u nas bardzo dawno. Był to konik dobry, ale sterany. Któregoś pięknego poranku, przed samym dniem św. Piotra, Gniadosz, przywiózłszy wieczorną beczkę, upadł i w kilka minut wyzionął ducha. Żałowano go, wszyscy skupili się wokół, rajcowali, dyskutowali. Nasi byli kawalerzyści, Cyganie, weterynarze i tak dalej dali przy tym dowód, że się wybornie znają na koniach, ba, ostro się przemówili, lecz nie wskrzesili Gniadosza. Leżał martwy, z rozdętym brzuchem, w który każdy z obecnych uważał sobie za obowiązek popukać palcem; zameldowano majorowi o tym wyroku Opatrzności i major polecił niezwłocznie kupić nowego konia. W sam dzień św. Piotra, rankiem, po nabożeństwie, kiedy wszyscy byli w komplecie, zaczęto przyprowadzać konie na sprzedaż. Samo się przez się rozumie, że kupno należało powierzyć samym więźniom. Mieliśmy prawdziwych znawców i trudno by było oszukać dwustu pięćdziesięciu ludzi, którzy się dawniej tylko tym trudnili. Zjawiali się Kirgizi, rostrucharze, Cyganie, mieszczanie. Więźniowie oczekiwali niecierpliwie ukazania się każdego nowego konia. Byli weseli jak dzieci. Najbardziej pochlebiali im, że oni, niczym ludzie wolni, jakby rzeczywiście z własnej kieszeni, kupują sobie konia i mają całkowite prawo go kupić. Trzy konie przyprowadzono i wyprowadzono, zanim przy czwartym dobito targu. Wchodzący rostrucharze rozglądali się dokoła z pewnym zdumieniem i jakby nieśmiałością, a nawet od czasu do czasu strzygli okiem na wprowadzających ich konwojentów. Wataha złożona z dwustu kilkudziesięciu tego rodzaju ludzi, ogolona, piętnowana, w kajdanach i na własnych śmieciach, we własnym więziennym gnieździe, którego progu nikt nie przestępuje, budziła pewnego rodzaju szacunek. Nasi zaś sadzili się na różne chytre sposoby przy badaniu każdego wprowadzanego konia. Gdzie mu też nie zaglądali, czego mu też nie macali, i to na dobitkę z taką rzeczową, taką poważną i zatroskaną miną, jakby od tego zależał dobrobyt więzienia. Czerkiesi nawet wskakiwali na konia wierzchem; płonęły im oczy, szybko szwargotali w swym niezrozumiałym narzeczu, szczerząc białe zęby i kiwając śniadymi garbonosymi twarzami. Ten i ów Rosjanin tak skupia całą uwagę na ich dyskusji, jak gdyby chciał wskoczyć w ich oczy. Słów nie rozumie, więc pragnie przynajmniej z wyrazu oczu wywnioskować, co postanowili: czy się koń nadaje, czy nie? Postronnego obserwatora zdziwiłaby ta wyteżona uwaga. Bo właściwie czemu tak się troska jakiś więzień, i to czasem więzień niepozorny, cichy, zahukany, który słówka nawet nie śmie pisnąć wobec swych towarzyszy więźniów. Jakby sam dla siebie kupował konia, jakby naprawdę nie

było mu wszystko jedno, którego kupią. Poza Czerkiesami najwięcej mieli do powiedzenia Cyganie i rostrucharze: toteż zgodzono się, że ich głos jest decydujący. Tu doszło nawet do pewnego szlachetnego pojedynku, zwłaszcza między dwoma: więźniem Kulikowem, Cyganem, koniokradaem i rostrucharzem, a samoukiem weterynarzem, sprytnym syberyjskim chłopem, który świeżo do nas przyszedł i już zdążył zabrać Kulikowowi całą jego praktykę miejską. Chodzi o to, że naszych więziennych samouków weterynarzy bardzo ceniono w całym mieście; nie tylko mieszczanie czy kupcy, lecz i najwyżsi urzędnicy, gdy zachorowały im konie, udawali się do więzienia, mimo że w mieście było kilku prawdziwych weterynarzy. Zanim przybył ów syberyjski chłop, Jołkin, nikt z Kulikowem nie rywalizował, miał on obszerną praktykę, za którą, rzecz prosta, okazywano mu wdzięczność w bręczącej monecie. Mocno cygańił i mataczył, umiał bowiem daleko mniej, niż udawał. Pod względem dochodów był arystokratą wśród więźniów. Swym wyrobieniem, rozumem, śmiałością i zdecydowaniem dawno już zjednał sobie mimowolny szacunek wszystkich więźniów. Wszyscy słuchali go z uwagą i byli mu posłuszni. Mówił jednak niewiele: cenił swe słowa jak ruble i odzywał się w najważniejszych tylko wypadkach. Ten wierutny szarlatan miał jednak dużo prawdziwej, niefałszowanej energii. Był już w podeszłych latach, ale bardzo przystojny, bardzo rozumny. Nas, szlachtę, traktował z wyrafinowaną grzecznością i zarazem z nadzwyczajnym poczuciem godności. Sądzę, że gdyby go ubrać odpowiednio, zawieźć do któregoś ze stołecznych klubów i przedstawić jako hrabiego, nie pokpiłby sprawy, zagrałby w wista, otworzyłby od czasu do czasu usta, i przez cały wieczór nikt by może nie rozgryzł, że to nie hrabia, tylko włóczęga. Mówię serio: tak był rozumny, sprytny i bystry nad podziw. Przy tym miał świetne, eleganckie maniery. Widać nie z jednego pieca chleb jadał. Przebywał w specjalnym oddziale. Jednak z przybyciem Jołkina, który wprawdzie był chłopem, ale chłopem szpakami karmionym, pięćdziesięcioletnim raskolnikiem, sława weterynaryjna Kulikowa zaćmiła się. W parę miesięcy Jołkin odbił mu prawie całą jego praktykę miejską. Uzdrawiał, i to bardzo łatwo, takie konie, z których przedtem Kulikow dawno zrezygnował. Uzdrawiał nawet takie, z których rezygnowali miejscy weterynarze. Chłop ten przyszedł wraz z innymi za fałszowanie pieniędzy. Że się też na stare lata chwycił takiego procederu! Żartując z siebie, sam opowiadał u nas, że z trzech prawdziwych złotych monet zdołał zrobić tylko jedną fałszywą. Kulikow był nieco dotknięty jego sukcesami w zakresie weterynarii; nawet jego sława wśród więźniów zaczęła blednąć. Utrzymywał kochankę na przedmieściu, chodził w manchesterowym spencerku, nosił srebrny pierścionek, kolczyk i własne buty z lamowanymi cholewami, aż tu raptem, wskutek braku dochodów, musiał zostać szynkarzem; wszyscy więc czekali, że obecnie, przy kupnie nowego Gniadosza, wrogowie gotowi się jeszcze poczubić. Każdy z nich miał swoje stronnictwo. Przodownicy obu stronnictw zaczęli się już denerwować i rzucali sobie nawzajem przekleństwa. Sam Jołkin wykrzywił już swą przebiegłą twarz w nader sarkastycznym uśmiechu. Ale wypadło nie po jego myśli: Kulikow wcale nie kłął, lecz i bez przekleństw zrobił mistrzowskie pociągnięcie. Zaczął od ustępstwa, owszem, z

uszanowaniem wysłuchał krytycznych opinii rywala, lecz przyłapawszy go na jakimś słowie, skromnie i z naleganiem zaznaczył, że się myli, i zanim Jołkin zdążył się zreflektować i sprostować pomyłkę, dowiódł, że się myli w tym a tym mianowicie. Słowem, Jołkin został zbity z tropu bardzo niespodzianie i wytrawnie, i chociaż ostatecznie postawił na swoim, stronnictwo Kulikowa było również zadowolone.

— Nie, chłopcy, nie tak to łatwo utrzyć mu nosa; zna się na rzeczy, a jakże! — mówili jedni.

— Jołkin więcej umie! — zaznaczali drudzy, lecz zaznaczali dość ustępliwie. Obydwa stronnictwa zaczęły nagle mówić wielce ugodowym tonem.

— Może nie tyle umie, co lekką ma rękę. Ale na koniach i Kulikow się zna.

— Zna się!

— Zna...

Wreszcie wybrali i kupili nowego Gniadosza. Był to dzielny konik, młodziutki, ładny, krzepki i o nadzwyczaj miłym, wesołym wyglądzie. Rzecz prosta, że i pod wszystkimi innymi względami okazał się nienagannym. Zaczęły się targi: kupcy żądali trzydziestu rubli, nasi dawali dwadzieścia pięć. Targowali się długo i namiętnie, ustępując i postępując. W końcu rozśmieszyło to ich samych.

— Będziesz płacił z własnej kalety, co? — mówili jedni. — Czemu się targujesz?

— Szkoda ci skarbowych pieniędzy? — wołali drudzy.

— No bo jednak, bracia, to są pieniądze, pieniądze wspólne...

— Wspólne?! Ej, widać głupcy na kamieniu się rodzą...

Ostatecznie stanęło na dwudziestu ośmiu rublach. Zameldowano majorowi, który też zaaprobował kupno. Oczywiście, natychmiast przyniesiono chleb, sól i z honorami wprowadzono nowego Gniadosza. Nie było bodaj więźnia, który by przy tej okazji nie poklepał go po szyi albo nie pogładził po pysku. Tegoż dnia zaprzęgnięto Gniadosza do wożenia wody i wszyscy patrzyli ciekawie, jak nowy Gniadosz powiezie swą beczkę. Nasz woziwoda Roman zerkał na nowego konika z nadzwyczajnym ukontentowaniem. Był to chłop może pięćdziesięcioletni, małomówny i stateczny. Zresztą wszyscy furmani rosyjscy mają nader stateczny i małomówny charakter, jakby rzeczywiście było prawdą, że stałe obcowanie z końmi dodaje człowiekowi osobliwej stateczności, a nawet powagi. Roman był cichy, uprzejmy dla wszystkich, niegadatliwy, zażywał tabakę z rożka i stale, od niepamiętnych czasów, obrządzał więzienne Gniadosze. Nowo nabyty był już trzecim. Wszyscy u nas byli przekonani, że gniada maść licuje z więzieniem, że jest nam z nią „do twarzy”. Potwierdzał to i Roman. Bułanka, na przykład, za nic by nie kupili. Stanowisko woziwody zawsze, mocą jakiegoś prawa przysługiwało Romanowi, i nikomu z nas nie przysłoby nigdy do głowy zaprzeczyć mu tego prawa. Kiedy poprzedni Gniadosz padł, nikt, ani nawet major, nie myślał robić Romanowi żadnych zarzutów; ot, wola boska i już, a Roman jest dobrym furmanem. Wkrótce Gniadosz stał się naszym ulubieńcem. Więźniowie, choć to ludzie twardzi, często podchodzili, by go popieścić. Czasem Roman, po powrocie znad rzeki, zamyka bramę,

którą otworzył mu podoficer, a Gniadosz, wszedłszy, stoi z beczką i czeka na Romana strzygąc nań oczyma. „Ruszaj sam!” — woła Roman, i Gniadosz od razu wiezie sam, dowozi do kuchni i zatrzymuje się czekając, aż kuchty i parasznicy z wiadrami przyjdą brać wodę. „Mądry Gniadosz! — krzyczą — sam przywiózł!... Usłuchał!”

— No proszę: bydlątko, a rozumie!

— Zuch Gniadosz!

Gniadosz chwieje łbem i prycha, jakby rzeczywiście rozumiał i rad był z pochwałą. I któryś więzień nie omieszka przynieść mu chleba z solą. Gniadosz je i znowu kiwa łbem, jak gdyby mówiąc: „Znam cię! Znam! Ze mnie dzielny konik, a z ciebie poczciwy człowiek!”

Ja także lubiłem raczyć Gniadosza chlebem. Przyjemnie było widzieć jego ładny pysk i czuć na dłoni jego miękkie, ciepłe wargi, żwawo zgarniające poczęstunek.

W ogóle nasi więźniowie mogliby lubić zwierzęta, i gdyby pozwolono im na to, chętnie hodowaliby mnóstwo zwierząt domowych i ptactwa. Na dobrą sprawę, cóż by zdołało bardziej złagodzić, uszlachetnić surowe i bestialskie usposobienie więźniów niż takie, na przykład, zajęcie? Lecz na to nie pozwalano. Ani nasze porządki, ani miejsce tego nie dopuszczały.

Jednak podczas mego pobytu było kolejno kilka zwierząt. Oprócz Gniadosza, mieliśmy psy, gęsi, kozła Waškę, a przez pewien czas — również orła.

W charakterze stałego psa więziennego mieszkał u nas, jakem już wspomniał wyżej Kulka, zmyślny i dobry pies, z którym łączyła mię niezmienna przyjaźń. Ale ponieważ tak już jest, że w ogóle cały nasz prosty lud poczytuje psy za zwierzęta nieczyste, na które nie należy zwracać uwagi, więc i na Kulkę prawie nikt u nas uwagi nie zwracał. Żył sobie pies, sypiał na dworze, jadał odpadki kuchenne i w nikim nie budził większego zainteresowania, jednak wszystkich znał i wszystkich uważał za swych panów. Gdy więźniowie wracają po pracy i przy kordegardzie rozlega się wołanie: „gefrajter!” — Kulka biegnie do bramy, mile wita każdą grupę, macha ogonem i życzliwie zagląda w oczy każdego wchodzącego, oczekując choć najmniejszej pieszczoty. Ale w ciągu wielu lat nic nie wskórał u nikogo, chyba tylko u mnie. Toteż ukochał mnie nad wszystkich. Nie pamiętam, w jaki sposób zjawił się później drugi pies, Białas. Trzeciego zaś, Kulasa, szczenięciem jeszcze sam przyniosłem kiedyś z pracy. Białas był osobliwym stworzeniem. Ktoś przejechał go furmanką i grzbiet jego wygięty był do środka, tak że kiedy biegł, wydawało się z daleka, że to biegnie jakichś dwoje zrosniętych ze sobą białych zwierząt. Oprócz tego był sparszywiały, miał ropiejące oczy, ogon oblaży, prawie cały bez sierści i ustawicznie podkulony. Dotknięty losem, Białas widocznie postanowił się ukorzyć. Nigdy na nikogo nie szczekał i nie warczał, jakby nie śmiał. Żywił się przeważnie chlebem, za koszarami; ilekroć zaś ujrzał kogo z więźniów, natychmiast, w odległości kilku jeszcze kroków, na znak pokory, wywracał się do góry nogami, że niby: „rób ze mną, co ci się podoba, ja bowiem, jak widzisz, ani myślę się opierać.” I każdy więzień, przed którym się Białas wywrócił, zawsze go szturchnął butem, jak gdyby uważał to za swój święty obowiązek. „A to ci podle stworzenie!” —

mawiali więźniowie. Aliści Białas nie śmiał nawet piszczeć, i jeżeli zanadto go zabolalo, żałośnie był przytłumionym głosem. Podobnie wywracał się do góry nogami i przed Kulką, i przed każdym innym psem, kiedy w jakichś swoich sprawach wybiegał za ogrodzenie. Wywróci się czasem i leży pokornie, gdy jakieś wielkie kłapouche psisko rzuci się na niego z warczeniem i ujadaniem. Ale psy lubią pokorę i potulność u sobie podobnych. Zaciekle psisko od razu folguje, z zadumą przystaje nad leżącym do góry nogami kornym psem i z wolna, z wielką ciekawością zaczyna obwąchiwać wszystkie części jego ciała. Co mógł w tym czasie myśleć dygoczący Białas? „A nuż ten zbój mnie szarpnie?” przychodziło mu zapewne do głowy. Jednakże psisko, po uważnym obwąchaniu, dawało mu wreszcie spokój i odchodziło, nie znajdując w nim nic specjalnie ciekawego. Białas niezwłocznie zrywał się i znowu kulejąc puszczał się za długim szeregiem psów, towarzyszących jakiejś Żuczce. I chociaż wiedział na pewno, że się nigdy nie będzie mógł bliżej zapoznać z Żuczką, samo już kuśtykanie z daleka stanowiło dlań pociechę w niedoli. O honorze snadź przestał już myśleć. Nie mogąc liczyć na żadną karierę w przyszłości, żył wyłącznie dla chleba i całkowicie zdawał sobie z tego sprawę. Pewnego razu spróbowałem go popieścić; było to dlań czymś tak nowym i niespodziewanym, że znienacka przypadł do ziemi, rozplaszczyl się, zadrzał od stóp do głów i jał głośno piszczeć z rozczulenia. Z litości pieściłem go często. Toteż nie potrafił mnie spotkać bez pisku. Ujrzy mnie z daleka i piszczy, piszczy boleściwie i łzawo. Skończyło się na tym, że psy rozszarpały go za ogrodzeniem.

Zgoła inny charakter miał Kulas. Po com go przyniósł z warsztatu ślepych jeszcze szczeniakiem — nie wiem. Przyjemnie mi było karmić go i wychowywać. Kulka natychmiast wziął Kulasa pod swój protektorat i sypiał z nim razem. Kiedy Kulas zaczął podraastać, pozwalał, by mu gryzł uszy, szarpał za sierść i bawił się z nim tak, jak zwykle dorosłe psy bawią się ze szczeniakiem. Dziwne, że Kulas prawie nie rósł wżwyż, tylko wzdłuż i wszerz. Sierść miał kudłatą, jakiejś jasnomysiej maści; jedno ucho rosło w dół, drugie do góry. Charakter miał pobudliwy i egzaltowany, jak zresztą każdy szczeniaki, który z radości, że widzi swego pana, zwykle zaczyna piszczeć, drzeć się, usiłuje go lizać po twarzy i w ogóle nie umie w obecności pana utrzymać w karbach również i innych swoich uczuć: „mniejsza o konwenanse, byleby tylko widać było mój zachwyty!” Gdziekolwiek się znajdowałem, na wołanie: „Kulas!” pies ukazywał się nagle zza któregoś węgla, jak spod ziemi, i z piskliwym entuzjazmem pędził do mnie tocząc się jak kulka i koziołkując po drodze. Ogromnie polubiłem tego potworka. Zdawało się, że los gotuje mu w życiu same radości i zadowolenie. Lecz pewnego pięknego dnia więzień Nieustrojew, który się trudnił szyciem damskich trzewików i wyprawą skór, zwrócił na niego szczególną uwagę. Coś go nagle uderzyło. Przywołał Kulasa, pomacał jego sierść i łagodnie poturlał go grzbietem po ziemi. Kulas, który nic nie podejrzewał, piszczał z satysfakcji. Atoli nazajutrz rano znikł. Długo szukałem go; przepadł jak kamień w wodę; i dopiero po dwóch tygodniach wszystko się wyjaśniło: futro Kulasa nadzwyczajnie przypadło Nieustrojewowi do gustu. Zdarł je, wyprawił i

wyłożył nim aksamitne zimowe półbuciki, które zamówiła żona audytora. Mnie także pokazywał te półbuciki, gdy je wykończył. Futerko było bardzo ładne. Biedny Kulas!

Liczni więźniowie parali się u nas wyprawianiem skór i często przyprowadzali ze sobą psy o ładnej sierści, które natychmiast znikaly. Czasem je kradli, czasem nawet kupowali. Pamiętam, że kiedyś zobaczyłem za kuchniami dwóch więźniów. Żywo się nad czymś naradzali. Jeden z nich trzymał na sznurku wspaniałego, dużego czarnego psa. Jakiś nicpoń lokaj zabrał go swemu panu i sprzedał naszym szewcom za trzydzieści kopiejek srebrem. Więźniowie zamierzali go powiesić. Było to bardzo wygodne: skórę zdzierało się, a trupa wrzucało do dużego i głębokiego śmietnika w rogu naszego podwórza, który w lecie, w silne upały, cuchnął niemiłosiernie. Opróżniano go rzadko. Biedny pies zdawał się rozumieć, co go czeka. Badawczo i z niepokojem zerkał kolejno na nas trzech i tylko od czasu do czasu ośmielał się pomachać puszystym podwiniętym ogonem, jakby pragnąc ułagodzić nas tą oznaką zaufania. Odszedłem co rychlej, tamci zaś, ma się rozumieć, pomyślnie skutecznili swój zamiar.

Gęsi zaczęto u nas hodować także przypadkowo. Kto zaprowadził tę hodowlę i do kogo gęsi właściwie należały — nie wiem, ale przez pewien czas wielce bawiły więźniów, a i w mieście uzyskały rozgłos. Wylęgły się w więzieniu,zymane były w kuchni. Kiedy stadko podrosło, gęsięta nabrały zwyczaju chodzenia całą czeredą wraz z więźniami do pracy. Skoro tylko zawarczy bęben i katorżnicy ruszają ku wyjściu, nasze gęsi z wrzaskiem biegną za nami rozpiąwszy skrzydła, jedna po drugiej przeskakują wysoki próg furtki i niezmiennie idą na prawo, gdzie stają w sfornym szyku czekając, aż nadejdą więźniowie. Przystawały zawsze do najliczniejszej grupy i gdyśmy pracowali, pasły się gdzieś nie opodal. Z chwilą gdy grupa wracała do więzienia, one także ruszały z miejsca. W twierdzy rozeszły się słuchy, że gęsi chodzą z więźniami do pracy. „Patrzajcie, więźniowie idą ze swoimi gęśmi! — mawiali spotkani. — Jakim cudem nauczyliście je tego?” — „Macie tu na gęsi” — dorzuczał ktoś i udzielał datku. Ale mimo całą ich wierność, na którąś Wielkanoc zarżnięto je wszystkie.

Natomiast naszego kozła Waśki za nic by nie zarżnięto, gdyby nie pewna szczególna okoliczność. Nie wiem również, skąd się wziął u nas ani kto go przyniósł, dosyć, że raptem znalazło się w więzieniu małe, bielutkie, prześliczne kozłátko. W parę dni wszyscy je polubili, stało się dla wszystkich rozrywką, a nawet pociechą. Wyszukano też powód do trzymania go: przecież w więzieniu jest stajnia, a w stajni trzeba mieć kozła. Jednak nie kwaterował w stajni, ale z początku w kuchni, potem zaś po całym więzieniu. Było to niezwykle zgrabne, niezwykle figlarne stworzenie. Przybiegał na wołanie, wskakiwał na ławki, na stoły, trykał się z więźniami, był zawsze wesół i zabawny. Raz, kiedy mu się już wyrzynały spore różki, któregoś wieczoru Lezgin Babaj, siedząc w gromadzie innych więźniów na ganku koszar, umyślił się z nim potrykać. Długo już tłukli się czołami (była to ulubiona zabawa więźnia z kozłem), gdy nagle Waśka dał susa na najwyższy schodek ganku i — korzystając z chwili, kiedy się Babaj odwrócił — błyskawicznie stanął dęba, przycisnął do siebie przednie kopytka i z całego rozmachu uderzył

Babają w potylicę, tak że ten stoczył się z ganku ku nieopisanej ucieście obecnych, a przede wszystkim własnej. Krótko mówiąc, wszyscy ogromnie lubili Waśkę. Gdy zaczął podraść, zrobiono mu, w wyniku walnej i poważnej narady, wiadomą operację, której nasi weterynarze umieli świetnie dokonywać. „Bo jak nie, to będzie cuchnął parkotem” — mówili więźniowie. Po tym zabiegu Waśka jął tyć niesłychanie. Przy tym karmili go jak na ubój. Wreszcie wyrósł na wspaniałego, dużego i niezwykle grubego kozła o bardzo długich rogach. Idąc aż się przewalał. On także nabrał zwyczaju chodzenia z nami do pracy, czym rozweselał więźniów i spotykana publiczność. Wszyscy znali więziennego kozła Waśkę. Czasem, jeśliśmy na przykład pracowali na brzegu, więźniowie nałamią giętkich łożowych gałązek, dodadzą jeszcze jakichś liści, narwą kwiatów na wale forttecznym i ustroją tym wszystkim Waśkę: rogi oplotą mu gałązkami i kwieciami, po całym tułowiu kozła spływają girlandy. Oto Waśka wraca do ostrogu, zawsze na czele więźniów, wystrojony i przyozdobiony, a oni idą za nim i są z niego dumni wobec przechodniów. Ten zachwyt nad kozłem doszedł do tego, że niektórym przychodziła już do głowy dziecinna myśl: „Czyby nie pozłocić Waśce rogów?” Ale ten pomysł nie doszedł do skutku. Zresztą pamiętam, że zapytałem Akima Akimycza, naszego najlepszego po Izajaszu Fomiczu złotnika: „Czy naprawdę można wyłocić kozłu rogi?” Z początku pilnie popatrzył na kozła, zastanowił się poważnie i odrzekł: „Owszem, można, lecz będzie to nietrwale, a na dobitkę zupełnie bezużyteczne.” Na tym się skończyło. Długo żyłby Waśka w ostrogu, zmarłby chyba tylko na astmę, ale pewnego razu, wracając na czele więźniów po pracy, wystrojony i przyozdobiony, nawinął się na oczy majorowi, który jechał powozem. — „Stój! — ryknął major. — Czyj to kozioł?” Objasniono mu. — „Jak to! Kozioł w ostrogu, i to bez mego zezwolenia! Dać mi tu podoficera!” Podoficer stawiał się i otrzymał rozkaz, by niezwłocznie zarznąć kozła. Skórę zedrzeć, sprzedać na targu, uzyskaną kwotę włączyć do rządowej kasy aresztanckiej, a mięso dać więźniom na kapuśniak. Pogadano, pożałowano, ale musiano usłuchać. Zarznięto Waśkę nad naszym śmietnikiem. Wszystko mięso kupił jeden z więźniów płacąc półtora rubla. Za te pieniądze kupiono kołaczy, nabywca zaś Waśki sprzedał koźlinę własnym towarzyszom na pieczyście. Mięso było rzeczywiście bardzo smaczne.

Przez pewien czas mieliśmy też w ostrogu orła, z gatunku niewielkich orłów stepowych. Ktoś go przyniósł rannego i wycieńczonego. Obstała go cała katorga; nie mógł latać: prawe skrzydło wlokło mu się po ziemi, jedna noga była zwichnięta. Pamiętam, jak wściekle rozglądał się wokół, patrząc na ciekawą ciżbę, i rozdziawiał garbaty dziób, zamierzając drogo sprzedać życie. Gdy więźniowie napatrzeli się do woli i rozeszli, pokuśtykał, chromając, podskakując na jednej nodze i pomachując zdrowym skrzydłem, na sam koniec dziedzińca, gdzie się zasył w kąt i z całych sił przycisnął do słupów ogrodzenia. Tu przeżył u nas trzy miesiące i przez cały ten czas ani razu nie wyszedł ze swego zakamarka. Z początku więźniowie często przychodzili pogapić się na niego, szczuli go psem. Kulka rzucał się nań zajadle, lecz widocznie bał się podejść bliżej, co wielce śmieszyło więźniów. „Dzika bestia! — mówili — nie daje się!” Później i Kulka jął go srodze

krzywdzić; strach minął, i gdy go szczuto, nauczył się chwytać ptaka za chore skrzydło. Orzeł ze wszystkich sił bronił się dziobem i, zaszyty w swój kął, dumnie i dziko niby ranny król spozierał na ciekawskich, co przyszli mu się przyjrzeć. W końcu sprzykrzył się wszystkim; wszyscy zaniechali go i zapomnieli, a jednak co dzień widać było przy nim strzępki świeżego mięsa i glinianą skorupkę z wodą. Ktoś miał o nim staranie. Zrazu nie chciał nawet jeść, nie jadł przez kilka dni; wreszcie zaczął przyjmować pokarm, ale nigdy z ręki, nigdy przy ludziach. Niejednokrotnie zdarzyło mi się obserwować go z daleka. Nie widząc nikogo i sądząc, że jest sam, decydował się niekiedy wyjść z kryjówki gdzieś niedaleko i kuśtykał wzdłuż pali, jakie dwanaście kroków od swego miejsca, następnie wracał, następnie znów wychodził, jak gdyby zażywał przechadzki dla zdrowia. Na mój widok, niezwłocznie, co tchu, utykając i podskakując, śpieszył na swe miejsce i zadarłszy głowę, rozdziawiwszy dziób, zaperzony przygotowywał się do natychmiastowego boju. Nie mogłem go udobruchać żadnymi pieszczotami: kąsał i bił, wołowiny ode mnie nie brał i jak długo stałem nad nim, arcyprzenikliwie patrzył mi w oczy złym, przeszywającym wzrokiem. Samotnie i gniewnie czekał śmierci, nikomu nie ufając, z nikim nie pogodzony. Wreszcie więźniowie jak gdyby przypomnieli go sobie i chociaż przez dwa miesiące nikt o nim nie pamiętał i nie dbał o niego, teraz wszystkich raptem ogarnęło coś w rodzaju współczucia. Jęli przebąkiwać, że trzeba wynieść orła.

— Jeżeli ma zdechnąć, niech przynajmniej zdechnie nie w więzieniu — mówili jedni.

— Pewno, to ptak wolny, srogi, nie przywyknie do więzienia — potakiwali drudzy.

— Widać nie taki jak my — dorzucił ktoś.

— Powiedział, co wiedział! Przecież to ptak, a myśmy ludzie.

— Orzeł, bracia, to król lasów... — zaczął Skuratow, ale tym razem nie zechcieli go słuchać.

Kiedys po obiedzie, gdy bęben wezwał do pracy, wzięli orła zaciskając mu dziób ręką, ponieważ okrutnie walczył, i wynieśli z więzienia. Doszli do wału. Ze dwunastu ludzi, stanowiących tę grupę, bardzo chciało widzieć, dokąd orzeł się uda. Rzecz dziwna: wszyscy byli radzi, jakby sami odzyskiwali wolność.

— To ci psia para! Robię mu łaskę, a on kąsa! — mówił ten, co go trzymał, niemal z miłością patrząc na złego ptaka.

— Puszczaj go, Mikitka!

— Jemu nie trzeba obietnic-cacaneł. Chce wolności, prawdziwej wolności.

Zrzucili orła z wału na step. Działo się to późną jesienią, w zimny i chmurny dzień. Wiatr świstał na gołym stepie i szumiał w poźółkłej, zeschłej, strzępiastej trawie stepowej. Orzeł puścił się wprost przed siebie, machając chorym skrzydłem i jakby śpiesząc odejść od nas, gdzie oczy poniosą. Więźniowie z zaciekawieniem śledzili, jak się jego głowa przemyka wśród trawy.

— Cie go! — w zadumie rzekł jeden.

— Ani się obejrzy! — dodał drugi. — Ani razu, bracia, nie obejrzał się, biegnie sobie!

— A tyś myślał, że wróci podziękować? — wtrącił trzeci.

- Wiadomo, wolność. Poczul wolność.
- Wolność, tak...
- Już go nie widać, bracia...
- Czego stoicie? Marsz! — zawołali konwojenci, i wszyscy w milczeniu powlekli się do pracy.

VII. Zażalenie

Zaczynając ten rozdział wydawca notatek nieboszczyka Aleksandra Pietrowicza Gorianczykowa uważa za swój obowiązek podać czytelnikom do wiadomości co następuje:

W pierwszym rozdziale *Wspomnień z domu umarłych* jest pokrótce mowa o pewnym ojcobójcy ze szlachty. Między innymi przytoczono go tam jako przykład, z jaką obojętnością niektórzy więźniowie mówią o popełnionych przez siebie zbrodniach. Wspomniano też, że morderca nie przyznał się na rozprawie do przestępstwa, ale sądząc z opowiadań ludzi, którzy znali wszystkie szczegóły jego historii, fakty były tak jasne, że niepodobna było wątpić o zbrodni. Ci sami ludzie opowiadali autorowi *Wspomnień*, że przestępca był człowiekiem jak najgorszego prowadzenia, narobił długów i zabił ojca, by dostać po nim spadek. Zresztą całe miasto, w którym dawniej służył ów ojcobójca opowiadało tę historię jednakowo. O tym ostatnim fakcie wydawca *Wspomnień* ma dosyć pewne informacje. Wreszcie powiedziano we *Wspomnieniach*, że w katordze morderca był stale w znakomitym, jak najweselszym nastroju, że był to naiwny, lekkomyślny, w najwyższym stopniu nierozważny człowiek, choć bynajmniej nie głupiec, i że autor *Wspomnień* nigdy nie dostrzegł w nim jakiegoś szczególnego okrucieństwa. Tu następują słowa: „Oczywiście, nie wierzyłem w tę zbrodnię”.

Przed kilku dniami wydawca *Wspomnień z domu umarłych* otrzymał z Syberii zawiadomienie, że przestępca istotnie miał rację i dziesięć lat niesłusznie cierpiał na katordze, że niewinność jego została stwierdzona sądownie, urzędowo, że właściwi winowajcy znaleźli się i przyznali, i że nieszczęśnika wypuszczono już z katorgi. Wydawca żadną miarą nie może wątpić o wiarygodności tej informacji...

Nie ma tu nic do dodania. Nie ma po co mówić szeroko o całej głębi tragizmu tego faktu, tego życia zaprzepaszczonego już za młodu wskutek takiego okropnego oskarżenia. Fakt jest nazbyt zrozumiały, nazbyt rażący sam w sobie.

Sądźmy również, że skoro taki fakt był możliwy, to sama już ta możliwość dorzuca nowy i nader jaskrawy rys do charakterystyki i pełni obrazu Domu umarłych. A teraz ciągniemy dalej.

* * *

Mówiłem już wyżej, że w końcu oswoiłem ze swym położeniem na katordze. Ale to „w końcu” dokonywało się nader opornie, boleśnie i bardzo powoli. Właściwie potrzeba mi na to było prawie roku, i był to najtrudniejszy rok mego życia. Dlatego też ten cały rok, ryczałem, tak się wraził w moją pamięć. Wydaje mi się, że każdą godzinę tego roku pamiętam kolejno. Mówiłem także, iż inni więźniowie również nie mogli przyzwycząić się do tego życia. Pamiętam,

że w tym pierwszym roku często rozmyślałem w duchu: „Jak się oni czują? Czyżby byli spokojni?” I pytania te bardzo mnie zajmowały. Już wspominałem, że wszyscy więźniowie żyli tutaj nie jak u siebie w domu, lecz jakby w zajeździe, na wyprawie, na jakimś etapie. Nawet ludzie, przysłani tu na całe życie, marzyli lub tęsknili i na pewno każdy z nich roił w duchu o czymś niemożliwym. Ten ustawiczny niepokój, okazywany co prawda w milczeniu, lecz w sposób jawny, ta osobliwa gorączkowość i niecierpliwość mimowolnie niekiedy wypowiedanych nadziei, czasem tak bezpodstawnych, że przypominały majaczenie, a co najdziwniejsze, snuty przez umysły na pozór bardzo trzeźwe — wszystko to nadawało niezwykle wygląd i charakter temu miejscu może właśnie te rysy stanowiły najbardziej charakterystyczną jego cechę. Czuło się jakoś, od pierwszego nieledwie wejrzenia, że poza ogrodzeniem tego nie ma. Tutaj wszyscy byli marzycielami, i to rzucało się w oczy. Odczuwało się to boleśnie właśnie dlatego, że marzycielstwo nadawało przeważnie więźniom wygląd posepny i ponury, jakiś niezdrowy. W ogromnej większości więźniowie byli milczący i nienawistnie zamknięci w sobie, nie lubili wystawiać swych nadziei na pokaz. Prostuduszością, szczerością gardzono. Im bardziej nieziszczalne były nadzieje i im bardziej sam marzyciel czuł tę nieziszczalność, tym uparciej i wstydliej taił je w duchu, ale wyrzec się ich nie mógł. Kto wie, może ten i ów wstydził się ich. Charakter rosyjski ma w sobie tyle pozytywizmu i trzeźwości, tyle kpiarstwa pod własnym przede wszystkim adresem... Może właśnie wskutek tego stałego, ukrywanego niezadowolenia z siebie ci ludzie odznaczeni taką niecierpliwością w powszednich wzajemnych stosunkach, taką kłótnością i wzajemnymi drwinami. I jeżeli, na przykład, wysforowywał się z ich grona ktoś naiwniejszy i niecierpliwszy i nagle wypowiadał głośno to, co wszyscy mieli na myśli, jeśli popuszczał wodze marzeniom i nadziejom, natychmiast osadzali go szorstko, karcili, wyśmiewali; zdaje mi się jednak, że najgorliwiej prześladowali go ci właśnie, którzy może dalej niż on posuwali się w swych marzeniach i nadziejach. Powiedziałem już, że ludzi naiwnych i prostodusznych wszyscy w ogóle uważali u nas za zakute łby i pomiatali nimi. Każdy był tak dalece ponury i ambitny, że zaczynał gardzić człowiekiem poczciwym i bez ambicji. Poza tymi naiwnymi i prostodusznymi gadułami wszyscy inni, to znaczy milczkowie, wyraźnie dzielili się na dobrych i złych, na posepnych i pogodnych. Posepnych i złych było nierównie więcej. Jeżeli zaś zdarzali się wśród nich ludzie z natury gadatliwi, wszyscy oni byli zawsze bałamutnymi plotkarzami i niespokojnymi zazdrośnikami. Wścibiali się do wszystkich obcych spraw, chociaż własnej duszy, własnych tajemnic nikomu nie wystawiali na pokaz. Było to niemodne, nie uchodziło. Dobrzy — nader szczupła gromadka — byli cisi, milcząc taili w sobie optymistyczne rachuby i, naturalnie, bardziej od ponurych skłonni byli do nadziei i wiary w nie. Zdaje mi się zresztą, że była ponadto gromada ludzi zupełnie zdesperowanych. Takim był na przykład staruszek ze słobód starodubowskich; bądź co bądź, takich było bardzo mało. Staruszek był na pozór spokojny (mówiłem już o nim), lecz z niektórych oznak wnioskuję, że jego stan duchowy był okropny. Co prawda, miał swój ratunek, swoje wyjście: modlitwę oraz ideę męczeństwa.

Zwariowany, rozczytujący się w Biblii więzień, o którym już wspomniałem i który się rzucił z cegłą na majora, zapewne także należał do desperatów, do tych, których opuściła wszelka nadzieja, a ponieważ całkowicie bez nadziei żyć nie sposób, znalazł więc sobie wyjście w dobrowolnym, prawie sztucznym męczeństwie. Oświadczył, że się rzucił na majora bez złości, jedynie z chęci odcierpienia kary. I któż wie, jaki proces psychologiczny odbył się wówczas w jego duszy! Bez jakiegoś celu i dążenia do tego celu nie żyje ani jeden człowiek. Postradawszy cel i nadzieję, człowiek, ze zgryzoty, zamienia się nieraz w potwora... Celem wszystkich była wolność i wyjście z katorgi.

Oto próbuję posegregować wszystkich więźniów na kategorie, ale czy to możliwe? Rzeczywistość jest nieskończenie wieloraka w zestawieniu ze wszystkimi, chociażby najdowcipniejszymi wnioskami oderwanej myśli i nie poddaje się ostrym, ryczałtowym różnicowaniom. Rzeczywistość dąży do różnorodności. Na katordze istniało odrębne życie każdego, takie czy owakie, ale istniało, i nie tylko to urzędowe, lecz i wewnętrzne, swoje, własne życie.

Jednak, jak już po części wspomniałem, nie mogłem i nawet nie umiałem, w zaraniu swego uwięzienia, wnikać w głąb tego życia, toteż wszystkie jego zewnętrzne przejawy nękały mnie podówczas niewymownym strapieniem. Niekiedy zaczynałem wprost nienawidzić tych podobnych mi męczenników. Zazdrościłem im nawet, że bądź co bądź są między swoimi, w kompanii, że rozumieją jedni drugich, chociaż w gruncie rzeczy wszystkim im, jak i mnie, zbrzydło i obmierzło to koleżeństwo pod batem i pałą, ten przymusowy zespół, i w duchu każdy odwracał wzrok od innych i patrzył w swoją stronę. Raz jeszcze powtarzam: ta zazdrość, nawiedzająca mnie w chwilach gniewu, miała uzasadnienie. Istotnie, z gruntu mylą się ci, co mówią, że szlachcicowi, człowiekowi wykształconemu i tak dalej, zupełnie tak samo ciężko jest w naszych więzieniach i katorgach, jak pierwszemu lepsшему chłopu. Znam, słyszałem to przypuszczenie, ostatnio zaś spotykałem je w druku. Podstawa tej myśli jest słuszna, humanitarna. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Ale ta myśl jest zanadto abstrakcyjna. Przeoczą bardzo wiele warunków praktycznych, których nie można zrozumieć inaczej niż w zetknięciu z rzeczywistością. Mówię to nie dlatego, że szlachta i ludzie wykształceni czują rzekomo subtelniej, boleśniej, że są bardziej rozwinięci. Duszę i jej rozwój trudno brać pod jakiś strychulec. Nawet samo wykształcenie w tym wypadku nie stanowi miernika. Pierwszy gotów jestem zaświadczyć, że i w najbardziej niewykształconym, najbardziej uciskanym środowisku, wśród tych męczenników spotykałem rysy najsubtelniejszego rozwoju duchowego. Na katordze bywa czasem tak, że znamy człowieka kilka lat i sądzymy o nim, że to zwierzę, nie człowiek, gardzimy nim. Aż raptem nadchodzi przypadkiem chwila, w której jakiś mimowolny poryw odsłania jego duszę i nagle widzimy w nim takie bogactwo, uczucie, serce, takie przedziwne zrozumienie własnego i cudzego cierpienia, że się nam jak gdyby otwierają oczy i w pierwszej chwili nawet nie wierzymy temu, cośmy sami zobaczyli i usłyszeli. Bywa też odwrotnie: wykształcenie

współistnieje niekiedy z takim barbarzyństwem, z takim cynizmem, że zbiera nas odraza i choćbyśmy byli najdobrotliwsi czy najprzychylniej nastawieni, nie znajdujemy w swym sercu ani wytłumaczenia, ani usprawiedliwienia.

Nic również nie mówię o zmianie zwyczajów, trybu życia, pokarmu i tak dalej, co dla człowieka z wyższej sfery jest niewątpliwie cięższe niż dla chłopca, który niejednokrotnie głodował na wolności, a na katordze przynajmniej najadał się do syta. O tym także nie będę dyskutował. Przypuśćmy, że dla człowieka mającego choć trochę siły woli wszystko to jest drobnostką w porównaniu z innymi niedogodnościami, chociaż na dobrą sprawę zmiana przyzwyczajzeń nie jest bynajmniej rzeczą błahą i najmniejszej wagi. Lecz istnieją niedogodności, wobec których wszystko to błędnie do tego stopnia, że nie zważamy ani na brud, ani na ucisk, ani na chude, niechlujne jadlo. Najgładszy paniczyk, najdelikatniejszy delikacik, skoro popracuje w pocie czoła, tak jak nigdy nie pracował na wolności, będzie jadł i razowiec, i kapuśniak z karaluchami. Do tego można się jeszcze przyzwyczaić; wspomina o tym humorystyczna pieśń więzienna o byłym paniczku, co się znalazł na katordze:

*Jak dadzą mi kapusty z wodą,
Zajadam, aż się uszy trzęsą.*

Nie, ważniejszy nad to wszystko jest fakt, że każdy z nowo przybywających na katorgę w parę godzin po przybyciu staje się takim samym jak wszyscy inni, staje się tu, u siebie w domu, takim samym równoprawnym gospodarzem w zespole więziennym jak każdy inny. Wszyscy go rozumieją i on wszystkich rozumie, wszyscy go znają i uważają za swojego. Inaczej ma się rzecz z panem, ze szlachcicem. Choćby był najbardziej sprawiedliwy, dobry, mądry, przez całe lata będą go nienawidzili i gardzili nim wszyscy, całą gromadą; nie zrozumieją go, a co gorsza — nie zaufają mu. Nie jest przyjacielem i towarzyszem, i chociaż wreszcie, z upływem lat, osiągnie to, że przestaną go źle traktować, lecz mimo wszystko będzie obcy, i wiecznie, dręcząco będzie świadom swego odosobnienia i samotności. Czasami więźniowie odosabniają go zgoła bez złości, ot tak sobie, bezwiednie. To obcy człowiek i basta. Nie ma nic straszniejszego niż żyć nie w swoim środowisku. Chłop, przesiedlony z Taganrogu do portu pietropawłowskiego, natychmiast znajdzie tam takiego jak i on rosyjskiego chłopca, natychmiast dogada się z nim i pokuma, a po dwóch godzinach może już zamieszkają jak najzgodniej w jednej chacie czy w jednym szałasie. Inaczej panowie. Dzieli ich od gminu bezmierna przepaść, i to całkowicie uwidoczni się dopiero wtedy, gdy pan zniecka, siłą zewnętrznych okoliczności, rzeczywiście, naprawdę utraci dawne swe prawa i zmieni się w człowieka z gminu. Inaczej, choćby całe życie obcował z ludem, choćby się czterdzieści lat z rzędu stykał z nim codziennie, w służbie na przykład, w umownie administracyjnych ramach, albo nawet po prostu z przyjaźni, w charakterze dobroczyńcy i poniekąd ojca — nigdy nie pozna właściwej treści. Wszystko będzie tylko złudzeniem i niczym

więcej. Wiem oczywiście, że wszyscy, bezwzględnie wszyscy, czytając moją uwagę powiedzą, że przesadzam. Ale jestem przekonany o jej słuszności. Przekonałem się o tym nie z książek, nie spekulatywnie, lecz w rzeczywistości i miałem aż nadto czasu, żeby sprawdzić swe przekonania. Może później wszyscy się dowiedzą, jak bardzo jest to słuszne.

Wydarzenia jakby umyślnie od pierwszej chwili potwierdzały moje obserwacje, działając na mnie denerwująco i boleśnie. Tego pierwszego lata snułem się prawie sam. Już powiedziałem, że byłem w takim nastroju, iż nawet nie potrafiłem ocenić i odróżnić tych katorżników, którzy by mogli polubić mnie później, jakkolwiek nigdy nie zżyli się ze mną na stopie równości. Miałem też towarzyszy szlachciców, ale to ich towarzystwo nie zdejmowało ciężaru z mej duszy. Na nic bym się nie oglądał, lecz nie miałem dokąd uciec. Oto na przykład jeden z tych wypadków, które od razu najdobitniej uprzytomniły mi moje odosobnienie i osobliwość mojej sytuacji. Kiedyś, tego samego lata, już w sierpniu, w powszedni, słoneczny i upalny dzień, o pierwszej po południu, gdy jak zwykle wszyscy odpoczywali przed pracą poobiednią, raptem cała katorga podniosła się jak jeden mąż i zaczęła się ustawiać szeregiem na podwórzu więziennym. Aż do tej chwili nie wiedziałem o niczym. W owym czasie bywałem nieraz tak zatopiony w sobie, że prawie nie dostrzegałem, co się dzieje wokoło. A katorga już od trzech dni burzyła się głucho. Może to wzburzenie rozpoczęło się daleko wcześniej, jakem zmiarkował już później, mimo woli przypominając sobie to i owo z rozmów więźniów oraz ich wzmożoną swarliwość, posepność i niezwykle rozdrażnienie, których dowody dawali ostatnio. Przypisywałem to ciężkiej pracy, nudnym, długim dniom letnim, mimowolnym marzeniom o lasach i wolności, krótkim nocom, w które trudno się było wyspać do woli. Może wszystko to razem połączyło się obecnie w jeden wybuch, lecz pretekstem do tego wybuchu był wikt. Już od kilku dni więźniowie narzekali głośno, oburzali się w koszarach, a zwłaszcza gdy schodzili się w kuchni na obiad i kolację, byli niezadowoleni z „kucht”, spróbowali nawet zastąpić jednego z nich nowym, którego wszakże natychmiast wypędzili, biorąc z powrotem dawnego. Słowem, wszyscy byli w jakimś niespokojnym nastroju.

— Robota ciężka, a żywią nas flakami — sarknie czasem ktoś w kuchni.

— Jak ci się nie podoba, to obstaluj blamanż — podchwyci drugi.

— Kapuśniak z flakami bardzo lubię, bracia — dorzuca trzeci — bo smaczny.

— A gdyby ci ciągle dawali same tylko flaki, smakowałyby ci?

— To prawda, teraz jest pora mięsna — mówi czwarty. — Harujemy na fabryce, że nie wiem, po pracy chce się zjeść. A flaki to żadne jedzenie.

— A jak nie z flakami, to z dudkami.

— Albo na przykład choćby te dudki. Flaki i dudki. ciągle w kółko. To ma być jedzenie!

Sprawiedliwe to czy nie?

— Tak, wyzerka marna.

— Za to oni napychają sobie kieszeń.

- Nie twoja to rzecz.
- Tylko czyja? Brzuch jest mój. Powinni byśmy całą gromadą wnieść zażalenie, i kwita.
- Zażalenie?
- Tak.

— Mało cię jeszcze grzmocili za to zażalenie? Fujara!

— Racja — zrzednie dorzucą inny, który dotychczas milczał — co nagle, to po diable.

Powiedz najpierw, co będziesz gadał, mądra głowo.

— Owszem, powiem. Gdybyśmy wszyscy poszli kupą, będę gadał razem ze wszystkimi, że niby: bieda jest. Poniektóry jada u nas swoje, ale są i tacy, co siedzą o samym tylko wikcie skarbowym.

— Patrzajcie, jak go zazdrość ściska! Oczy mu się śmieją do cudzego dobra.

— Na cudze gołąbki nie rozwieraj gąbki, lepiej wstań o świcie i zarób na życie.

— Zarób! Do późnej starości będę się z tobą spierał o to.

— Widać jesteś bogaty, kiedy chcesz siedzieć z założonymi rękoma?

— Bogata sierota, bo ma psa i kota.

— Ale swoją drogą, bracia, czego siedzimy jak trusie! Oni nas łupią ze skóry, a my milczymy.

Czemu nie pójść na skargę?

— Czemu? Pewnie chcesz, żeby kto przeżuwał za ciebie: zwykłeś jeść przeżute. Siedzimy na katordze — oto „czemu”!

— Wychodzi więc na to: Boże, skłóć nędzarzy, niech się panom darzy.

— Otóż to! Nasz ośmiooki porósł w pierze. Sprawił sobie parę siwków.

— Lubi też zajrzeć do butelki.

— Onegdaj pobili się z weterynarzem przy kartach. Calutką noc rżnęli. Nasz tego wziął po karku. Fiedka mi mówił.

— Dlatego jemy kapuśniak z dudkami.

— Oj, durnie, durnie! Gdzież takim jak my wnieść zażalenie.

— Wystąpmy wszyscy kupą, a zobaczymy, jakie znajdzie usprawiedliwienie. Mocno stójmy przy swoim.

— Phi, usprawiedliwienie! Zajedzie cię w zęby, i koniec na tym.

— A ty na dobitkę pójdziesz pod sąd...

Słowem, wszyscy się burzyli. W owym czasie jedzenie u nas było rzeczywiście kiepskie. I w ogóle — siła złego na jednego. Głównym zaś powodem było powszechne przygnębienie, ustawiczna tajona udreka. Katorżnik jest kłótniwy i pobudliwy z samej już swej natury; rzadko się jednak zdarza, by wszyscy wystąpili razem albo dużą gromadą. Na przeszkodzie zawsze staje różnica zdań. Każdy z nich sam to czuł: oto dlaczego więcej bywało u nas połajanek niż celowego działania. Atoli tym razem wzburzenie nie rozeszło się po kościach. Zaczęli się zbijać w gromadki, rajcowali w koszarach, klęli, z gniewem przypominali sobie cały okres rządów naszego

majora, nicowali je dokumentnie. Najbardziej burzyli się niektórzy. W każdej takiej sprawie zawsze znajdują się inicjatorzy, prowodyrzy. Prowodyrami w takich wypadkach, to znaczy przy zgłaszaniu zażaleń, są na ogół całkiem nietuzinkowi ludzie, i to nie tylko w więzieniu, lecz we wszystkich artelach, oddziałach i tak dalej. Jest to typ specjalny, wszędzie na jedno kopyto. Są to ludzie żarliwi, łaknący sprawiedliwości i najnaiwniej, najrzetelniej przekonani o jej niezawodnej, niezbitej, a co najważniejsze, niezwłocznej możliwości. Ludzie ci nie są głupszy od innych, owszem, bywają wśród nich nader rozumni, ale zanadto są żarliwi, by mogli być sprytni i wyrachowani. We wszystkich takich wypadkach, jeżeli się i znajdą ludzie, którzy umieją zręcznie pokierować tłumem i wygrać sprawę, to stanowią oni już inny typ naturalnych przywódców ludu, typ niezmiernie u nas rzadki. Ci natomiast, o których teraz mówię, inicjatorzy i prowodyrzy, zawsze niemal przegrywają sprawę, za co też później zaludniają więzienia i katorgi. Przegrywają wskutek swej żarliwości, ale wskutek tej żarliwości mają wpływ na tłum. Inni chętnie idą za nimi. Ich zapal i uczciwe oburzenie działa na wszystkich i w końcu najbardziej nawet niezdecydowani przystają do nich. Ślepa ich wiara w sukces uwodzi najzatwardziały nawet sceptyków, choć niekiedy wiara ta ma tak chwiejne, tak dziecinne podstawy, aż dziw bierze, iż ktoś dał się porwać. Głównie zaś działa to, że idą pierwsi, niczego się nie bojąc. Niczym byki, rzucają się na oslep, często bez znajomości rzeczy, bez ostrożności, bez tego praktycznego jezuityzmu, dzięki któremu nieraz nawet najlichszy i najbardziej zaszargany człowiek wygrywa sprawę, osiąga cel i suchą stopą wychodzi z wody. Oni zaś nieuchronnie skręcają sobie karki. W życiu powszednim są to ludzie opryskliwi, wszystkim się brzydzący, drażliwi i nietolerancyjni. A najczęściej — okropnie ograniczeni, co zresztą stanowi poniekąd ich siłę. Najprzykrejsze jest to, że zamiast dążyć wprost do celu, często rzucają się gdzieś w bok, na drugorzędne drobiazgi. I to ich gubi. Ale tłum ich rozumie: w tym tkwi ich siła... Jednak muszę jeszcze powiedzieć parę słów, co znaczy zażalenie.

W naszym więzieniu było kilku takich ludzi, którzy przyszli tu za zażalenie. Oni to właśnie burzyli się najbardziej. Osobliwie jeden, Martynow, który dawniej służył w huzarach, zapaleniec, niespokojny i podejrzliwy człowiek, uczciwy zresztą i prawdomówny. Drugim był Wasilij Antonow, człowiek jakoś na zimno drażliwy, o czelnym spojrzeniu, o wyniosłym szyderczym uśmiechu, nadzwyczaj rozgarnięty, a przy tym również uczciwy i prawdomówny. Atoli wszystkich nie mogę wymienić; było ich wielu. Pietrow, między innymi, bez przerwy objął się po koszarach, przysłuchiwał wszystkim gromadkom, mało mówił, ale był widocznie podniecony i pierwszy wyskoczył na dwór, gdy zaczęto ustawiać się na dziedzińcu.

Nasz podoficer więzienny, pełniący u nas obowiązki feldfebla, natychmiast przyszedł, wylekły. Uszykowawszy się, ludzie grzecznie poprosili go, by powiedział majorowi, że katorżnicy chcą się z nim rozmówić i prosić go osobiście o uwzględnienie kilku punktów. Za podoficerem przyszli też wszyscy inwalidzi i stanęli po drugiej stronie, naprzeciw więźniów. Dane podoficerowi zlecenie było niezwykle i wprawiło go w przerażenie. Nie śmiał jednak nie

zawiadomić natychmiast majora. Po pierwsze, skoro już więźniowie wystąpili, mogło dojść do czegoś gorszego.

Cała nasza zwierzchność ogromnie obawiała się więźniów. Po wtóre, gdyby nawet nic się nie stało, gdyby się wszyscy wnet opamiętali i rozeszli, podoficer i tak musiałby niezwłocznie zameldować majorowi o całym tym zajściu. Błady i drżący ze strachu, udał się pośpiesznie do majora, nawet nie próbując sam pytać więźniów i przemawiać im do rozumu. Wiedział, że nikt teraz nie zechce z nim gadać.

Nie mając o niczym pojęcia, ja także wyszedłem, by stanąć w szyku. Wszystkich szczegółów sprawy dowiedziałem się dopiero później. Obecnie zaś sądziłem, że się odbywa jakaś kontrola; nie widząc wszakże strażników, którzy dokonywają kontroli, zdziwiłem się i jałem rozglądać dokoła. Twarze były zdenerwowane i rozdrażnione, niektóre nawet blade. Wszyscy w ogóle byli zatroskani i milczący w oczekiwaniu na to, że trzeba będzie zabrać głos wobec majora. Zauważyłem, że liczni więźniowie spojrzeli na mnie z niesłychanym zdziwieniem, lecz odwrócili się bez słowa. Dziwiło ich widocznie, że stanąłem w ich szeregach. Prawdopodobnie nie wierzyli, bym i ja także wnosił zażalenie. Wkrótce jednak prawie wszyscy otaczający zaczęli się znów zwracać do mnie. Wszyscy patrzyli na mnie pytająco.

— Czegoś tu przyszedł? — gburowato i głośno ofuknął mnie Wasilij Antonow, który stał dalej ode mnie niż inni, dotychczas traktował mnie zawsze uprzejmie i nigdy nie „tykał”.

Patrzyłem na niego zaskoczony, wciąż jeszcze usiłując pojąć, co to znaczy, i już się domyślając, że odbywa się coś niezwykłego.

— Rzeczywiście, po co tu stoisz? Ruszaj do koszar — rzekł pewien młody człowiek, były wojskowy, przedtem zupełnie mi nieznajomy, chłopiec dobry i cichy. — Nie twoja to rzecz.

— Wszyscy się przecież ustawili — odparłem. — Myślałem, że to kontrola.

— Cie go, także przylazł! — huknął jeden. — Żelazny nos — powiedział drugi.

— Muchobójca! — powiedział trzeci, z niewymowną wzgardą. Nowe to przezwisko wywołało ogólny śmiech.

— Z łaski pęta się przy kuchni — dodał ktoś jeszcze.

— Takim wszędzie raj. Tutaj katorga, a oni zajadają kołacze i kupują sobie prosięta. Przecież masz własny wikt, więc czego się pchasz?

— To nie miejsce dla pana — rzekł niedbale Kulikow podchodząc do mnie, wziął mnie za rękę i wyprowadził z szeregów.

Był blady, czarne jego oczy płonęły, zagryzał dolną wargę. Nie mógł zachować zimnej krwi w oczekiwaniu majora. Nawiasem mówiąc ogromnie lubiłem patrzeć na Kulikowa we wszystkich takich razach, to znaczy we wszystkich wypadkach, kiedy się musiał „postawić”. Strasznie się popisował, ale też robił swoje. Sądzę, że i na stracenie poszedłby z fasonem, z elegancją. Teraz, kiedy wszyscy mówili do mnie ty i łajali mnie, on, snadź umyślnie zdwoił uprzejmość, a zarazem mówił z jakimś szczególnym, pełnym wyniosłości naciskiem nie znoszącym żadnego sprzeciwu.

— Walczymy tutaj o swoje prawa, Aleksandrze Pietrowiczu, pan tu nie ma nic do roboty. Proszę gdzieś pójść, przeczekać... Wszyscy wasi są w kuchni, niech pan tam idzie.

— Niech idzie gdzie pieprz rośnie! — podchwycił ktoś.

Istotnie, przez nie domknięte okno dojrzałem w kuchni naszych Polaków, wydało mi się zresztą, iż oprócz nich jest tam wiele osób. Zaskoczony, poszedłem do kuchni. Rozległ się za mną śmiech, przekleństwa i sykanie (które katorżnikom zastępuje wygwizdywanie).

— Nie w smak-mu poszło!... Psik, psik, psik! Bierz go... Nigdy jeszcze nie doznałem w katordze takiej zniewagi i tym razem było mi bardzo ciężko. Ale trafiłem na taką chwilę. W przedśionku kuchni stał T-wski, szlachcic, wielkoduszny i pełen hartu młody człowiek, bez większego wykształcenia, ogromnie lubiący B. Katorżnicy wyróżniali go spośród wszystkich innych, a nawet poniekąd lubili. Był mężny, dzielny i silny, i to się jakoś zaznaczało w każdym jego geście.

— Gorianczykow — zawołał do mnie — proszę tutaj!

— Ale co się tam dzieje?

— Wnoszą zażalenie, alboż pan nie wie? Oczywiście, nie uda im się: któż by wierzył katorżnikom? Zaczną szukać podżegaczy, i jeżeli my tam będziemy, oczywiście na nas pierwszych zwałą oskarżenie o bunt. Niech pan sobie przypomni, za co przyszliśmy tutaj. Ich po prostu wybatożą, a nas oddadzą pod sąd. Major nienawidzi nas wszystkich i rad nas zgubi. Oskarżając nas, usprawiedliwi siebie.

— A i katorżnicy wydadzą nas co do jednego — dorzucił M-cki, gdyśmy weszli do kuchni.

— Nie oszczędzą nas, tego może pan być pewien! — podchwycił T-wski.

W kuchni, oprócz szlachty, było wiele jeszcze ludzi, razem ze trzydzieści osób. Wszyscy oni zostali nie chcąc wnosić zażalenia — jedni z tchórzostwa, drudzy z niezłomnego przeświadczenia, że wszelkie skargi są najzupełniej bezużyteczne. Był tu również Akim Akimycz, zatwardziały i urodzony przeciwnik wszystkich podobnych zażaleń, które mącą regularny tok służby i szkodzą dobrem obyczajom. Milcząc i nader spokojnie czekał końca sprawy, wcale się nie troszcząc o jej wynik, owszem święcie przekonany, że ład i wola zwierzchności nieuchronnie zatriumfuje. Był tu także Izajasz Fomicz; stał w wielkiej rozterce, zwiesiwszy nos na kwintę, chciwie i z bojaźnią przysłuchując się naszej rozmowie. Bardzo był zaniepokojony. Byli tu wszyscy więzienni Polaczkowie, pospolitacy, którzy się także przyłączyli do szlachty. Było kilku nieśmiałych osobników, Rosjan, ludzi wiecznie milczących i zahukanych. Nie odważyli się pójść z innymi i smętnie czekali, jak się to skończy. Było wreszcie kilku ponurych i zawsze posepnych więźniów, ludzi niełkliwych. Zostali z uporu i wzgardliwego przekonania, że to wszystko nie ma sensu i skutki będą dla wszystkich jak najgorsze. Ale zdaje mi się, że teraz było im jednak nijako, mieli niezbyt pewne miny. Wiedzieli wprawdzie, że mają zupełną słuszność co do wyniku skarg (i to się później potwierdziło), lecz niemniej sami na sobie robili wrażenie odszczepieńców, którzy opuścili swoich i wydali towarzyszy placmajorowi. Znalazł się tu i Jołkin, ów chłopek Sybirak, co

przyszedł za fałszowanie pieniędzy i odebrał Kulikowowi praktykę weterynaryjną. Staruszek ze słobód starodubowskich również był tutaj. Wszyscy kucharze, jak jeden mąż, zostali w kuchni, prawdopodobnie wskutek przekonania, że oni także stanowią część administracji, a zatem nie wypada im przeciw niej występować.

— Swoją drogą — zacząłem, niezdecydowanie zwracając się do M-ckiego — oprócz tych tutaj wystąpili prawie wszyscy.

— A cóż to nas obchodzi? — mruknął B.

— My byśmy ryzykowali sto razy więcej niż oni, gdybyśmy wystąpili; i po co? *Je hais ces brigands*⁶ Czy pan naprawdę myśli bodaj przez chwilę, że zgłoszą zażalenie? Po co się pchać w tę niedorzeczność?

— Nic z tego nie będzie — podjął jeden z katorżników, uparty i zgorzkniały starzec. Ałmazow, również obecny tutaj, pośpieszył mu przyświadczyć:

— Pewno, nic z tego nie będzie, tyle tylko, że pół setki chłopca weźmie baty.

— Major przyjechał! — zawołał ktoś, i wszyscy skwapliwie rzucili się do okien.

Major wpadł zły, wściekły, czerwony, w okularach. Bez słowa, lecz z determinacją podszedł do szeregów. Istotnie, w takich wypadkach był śmiały i nie tracił przytomności umysłu. Zresztą prawie zawsze bywał na wpół pijany. Nawet jego zasmolona czapka z pomarańczowym otokiem i brudne srebrne naramienniki w tej chwili miały w sobie coś złowieszczonego. Za nim szedł pisarz Diatłow, nader ważna osoba w naszym więzieniu, właściwie zarządzający wszystkim, ba, mający wpływ na majora, człowiek bardzo sprytny i nie w ciemną bity, lecz poza tym niezgorszy. Więźniowie byli zeń zadowoleni. Za nim szedł nasz podoficer, który snadź dostał już najokrutniejszą burę, a oczekiwał jeszcze dziesięciokrotnie gorszej; za nim konwojenci, w liczbie trzech czy czterech, nie więcej. Więźniowie, którzy stali bez czapek chyba jeszcze od czasu, gdy posłali po majora, teraz wyprostowali się wszyscy, wyrównali; każdy z nich przestąpił z nogi na nogę, po czym wszyscy zastygli w miejscu, czekając na pierwsze słowa lub raczej na pierwszy wrzask zwierzchnika.

Wrzask ten nie kazał czekać na siebie: zaraz od drugiego słowa major ryknął na całe gardło, aż jakoś piskliwie tym razem, strasznie był rozjuszony. Widzieliśmy z okien, jak śmiga wzdłuż szeregów, miota się, indaguje. Lecz ani jego pytań, ani odpowiedzi aresztantów nie słyszeliśmy, gdyż było za daleko. Doszedł nas tylko jego piskliwy krzyk:

— Buntownicy!... Przez „suchy las”... Podżegacz! Tyś podżegacz! Tyś podżegacz! — rzucił się na kogoś.

Odpowiedzi nie było słyhać. Lecz po chwili zobaczyliśmy więźnia, który wyszedł z szeregu i udał się do kordegardy. W następnej chwili poszedł za nim drugi, potem trzeci.

— Wszystkich pod sąd! Ja wam dam! Kto to tam w kuchni? — zaskowyczał major ujrawszy nas przez otwarte okna. — Wszyscy tutaj! Natychmiast przypędzić ich tutaj!

Pisarz Diatłow ruszył po nas do kuchni. W kuchni oświadczone mu, że nikt się nie skarży. Niezwłocznie wrócił i zameldował majorowi.

— Aha, nie skarżą się! — rzekł o dwa tony niżej, widocznie kontent. — Wszystko jedno, wszystkich tutaj!

Wyszliśmy. Czulem, że jakoś głupio nam iść. Wszyscy zresztą szli jak na ścięcie.

— A, Prokofiew! Jołkin także, a to ty, Almazow... Stawajcie, stawajcie tutaj, gromadką — mówił do nas major dziwnie przyspieszonym, lecz łagodnym głosem, przychylnie na nas zerkając. — M-cki, tyś także tutaj... Trzeba ich spisać. Diatłow! W tej chwili spisać wszystkich: zadowolonych osobno, a wszystkich niezadowolonych osobno, wszystkich co do jednego, i spis przynieść do mnie. Ja was wszystkich oddam... pod sąd! Ja was nauczę, szubrawcy!

Wzmianka o spisie poskutkowała.

— Jesteśmy zadowoleni! — pośepnie, lecz niezbyt jakoś pewnie zawołał nagle jeden głos z tłumu niezadowolonych.

— A, zadowoleni! Kto jest zadowolony? Kto zadowolony, ten niech wystąpi.

— Zadowoleni, zadowoleni! — padło jeszcze kilka głosów.

— Zadowoleni! A więc ktoś was podburzał? A więc byli buntownicy, podżegacze? Tym gorzej dla nich!...

— O Jezu, co to się dzieje! — dał się słyszeć czyjś głos w ciżbie.

— Kto, kto to zawołał, kto? — ryknął major rzucając się w stronę, z której doszedł ów głos. — To ty, Rastorgujew, to ty zawołałeś? do kordegardy!

Rastorgujew, puciołowaty i wysoki młody chłopiec, wyszedł i z wolna skierował się do kordegardy. To wcale nie on zawołał, lecz ponieważ wskazano na niego, nie protestował.

— Za dobrze wam się powodzi! — wrzasnął za nim major. — No, proszę, jakie ma wypasione pyski... Wszystkich was wytropię! Zadowoleni, wystąp!

— Jesteśmy zadowoleni, wasza wielmożność! — ponuro ozwało się kilkadziesiąt głosów; reszta milczała uparcie. Wszelako majorowi tego tylko było potrzeba. Prawdopodobnie sam pragnął skończyć co rychlej i doprowadzić do jakiej takiej zgody.

— Aha, teraz wszyscy są zadowoleni — rzekł pośpiesznie. — Widziałem... wiedziałem, że tak jest. To sprawka podżegaczy! Między nimi są widać podżegacze! — ciągnął dalej zwracając się do Diatłowa. — Trzeba to szczegółowiej zbadać. A teraz... teraz pora do pracy. Bić w bęben!

Sam asystował przy odprawie. Więźniowie, milcząc, markotnie rozchodzili się do pracy, radzi przynajmniej, że czym prędzej zejda mu z oczu. Ale po odprawie major natychmiast odwiedził kordegardę i wymierzył karę „podżegaczom”, zresztą nie zanadto srogą. Spieszył się nawet. Jeden z nich — opowiadano później — przeprosił, i major od razu darował mu winę. Snadź był niezupełnie w swoim sosie i może nawet stchórzył po trosze. Bądź co bądź, zażalenie to rzecz drażliwa, i chociaż na dobrą sprawę nie można było skargi więźniów nazwać zażaleniem,

⁶ Nienawidzę tych zbójów.

ponieważ zgłosili ją nie do władz wyższych, tylko do samego majora, ale i tak było to kłopotliwe, nieprzyjemne. Najgorsze, że wszyscy wystąpili razem. Należało za wszelką cenę umorzyć tę sprawę. „Podżegaczy” wkrótce wypuszczono. Już od następnego dnia wikt się polepszył, choć co prawda nie na długo. Przez pierwsze dni major częściej ją odwiedzał więzienie i częściej stwierdzał usterki. Nasz podoficer chodził zafrasowany i zbity z pantałyku, jakby wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć ze zdziwienia. Co się zaś tyczy więźniów, przez długi jeszcze czas nie mogli odzyskać równowagi, ale już się nie burzyli jak przedtem, tylko byli milcząco zaniepokojeni, stropieni. Niektórzy nawet zwiesili głowę. Inni gderliwie choć lakonicznie odzywali się o całym tym zajściu. Wielu jakoś zgryźliwie i głośno kpilo z siebie, jak gdyby karcąc się za owo zażalenie.

— Naści, bratku, figę z makiem, jedz na zdrowie! — mówi jeden.

— Dostyć się nabawiłeś, teraz popracuj! — dodaje drugi.

— Gdzie ta mysz, co kotu przywiesi dzwonek? — zauważa trzeci.

— Takim jak my nie można bez kija trafić do rozumu, to pewna. Dobrze jeszcze, że nie wszystkim złoił skórę.

— Zakarbuju sobie na przyszłość, że to cnota nad cnotami trzymać język za zębami! — opryskliwie rzuca ktoś.

— Obejdę się bez twojej nauki, nauczycielu!

— Może źle uczę?

— Ale coś ty za jeden, że się pchasz na czoło?

— Ha, na razie jestem jeszcze człowiekiem, a ty kto?

— Psi pazur, oto kim jesteś.

— Ty sam psi pazur.

— No, hola, hola! Cicho bądźcie! — krzyczą ze wszech stron na kłótników...

Tegoż wieczoru, to znaczy w dniu zażalenia, po powrocie z pracy spotkałem za koszarami Pietrowa. Już mnie szukał. Podeszedłszy do mnie coś bąknął, wydał kilka jakichś nieokreślonych okrzyków, lecz niebawem popadł w roztargnione milczenie i machinalnie ruszył obok mnie. Cała ta sprawa jeszcze boleśnie ciążyła mi na sercu i miałem wrażenie, że Pietrow wyjaśni mi coś niecoś.

— Pietrow — zagadnąłem — czy wasi nie gniewają się na nas?

— Kto się gniewa? — spytał jak ze snu zbudzony.

— Więźniowie na nas... na szlachtę.

— A za cóż mają się na was gniewać?

— Ano za to, żeśmy nie wystąpili z zażaleniem.

— Po cóż mielibyście występować? — Zapytał, jakby usiłując mnie zrozumieć. — Przecież macie własny wikt.

— Ach, Boże drogi! Toć i niektórzy z was mają własny wikt, a jednak wystąpili. Więc i my powinniśmy byli... po koleżeńsku...

— Ale... ale czy pan jest naszym kolegą? — zagadnął ze zdumieniem.

Skwapliwie na niego spojrzałem: stanowczo nie rozumiał mnie, nie rozumiał, o co mi chodzi. Za to ja w oka mgnieniu zrozumiałem go na wylot. Obecnie po raz pierwszy pewna myśl, która już dawno nawiedzała mnie i prześladowała, wyjaśniła mi się ostatecznie, i nagle pojąłem to, czego się wprzód ledwie domyślałem. Pojąłem, że choćbym był zupełnie takim samym jak oni więźniem, nie będą mnie uważali za kolegę nawet skazani bezterminowo, nawet ci ze specjalnego oddziału. Zapamiętałem jednak szczególnie wyraz twarzy Pietrowa w owej chwili. W jego pytaniu: „Czy pan jest naszym kolegą?” zabrzmiała taka niefałszowana naiwność, takie szczere zdziwienie. Myślałem: czy nie ma w tych słowach jakiejś ironii, złośliwości, przekąsu? Bynajmniej; po prostu nie jestem ich kolegą, i basta. Ty idź swoją drogą, a my swoją; ty masz swoje sprawy, a my swoje.

Istotnie, sądziłem zrazu, że po zażaleniu tamci zagryzą nas, nie dadzą nam żyć. Otóż nic podobnego: nie usłyszeliśmy najmniejszych bodaj wyrzutów, najmniejszej bodaj aluzji; złośliwość nie wzmogła się wcale. Po prostu przy okazji piłowali nas po trosze, jak i wprzód, nic nadto. Zresztą ani odrobinę nie gniewali się również i na tych wszystkich, co nie chcieli wnosić zażalenia i zostali w kuchni, ani na tych, którzy pierwsi zawołali, że są ze wszystkiego zadowoleni. Nikt nawet nie wspomniał o tym. Tego zupełnie już nie mogłem zrozumieć.

VIII. Towarzysze

Oczywiście, najbardziej ciągnęło mnie do swoich, to znaczy do „szlachty”, zwłaszcza z początku. Ale spośród trzech byłych rosyjskich szlachciców (Akima Akimycza, szpiega A-wa oraz tego, który uchodził u nas za ojcobójcę) zbliżyłem się i rozmawiałem jedynie z Akimem Akimyczem. Wyznaję, iż podchodziłem do Akima Akimycza poniekąd z rozpaczą, w chwilach najdotkliwszej nudy i kiedy poza nim do nikogo nie sposób było podejść. W poprzednim rozdziale spróbowałem posegregować wszystkich na kategorie, lecz teraz, gdy sobie przypomniałem Akima Akimycza, sądzę, że można dodać jeszcze jedną kategorię. Co prawda, stanowi ją on jeden. Mam na myśli kategorię całkowicie obojętnych katorżników. Całkowicie obojętnych, to jest takich, którym by było wszystko jedno, czy żyć na wolności, czy na katordze, oczywiście nie było u nas, i być nie mogło, lecz zdaje mi się, że Akim Akimycz stanowił wyjątek. Nawet urządził się na katordze tak, jakby zamierzał spędzić tu całe życie: wszystko wokół niego, począwszy od siennika, poduszek, statków, rozlokowało się tak trwale, tak mocno, tak na długo. Ani śladu przejściowości, tymczasowości. Miał siedzieć długie jeszcze lata, wątpię wszakże, czy kiedykolwiek pomyślał o wyjściu. Lecz jeśli się i pogodził z rzeczywistością, to, rzecz prosta, nie z ochoty, tylko z subordynacji, co zresztą dla niego wychodziło na jedno. Był poczciwym człowiekiem i nawet pomagał mi z początku radami i różnymi usługami, lecz — biję się w piersi — niekiedy wprawiał mnie mimo woli w nieopisaną nudę, która jeszcze wzmagala moje przygnębienie. A przecież nawiązywałem z nim rozmowę, by właśnie uciec od dojmującej nudy. Łaknąłem czasem jakiegokolwiek żywego słowa, niechby nawet zgryźliwego, niechby nawet niecierpliwego; żebyśmy przynajmniej położyli się wspólnie na swoją dolę; on zaś milczy, lepi swe lampiony lub opowie mi o tym, jaką rewiew mieli w takim a takim roku i kto był dowódcą dywizji, i jak się nazywał, i czy rewiew go zadowoliła, i jak tyralierom zmieniono sygnalizację i tak dalej. A wszystko to takim równym, takim statecznym głosem, jakby się woda sączyła po kropli. Nawet się prawie nie wzruszał opowiadając mi, że za udział w jakiejś potyczce na Kaukazie udekorowano go „świętą Anną” na szpadę. Tylko głos jego stawał się w owej chwili niepowszednio ważki i pełen namaszczenia; Akim Akimycz trochę go zniżał aż do pewnej tajemniczości, gdy wymawiał: „święta Anna”, po czym przez dobre trzy minuty bywał jeszcze bardziej milczący i pełen namaszczenia... W owym pierwszym roku miewałem głupie momenty, kiedy (i to zawsze znienacka) zaczynałem prawie nienawidzić Akima Akimycza, nie wiadomo za co, i w milczeniu przeklinałem los, że umieścił mnie tuż obok niego na pryczach. Zwykle już po godzinie wyrzucałem to sobie. Ale działo się to wyłącznie w pierwszym roku; później zupełnie pogodziłem się w duchu z Akimem Akimyczem i wstyd mi było dawniejszych głupstw. Jeśli nie myli mnie pamięć, nigdyśmy się nie kłócili.

Oprócz tych trzech Rosjan za moich czasów przewinęło się u nas ośmiu innych ludzi. Z niektórymi z nich nawiązywałem, i to chętnie, dosyć bliską znajomość, ale nie ze wszystkimi. Najlepsi z nich byli jacyś chorowici, zamknięci w sobie i w najwyższym stopniu nie wyrozumieli, Z dwoma później przestałem po prostu rozmawiać. Wśród tych ludzi było tylko trzech z wykształceniem: B-ki, M-ki oraz stary Ż-ki, który dawniej był gdzieś profesorem matematyki; staruszek dobry, zacny, wielki oryginał i mimo swe wykształcenie, jak się zdaje, bardzo ograniczony człowiek. Zgoła inni byli M-ki i B-ki. Z M-kim od razu łatwo się żyłem; nie kłóciłem się z nim nigdy, szanowałem go, ale polubić, przywiązać się do niego nigdy nie mogłem. Był to człowiek głęboko nieufny i zgorzkniały, lecz przedziwnie panujący nad sobą. Właśnie to nadmierne opanowanie nie podobało mi się: czułem, że nigdy i przed nikim nie odsłoni w pełni swej duszy. Może się zresztą myłę. Była to natura silna i nieposzlakowanie szlachetna. Jego nadzwyczajna, poniekąd jezuicka zręczność i ostrożność w obcowaniu z ludźmi wskazywała na utajony, głęboki sceptycyzm. A tymczasem była to dusza cierpiąca właśnie wskutek tej dwoistości: sceptycyzmu i głębokiej, niczym nie zachwianej wiary w niektóre swe przekonania i nadzieje. Wszelako, mimo całą życiową zręczność, żywił nieprzejednaną wrogość do B-kiego oraz jego przyjaciela T-kiego. B-ki był to człowiek chory, z pewną skłonnością do suchot, drażliwy i nerwowy, ale w gruncie rzeczy przezacny i nawet wielkoduszny. Drażliwość jego graniczyła niekiedy z nadzwyczajną nietolerancją i kapryсами. Nie mogłem znieść tego charakteru i później zaniechałem stosunków z B-kim, ale za to nigdy nie przestałem go lubić; z M-kim natomiast nie kłóciłem się, lecz nigdy go nie lubiłem. Złożyło się tak, że niezwłocznie po zaniechaniu znajomości z B-kim musiałem zaniechać jej również z T-kim, owym młodym człowiekiem, o którym wspominałem w poprzednim rozdziale, opowiadając o zażaleniu. Bardzom tego żałował. T-ki był wprawdzie człowiekiem niewykształconym, lecz zacnym, dzielnym, krótko mówiąc — szlachetnym młodzieńcem. Sęk w tym, że tak lubił i szanował B-kiego, tak go czcił, że tych, co się choć odrobinę poróżnili z B-kim, od razu uznawał nieledwie za swych wrogów. Podobno również o B-kiego poróżnił się później z M-kim, choć długo odwlekał zerwanie. Co prawda, wszystko to byli ludzie chorzy duchowo, zgryźliwi, rozjątrzeni, nieufni. To zrozumiałe: było im bardzo ciężko, znacznie ciężej niżli nam. Byli daleko od ojczyzny. Niektórych spośród nich zesłano na długie terminy, na dziesięć, na dwanaście lat, a przede wszystkim patrzyli z głębokim uprzedzeniem na wszystkich otaczających, widzieli w katorżnikach samo tylko bestialstwo i nie mogli, ba, nie chcieli dostrzec w nich ani jednej lepszej cechy, nic ludzkiego; to także było bardzo zrozumiałe: sam los siłą rzeczy narzucił im ten niefortunny punkt widzenia. Nie dziw, że zgryzota gnębiła ich na katordze. W stosunku do Czerkiesów, Tatarów, Izajasza Fomicza byli przyjaźni i życzliwi, ale ze wstrętem unikali wszystkich innych katorżników. Jedyne starodubowski starowierca zaskarbił sobie całkowity ich szacunek. Ciekawe, że żaden z katorżników, w ciągu całego mego pobytu, nie wypomniał im ani ich pochodzenia, ani wyznania, ani zapatrywań, co nasz lud czyni niekiedy, choć bardzo rzadko, w stosunku do obcokrajowców, przeważnie Niemców. Zresztą z

Niemców raczej się śmieją: dla rosyjskiego gminu Niemiec stanowi coś arcykomicznego. Tych zaś katorżnicy traktowali nawet z uszanowaniem, znacznie większym niż nas, Rosjan, i zgoła ich nie zaczepiali. Lecz oni, jak się zdaje, nigdy nie chcieli tego zauważyć i uwzględnić. Wspomniałem o T-ki. To on, gdy przeprowadzono ich z miejsca pierwszego ich zesłania do naszej katorgi, przez całą prawie drogę niósł B-kiego na rękach, ponieważ B-ki, człowiek wątły i słabego zdrowia, opadał z sił już od połowy każdego etapu. Przedtem skierowano ich do U-gorska. Opowiadali, że tam było im dobrze, to znaczy daleko lepiej aniżeli w naszej twierdzy. Nawiązali wszakże korespondencję, zupełnie zresztą niewinną, z innymi zesłańcami z innego miasta, i wobec tego uznano za konieczne przenieść tych trzech do naszej twierdzy, bliżej oczu wyższych naszych władz. Trzecim ich towarzyszem był Ż-ki. Przed ich przybyciem M-ki był w katordze samotny. Jakże więc musiał tęsknić w pierwszym roku swego zesłania!

Ów Ż-ki był to ten wiecznie modlący się starzec, o którym już wspominałem. Wszyscy nasi przestępcy polityczni byli ludźmi młodymi, niektórzy bardzo nawet młodymi; jedynie Ż-ki zaczął już szósty krzyżyk. Był to człowiek uczciwy, naturalnie, lecz trochę dziwny. Jego towarzysze B-ki i T-ki bardzo go nie lubili, nawet nie rozmawiali z nim, twierdząc, że jest uparty i chimeryczny. Nie wiem, czy mieli słuszność w tym wypadku. W katordze, jak i w każdym miejscu, gdzie ludzie gromadzą się nie z ochoty, tylko z musu, łatwiej, sędzę, dochodzi do kłótni, ba do nienawiści wzajemnej niż na wolności. Wiele się na to składa. Co prawda Ż-ki był istotnie człowiekiem dosyć tępym i może nieprzyjemnym. Wszyscy inni jego towarzysze również byli z nim na bakier. Ja się nigdy z nim nie kłóciłem, ale też specjalnie nie zbliżałem. Swój przedmiot, matematykę, podobno znał dobrze. Pamiętam, jak wciąż usiłował wytłumaczyć mi w swym półrosyjskim języku jakiś osobliwy system astronomiczny własnego wynalazku. Mówiono mi, że kiedyś drukował to, ale uczeni tylko go wyśmiali. Mam wrażenie, że biedak nieco szwankował na umyśle. Po całych dniach modlił się na klęczkach, czym zjednał sobie na katordze powszechny mir i cieszył się nim aż do śmierci. Zmarł w naszym szpitalu, po ciężkiej chorobie, w mojej obecności. Zresztą zaskarbił sobie szacunek katorżników od pierwszej chwili po przybyciu na katorgę, po swej przygodzie z naszym majorem. W drodze z U-gorska do naszej twierdzy nie golono ich, urosły więc im brody, toteż kiedy przyprowadzono ich bezpośrednio do placmajora, ten wściekle się oburzył na taki brak subordynacji, choć oczywiście nie było w tym ich winy.

— Jak oni wyglądają! — ryknął major. — To włóczędzy, zbóje!

Ż-ki, który podówczas marnie jeszcze rozumiał po rosyjsku i sądził, że major pyta, kim są: włóczęgami czy zbójami? odparł:

— Nie jesteśmy włóczędzy, tylko przestępcy polityczni.

— Co-o-o! Będziesz mi pyskować? Pyskować! — ryknął major. — Do kordegardy! Sto różeg, natychmiast, w tej chwili!

Starego ukarano. Legł pod różgi bez protestu, zagryzł zębami rękę i zniósł chłostę bez najmniejszego krzyku czy jęku, nieruchomo. Tymczasem B-ki i T-ki weszli już do katorgi, gdzie

M-cki oczekiwał już ich u wrót i od razu rzucił im się na szyję, choć nigdy przedtem ich nie widział. Wzburzeni przyjęciem, jakie zgotował im major, opowiedzieli mu wszystko o Ż-kim. Pamiętam jak mi M-ki opowiadał o tym: „Byłem wręcz nieprzytomny — mówił — nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, i drżałem jak liść. Oczekiwałem na Ż-kiego przy bramie. Miał przyjść wprost z kordegardy, gdzie mu wymierzano karę. Wtem furtka się otwarła: Ż-ki, nie patrząc na nikogo, blady na twarzy i z bladymi drżącymi wargami, przeszedł wśród zgromadzonych na dworze katorżników, którzy się już dowiedzieli, że wychłostano szlachcica, wszedł do koszar, prosto na swe miejsce, nie mówiąc ani słowa ukląkł i zaczął się modlić. Katorżnicy byli zdumieni, a nawet wzruszeni. Kiedym zobaczył tego staruszka — mówił M-ki — siwego człowieka, który zostawił w ojczyźnie żonę i dzieci, kiedym zobaczył go na klęczkach, ukaranego sromotnie i modlącego się — wyskoczyłem za koszary i przez całe dwie godziny byłem w jakimś szale, nieprzytomny...” Katorżnicy odtąd powzięli dla Ż-kiego wielkie poważanie i zawsze traktowali go z szacunkiem. Szczególnie podobało im się, że nie krzyczał pod różgami.

Godzi się atoli powiedzieć całą prawdę: z tego przykładu żadną miarą nie wolno sądzić o stosunku zwierzchności syberyjskiej do przestępców ze szlachty, niezależnie od tego, czy byli szlachtą rosyjską, czy polską. Przykład ten wskazuje tylko, że można trafić na złego człowieka i, naturalnie, jeśli ten zły człowiek jest gdzieś samodzielnym i wyższym naczelnikiem, i jeśli zesłaniec specjalnie nie przypadł do gustu temu złemu naczelnikowi, to jego dola będzie mocno niepewna. Trzeba wszakże przyznać, że najwyższa zwierzchność syberyjska, od której zależy ton i nastawienie wszystkich innych naczelników, jest w stosunku do zesłańców-szlachciców nader oględna, a czasem nawet skłonna do forytowania ich wobec reszty katorżników, ludzi z gminu. Powody są jasne: po pierwsze ci zwierzchnicy sami są szlachtą, po wtóre bywało już przedtem, że się niektórzy szlachcice nie kładli pod różgi i rzucali na wykonawców, co pociągało okropne następstwa, po trzecie zaś, i to mi się zdaje najważniejsze, już dawno, ze trzydzieści pięć lat temu, na Sybir przybyła nagle, jednocześnie, wielka grupa zesłanej szlachty, i ci zesłańcy, w ciągu trzydziestu lat, zdołali tak się postawić, wyrobić sobie taką opinię na całej Syberii, że zwierzchność, już mocą dawnego, odziedziczonego przyzwyczajenia, mimo woli patrzyła za moich czasów na przestępców szlachciców wiadomej kategorii innym okiem niż na całą resztę zesłańców. Za zwierzchnością tak samo przywykli patrzeć również niżsi naczelnicy, oczywiście przejmując ten pogląd i ton z góry, poddając mu się i podporządkowując. Zresztą wielu spośród tych niższych naczelników patrzyło tępo; w duchu krytykowali zarządzenia góry i wielce, wielce byliby radzi, gdyby im tylko nie przeszkadzano rozprawić się z więźniami po swojemu. Lecz nie bardzo im na to pozwalano. Mam mocne podstawy, by tak myśleć Druga mianowicie kategoria katorgi, ta, w której się znajdowałem i która składała się z więźniów fortecznych, pod dowództwem wojskowym, była nierównie cięższa niż dwie inne kategorie, tj. trzecia (fabryczna) i pierwsza (kopalniana). Cięższą była nie tylko dla szlachty, lecz i dla wszystkich więźniów, dlatego właśnie, że dowództwo i organizacja tej kategorii jest na wskroś wojskowa, nader podobna do rot

aresztanckich w Rosji. Dowództwo wojskowe jest surowsze, regulamin ostrzejszy: zawsze w kajdanach, zawsze pod konwojem, zawsze pod kluczem; w pierwszych dwóch kategoriach nie przestrzega się tego tak ściśle. Przynajmniej tak mówili wszyscy nasi więźniowie, a byli wśród nich znajdujący się na rzeczy. Wszyscy z ochotą poszliby do pierwszej kategorii, uchodzącej w kodeksie za najcięższą, i wielokrotnie nawet marzyli o tym. O rotach zaś aresztanckich w Rosji wszyscy, którzy tam byli, mówili ze zgrozą, twierdząc, że w całej Rosji nie ma miejsca cięższego niż rotę aresztanckie w twierdzeniach, i że w porównaniu z tamtejszym życiem Syberia jest rajem. A zatem, skoro przy tak ostrym regulaminie jak w naszej katordze, przy dowództwie wojskowym, na oczach samego generał-gubernatora i wreszcie mimo zdarzających się czasem wypadków, że niektórzy postronni lecz półurzędowi ludzie, czy to ze złośliwości, czy z gorliwości służbowej, gotowi byli potajemnie donieść, gdzie należy, iż ten a ten niesumienny naczelnik rzekomo forytuje tę a tę kategorię przestępców — skoro w takim miejscu, powiadam, patrzono na przestępców szlachciców nieco innym okiem niż na resztę katorżników, tym bardziej patrzono na nich o wiele pobłaźliwiej w pierwszej i trzeciej kategorii. Sądzę więc, że z miejsca, w którym byłem, mogę pod tym względem wnioskować o całej Syberii. Wszystkie słuchy i opowiadania na ten temat, dochodzące mnie od zesłańców pierwszej i trzeciej kategorii, potwierdzały mój wniosek. Istotnie, na nas wszystkich, szlachtę, zwierzchność w naszym ostrogu patrzyła pilniej i ostrożniej. Co do pracy i utrzymania nie mieliśmy najdrobniejszych ulg: te same roboty, te same kajdany, te same kłódki — słowem, wszystko to samo, co u wszystkich więźniów. Zresztą ulgi byłyby niemożliwe. Wiem, iż w tym mieście, w owych niedawnych dawno minionych czasach, było tylu donosicieli, tyle intryg, tyle kopania dołek, że oczywiście zwierzchność obawiała się denuncjacji. A cóż mogło być wówczas straszniejszego niż denuncjacja, że się forytuje przestępców wiadomej kategorii! Więc każdy się lękał, i żyliśmy na równi ze wszystkimi katorżnikami, ale pod względem kary cielesnej był jednak wyjątek. Zapewne, wybatożono by nas aż miło, gdybyśmy na to zasłużyli, to jest gdybyśmy się dopuścili jakiego wykroczenia. Tego wymagał obowiązek służby i równości — wobec kary cielesnej. Ale ot tak sobie, z dobra woli, lekkomyślnie, bądź co bądź nie bito by nas; natomiast w stosunku do prostych więźniów lekkomyślne traktowanie tego rodzaju zdarzało się, zwłaszcza przy niektórych podrzędnych naczelnikach, lubiących postępować energicznie i napędzać strachu przy lada okazji. Wiadomo nam było, iż komendant, gdy się dowiedział o przygodzie ze starym Ż-kim, mocno się obruszył na majora i zapowiedział mu, żeby na przyszłość był nieco mniej pochopny. Tak opowiadali mi wszyscy. Wiedziano też u nas, że sam generał-gubernator, który ufał naszemu majorowi i poniekąd lubił go jako wykonawcę i człowieka nie bez zdolności, dowiedziawszy się o tej historii strofował go także. I nasz major to uwzględnił. Na przykład miał wielką ochotę dobrać się do M-kiego, którego nienawidził wskutek podpuszczeń A-wa, lecz ani rusz nie mógł go wybatożyć, chociaż szukał pretekstu, przesładował go i kopał pod nim dołki. O przygodzie Ż-kiego wiedziało wkrótce całe miasto, i opinia publiczna zwróciła się przeciw majorowi; wielu czyniło mu wyrzuty,

niektórzy nawet despekty. Przypominam sobie teraz pierwsze swe spotkanie z placmajorem. Nas, to znaczy mnie i drugiego zesłańca ze szlachty, z którym przybyłem do katorgi, nastraszo jeszcze w Tobolsku opowieściami o przykrym charakterze tego człowieka. Przebywający tam podówczas dawni z 1825 roku zesłańcy ze szlachty, którzy nas powitali z głęboką sympatią i komunikowali się z nami przez cały czas naszego pobytu na punkcie przesyłkowym, wyraźnie nas przestrzegali przed naszym przyszłym naczelnikiem i obiecywali zrobić przez znajomych ludzi wszystko, co tylko w ich mocy, ażeby nas obronić przed jego prześladowaniami. Jakoż istotnie, trzy córki generał-gubernatora, które przyjechały z Rosji i gościły wówczas u ojca, otrzymały od nich listy i podobno wstawiały się za nami. Ale cóż ich ojciec mógł zrobić? Powiedział tylko majorowi, żeby był trochę oględniejszy. Mniej więcej o trzeciej po południu my, to jest ja i mój towarzysz, przybyliśmy do tego miasta i konwojenci zaprowadzili nas bezpośrednio do naszego władcy i pana. Oczekując na niego staliśmy w przedpokoju. Tymczasem posłano już po więziennego podoficera. Skoro tylko się stawił, przyszedł też placmajor. Jego purpurowa, pryszczata i zła twarz wywarła na nas bardzo przygnębiające wrażenie: jak gdyby złośliwy pajak wpadł na biedną muchę, co się uwikłała w jego sieci.

— Jak ci na imię? — spytał mego towarzysza. Mówił prędko, ostro, urywanie i najwidoczniej chciał nam zaimponować.

— Tak a tak.

— Tobie? — ciągnął dalej, wpatrując się we mnie przez okulary.

— Tak a tak.

— Podoficer! W tej chwili wziąć ich za ogrodzenie, ogolić w kordegardzie po cywilnemu, natychmiast, połowę głowy; kajdany przekuć zaraz jutro. Co to za płaszcz? Skąd je macie? — zapytał nagle, zwróciwszy uwagę na szare z żółtymi kołami na plecach kitle, które dano nam w Tobolsku i w których stanęliśmy przed jego dostojnymi oczami. — To nowy uniform! To pewnie jakiś nowy uniform... Projektowany dopiero... W Petersburgu... — mówił obracając nas kolejno, — Nie mają z sobą nic? — zagadnął raptem towarzyszącego nam żandarma.

— Mają własną odzież, panie majorze — odparł żandarm, który się błyskawicznie sprężył; zadrżał nawet przy tym z lekka. Wszyscy znali majora, wszyscy o nim słyszeli, wszyscy się go bali.

— Odebrać wszystko. Zwrócić im tylko bieliznę, i to białą, a kolorową, jeśli mają, odebrać. Całą resztę sprzedać z licytacji. Pieniądze wpisać na przychód. Więzień nie posiada własności — ciągnął dalej, surowo spojrzawszy na nas. — Pamiętajcie, macie się sprawować odpowiednio! Żebym o niczym nie słyszał! Bo w razie czego... ka-ra cie-les-na. Za najdrobniejsze przewinienie — r-różgi!...

Z nieprzyzwyczajenia, przez cały wieczór byłem niemal chory po tym przyjęciu. Wprawdzie i to, com ujrzał na katordze, pogłębiło doznane wrażenie; ale o swych pierwszych godzinach pobytu już opowiadałem.

Nadmieniłem przed chwilą, że na robotach nie robiono nam i nie miano odwagi robić żadnych ulg; pracowaliśmy jak wszyscy inni więźniowie. Raz jednak spróbowano zrobić nam ulgę: ja i B-ki przez całe trzy miesiące chodziliśmy do kancelarii inżynierskiej jako pisarze. Lecz stało się to cichaczem i za sprawą zwierzchności inżynierskiej. Właściwie wszyscy, którzy powinni byli o tym wiedzieć, wiedzieli, lecz udawali, że nie wiedzą. Było to jeszcze za dowódcy kompanii G-kowa. Podpułkownik G-kow spadł nam jak z nieba, był u nas bardzo niedługo — jeśli się nie mylę, pół roku najwyżej, może nawet mniej — i odjechał do Rosji, sprawiwszy na wszystkich więźniach niepospolite wrażenie. Nie wystarczy powiedzieć, że go więźniowie lubili: ubóstwiali go, jeżeli tylko wolno użyć tutaj tego wyrazu. Jak tego dopiął — nie wiem, dość, że od razu podbił ich serca. „Ojciec, ojciec! Istny ojciec!” — co chwila mówili więźniowie przez cały czas jego rządów w dziale inżynierskim. Podobno był straszliwym hulaką. Niewielkiego wzrostu, o zuchwałym, pewnym siebie spojrzeniu. Ale zarazem był dla więźniów dobrotliwy, czuł nieledwie, i rzeczywiście kochał ich jak ojciec. Dlaczego tak kochał więźniów — nie potrafię wyjaśnić, lecz ilekroć zobaczył więźnia, musiał powiedzieć mu przyjazne, wesołe słowo, pośmiać się z nim, pożartować, co zaś najważniejsze — nie było w tym ani krzty czegoś specyficznego naczelnikowskiego, czegoś, co by choć trochę trąciło stosunkiem przełożonego do podwładnych. Był to kolega, człowiek jak najbardziej swój. Ale mimo cały ten jego instynktowny demokratyzm więźniowie ani razu nie pozwolili sobie na jakiś brak uszanowania, poufałość. Przeciwnie. Tylko gdy więzień spotkał dowódcę, twarz mu rozkwitała i zdjąwszy czapkę patrzył z uśmiechem, kiedy tamten do niego podchodził. A każde słowo dowódcy ceniono jak skarb. Zdarzają się tacy popularni ludzie. Wyglądał na zucha, chodził krzepko wyprostowany. „Orzeł!” — mawiali o nim więźniowie. Oczywiście, nie mógł im w niczym ulżyć: zawiadywał wyłącznie robotami inżynierskimi, które i za wszystkich innych dowódców szły swym raz na zawsze ustalonym urzędowym trybem. Co najwyżej, gdy przypadkiem spotkał grupę na robocie i widział, że praca skończona, nie kazał czekać aż do bębna i pozwalał wrócić. Lecz podobąło się jego zaufanie do więźnia, brak dokuczliwej małostkowości i opryskliwości, zupełny brak niektórych obraźliwych form, właściwych przełożonym. Gdyby zgubił tysiąc rubli — sądzę, że i najzawołany nasz złodziej, znalazłby te pieniądze, odniósłby mu je. Tak, jestem tego pewien. Z jakim głębokim przejęciem usłyszeli więźniowie, że się ich orzeł-dowódca pokłócił na zabój z naszym znieawidzonym majorem. Stało się to w pierwszym zaraz miesiącu po jego przybyciu. Kiedyś kolegowali w jednym pułku. Po długiej rozłące spotkali się jako przyjaciele i zaczęli hulać razem. Lecz raptem stosunki się popsuły. Doszło do kłótni i G-kow został śmiertelnym wrogiem majora. Mówiono nawet, że się pobili przy tej okazji; było to możliwe: nasz major często się bijał. Kiedy więźniowie usłyszeli o tym, radości ich nie było końca. „Gdzieżby nasz ośmiooki zżył się z takim! Tamten to orzeł, a nasz...” i tu następowało zwykle słówko nie nadające się do druku. Ogromnie interesowano się u nas, który z nich wytuzował drugiego. Myślę, że gdyby się okazało, iż pogłoska o ich bójkę jest fałszywa (a może tak właśnie było), naszym więźniom sprawiłoby to

wielką przykrość. „Nie, na pewno dowódca wziął górę — mówili. — Mały jest, ale udały, a tamten ponoć umknął przed nim pod łóżko.” Niebawem wszakże G-kow odjechał, i więźniowie znowu zmarkotnieli. Wszyscy nasi dowódcy inżynieryjni byli dobrzy, to prawda; za moich czasów przewinęło się ich trzech czy czterech. „Ale takiego nie będziemy już mieli — mówili więźniowie — to był orzeł, orzeł i orędownik.” Otóż ten G-kow bardzo lubił wszystkich nas, szlachtę, i pod koniec polecił mnie i B-kiemu chodzić czasem do kancelarii. Po jego zaś wyjeździe załatwiło się to bardziej przepisowo. Wśród inżynierów byli ludzie (zwłaszcza jeden z nich) wielce nam życzliwi. Chodziliśmy, przepisywali papiery, nawet nasz charakter pisma zaczął się wydoskonalać, kiedy raptem nadszedł od władz wyższych rozkaz, by niezwłocznie skierować nas do poprzednich robót: ktoś już zdążył zadenuncjować! Zresztą to i lepiej: kancelaria stawała już nam kością w gardle! Potem przez dwa lata prawie nierozłącznie chodziliśmy z B-kiem na te same roboty, najczęściej zaś do warsztatów. Gawędziliśmy z nim, rozmawiali o swych nadziejach, przekonaniach. Zacny był to człowiek; ale przekonania jego bywały czasem bardzo dziwne, wyjątkowe. Ludzie pewnej kategorii, bardzo rozumni, często miewają wręcz paradoksalne pojęcia. Lecz tyle już w życiu przecierpieli z ich powodu, zapłacili za nie tak wygórowaną cenę, że oderwanie się od nich byłoby już nazbyt dotkliwie, prawie niemożliwe. B-ki boleśnie przyjmował każdy sprzeciw i odpowiadał mi jadownicie. Pod niejednym względem miał zresztą więcej może słuszności niż ja — nie wiem, aleśmy się rozstali w końcu, i sprawiło mi to wielką przykrość: mieliśmy już dużo wspólnych przeżyć.

Tymczasem M-cki z biegiem lat stawał się coraz bardziej smutny i posepny. Gnębiła go tęsknota. Dawniej, w początku mego pobytu na katordze, był wylewniejszy, dusza jego bądź co bądź częściej i chętniej wrywała się na zewnątrz. Kiedy przybyłem, był tu już trzeci rok. Zrazu interesowało go wiele z tego, co się przez te dwa lata wydarzyło na świecie i o czym nie miał pojęcia siedząc na katordze; wypytywał mnie, słuchał, przejmował się. Natomiast pod koniec, z biegiem lat, wszystko jęło się skupiać w nim wewnątrz, w sercu. Zarzewie zasnuwało się popiołem. Coraz bardziej rosła jego zawziętość. *Je hais ces brigands* — powtarzał często, patrząc z nienawiścią na katorżników, których ja zdążyłem już poznać bliżej, i żadne moje wywody na ich korzyść nie skutkowały. M-cki nie rozumiał, co mówię; czasem zresztą potakiwał z roztargnieniem, lecz już nazajutrz powtarzał znów: *Je hais ces brigands*. Dodam, żeśmy z nim często mówili po francusku, i za to pewien nadzorca robót, żołnierz z oddziału inżynieryjnego, Dranisznikow, z sobie tylko znanych powodów przezwał nas felczerami. M-cki budził się jak gdyby tylko na wspomnienie o matce. „Stara jest, chora — mówił do mnie — kocha mnie nad wszystko na świecie, a ja tu, nie wiem, czy żyje. Wystarczy już dla niej, że wiedziała, że pędzili mnie przez «suchy las»...” M-cki nie był szlachcicem i przed zesłaniem wymierzono mu karę cielesną. Na wspomnienie o tym zaciskał zęby i starał się patrzeć w bok. Ostatnimi czasy coraz częściej chodził samotnie. Któregoś dnia, w południe, wezwano go do komendanta. Komendant wyszedł do niego z wesołym uśmiechem.

— No, M-cki, co ci się dzisiaj śniło? — zagadnął.

„Ażem się wzdrygnął — opowiadał M-cki po powrocie do nas. — Jakby mi coś przesyło serce.”

— Śniło mi się, że otrzymałem list od matki — odrzekł.

— Lepiej, lepiej! — powiedział komendant. — Jesteś wolny! Twoja matka złożyła podanie... Prośby jej wysłuchano. Oto jej list, a to rozporządzenie co do ciebie. Zaraz wyjdiesz z katoggi.

Wrócił do nas blady, jeszcze nie ochłonąwszy z wrażenia. Winszowaliśmy mu. Ścisnął nam ręce drżącymi, pozimniałymi rękoma. Wielu więźniów gratulowało mu również i cieszyło się z jego szczęścia.

Wyszedł na osiedlenie i pozostał w naszym mieście. Wkrótce dano mu posadę. Z początku przychodził często i gdy tylko mógł, komunikował nam różne nowiny. Zwłaszcza wiadomości polityczne wielce go interesowały.

Spośród czterech innych, czyli poza M-im, T-im, B-im, i Ż-im, dwaj byli to bardzo jeszcze młodzi ludzie, przysłani na krótkie terminy, mało wykształceni, lecz uczciwi, rzetelni, szczerzy. Trzeci, A-czukowski, był zanadto już prostakowaty i niczym szczególnym się nie odznaczał, czwarty natomiast, B-m, człowiek w podeszłym już wieku, wywierał na nas wszystkich najgorsze wrażenie. Nie wiem, jakim cudem trafił do kategorii takich przestępców, a i on sam wyrzekał się tego. Była to ordynarna, drobnomieszczańska dusza z nałogami i zasadami mydlarza, co się wzbogacił na groszowych oszustwach. Nie miał żadnego wykształcenia i niczym się nie interesował poza swym rzemiosłem. Był to malarz pokojowy, lecz malarz jakich mało, malarz na schwał. Niebawem zwierzchność dowiedziała się o jego uzdolnieniach i całe miasto jęło wzywać B-ma do malowania ścian i sufitów. Przez dwa lata pomalował niemal wszystkie mieszkania służbowe. Właściciele mieszkań płacili mu od siebie, toteż nie klepał biedy. Najlepsze było wszakże to, że razem z nim wysyłano do pracy jego towarzyszy. Spomiędzy tych, co chodzili z nim stale, dwaj nauczyli się od niego rzemiosła, i jeden z nich, T-rzewski, malował nie gorzej niż on. Nasz placmajor, który także miał mieszkanie służbowe, sprowadził z kolei B-ma i polecił mu pomalować wszystkie ściany i sufity. Tu B-m pokazał, co umie: nawet generał-gubernator mógł pozazdrościć majorowi. Dom był drewniany, parterowy, dosyć stary i z zewnątrz rozpaczliwie odrapany; za to wewnątrz wszystko pomalowane było obecnie jak w pałacu, i major był wniebowzięty... Zacierał ręce i powtarzał, że się teraz koniecznie musi ożenić: „Mając takie mieszkanie, nie można się nie ożenić” — dodawał nader serio. Z B-ma był coraz bardziej zadowolony, a dzięki niemu i z tych, co pracowali z nim razem. Robota trwała cały miesiąc. Przez ten miesiąc major kompletnie zmienił zdanie o nich wszystkich i zaczął ich protegować. Doszło do tego, że kiedyś raptem wezwał do siebie Ż-ego z ostrogu.

— Ż-ki — powiedział — skrzywdziłem cię. Niesłusznie cię wychłostałem, wiem o tym. Żałuję tego. Rozumiesz? Ja, ja, ja — żałuję tego!

Ż-ki odparł, że rozumie.

— Czy rozumiesz, że ja, ja, twój naczelnik, zawołałem cię po to, by cię przeprosić. Czy ty to czujesz? Któż ty jesteś wobec mnie? Robak! Mniej niż robak: więzień! A ja — z łaski bożej major. Major! Rozumiesz?

Ż-ki odparł, że i to rozumie.

— Otóż teraz godzę się z tobą. Ale czy to czujesz, czy czujesz w pełni, w całej rozciągłości? Czy jesteś w stanie zrozumieć to i odczuć? Pomyśl tylko: ja, ja, major!... i. tak dalej.

Ż-ki opowiadał mi sam całą tę scenę. A więc i w tym rozpijaczonym, postrzelonym i niegodziwym człowieku tkwiło ludzkie uczucie. Jeżeli się uwzględni jego zasoby umysłowe i stan rozwoju, postępek taki można uznać nieledwie za wielkoduszny. Co prawda, nietrzeźwy stan może się znacznie do tego przyczynił.

Marzenia jego spaliły na panewce: nie ożenił się, jakkolwiek był już zupełnie zdecydowany, gdy ukończono remont jego mieszkania. Zamiast ożenku trafił pod sąd i kazano mu podać się do dymisji. Przy tej sposobności wytknięto mu wszystkie stare grzechy. Dawniej, jeżeli dobrze pamiętam, był horodniczym w tym mieście... Spadło to nań jak grom z jasnego nieba. Wiadomość o tym ogromnie ucieszyła katorgę. Było to święto, uroczystość! Podobno major beczał jak stara baba i zalewał się łzami. Ale trudna rada. Dostał dymisję, sprzedał parę siwków, potem wszystko mienie i popadł nawet w biedę. Spotykaliśmy go później w zniszczonym cywilnym surducie, w czapce z bączkiem. Ze złością zerkał na więźniów. Z chwilą jednak, kiedy zdjął mundur, urok jego prysnął. W mundurze był groźnym bóstwem. W surducie stał się nagle zwykłym zerem i zakrawał na lokaja. Aż dziw, jak wiele znaczy u tych ludzi mundur.

IX. Ucieczka

Niebawem po odejściu naszego placmajora zaszły u nas gruntowne zmiany. Skasowano katorgę, zastępując ją rotą aresztancką departamentu wojny, na zasadzie rosyjskich rot aresztanckich. Znaczyło to, że teraz już nie przyprowadzano do nas zesłańców na katorgę drugiej kategorii. Ale odtąd przybywali wyłącznie więźniowie departamentu wojny, a więc ludzie nie pozbawieni praw obywatelskich, tacy sami żołnierze jak inni, tyle tylko że ukarani, przychodzący na krótkie terminy (do sześciu lat najwyżej) i którzy po skończonym wyroku wracali do swych batalionów, znowu, jak i przedtem, jako szeregowcy. Zresztą, jeżeli kto wracał do nas jako recydywista, podobnie jak dawniej dostawał wyrok dwudziestoletni. Wprawdzie i przed tą zmianą był u nas oddział więźniów kategorii wojskowej, lecz przebywali oni u nas dlatego tylko, że nie było gdzie ich podziać. Obecnie zaś całe więzienie stało się tą kategorią wojskową. Rzecz jasna, iż poprzedni katorżnicy, prawdziwi katorżnicy cywilni, pozbawieni wszystkich praw, napiętnowani i z ogoloną połową głowy, pozostali aż do upływu swych wyroków; nowi nie przybywali, reszta zaś stopniowo kończyła wyroki i odchodziła, toteż po jakich dziesięciu latach nie mogło zostać tu ani jednego katorżnika. Specjalny oddział również trwał nadal i wciąż jeszcze, co pewien czas, przysyłano doń ciężkich przestępców departamentu wojny, aż do otwarcia na Syberii najcięższych robót katorżniczych. Tak więc, życie nasze nie uległo właściwie zmianie: to samo utrzymanie, te same roboty i prawie ten sam regulamin, tylko zarząd był teraz inny i bardziej skomplikowany. Przybył sztabsoficer, dowódca roty, a ponadto czterej oberoficerowie kolejno dyżurujący w ostrogu. Usunięto też inwalidów; zastąpiło ich dwunastu podoficerów oraz intendent. Mieliliśmy obecnie dziesiętników, mieliśmy gefrajtra spośród więźniów — nominalnie, rzecz jasna — no i samo się przez się rozumie, że Akim Akimycz niezwłocznie został gefrajtrem. Cała ta nowa instytucja ze wszystkimi swymi urzędnikami i więźniami po dawnemu podlegała komendantowi jako władzy zwierzchniej. Oto i cała zmiana. Naturalnie, więźniowie byli zrazu mocno przejęci, dyskutowali, starali się przeniknąć i rozgryźć nowych naczelników; skoro wszakże zobaczyli, że w gruncie rzeczy wszystko zostało po dawnemu, uspokoili się wnet i życie nasze potoczyło się utartym szlakiem. Najważniejsze jednak było to, że się wszyscy pozbyli poprzedniego majora; wszyscy jak gdyby odetchnęli i nabrali otuchy. Znikły zastraszone miny; każdy wiedział teraz, że w razie potrzeby może się rozmówić z naczelnikiem i że chyba tylko przez pomyłkę niewinny poniesie karę zamiast winowajcy. Nawet wódkę szynkowało się u nas zupełnie tak samo i na tych samych zasadach, co dawniej, jakkolwiek zamiast poprzednich inwalidów nastali podoficerowie. Podoficerowie ci byli to przeważnie ludzie przyzwoici i rozgarnięci, pojmujący swą sytuację. Co prawda, niektórzy z nich zrazu próbowali zadzierać nosa i — oczywiście z braku doświadczenia — chcieli traktować więźniów jak żołnierzy. Jednakże i oni

zrozumieli wkrótce, jak się rzeczy mają. Innym zaś, zbyt długo nie rozumiejącym, sami więźniowie to uprzytomnili. Dochodziło do wcale ostrych starć. Na przykład — skuszą podoficera, spoją go, później zaś zameldują mu po swojemu, że pił wspólnie z nimi, a więc... Skończyło się na tym, że podoficerowie patrzyli obojętnie, lub raczej woleli nie widzieć w ogóle, jak się przynosi bańki i sprzedaje wódkę. Nie dość tego: podobnie jak dawniej inwalidzi, chodzili na targ i przynosili więźniom kołaczki, wołowinę i załatwiali różne inne sprawy, których mogli się podjąć bez większego despektu. Po co wprowadzono te wszystkie zmiany, po co stworzono rotę aresztancką, tego już nie wiem. Stało się to dopiero w ostatnich latach mojej katorgi. Ale dwa jeszcze lata sądzone mi było spędzić w tych nowych warunkach...

Czy mam notować całe to życie, wszystkie swe lata w więzieniu? Nie sądzę. Gdyby notować kolejno, jedno po drugim, wszystko, co się wydarzyło i co widziałem, i czego doświadczyłem przez te lata, można by oczywiście napisać jeszcze dwa, cztery razy więcej rozdziałów niż dotychczas. Lecz siłą rzeczy opis taki stałby się w końcu zbyt monotony. Wszystkie wydarzenia wypadną zanadto jednostajnie, zwłaszcza jeśli czytelnik zdołał z napisanych już rozdziałów urobić sobie choć jako tako zadowalające pojęcie o życiu katorżników drugiej kategorii. Pragnąłem ukazać całe nasze więzienie i wszystko, com przeżył przez te lata, w jednym plastycznym i jaskrawym obrazie. Czym to osiągnął — nie wiem. Niechaj inni to osądzą. Jestem wszakże przekonany, że na tym można by skończyć. Na dobitkę, nawet mnie ogarnia czasem nuda przy tych wspomnieniach. Wątpię zresztą, czy potrafię przypomnieć sobie wszystko. Późniejsze lata zatarły się jakoś w mej pamięci. O wielu okolicznościach, jestem tego pewien, zapomniałem całkowicie. Pamiętam na przykład, że wszystkie te lata, właściwie tak podobne jedne do drugich, upływały mdło, apatycznie. Pamiętam, że te długie, nudne dni były tak jednostajne, jakby po deszczu woda kapiała z dachu kropla po kropli. Pamiętam, że jedynie namiętna chęć odnowy, zmartwychwstania, nowego życia dawała mi moc, by czekać i mieć nadzieję. I okrzepłem wreszcie: czekałem, odliczałem każdy dzień, i chociaż pozostawał ich tysiąc, z rozkoszą odliczałem je po jednym, eskortowałem każdy, grzebałem, a gdy nadchodził dzień następny, rad byłem, że zostaje już nie tysiąc dni, lecz dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Pamiętam, że przez cały ten czas, mimo setek towarzyszy, byłem straszliwie osamotniony, i w końcu polubiłem to osamotnienie. Samotny w duchu, rozpamiętywałem całe minione życie, badałem wszystko do najdrobniejszych szczegółów, wmyślałem się w swą przeszłość, sam siebie sądziłem nieubłaganie i surowo, a czasem nawet błogosławiłem los, że mi zesłał to osamotnienie, bez którego by się nie odbył ani ten sąd nad sobą, ani ten surowy przegląd ubiegłego życia. I jakimiż nadziejami tętniło mi wówczas serce! Myślałem, postanawiałem, przysięgałem sobie, że w moim przyszłym życiu nie będzie już ani tych błędów, ani tych upadków, jakie były przedtem. Nakreśliłem sobie program całej przyszłości i postanowiłem trzymać się go niezłomnie. Odrodziła się we mnie ślepa wiara, że mogę to wszystko spełnić i spełnię... Oczekiwałem wolności, przywoływałem ją natarczywie; pragnąłem

znów siebie wypróbować w nowej walce. Chwilami ogarniała mnie spazmatyczna niecierpliwość... Lecz z bólem wspominam teraz ówczesny stan mojej duszy. Zapewne, wszystko to dotyczy mnie tylko... Ale zapisałem to dlatego, że chyba każdy to pojmie, ponieważ z każdym musi się stać to samo, jeżeli się znajdzie w więzieniu, skazany na pewien termin, w kwiecie wieku i sił.

Dajmy jednak temu spokój!... Wolę opowiedzieć coś jeszcze, ażeby nie skończyć zbyt raptownie.

Przyszło mi na myśl, że ktoś gotów zapytać: czy z katorgi nie podobna było uciec i czy przez wszystkie te lata nikt od nas nie uciekł? Pisałem już, że więzień, który przesiedział dwa, trzy lata, zaczyna już cenić te lata i siłą rzeczy wyciąga wniosek, że lepiej odbyć resztę bez zachodów, bez niebezpieczeństw i w końcu wyjść legalnie na osiedlenie. Aliści taka rachuba mieści się jedynie w głowie więźnia zesłanego na niedługi termin. Długoletni może by i zaryzykował... Jednakże u nas czemuś się tego nie robiło. Nie wiem, czy to był strach, czy że dozór był szczególnie ścisły, wojskowy, czy że okolice naszego miasta (stepowe, odsłonięte) bardzo temu nie sprzyjały — trudno powiedzieć. Przypuszczam, że działały tu wszystkie te powody. Istotnie, zbiec od nas było niełatwo. A mimo to wydarzyła się przy mnie jedna taka sprawa: dwaj więźniowie, i to nawet spośród najważniejszych przestępców zaryzykowali...

Po ustąpieniu majora A-w (ten, co dla niego szpiegował) został sam jak palec, bez protekcji. Był bardzo jeszcze młody, lecz charakter jego krzepł i ustalał się z biegiem lat. W ogóle był to człowiek czelny, zdecydowany i nawet bardzo rozgarnięty. Gdyby go wypuszczono na wolność, wprawdzie nadal by szpiegował i uprawiał różne szwindle, ale już by się teraz nie dał przyłapać tak głupio i nieoględnie jak wprzódy, kiedy to musiał przyplacić swą głupotę zesłaniem. Między innymi trudnił się u nas i fałszowaniem paszportów. Zresztą nie twierdzą tego na pewno. Słyszałem tak od naszych więźniów. Mówiono, że pracował w tej dziedzinie, gdy jeszcze chodził do kuchni placmajora i, naturalnie, ciągnął z tego procederu ładny zysk. Słowem, zdecydowałby się chyba na wszystko, by zmienić swój los. Miałem sposobność poznać poniekąd jego duszę: cynizm jego dochodził do oburzającego zuchwalstwa, do najzimniejszego szyderstwa i budził nieprzepartą odrazę. Zdaje mi się, że gdyby bardzo zechciał wypić kwaterkę wódki i gdyby tę kwaterkę można było zdobyć jedynie za pomocą morderstwa, nie omieszkałby zamordować, o ile tylko dałoby się to zrobić cichcem, bez niczyjej wiedzy. U nas nauczył się przezorności. Otóż na tego właśnie człowieka zwrócił uwagę Kulikow, więzień specjalnego oddziału.

Mówiłem już o Kulikowie. Był to człowiek niemłody, lecz namiętny, pełen żywotności, silny, o niepospolitych i różnorodnych uzdolnieniach. Miał w sobie zapas sił i chęć do życia; takim ludziom aż do najgłębszej starości wciąż jeszcze chce się żyć. I gdyby mnie dziwiło, czemu od nas nie uciekają, to oczywiście dziwiłby mnie przede wszystkim Kulikow. Ale Kulikow się zdecydował. Który z nich miał większy wpływ na drugiego: A-w na Kulikowa czy Kulików na A-wa? — nie wiem, lecz obaj byli siebie warci, a do tego interesu dobrali się jak w korcu maku.

Zawarli przyjaźń. Wydaje mi się, że Kulikow liczył na to, iż A-w sporządzi paszporty. A-w pochodził ze szlachty, należał do dobrego towarzystwa — zapowiadało to pewne urozmaicenie w przyszlých przygodach, jeśli tylko uda im się dotrzeć do Rosji. Kto wie, jak się dogadali i jakie żywili nadzieje; z pewnością jednak nadzieje ich wykraczały poza zwykłą koleinę syberyjskiego włóczegostwa. Kulikow był urodzonym aktorem, mógł wybierać liczne i wielorakie role w życiu; mógł rachować na niejedno, w każdym razie na rozmaitość. Takim ludziom katorga musiała szczególnie ciążyć. Umówili się, że uciekną. Lecz ucieczka bez konwojenta była niepodobieństwem. Musieli go skłonić, by zbiegł razem z nimi. W jednym ze stacjonujących w twierdzy batalionów służył pewien Polak, człowiek energiczny i może godny lepszej doli, starszy już, dzielny, poważny. Za młodu, wnet po przybyciu do służby na Syberii, zbiegł wskutek dojmującej tęsknoty za ojczyzną. Schwytano go, ukarano i ze dwa lata trzymano w rotach aresztanckich. Po powrocie do wojska zreflektował się i jał służyć gorliwie, ze wszystkich sił. Odznaczono go za to stopniem gefrajtra. Był to człowiek ambitny, pewny siebie i znający swoją wartość. I wyglądał, i mówił jak ktoś, kto zna własną wartość. Przez te trzy lata spotykałem go kilkakrotnie wśród naszych konwojentów. Również Polacy mówili mi o nim to i owo. Wydało mi się, że jego poprzednią tęsknotę zastąpiła nienawiść, skryta, głucha, ustawiczna. Człowiek ten mógł zdecydować się na wszystko i Kulikow nie popełnił błędu, werbując go na towarzysza. Nazywał się Koller. Ułożyli się i wyznaczyli dzień. Było to w czerwcu, w upały. Klimat w tym mieście jest dosyć jednostajny; latem panuje pogoda stała, gorąca; a to włóczegom na rękę. Oczywiście, żadną miarą nie mogli się wyprawić wprost z miejsca, z twierdzy; całe miasto leży na wzgórzu, odsłonięte ze wszystkich stron. Wokół, na dość znacznej przestrzeni, nie ma lasu. Musieli się przebrać w strój cywilny, a w tym celu dostać się najpierw na przedmieście, gdzie Kulikow od dawna miał melinę. Nie wiem, czy ich przyjaciele z przedmieścia byli całkowicie wtajemniczeni. Raczej tak, chociaż później, na rozprawie, niezupełnie się to wyjaśniło. Owego roku w jednym z zakątków przedmieścia dopiero co rozpoczynała karierę pewna młoda i nader hoża dziewczyna, przezwiskiem Wańka-Tańka, która rokowała wielkie nadzieje i później ziściła je częściowo. Nazywano ją również: ogień. Podobno ona też wzięła w tym pewien udział. Kulikow przez cały już rok rujnował się na nią. Nasi chłopcy poszli z rana na odprawę i tak to zręcznie urządzili, że wysłano ich z więźniem Szyłkinem, zdunem i tynkarzem, tynkować puste koszary batalionowe, z których żołnierze dawno już wyruszyli do letnich obozów. A-w i Kulikow udali się z nim jako pomocnicy. Koller wkręcił się na konwojenta, a ponieważ trzech więźniów musieli pilnować dwaj konwojenci, więc Kollerowi, jako staremu wiarusowi i gefrajtrowi, chętnie poruczono młodego rekrucika, którego miał uczyć i zaprawiać do konwojowania. Z tego widać, że nasi zbiegowie mieli bardzo silny wpływ na Kollera, i że zaufał im, skoro po długiej i w ostatnich latach pomyślnej służbie on, człowiek rozumny, solidny, roztropny, zdecydował się pójść za nimi.

Przyszli do koszar. Zbliżała się szósta rano. Oprócz nich nie było nikogo. Popracowawszy z godzinę Kulikow i A-w oświadczyli Szyłkinowi, że pójdą do warsztatu, po pierwsze, by się z kimś zobaczyć, a po wtóre, by wziąć jakieś potrzebne narzędzia. Z Szyłkinem należało postępować przebiegle, czyli możliwie najbardziej naturalnie. Był to zdun z zawodu, mieszczanin moskiewski, sprytny, szczwany, mądry i małomówny. Wyglądał na człowieka wątego i przepitego. Powinien by do końca życia chodzić w kamizelce i szlafroku po moskiewsku, atoli los zrzucił inaczej i Szyłkin po długiej tułaczce zasiadł u nas na zawsze w specjalnym oddziale, to jest w kategorii najstraszniejszych przestępców wojskowych. Czym zasłużył na taką karierę — nie wiem; lecz specjalnego niezadowolenia nie można było w nim nigdy zauważyć; zachowywał się spokojnie i statecznie; czasem tylko upijał się jak szewc, ale i wtedy nie wyprawiał brewerii. Naturalnie, nie wtajemniczyli go, on zaś miał bystre oko. Ma się rozumieć, Kulikow mrugnięciem dał mu do zrozumienia, że idą po wódkę, która już od wczoraj czeka na nich w warsztacie. Zjednało to Szyłkina; pożegnał ich bez żadnych podejrzeń i został sam z rekrutem, Kulikow zaś, A-w i Koller podążyli na przedmieście.

Upłynęło pół godziny; nieobecni nie wracali, i Szyłkin, nagle się połapawszy, zaczął coś miarkować. Kuty był na cztery nogi. Jął sobie przypominać: Kulikow był w jakimś osobliwym nastroju, A-w, jak się zdaje, dwukrotnie szepnął mu coś, w każdym razie Kulikow dwukrotnie mrugnął na niego i Szyłkin to widział; teraz wszystko to pamięta. W Kollerze również coś go uderzyło; w każdym razie, odchodząc z nim, Koller zaczął pouczać rekruta, jak się ma zachowywać pod jego nieobecność, a to było nie całkiem naturalne, przynajmniej ze strony Kollera. Słowem, im dłużej Szyłkin medytował, tym stawał się podejrzliwszy. Czas upływał, tamci nie wracali, i niepokój jego doszedł do szczytu. Bardzo dobrze pojmował, na co się naraża: mogły paść na niego podejrzania zwierzchników. Mogli pomyśleć, że puścił towarzyszy świadomie, za wzajemną ugodą, i gdyby zwlekał z meldunkiem o zniknięciu Kulikowa i A-wa, podejrzania te nabrałyby jeszcze większego prawdopodobieństwa. Nie miał czasu do stracenia. Tu przypomniał sobie, że ostatnio Kulikow i A-w szczególnie się jakoś zbliżyli z sobą, często coś szeptali, często chodzili za koszarami, z dala od wszystkich. Przypomniał sobie, że już i wtedy coś mu przyszło na myśl... Badawczo zerknął na konwojenta, który ziewał wsparłszy się na karabinie i najniewinniej w świecie dłuhał w nosie; toteż Szyłkin nie raczył podzielić się z nim myślami, tylko po prostu powiedział mu, żeby szedł za nim do warsztatu inżynierskiego. W warsztacie trzeba było zapytać, czy tam nie przychodzili. Okazało się jednak, że nikt ich tam nie widział. Wszystkie wątpliwości Szyłkina rozwiały się: „Może zwyczajnie poszli na przedmieście popić i pohulać, jak to czasem robi Kulikow — myślał Szyłkin — ale to niemożliwe, powiedzieliby mi, bo nie miałyby sensu kryć się z tym przede mną.” Szyłkin porzucił pracę i nie wstępując do koszar pośpieszył wprost do twierdzy.

Była już prawie dziewiąta, gdy przyszedł do feldfebla i oznajmił mu, jak się rzeczy mają. Feldfebel struchlał i zrazu nie chciał nawet wierzyć. Ma się rozumieć, Szyłkin powiedział mu to

wszystko tylko jako domysł, podejrzenie. Feldfelbel pobiegł do majora. Major — niezwłocznie do komendanta. Po kwadransie wszystkie konieczne kroki zostały już poczynione. Zameldowano samemu generał-gubernatorowi. Przestępcy byli ważni i Petersburg mógł udzielić za nich bardzo surowej nagany. Słusznie czy nie, A-w zaliczony był w poczet przestępców politycznych; Kulikow, jako więzień „specjalnego oddziału”, był arcyprzestępcą, i to na domiar złego wojskowym. Dotychczas nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby kto uciekł ze „specjalnego oddziału”. Przypomniano sobie przy tej okazji, że regulamin wymagał, by podczas robót przypadało na każdego więźnia po dwóch konwojentów, a już co najmniej po jednym na każdego. Przepisowi temu nie stało się zadość. Mogła więc wyniknąć przykra sprawa. Rozesłano umyślonych do wszystkich gmin, do wszystkich okolicznych miasteczek, żeby zawiadomić o zbiegach i podać wszędzie ich rysopis. Wysłano kozaków w pościg, na łowy; napisano też do sąsiednich powiatów i guberni... Słowem, zrobiono wszystko, co należało.

Tymczasem u nas wszczęło się poruszenie innego rodzaju. Więźniowie, wracając kolejno z pracy, dowiadywali się natychmiast, co się święci. Wiadomość obiegała już wszystkich. Wszyscy przyjmowali tę nowinę z jakąś niezwykłą, utajoną radością. Wszystkim drgnęło serce... Nie dość, że to zdarzenie przerwało monotonię więziennego życia i wbiło kij w mrowisko; ucieczka, i to taka ucieczka, znalazła jakby echo we wszystkich i potrafiła w nich zapomniane dawno struny; coś jakby nadzieja, śmiałość, wiara w możliwość odmiany swego losu poruszyły się we wszystkich sercach. „Tamci uciekli: więc czemużby?...” I każdy przy tej myśli nabierał otuchy i patrzył na innych wyzywająco. Wszyscy stali się nagle jacyś hardzi i jęli spoglądać z góry na podoficerów. Oczywiście, do więzienia wnet przybyła zwierzchność. Przyjechał też sam komendant. Więźniowie nabrali animuszu i patrzyli śmiało, nawet z pewną wzgardą i milczącą, surową powagą: „Jak widzicie, umiemy się wziąć do rzeczy.” Nie potrzeba dodawać, że od razu przewidzieli gremialną wizytę władz. Przewidzieli również, że się na pewno odbędą rewizje i zawczasu wszystko pochowali. Wiedzieli, że zwierzchność w takich wypadkach jest zawsze mądra po szkodzie. Tak się też stało: narobiono wielkiego rejuwachu, przeryto wszystko, przeszukano i oczywiście — nic nie znaleziono. Do pracy poobiedniej poszli więźniowie pod wzmocnionym konwojem. Nad wieczorem strażnicy zaglądali co chwila; wbrew zwyczajowi, przerachowali ludzi parokrotnie. Parokrotnie się przy tym wbrew zwyczajowi pomylili. Stąd nowa mitręga: kazali wszystkim wyjść na dwór i porachowali raz jeszcze. Potem jeszcze raz w koszarach... Krótko mówiąc, dużo było zamętu.

Lecz więźniowie nic sobie z tego nie robili. Wszyscy czuli się całkiem swobodnie i, jak to zawsze bywa w takich razach, przez cały ten wieczór sprawowali się bez zarzutu: „Żeby się do niczego nie można było przyczepić.” Oczywiście, zwierzchność myślała: „Czy nie zostali w więzieniu współnicy zbiegów?” i kazała przyglądać się, przysłuchiwać więźniom. Lecz więźniowie śmiali się tylko. „Zostawić współników? Nie ma głupich!” „Takie rzeczy robi się cicho sza.” „Alboż, to taki człowiek z Kulikowa, alboż to taki człowiek z A-wa, żeby nie zatrzeć śladów?”

Zrobili wszystko galanto. Szczwane to lisy, wszędzie przeleżą!" Słowem, chwala Kulikowa i A-wa urosła; wszyscy byli z nich dumni. Czuli, że wyczyn ich dojdzie do najdalszego potomstwa katorżników, przeżyje więzienie.

— Ale chwaty! — mówili jedni.

— Zdawało się, że stąd nikt nie ucieknie. A ci uciekli przecież!... — dorzucali drudzy.

— Uciekli! — wyrwał się trzeci, dość butnie tocząc okiem dookoła. — Ale kto uciekł!... Ty się do nich ani umywasz!

Kiedy indziej więzień, do którego zwrócone były te słowa, na pewno odpowiedziałby na wyzwanie i broniłby swego honoru. Teraz wszakże milczał skromnie. „Rzeczywiście, nie wszyscy są tacy jak Kulikow i A-w; trzeba najpierw pokazać, kim się jest...”

— Bogiem a prawdą, bracia, po co my tu żyjemy? — przerywa milczenie czwarty, skromnie siedzący przy oknie w kuchni; mówi trochę śpiewnie, wskutek jakiegoś omdlałego, lecz potajemnie lechącego go mile uczucia, i podpira policzek dłonią. — Kim jesteśmy? Za życia — nie ludzie, po śmierci — nie nieboszczycy. E-ech!

— Katorga to nie but. Nie zżujesz z nogi. Twoje „e-ech” niewiele pomoże.

— Ale przecież Kulikow... — spróbował wtrącić jeden z zapaleńców, młodziutki żółtodziób.

— Kulikow! — natychmiast podchwytuje drugi, z pogardą strzygąc okiem na żółtodzioba. — Kulikow! Co ma znaczyć: czy dużo jest takich Kulikowów?

— Ale i A-w, bracia, także zuch, oj, zuch!

— Ja myślę! Ten i Kulikowa dziesięć razy kupi i sprzeda. Szpakami karmiony!

— Ciekawe, bracia, czy daleko są teraz...

I wnet zaczęto roztrząsać, czy daleko odeszli. I w jaką stronę się udali. I gdzie powinni byli pójść? I która gmina jest bliżej? Znaleźli się ludzie znający okolice. Słuchano ich ciekawie. Rozmawiano o mieszkańcach sąsiednich wsi i uznano, że to ludzie nieodpowiedni. Blisko miasta ludziska są nie w ciemię bici! Nie pomogą więźniom, złapią ich i wydadzą.

— Ludzie, bracia, tu niedobrzy. U-u-u, co za ludzie!

— Obrzydliwe chłopcy!

— Sybirak pilnuje się. Nie podchodź, bo zabije.

— Swoją drogą, nasi też nie ułamki...

— Pewno, trafił frant na franta, wyciął mu kuranta. — Jak nie pomrzemy, to usłyszymy.

— A tobie jak się widzi? Złapią ich?

— Ja myślę, że nie złapią, jako żywo! — podchwytuje drugi zapaleniec, uderzając pięścią w stół.

— Hm, to jeszcze zobaczymy.

— Ja zaś, bracia, myślę sobie tak — podejmuje Skuratow — gdybym był włóczęgą, jako żywo by mnie nie złapali!

— Ba, ciebie!

Wybuchła śmiech, inni udają, że nie chcą nawet słuchać! Ale Skuratow nabrał już fantazji.

— Jako żywo by nie złapali! — powtarza z energią. — Ja, bracie, często myślę to w duchu i sam sobie się dziwię: dalibóg, wlaźłbym w mysia dziurę, a nie złapaliby mnie.

— Nie bój się, jak ci głód dokuczy, pójdziesz do chłopca po chleb.

Ogólny śmiech.

— Po chleb? Akurat!

— Co młócisz językiem? We dwóch z wujkiem Wasią zabiliście krowią śmierć i za toście tu przyszli.

Śmiech się wzmaga. Poważni patrzą z większym jeszcze oburzeniem.

— Nieprawda! — krzyczy Skuratow. — To Mikitka nabajdurzył o mnie, a nawet nie o mnie, tylko o Waśce, mnie zaś dołączacie ni w pięć, ni w dziewięć. Urodziłem się w Moskwie i od maleńkości zaznałem włóczęgi. Jeszcze kiedy diak uczył mnie czytać, ciągnął mnie za ucho: „Powtarzaj: «Mamże zginąć, Boże? Z wielkiej łaski twojej racz się zlitować nade mną»" i tak dalej... A ja powtarzam za nim: „W mamrze zginę może z wielkiej łaski twojej" i tak dalej... Widzicie więc, jakem sobie poczynił od dziecka.

Wszyscy znów się zaśmieli. Lecz Skuratowowi o to właśnie chodziło. Nie mógł nie błaznować. Wkrótce przestali zważać na niego i znów jęli rozmawiać serio. Przeważnie zabierali głos ludzie starzy i świadomi rzeczy. Młodszy i potulniejsi cieszyli się tylko na ich widok i wsuwali głowy, żeby posłuchać; w kuchni zrobiło się tłoczno; ma się rozumieć, podoficerów tu nie było. Przy nich więźniowie nie mówiliby wszystkiego. Wśród najbardziej uradowanych zauważyłem pewnego Tatara, Mametkę, niewysokiego wzrostu, o wydatnych kościach policzkowych, figurę nad wyraz komiczną. Prawie nie umiał mówić po rosyjsku i prawie nic nie rozumiał z tego, co mówią inni, jednak on także wysuwał głowę zza ciżby i słuchał, słuchał z rozkoszą.

— Cóż, Mametka, *jakszy?*⁷ — z nudów uczepił się go odtrącony przez wszystkich Skuratow.

— *Jakszy! Uch, jakszy!* — zaszwargotał Mametka ożywiając się nagle i kiwając Skuratowowi swą śmieszna głową. — *Jakszy!*

— Nie złapią ich? *Jok?*⁸

— *Jok, jok!* — I Mametka zatrajkotał ponownie, tym razem wymachując już rękoma.

— Czyli że twoja łąła, moja nie rozumiała, co?

— Tak, tak, *jakszy!* — potwierdził Mametka kiwając głową.

— No, to *jakszy!*

Tu Skuratow klepnął go po czapce, wbił mu ją aż na oczy i wyszedł z kuchni w doskonałym nastroju, zostawiając Mametkę nieco zbitego z tropu.

Cały tydzień trwał surowy reżim, a w okolicach intensywny pościg i poszukiwania. Nie wiem, w jaki sposób, lecz więźniowie natychmiast otrzymywali szczegółowe wiadomości o manewrach

⁷ dobrze

⁸ nie?

władz poza więzieniem. Przez pierwsze dni wszystkie wieści były dla zbiegów korzystne: ani widać, ani słyszać, znikli i basta. Więźniowie śmiali się w kulak. Minał wszelki niepokój o los zbiegów. „Nic nie znajdują, nikogo nie złapią!” — mówili z zadowoleniem.

— Nie ma nic; guzik!

— Bądźcie zdrowi, wróć, jak rak świśnie, a ryba zaśpiewa.

Wiedzieliśmy, że puszczono w ruch wszystkich okolicznych chłopów, obstawiono wszystkie podejrzane miejsca, wszystkie lasy, wszystkie wądoły.

— Furda! — drwili nasi. — Na pewniaka mają kogoś takiego, u kogo siedzą sobie teraz.

— Co to, to jak amen w pacierzu! Nie pierwsze im to i nie ostatnie; przysposobili wszystko z góry.

Posunięto się jeszcze dalej w domysłach: zaczęto mówić, że może więźniowie dotychczas jeszcze siedzą na przedmieściu, przeczekując gdzieś w piwnicy, aż **halarm** minie, aż urosną im włosy. Przeczekają pół roku, rok, potem wyruszą...

Słowem, wszyscy byli w romantycznym poniekąd usposobieniu. Raptem, w jakie osiem dni po ucieczce, gruchnęła wieść, że władze wpadły na trop. Oczywiście, więźniowie ze wzgardą odrzucili tę nedorzeczną pogłoskę. Jednak tegoż wieczoru wiadomość się potwierdziła. Więźniów zdjął niepokój. Nazajutrz rano słyszać już było w mieście, że zbiegowie są ujęci, że wiozą ich. Po obiedzie napłynęły dokładniejsze szczegóły; ujęto ich w takiej a takiej wsi, odległej o siedemdziesiąt wiorst. W końcu nadeszła ścisła wiadomość. Po powrocie od majora feldfelbel oznajmił niedwuznacznie, że pod wieczór przywiozą ich wprost do kordegardy. Nie można już było wątpić. Trudno opisać, jakie ta wiadomość sprawiła wrażenie na więźniach. Zrazu wszyscy jakby się rozgniewali, potem zmarkotnieli. Potem pojawiła się jak gdyby skłonność do kpinek. Śmiali się, tylko już nie z łapiących, lecz ze złapanych, z początku nieliczni, później prawie wszyscy, z wyjątkiem kilku ludzi poważnych, nieugiętych, którzy potrafili myśleć samodzielnie i których nie można było stropić kpinkami. Ci patrzyli z pogardą na lekkomyślny tłum i milczeli.

Krótko mówiąc, podobnie jak przedtem wnoszono Kulikowa i A-wa pod niebiosa, tak obecnie ponizano ich, i to nawet ponizano z satysfakcją. Jak gdyby skrzywdzili wszystkich. Opowiadano z lekceważeniem, że bardzo zachciało im się jeść, że nie wytrzymali głodu i poszli na wieś do chłopów prosić o chleb. To już był dla włóczęgi ostatni stopień upadku. Zresztą opowiadania te miały się z prawdą. Zbiegów wyśledzono; ukryli się w lesie; otoczono las ze wszystkich stron. Tamci, widząc, że ratunek jest niemożliwy, poddali się sami. Nie mieli innego wyjścia.

Ale gdy na odwieczarz istotnie przywieziono ich, ze skrępowanymi rękami i nogami, pod strażą żandarmów, wszyscy wylegli na dziedziniec patrzeć, co z nimi zrobią. Naturalnie, niceśmy nie zobaczyli prócz pojazdów majora i komendanta przy kordegardzie. Osadzono zbiegów w separatce, zakuto i już nazajutrz oddano pod sąd. Wkrótce pogarda i drwiny więźniów wygasły.

Dowiedzieli się bliższych szczegółów, dowiedzieli, że prócz poddania się nie było wyjścia, i wszyscy zaczęli ze współczuciem śledzić tok sprawy w sądzie.

— Wrzepią im tysiąc — mówili jedni.

— Gdzie tam tysiąc! — mówili drudzy. — Zatluką ich. A-wowi może i tysiąc, ale tamtego zatluką, bratku, jako że jest ze specjalnego oddziału.

Nie zgadli jednak. A-w dostał zaledwie pięćset, wzięto pod uwagę, że się dotychczas sprawował zadowolająco i że było to pierwsze jego wykroczenie. Kulikowowi, zdaje się, wymierzono półtora tysiąca. Zostali ukarani dosyć miłosiernie. Będąc ludźmi do rzeczy, nikogo nie uwikłali na rozprawie, mówili jasno, dokładnie, mówili, iż uciekli wprost z twierdzy, nigdzie nie wstępując. Najbardziej było mi żal Kollera: utracił wszystko, postradał ostatnie nadzieje, dostał najwięcej, podobno dwa tysiące, po czym wysłano go do więzienia, lecz nie do naszego. A-wa ukarano słabo, ze współczuciem; przyczynili się do tego lekarze. On jednak stawiał się i głośno mówił w szpitalu, że teraz zdecydowany już jest na wszystko, na wszystko gotów i zrobi nie takie jeszcze rzeczy. Kulikow zachowywał się jak zawsze, to znaczy statecznie, przyzwoicie, i wróciwszy po chłóście do więzienia miał taką minę, jakby go nigdy nie opuszczał. Zmienił się natomiast stosunek więźniów do niego: mimo że Kulikow umiał się zawsze i wszędzie postawić, więźniowie w duchu przestali go jakoś poważać, zaczęli go traktować jakoś bardziej za pan brat. Słowem, od czasu tej ucieczki sława Kulikowa mocno zbladła. Powodzenie tak wiele waży u ludzi.

X. Wyjście z katorgi

Zdarzyło się to wszystko w ostatnim już roku mej katorgi. Ten ostatni rok pamiętam prawie tak samo dobrze, jak pierwszy, zwłaszcza sam już koniec mojego pobytu. Lecz po co mówić o szczegółach. Pamiętam tylko, że w tym roku, mimo całą mą niecierpliwość, by termin upłynął co rychlej, lżej mi było żyć niż podczas wszystkich poprzednich lat zesłania. Po pierwsze, miałem już wśród więźniów licznych druhów i przyjaciół, którzy doszli ostatecznie do wniosku, że jestem porządny człowiek. Wielu z nich było mi oddanych i lubiło mnie szczerze. Pionier omal nie zapłakał wyprowadzając z więzienia mnie i mego towarzysza, a gdyśmy później, już po wyjściu, mieszkali jeszcze cały miesiąc w tym mieście, w pewnym budynku skarbowym, wstępował do nas prawie co dzień ot tak sobie, żeby na nas popatrzeć. Byli też jednak ludzie surowi i nieprzychylni, którym do końca trudno się było słówkiem do mnie odezwać — Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Jak gdyby stała między nami jakaś przegroda.

Pod koniec miałem na ogół więcej swobody niż przez cały czas katorgi. Okazało się, że wśród wojskowych, odbywających służbę w tym mieście, mam znajomych, a nawet dawnych kolegów z ławy szkolnej. Odnowiłem z nimi znajomość. Przez nich mogłem mieć więcej pieniędzy, mogłem pisywać do swoich, ba, mogłem dostawać książki. Od kilku już lat nie czytałem ani jednej książki, i trudno oddać to dziwne, a zarazem przejmujące wrażenie, jakie na mnie wywarła pierwsza przeczytana na katordze książka. Pamiętam, że zacząłem ją czytać z wieczora, gdy zamknięto koszary, i czytałem całą noc aż do świtu. Był to zeszyt pewnego czasopisma. Zupełnie jakby nadleciała do mnie wieść z tamtego świata; dawne życie stanęło przede mną wyraźnie i barwnie, i usiłowałem zgadnąć na podstawie lektury, czy pozostałem daleko za tym życiem. Czy oni tam dużo przeżyli beze mnie? czym się teraz przejmują? jakie zagadnienia obchodzą ich teraz? Czepiałem się słów, czytałem między wierszami, usiłowałem znaleźć tajemniczy sens, aluzje do przeszłości; szukałem śladów tego, co ongi, za moich czasów, poruszało ludzi, i było mi teraz smutno, gdy wyraźnie sobie uprzytamniałem, jak bardzo jestem w nowym życiu kimś obcym, oderwanym od zbiorowości. Musiałem się przyzwyczajać do nowych spraw, zapoznawać z nowym pokoleniem. Najzachłanniej rzucałem się na artykuł, pod którym znajdowałem nazwisko znajomego, bliskiego dawniej człowieka... Lecz brzmiały już i nowe nazwiska: zjawili się nowi działacze; skwapliwie śpieszyłem zapoznać się z nimi i gniewało mnie, że tak mało książek mam pod ręką i że tak o nie trudno. Wprzód zaś, za poprzedniego placmajora, niebezpiecznie było nawet przynosić książki. W razie rewizji spytano by na pewno: „Skąd masz książkę? Gdzieś ją wziął? Utrzymujesz więc z kimś stosunki?...” A cóż mogłem odpowiedzieć na takie pytania? Toteż, żyjąc bez książek, mimo woli zatapiałem się sam w sobie, stawiałem sobie zagadnienia,

staralem się je rozwiązać, niekiedy mię one dręczyły... Ale przecież wszystkiego i tak nie opowiem...

Przybyłem na katorgę w zimie, więc w zimie również miałem wyjść na wolność, tego samego miesiąca i dnia. Z jaką niecierpliwością oczekiwałem zimy, z jaką rozkoszą patrzyłem w końcu lata, jak więdną liście na drzewie i żółknie trawa na stepie. Lecz już lato minęło, zaskowytał wiatr jesienny; zaczęły już fruwać pierwsze płatki śniegu... Nastąpiła wreszcie ta długo wyczekiwana zima! Chwilami głucho i mocno biło mi serce od wielkiego przecucia wolności. Ale rzecz dziwna: im więcej upływało czasu i im bliższy był termin, tym się stawałem cierpliwszy. W ostatnich już dniach aż się zdziwiłem i zrobiłem sobie wymówkę: zdało mi się, że całkowicie oziębłem, zobojętniałem. Spotykając mnie na dziedzińcu w czasie wolnym od pracy liczni więźniowie zagadywali mnie, wieszowali mi:

— Wkrótce wyjdzie pan na wolność, Aleksandrze Pietrowiczu. Zostaniemy tu sami jak kołki w płocie.

— A wy, Martynow, długo jeszcze... — odpowiadałem.

— Fiu! Ja! Ano, ze siedem latek jeszcze tu przebiję...

I westchnie z cicha, zatrzyma się, popatrzy z roztargnieniem, jakby zaglądał w przyszłość... Tak jest, wielu wieszowało mi szczerze i serdecznie. Miałem wrażenie, że ostatnio wszyscy traktują mnie życzliwiej. Widocznie przestawałem już być jednym z nich; już się ze mną żegnali. K-czański, szlachcic polski, młodzieniec cichy i łagodny, podobnie jak ja lubił w wolnym czasie długo spacerować po dziedzińcu. Uważał, że ruch i czyste powietrze zachowają mu zdrowie i powetują całą szkodliwość dusznych nocy koszarowych.

— Niecierpliwie oczekuję pańskiego wyjścia — z uśmiechem rzekł mi pewnego razu, gdyśmy się spotkali na przechadzce. — Pan wyjdzie, a ja będę już wtedy wiedział, że mi pozostaje dokładnie jeden rok do wyjścia.

Nadmienię tu mimochodem, że wskutek marzycielstwa i długiego odzwyczajenia, wolność wydawała nam się jakąś wolniejszą niż wolność prawdziwa, to znaczy niż ta, która jest istotnie, w rzeczywistości. Więźniowie wyolbrzymiali pojęcie o rzeczywistej wolności, i jest to bardzo naturalne, właściwe każdemu więźniowi. Lada obszarpany ordynans oficera uchodził w naszych oczach, w porównaniu z więźniami, omal za króla, omal za ideał wolnego człowieka, ponieważ chodził z nie ogoloną głową, bez kajdan i bez konwoju.

W wilię ostatniego dnia, o zmroku, po raz ostatni obszedłem wzdłuż ogrodzenia całe nasze więzienie. Ileż tysięcy razy obszedłem to ogrodzenie przez wszystkie te lata! Tu, za koszarami, snułem się w pierwszym roku katorgi — sam, osierocony, przybity. Pamiętam, jakem liczył wówczas, ile mi zostaje tysięcy dni. Boże, jak dawno to było! Tutaj, w tym kącie, żył w niewoli nasz orzeł; tutaj spotykał mnie często Pietrow. Pietrow i teraz mnie nie opuszczał. Podbiegnie czasem i jakby odgadując moje myśli, milcząc idzie obok mnie i w duchu dziwi się czemuś. Żegnałem się w myśli ze szerniałym belkowaniem naszych koszar. Jak niemile uderzyło mię ono

wtedy, na początku. Zapewne też się postarzało od owego czasu, lecz dla mnie było to niedostrzegalne. I ile młodości pogrzebano w tych murach na próżno, ile wielkich sił zginęło tu nadaremnie! Bo trzeba już powiedzieć wszystko; przecież ci ludzie byli ludźmi niezwykłymi. Przecież to może ludzie najzdolniejsi, najsilniejsi z całego naszego narodu. Ale na darmo przypadły potężne siły, przypadły nienormalnie, bezprawnie, bezpowrotnie. A kto temu winien?

Otóż to: kto winien?

Nazajutrz rano, jeszcze przed wyjściem do pracy, skoro tylko zaczęło świtać, obszedłem wszystkie koszary, żeby pożegnać wszystkich więźniów. Wiele spracowanych, krzepkich rąk wyciągnęło się do mnie przyjaźnie. Niektórzy ściskali mi dłoń zupełnie po koleżeńsku, lecz takich było niewiele. Reszta rozumiała już bardzo dobrze, że się wnet stanę człowiekiem zgoła innym niż oni. Wiedzieli, że w mieście mam znajomych, że od razu stąd pójdę do panów i zasiądę z tymi panami jak równy. Rozumieli to i żegnali się ze mną wprawdzie życzliwie, wprawdzie przyjaźnie, lecz bynajmniej nie jak z kolegą, tylko jak z kimś z wyższej sfery. Niektórzy odwracali się ode mnie i surowo milczeli w odpowiedzi na moje pożegnanie. Niektórzy spoglądali na mnie nawet z pewną nienawiścią.

Zawarczał bęben i wszyscy poszli do pracy, a ja zostałem w domu. Tego rana Suszyłow wstał bodaj najwcześniej ze wszystkich i gorliwie dokładał starań, żeby zdążyć przyrządzić mi herbatę. Biedny Suszyłow! Zapłakał, kiedy mu podarowałem moje więzienne łachy, koszule, podkajdanki i trochę pieniędzy. „Nie o to mi chodzi, nie o to! — mówił, z trudem opanowując drżenie warg. — Ciężko mi pana stracić, Aleksandrze Pietrowiczu. Bez pana bodzie mi tu nijako!” Ostatni raz pożegnaliśmy się też z Akimem Akimyczem.

— Pan również wyjdzie niebawem! — powiedziałem mu.

— Ja długo, długo jeszcze muszę tu być — mamrotał ściskając mi rękę. Objąłem go za szyję i ucałowaliśmy się.

W jakie dziesięć minut po odejściu więźniów wyszliśmy także z katorgi, by nigdy już tu nie wrócić — ja i kolega, z którym przybyłem. Musieliśmy zaraz pójść do kowala, żeby nam rozkuł kajdany. Lecz już nam nie towarzyszył konwojent z karabinem: poszliśmy z podoficerem. Rozkuli nas nasi współwięźniowie, w warsztacie inżynieryjnym. Zaczekałem, aż rozkują kolebę, następnie podszedłem do kowadła. Kowale obrócili mnie plecami do siebie, podnieśli z tyłu moją nogę, położyli ją na kowadle... Uwijali się, chcieli to zrobić jak najzręczniejszym, jak najlepiej.

— Nit! najpierw przekręć nit!... — komenderował starszy. — Ustaw go ot tak; dobra... Teraz wal młotem...

Kajdany spadły. Podniosłem je... Pragnąłem potrzymać je w rękę, spojrzeć na nie po raz ostatni. Jak gdybym się teraz dziwił, że przed chwilą miałem je na nogach.

— No, z Bogiem! Z Bogiem! — mówili więźniowie urywanymi, szorstkimi, ale jakby zadowolonymi z czegoś głosami.

Tak, z Bogiem! Wolność, nowe życie, zmartwychwstanie... Jaka wspaniała chwila!

